JOSEPH CONRAD

NOSTROMO

SREBRO KOPALNI — IZABELE

WARSZAWA 1928
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKC.

NOSTROMO

Tak chmurne niebo nie
wyjaśnia się bez burzy
Shakespeare

PISMA ZBIOROWE JOSEPHA CONRADA
(JÓZEFA KONRADA KORZENIOWSKIEGO)
Z PRZEDMOWĄ STEFANA ŻEROMSKIEGO

TOM IX

NOSTROMO

POWIEŚĆ Z POBRZEŻA MORSKIEGO

TOM I

WARSZAWA 1928
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

JOSEPH CONRAD

NOSTROMO

POWIEŚĆ Z POBRZEŻA MORSKIEGO

Z PRZEDMOWĄ AUTORA

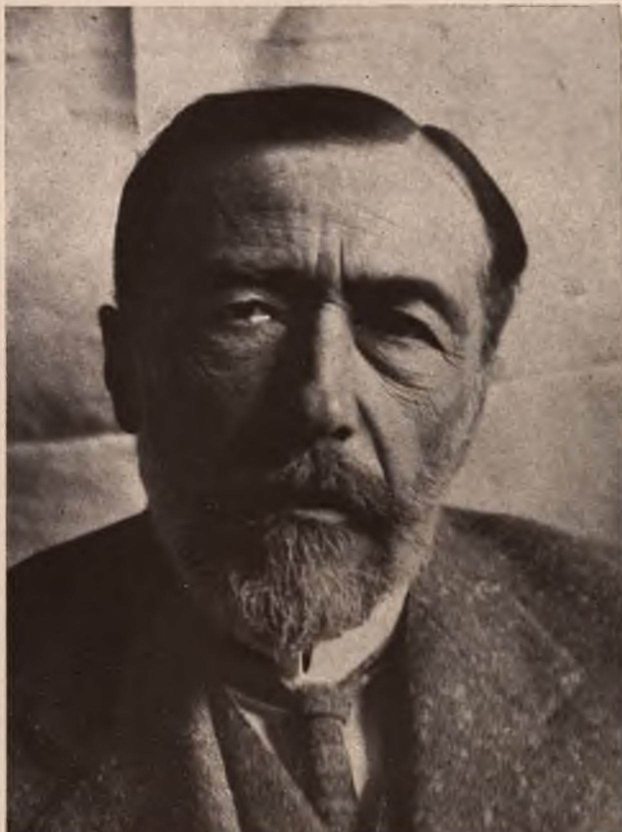
CZĘŚĆ I i II

SREBRO KOPALNI — IZABELE

PRZEŁOŻYŁ
STANISŁAW WYRZYKOWSKI

WARSZAWA 1928
DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ SPÓŁKA AKCYJNA

Z DRUKARNI ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH
POD ZARZĄDEM KAZIMIERZA FIGWERA



Konrad Korzeniowski
(Joseph Conrad)

PRZEDMOWA AUTORA

Żadnej z moich dłuższych powieści, które powstały po ogłoszeniu zbioru nowel p. t. *Tajfun*, nie przemyślałem tak troskliwie, jak właśnie *Nostroma*.

Nie zamierzam przez to powiedzieć, jakobym wówczas uświadomił sobie jakąkolwiek zmianę czyto w mojej umysłowości, czy też w mym stosunku do zadań twórczego życia. Jakoż być może, iż nie było innej zmiany prócz tej tajemniczej, niedocieczonej rzeczy, co nie ma nic wspólnego z teorjami sztuki, a polega na subtelnej zmianie w istocie natchnienia; zjawisko, za które żadną miarą niepodobna czynić mnie odpowiedzialnym. Co jednak dało mi poniekąd do myślenia, to wrażenie, jakiego doznałem po ukończeniu ostatniej opowieści ze zbioru *Tajfun:* zdawało się mi mianowicie, iż niema już o czem pisać na tym świecie.

To z dziwnego jakiegoś zaprzeczenia poczęte, lecz niepokojące przywidzenie nie trwało zbyt długo. Podobnie, jak to miało miejsce z wieloma mojemi dłuższemi powieściami, pierwszy pomysł *Nostroma* zaświtał mi wnet pod postacią luźnej anegdoty, pozbawionej zupełnie wyrazistszych szczegółów.

Było to w 1875 lub 1876 roku, za czasów mojej wczesnej młodości, kiedy w Indjach Zachodnich a raczej w Zatoce Meksykańskiej bywałem nieczęsto, krótko i przelotnie. Słyszałem tam opowiadanie o jakimś człowieku, którego podejrzewano, iż podczas zaburzeń rewolucyjnych miał sam jeden skraść statek, pełen srebra, gdzieś na wybrzeżach *Tierra Firme*.

Na dnie tej opowieści krył się jakiś rys niezwykły. Ale nie słyszałem szczegółów, a nie doznając osobliwszego zajęcia dla zbrodni, jako takiej, nie zdobyłem się, by ją zachować w pamięci. Zapomniałem też o niej i dopiero w jakieś dwadzieścia sześć czy siedm lat później zetknąłem się znów z nią w nędznej książczynie, znalezionej przypadkiem w podrzędnej księgarni. Był to życiorys pewnego marynarza amerykańskiego, napisany przez niego przy pomocy jakiegoś dziennikarza. Marynarz ów podczas swych wędrówek pracował przez kilka miesięcy na pokładzie *schoonera*, którego panem i właścicielem był właśnie złodziej, majaczący we wspomnieniach mej wczesnej młodości. Nie wątpiłem o tem, gdyż niepodobna pomyśleć, żeby dwa takie szczególniejsze zdarzenia mogły zajść w tej samej części świata i żeby nadomiar oba pozostawały w związku z rewolucją południowo-amerykańską.

Drab ten zdołał zatem skraść statek ze srebrem, i to, jak się zdaje, tylko dzięki ślepemu zaufaniu swych przełożonych, którzy musieli być nader nieszczególnymi znawcami charakterów ludzkich. W opowiadaniu marynarza przedstawia się on jako nieuskromiony łotr, nikczemny oszust, głupkowaty, dziki, ponury, o niepokaźnym wyglądzie, zgoła nie wart wielkości, którą sposobność dała mu w ręce. Ciekawe jest to, iż podobno przechwalał się otwarcie.

Powiadał nieraz: „Ludzie myślą, że dorobiłem się pieniędzy na tym moim *schoonerze*. Ale tak nie jest. Nie dbam o niego. Jadę sobie hen, od czasu do czasu i przywożę bryłę srebra. Trzeba bogacić się powoli — nieprawdaż?

Wspomniany jest jeszcze inny, zajmujący rys tego człowieka, Pewnego razu, gdy się posprzeczali, marynarz pogroził mu: „A kto mi zabroni powtórzyć na lądzie to wszystko, co słyszałem od pana o tem srebrze?“

Cyniczny zbrodniarz bynajmniej tą groźbą się nie zaniepokoił. Zaśmiał się tylko: „Jesteś głupi! Spróbuj jeno powiedzieć o mnie coś podobnego na lądzie, a żgnę cię nożem w plecy. Tam, w porcie, wszyscy mężczyźni, wszystkie kobiety i dzieci są moimi przyjaciółmi. A kto mi dowiedzie, że statek nie zatonął? Nie pokazałem ci, gdzie to srebro się znajduje. Nieprawdaż? Nie wiesz nic. A gdybym kłamał, to co?“

Ostatecznie marynarz, nabrawszy odrazy do plugawej nikczemności tego zatwardziałego złodzieja, zbiegł ze *schoonera*. Cały ten epizod zajmuje jakieś trzy strony w jego autobiografji. Cóż o nich można powiedzieć? A jednak, kiedym je przejrzał, zastanawiające potwierdzenie kilku przypadkowych słów, zasłyszanych we wczesnej młodości, wywołało wspomnienie tych odległych czasów, kiedy wszystko było takie świeże, takie nieoczekiwane, takie zapamiętałe i takie zajmujące: skrawki obcych lądów w mżeniu gwiazd, cienie, padające od wzgórz słonecznych, namiętności ludzkie w pomrokach, nawpół zapomniane gawędy, zamierzchłe dawno twarze... A może, a może byłoby jeszcze o czem pisać na tym świecie. Atoli zrazu nie dostrzegałem niczego w tej skąpej opowieści. Jakiś łotr

przywłaszcza sobie znaczną część cennego dobytku — tak powiadają ludzie. Jest to prawdą lub nieprawdą; to pewna, iż samo w sobie nie posiada żadnej wartości. Nie miałem ochoty wynajdywać okoliczności, towarzyszących temu sprzeniewierzeniu, gdyż moje uzdolnienia nie podążały tym torem i gra nie wydawała się mi wartą świeczki. Dopiero kiedym zaczął rozmyślać, iż zaborca tego skarbu niekoniecznie być musiał zakamieniałym przestępcą, że mógł być nawet człowiekiem z charakterem, działaczem, a bodaj nawet ofiarą w zmiennych kolejach rewolucji — dopiero wówczas miałem pierwszą wizję mrocznej krainy, co miała się stać prowincją Sulaco; jej strzelista, widziadlana *Sierra* i ponurzone w oparach *Campo* są niemymi świadkami wypadków, wynikających z namiętności ludzi, krótkowzrocznych zarówno w dobrem jak w złem.

Oto najszczersza prawda, jak przedstawiały się ciemne zawiązki książki, zatytułowanej *Nostromo*. Od tej chwili doznawałem wrażenia, iż mogła już powstać. Atoli wciąż ociągałem się jeszcze, jakgdyby ostrzegany instynktem samozachowawczym przed daleką i uciążliwą podróżą do kraju, pełnego wichrzeń i zaburzeń rewolucyjnych. Lecz trzeba było przystąpić do dzieła.

Praca nad niem zajęła mi przeważną część 1903 i 1904 roku. Przerywały ją niejednokrotnie wznawiające się wątpliwości, czy nie zatracę się w coraz to rozleglejszych perspektywach, które otwierały się przede mną w miarę dokładniejszej znajomości tego kraju. Nieraz też, kiedy myśli moje popadały w zastój nad zagmatwanemi sprawami tej Rzeczypospolitej, brała mnie chętka, obrazowo mówiąc, spakować manatki, wyjechać ze Sulaca dla zmiany klimatu i na-

pisać kilka kartek *Zwierciadła morza*. Ale naogół, jak już powiedziałem, pobyt mój na lądzie słynnej z gościnności Ameryki latyńskiej trwał około dwu lat. Po powrocie (posługując się zlekka stylem kapitana Gullivera) zastałem mą rodzinę w zdrowiu i pomyślności; moja żona była bardzo zadowolona, że ten kłopot już się skończył, a nasz malec urósł znacznie podczas mej nieobecności.

Głównem mem źródłem do dziejów Costaguany była bezstronna i wymowna *Historja pięćdziesięciu lat nierządu*, której autorem był mój czcigodny przyjaciel, nie żyjący już Don José Avellanos, minister pełnomocny przy dworze angielskim, hiszpańskim i t. d. Dzieło to nigdy nie pojawiło się w druku — czytelnik dowie się, dlaczego — to też jestem jedyną osobą na świecie, która zna jego treść. Wczytywałem się w nie całemi godzinami z wytężoną uwagą i mam nadzieję, że moja ścisłość zdobędzie sobie zaufanie. Zarówno ze względu na siebie, jak dla uspokojenia obaw przezornych czytelników, uważam za konieczne zaznaczyć, iż nieliczne wzmianki historyczne nigdy nie mają na celu popisywania się moją jedyną umiejętnością, lecz, że każda z nich pozostaje w ścisłym związku z tem, co się dzieje, bądźto rzucając światło na istotę wypadków bieżących, bądź też wpływając bezpośrednio na los osób, przeze mnie opisywanych.

Jeżeli zaś chodzi o ich własne dzieje, to dokładałem starań, by je uwydatnić. Arystokrację i lud, mężczyzn i kobiety, Latynów i Anglosasów, bandytę i polityka kreśliłem ręką tak chłodną, jak tylko to było możliwe w rozterce i wrzeniu mych własnych, sprzecznych odczuwań. Poza wszystkiem jest to zresztą historja ich zatargów. Trzeba było czytelnikowi wy-

łuszczyć, o ile zasługiwali oni na uwagę zarówno przez swe czyny, jak przez skryte dążenia swych serc, objawione wśród gorzkich konieczności epoki. Wyznaję, iż dla mnie był to okres niewzruszonych przyjaźni i niezapomnianej gościnności. Z wdzięcznością wspominam tu Mrs. Gould, „najznakomitszą damę“ ze Sulaca, którą spokojnie można powierzyć tajonej czułości d-ra Monyghama i Charlesa Goulda; ten zaś idealistyczny twórca interesów materjalnych niechaj pozostanie w swej kopalni — z której na tym świecie niema dlań wyjścia.

O Nostromie, tym drugim przedstawicielu sprzeczności rasowych i społecznych, opętanym również przez srebro z kopalni *San Tomé*, czuję się zobowiązanym powiedzieć nieco więcej.

Nie wahałem się uczynić główną postacią Włocha. Najpierw dlatego, że jest to najzupełniej wiarygodne; Włosi roili się wówczas w Prowincji Zachodniej, jak o tem każdy, kto zechce dalej czytać, może się łatwo przekonać. Po wtóre, nie było nikogo, ktoby mógł równie godnie stanąć obok Giorgia Violi, *garibaldina*, tego idealisty dawniejszych rewolucyj humanitarnych. Potrzebny mi był człowiek z ludu, możliwie wolny od uprzedzeń klasowych i utartych sposobów myślenia Powody moje były natury artystycznej, a nie moralnej. Gdyby był Anglosasem, byłby dążył do działalności w zakresie polityki miejscowej. Nie czuje potrzeby wyniesienia się nad tłumy. Poprzestaje na poczuciu, że jest potęgą — śród ludu.

Główny jednak powód, dla którego Nostromo jest tem, czem jest, pochodzi stąd, iż pomysł jego podsunął mi jeszcze za czasów mej młodości pewien marynarz ze Śródziemnego Morza. Ci, co czytali niektóre

me powieści, odgadną odrazu, o co chodzi, gdy po wiem, iż Dominik, *padrone* „Tremolina", mógłby w pewnych okolicznościach stać się Nostromem. To pewna, iż Dominik byłby rozumiał tego młodzieńca znakomicie — nie szczędząc mu zresztą pogardy. Obaj byliśmy wmieszani w pewną, niedorzeczną zresztą przygodę, lecz o niedorzeczność tu nie chodzi. Nie bez rzetelnego zadowolenia myślę o tem, iż za moich bardzo młodych lat musiało być we mnie coś, co było godne, żeby powodować napoły cierpką wiernością i napoły ironicznem oddaniem tego człowieka. Wiele z przemówień Nostroma słyszałem po raz pierwszy w głosie Dominika. Dzierżąc trzonek wiosła w garści i z pod mniszego kaptura, co ocieniał jego twarz, wodząc nieulęknionem okiem po widnokręgu, zwykł był zaczynać wykłady swej okrutnej mądrości od słów: „*Vous autres gentilhommes!*" a brzmiały one tak zjadliwie, iż po dziś dzień szemrzą mi w uszach. Podobnie jak Nostromo! Wy, *hombres finos!* Nader podobnie jak Nostromo. Ale Korsykanin, Dominik, miał niejaką dumę rodową, od której Nostromo jest wolny, gdyż pochodzenie Nostroma wywodzić należy ze znacznie odleglejszych czasów. To człowiek, który dźwiga brzemię niezliczonych pokoleń minionych i nie ma powinowactw, żeby chełpić się niemi... Podobnie jak lud.

W mocnym chwycie, jakim przylgnął do odziedziczonej ziemi, w swej nierozwadze i wspaniałomyślności, w rozrzutności, z jaką marnotrawi swe dary, w swej męskiej próżności, w niejasnem poczuciu swej wielkości, wreszcie w swej wiernej tkliwości dla tego, co rozpacza i jest rozpaczliwe w swych popędach — jest on człowiekiem z ludu, jego najwłaśniejszą, niezawistną siłą, co gardzi władzą, ale włada od wewnątrz.

Po latach, kiedy staje się z wiekiem słynnym kapitanem Fidanzą i zagnieżdża się w kraju, kiedy załatwiając liczne swe sprawy, chodzi po zmodernizowanych ulicach Sulaca, ścigany spojrzeniami, pełnemi szacunku, kiedy zachodzi do wdowy po *cargadorze* [1]), uczęszcza do Loży i z niewzruszonym spokojem przysłuchuje się na wiecu przemówieniom anarchistycznym — zagadkowy orędownik nowego ruchu rewolucyjnego, bogaty, godny towarzysz Fidanza, co w duszy kryje poczucie swego upadku moralnego, pozostaje w swej istocie nadal człowiekiem z ludu. W pomieszaniu miłości i wzgardy życia, w obłędnem przeświadczeniu, iż go oszukano, że umiera oszukany, niewiadomo przez co czy przez kogo, jest on do ostatka przedstawicielem ludu, jego bezsprzecznie wielkim człowiekiem — co ma zresztą poza tem swe osobiste dzieje.

Pragnąłbym nadmienić jeszcze o jednej postaci z tych burzliwych czasów, mianowicie o Antonji Avellanos — „pięknej Antonji". Nie śmiem twierdzić, że jest ona możliwą odmianą dziewczęcia z Ameryki latyńskiej. Ale tak mi się przedstawia. Aczkolwiek zawsze nieco w cieniu, zawsze u boku swego ojca (mojego czcigodnego przyjaciela), jest ona mimo to — jak sądzę — dość wyrazista, by uprzystępnić dalsze moje słowa. Ze wszystkich ludzi, którzy widzieli wraz ze mną narodziny Rzeczypospolitej Zachodniej, ona jedyna pozostawiła w mej pamięci obraz ciągłości życia. Arystokratka, Antonja, i człowiek z ludu, Nostromo, są mistrzami nowej ery, istotnymi twórcami nowego państwa; on dzięki swemu legendarnemu i zuchwałemu czynowi, ona, jako kobieta, poprostu dzięki swej swoistej

[1]) Robotnik, zajęty przy ładowaniu okrętów.

potędze, gdyż tylko ona zdolna była rozniecić szczere uczucie w sercu nicponia.

Jeżeli kiedykolwiek mogłoby mnie jeszcze coś skłonić do ponownego pobytu w Sulaco (należałoby się śpieszyć, by zobaczyć zmiany, jakie tam zaszły), to tylko Antonja. A istotnym tej chęci powodem — bo i czemuż nie miałbym być szczerym? — jest to, że wzorowałem ją na pierwszej mojej miłości. Byliśmy czeredą szkolnych wyrostków, nieodłącznymi towarzyszami jej dwu braci, i pamiętam, jak spoglądaliśmy na tę dziewczynę, co sama niedawno opuściła ławę szkolną, a już niosła sztandar wiary, pod którym wszyscy urodziliśmy się, lecz który tylko ona umiała dzierżyć wysoko z niezachwianą nadzieją! Być może, iż miała w swej duszy więcej żaru, a mniej spokoju od Antonji, lecz była nieprzejednanie czystą kapłanką patrjotyzmu, bez najlżejszej zmazy ziemskości w swych myślach. Nietylko ja jeden w niej się kochałem, ale ja byłem tym, który najczęściej słyszał od niej gorzkie wyrzuty z powodu swej lekkomyślności — nader podobnie jak biedny Decoud — i w którego najczęściej godziły ciosy jej surowej, nieodpartej zniewagi. Niecałkiem mnie rozumiała — ale mniejsza o to. Tego popołudnia, kiedy przyszedłem do niej jako skruszony, lecz wyzywający grzesznik, żeby pożegnać się raz na zawsze, otrzymałem uścisk dłoni, od którego drgnęło mi serce, i ujrzałem łzę, co wydarła mi westchnienie z piersi. Zmiękła wkońcu, gdyż uświadomiła sobie nagle (ach, byliśmy jeszcze zupełnemi dziećmi!), że odjeżdżam naprawdę w poszukiwaniu dobra, że jadę bardzo daleko — tak daleko, jak do Sulaca, co, nieznane, skrywa się przed naszemi oczyma w pomroce Zatoki Cichej.

Oto dlaczego tęsknię niekiedy, by znów zobaczyć „piękną Antonję“ (a może raczej tę inną?), gdy kroczy w mrokach wielkiej katedry, odmawia krótką modlitwę nad grobem pierwszego i ostatniego kardynała arcybiskupa Sulaca, przystaje zadumana w dziecięcej tkliwości przed pomnikiem *Dona* José Avellanosa i tęsknem, słodkiem, ufnem spojrzeniem obrzuca pamiątkowy medaljon Martina Decouda, poczem wychodzi spokojnie na słoneczną *Plazę*, smukła, z niepokalaną skronią, istna świętość przeszłości, lekceważonej przez ludzi, co oczekują niecierpliwie zórz innych, nowych er, rozpętania dalszych rewolucyj.

Lecz jest to najpłonniejszy z moich snów. Z chwilą, kiedy uleciało ostatnie tchnienie z piersi dostojnego *Capataza* [1]), człowieka z ludu, próżnego wreszcie trosk miłości i bogactwa, zrozumiałem w zupełności, iż nie mam już nic do czynienia w Sulaco.

---

[1]) Przodownik, naczelnik.

J. C.

Październik, 1917.

CZĘŚĆ PIERWSZA

SREBRO KOPALNI

ROZDZIAŁ I.

Za czasów panowania hiszpańskiego i przez wiele lat po niem, miasto Sulaco — bujna piękność ogrodów pomarańczowych świadczy o jego starożytności — nie miało większego znaczenia handlowego i było tylko przybrzeżnym portem, którego wcale znaczny handel miejscowy ograniczał się do skór bydlęcych i indyga. Głęboko się nurzające, ociężałe galeony zdobywców, co wogóle potrzebowały mocnego wiatru, by ruszyć z miejsca, i nieruchomiały tam, gdzie okręt nowoczesny, zbudowany smuklejszym kształtem, mknie naprzód od samego trzepotania swych żagli, nie docierały do Sulaca z powodu przemożnych cisz, panujących w jego olbrzymiej zatoce. Dostęp do niektórych portów na świecie bywa utrudniony zdradliwością skał podwodnych i burzliwością wybrzeży. Sulaco, obce pokuszeniom świata handlowego, zawdzięczało swą nietykalność uroczystej duszy głębokiego *Golfo Placido*, mieszcząc się jakgdyby w niezmierzonej, półkolistej i nie nakrytej sklepieniem świątyni, co otwarta ku morzu, ma ściany z niebotycznych gór, obwieszonych posępnemi oponami obłoków.

Po jednej stronie tej wielkiej krzywizny, tuż na brzegu Rzeczypospolitej Costaguany, ostatni kraniec wy-

brzeża tworzy niepozorny przylądek, zwany *Punta Mala*. Sam ten wysterk lądu od środka zatoki jest zupełnie niewidoczny; natomiast trzon stromego wzgórza w głębi kreśli się nikłym cieniem na przestworzu niebieskiem.

Po drugiej stronie coś, co wydaje się niby samotnym strzępem błękitnej mgły, pławi się lekko w przeźroczach widnokręgu. To półwysep Azuera, dziki zwał ostrych krzesanic i kamienistych równi, przerzniętych pionowemi wąwozami. Sięga on daleko w morze niby srogi łeb kamienny, co wyciąga się z przyodzianego zielenią wybrzeża na cienkiej, piaszczystej szyi, pokrytej gęstwą ciernistych zarośli. Zupełnie pozbawiony wody, gdyż opady deszczowe ściekają odrazu ze wszech stron do morza, nie ma podobno nawet tyle ziemi, żeby wyżywić bodaj jedno źdźbło trawy, jakgdyby go poraziła jakaś klątwa. Biedacy, którym mętny instynkt pociechy każe kojarzyć zło z bogactwem, utrzymują, iż jest jałowy, gdyż kryje w sobie zaklęte skarby. Pospólstwo okoliczne, *peonowie*[1]) z *estancij*[2]), *vaquerosowie*[3]) z łęgów pobrzeżnych, oswojeni Indjanie, co idą zdaleka, by przynieść na targ wiązkę trzciny cukrowej, lub koszyk kukurudzy, niewart trzech groszy, są przeświadczeni, iż stosy lśniącego złota leżą w mrokach przepaścistych otchłani, bróżdżących kamieniste płaszczyzny Azuery. Podanie utrzymuje, iż w prastarych czasach zginęło tam wielu zuchwalców, którzy się wybierali na poszukiwanie tych skarbów. Krążą również pogłoski, że już za pamięci ludzkiej dwu wędrownych marynarzy — ponoć Amerykanów, lecz na pewno *gringów*[4]) w swoim rodzaju — namó-

---

[1]) Najmici. [2]) Folwark. [3]) Pastuchy. [4]) Przybłęda.

wiło pewnego szulera, złajdaczonego *moza*[1]) i ukradli we trójkę osła, który miał dźwigać dla nich wiązkę suchego chróstu, bukłak z wodą i zapas żywności na parę dni. Tak zaopatrzeni, z rewolwerami u pasa, wyruszyli, by swemi *machetes*[2]) utorować sobie drogę śród ciernistych zarośli, pokrywających przesmyk półwyspu.

Następnego wieczora prostopadły słup dymu (co mógł pochodzić tylko z ich ogniska) po raz pierwszy za pamięci ludzkiej, zamajaczył nikłą smugą na tle nieba, ponad ostrą, jak brzytwa, krzesanicą kamiennej głowy. Załogi przybrzeżnych *schoonerów*, co unieruchomione przez ciszę morską, stały o trzy mile od brzegu aż do nastania ciemności, patrzyły z przerażeniem na to zjawisko. Pewien rybak murzyński, który mieszkał w ustronnej chacie, wznoszącej się opodal nad małą zatoczką, widział, jak wybierali się w drogę, i zwracał bacznie uwagę, czy nie dojrzy jakiego znaku. Przywołał żonę, właśnie gdy słońce już zachodziło. Śledzili oboje osobliwszego zwiastuna z zazdrością, niedowierzaniem i grozą. Ale bezbożni awanturnicy nie dali już odtąd żadnego znaku. Nikt potem nie widział ani marynarzy, ani Indjanina, ani ukradzionego kłapoucha. Za duszę *moza*, który pochodził ze Sulaca, kazała jego żona odprawić kilka mszy; biednemu czworonogowi, jako że był bez grzechu, pozwolono prawdopodobnie zginąć własną śmiercią; ale co do dwóch *gringów*, którzy są żywemi widziadłami, utarło się przeświadczenie, iż po dziś dzień przebywają śród głazów pod złowrogiem zaklęciem swego szczęsnego losu. Ich dusze nie mogą opuścić swych ciał, dzierżących

---

[1]) Posługacz. [2]) Kordelas.

straż nad odkrytym skarbem. Są teraz bogaci, ale łakną i pragną — osobliwa teorja o zawziętych duchach *gringów*, pokutujących w zetlałych i wynędzniałych zewłokach upartych niedowiarków, podczas gdy chrześcijanin wyrzekłby się wszystkiego i byłby zbawiony.

Tacy to są ci legendarni mieszkańcy Azuery, strzegący jej zaklętych skarbów. Cień na niebie po jednej stronie wraz z krągłym strzępem błękitnych wyziewów, plamiących świetlisty rąbek widnokręgu, po drugiej — oto dwa najskrajniejsze punkty zakola, co nosi nazwę *Golfo Placido*, gdyż jeszcze się nie zdarzyło, aby mocny wicher dął nad jego wodami.

Minąwszy linję idealną, przeprowadzoną od Punta Mala do Azuery, okręty, płynące z Europy, zwracają się ku Sulaco, wolne naraz od ostrych podmuchów oceanicznych. Dostają się w moc płochych powiewów, co igrają z niemi nieraz przez trzydzieści godzin na tej przestrzeni. Przed niemi ogrom Zatoki Cichej wypełniają przez znaczniejszą część roku wielkie kłęby nieruchomych i mętnych obłoków. Zdarzają się jednak czasem jasne poranki, a wówczas inny cień pada na rozokolone tonie. Brzask świta za spiętrzoną i szczerbatą ścianą Kordyljerów, tworząc wyrazistą wizję ciemnych turni, których skrzesane zbocza, wystrzelają z wyniosłego podścieliska borów, sięgających aż po sam skraj wybrzeża. Śród nich biały szczyt Higueroty dźwiga się majestatycznie w bezmiar błękitu. Nagie zwały olbrzymich skał nakrapiają nikłemi, czarnemi plamkami, śnieżną biel jej kopuły.

Później, gdy południowe słońce rozproszy z zatoki cienie górskie, poczynają z niżnich dolin wypełzać chmury. Oblekają w posępne łachmany obnażone wiszary krzesanic, wznoszących się nad lesistemi upła-

zami, przysłaniają szczyty, kłębią się zwichrzonemi pasmami śród śniegów Higueroty. Kordyljery pierzchają z oczu, jakgdyby się roztapiały w wielkich ławicach szarych i czarnych wyziewów, co staczają się ku morzu i zanikają doszczętnie w przejrzystem powietrzu pod płomienistem tchnieniem dnia. Niknący kraniec mgławicy wciąż posuwa się naprzód, ale rzadko dosięga środka zatoki. Marynarze powiadają, że pożera ją słońce. Bywa niekiedy, iż posępna żagiew piorunowa błyśnie z łona obłoków, przebiegnie po zatoce, ujdzie na pełne morze za Azuerą, rozpali się tam nagle płomieniem i załomota, niby jakiś złowrogi, napowietrzny okręt korsarski, przyległszy na widnokręgu i ogarnąwszy morze.

Nocą opary podnoszą się ku niebu, pogrążając cały przestwór Zatoki Cichej w nieprzeniknionych ciemnościach. Tu i owdzie słychać, jak szmer rzęsistego deszczu wszczyna się i nagle ustaje. Te mgliste noce są przysłowiowe dla marynarzy wzdłuż całego zachodniego wybrzeża wielkiego lądu. Niebo, ziemia i morze nikną bez śladu, gdy *Placido* — jak zwykli powiadać — ułoży się do snu pod swem czarnem *poncho*[1]). Nieliczne gwiazdy, widniejące od strony morza, poniżej chmurnego sklepienia, migocą blado, niby w czeluści czarnej jaskini. Płynący niewidzialnie śród jej bezmiaru okręt drży pod stopami, a jego żagle szeleszczą w ciemności nad głową. Sam Bóg nie dojrzy — dodają, bluźniąc zgryźliwie — co tam czyni ręka ludzka i możnaby bezkarnie samego djabła wezwać na pomoc, gdyby nawet jego złość nie traciła swej mocy w tej głuchej oćmie.

---

[1]) Opończa.

Brzegi zatoki są wszędy strome. Trzy niezamieszkane wysepki, ponurzone w powodzi słonecznej tuż poza obrębem mglistej opony i położone naprzeciw ujścia portu w Sulaco, noszą miano „Izabel“.

Jest Izabela Wielka i Izabela Mała oraz całkiem okrągła i najmniejsza śród nich, Hermosa.

Ma ona zaledwie stopę wysokości i około siedmiu kroków średnicy. Jest to poprostu płaski wierzchołek szarej skały, co dymi po deszczu jak perzyna. Przed zachodem słońca nikt nie śmie stanąć na niej bosą nogą. Na Izabeli Małej stara, łachmaniasta palma, o grubym, pękatym pniu, najeżonym kolcami, istna wiedźma śród drzew palmowych, szemrze posępnemi kiściami obumarłych liści nad jałowemi piachami. Izabela Wielka ma źródło czystej wody, tryskającej z urwiska, spiętrzonego nad rozpadliną. Podobny do szmaragdu, zielony klin ziemi tworzy płaszczyznę nad morzem, a na nim wznoszą się dwa drzewa, rosnące blisko siebie i zaścielające podnóże swych gładkich pni wielkim kręgiem cienia.

Jar przerzyna wyspę podłużnie od jednego krańca do drugiego i jest pełen chaszczy. Wyższy jego brzeg rozszczepia głęboka, kręta szczelina, natomiast niższy przekształca się w płytką kotlinę i zlewa się z wąską smugą piaszczystego wybrzeża.

Z niższego krańca Izabeli Wielkiej wnika oko przez otwór, oddalony o jakie dwie mile i jakby wyrąbany siekierą w regularnej falistości wybrzeża, wprost do przystani w Sulaco. Jest to podłużna roztocz wodna, podobna do jeziora. Po jednej stronie lesiste garby i wądoły Kordyljerów staczają się pod kątem prostym aż do samego wybrzeża, po drugiej wielka płaszczyzna Sulaca gubi się w opalowej tajemnicy niezmierzonej

oddali, zasnutej suchemi oparami. Samo miasto Sulaco — szczyty murów, wielka kopuła, białe balkony, wybłyskujące z gęstwy gajów pomarańczowych — leży między górami a morzem, w niewielkiej odległości od przystani i poza linją prostą, po której wzrok bieży od strony morza.

ROZDZIAŁ II.

Jedyną oznaką działalności handlowej w przystani, widoczną z poniża Wielkiej Izabeli, jest graniasty, niezdarny kraniec drewnianego mostu, który Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej (w mowie potocznej T. O. Ż. P.) przerzuciło przez płytszą część zatoki, skoro tylko postanowiło uczynić Sulaco jednym ze swych portów węzłowych dla Rzeczypospolitej Costaguany. Państwo to posiada kilka przystani na swem długiem wybrzeżu, lecz z wyjątkiem Cayty, mającej istotnie duże znaczenie, wszystkie inne są albo małemi i niedogodnemi załomami w skalistych brzegach — jak naprzykład Esmeralda, położona o sześć mil dalej na południe — albo też zwykłemi postojami, otwartemi dla wiatrów i narażonemi na wrzenie toni morskiej.

Być może, iż warunki klimatyczne, co trzymały zdala floty handlowe wieków minionych, skłoniły T. O. Ż. P. do naruszenia świątynnej ciszy, chroniącej spokojny byt Sulaca. Zmienne powiewy, bujające swobodnie po ogromnym półokręgu wód, okolonych głowicą Azuery, nie mogły ubezwładnić potęgi pary, jaką rozporządzała jego znakomita flota. Rok po roku czarne kadłuby jego okrętów krążyły wzdłuż wybrzeża, wpły-

wały do portu i z niego wypływały, mijały Azuerę, Izabele i Punta Mala — nie dbając na nic, prócz przemocy czasu. Ich nazwania, zaczerpnięte z dziedziny mitologji, spowszedniały na wybrzeżach, co nigdy nie pozostawały pod władzą bogów olimpijskich. *Juno* znana była tylko ze swych wygodnych kabin środkowych, *Saturn* z genjalności swego kapitana oraz przepysznie malowanego i złoconego salonu, natomiast *Ganimed* nadawał się głównie do przewozu bydła, więc unikali go wszyscy podróżni, obeznani z pobrzeżem. Najuboższy Indjanin z najmarniejszej wioski pobrzeżnej znał *Cerbera*, niewielkiego, czarnego kopciucha, pozbawionego wdzięku i ludzkich urządzeń, który wałęsał się wzdłuż lesistych nizin pobrzeżnych, tuż obok potężnych, groźnych skał, i przystawał uprzejmie przed każdą kępą chat dla zabrania ziemiopłodów, począwszy od trzechfuntowej bryłki gumy, zawiniętej w suchą trawę.

A ponieważ statki te rzadko pomijały najdrobniejszą bodaj przesyłkę, nie naraziły nikogo na stratę cielaka i nie utopiły ani jednego ze swych podróżnych, więc firma T. O. Ż. P. słynęła ze swej rzetelności. Powiadano, iż pod jej opieką życie i mienie ludzkie jest bezpieczniejsze na wodzie, niżeli pod własnym dachem na lądzie.

Naczelnik sekcji T. O. Ż. P. w Sulaco, obsługującej całą Costaguanę, był bardzo dumny ze stanowiska, jakie zajęło jego przedsiębiorstwo. Duma ta wyrażała się w słowach, co nader często rozbrzmiewały z jego ust: „My nie mylimy się nigdy". W stosunku do oficerów Towarzystwa przybierały one formę surowego napomnienia: „Nie powinniśmy mylić się nigdy! Nie zniósłbym tu pomyłek, a nic mnie nie obchodzi, co tam Smith robi w swoim kącie".

Smith, którego nigdy nie widział na oczy, był również naczelnikiem z ramienia przedsiębiorstwa, urzędującym o jakie pięć tysięcy mil od Sulaca. „Nie mówcie nic o waszym Smithie“.

Poczem, uspakajając się nagle, zwykł był odprawiać swych podwładnych z wyszukaną niedbałością.

— „Smith wie tyle o tym lądzie, co niemowlę u piersi matczynej“.

„Nasz przezacny senior Mitschell“, jak wyrażały się sfery przemysłowe i urzędowe w Sulaco; „Świntuch Joe“, jak powiadali komendanci okrętów Towarzystwa — kapitan, Józef Mitschell, chełpił się głęboką znajomością spraw i ludzi miejscowych — *cosas de Costaguana*. Za najujemniejszą z nich dla prawidłowej działalności swego przedsiębiorstwa uważał częste zmiany rządu, powodowane przez rewolucje o charakterze wojskowym.

Ówczesna atmosfera polityczna Rzeczypospolitej była naogół burzliwa. Patrjotyczni zbiegowie z pokonanego stronnictwa zdobyli się na pomysł wywołania nowego przewrotu na wybrzeżu przy pomocy parowca, naładowanego do połowy bronią ręczną i amunicją. Tej obfitości zasobów dziwił się kapitan Mitschell niepomiernie, ile że uchodząc, byli ogołoceni ze wszystkiego. Nadmieniał, iż „wyglądali, jakgdyby nie mieli przy sobie dość drobnych, żeby zapłacić za wyjazd z ojczyzny“. A mógł mówić ze znajomością rzeczy, gdyż przy pewnej pamiętnej sposobności wzywano go, by ocalił życie dyktatora oraz kilku urzędników ze Sulaca, mianowicie przedstawiciela władzy administracyjnej, dyrektora ceł oraz naczelnika policji, którzy należeli do obalonego rządu. Biedny Senior Ribiera (tak nazywał się ów dyktator), przegrawszy bitwę pod

Socorro, ujechał ośmdziesiąt mil, przedzierając się rozpaczliwie przez przesmyki górskie, gdyż miał nadzieję, że uda mu się wyprzedzić fatalne nowiny — czego oczywiście nie zdołał dokonać na kulawym mule. Nadomiar zwierzę to padło pod nim nieżywe na końcu Alamedy [1]), gdzie wieczorami grywa niekiedy muzyka wojskowa, gdy niema rewolucji. „Panie“ — mawiał dalej kapitan Mitschell z niezmierną powagą — „żałosny koniec tego muła zwrócił uwagę na nieszczęśliwego jeźdźca. Rysy jego rozpoznało kilku zbiegów z armji dyktatora śród łotrowskiego motłochu, co wybijał już szyby w *Intendencii*“.

Wczesnym rankiem tego dnia władze miejscowe ze Sulaca schroniły się w biurach T. O. Ż. P., potężnym budynku, położonym na brzegu u końca pomostu, pozostawiając miasto na pastwę tłuszczy rewolucyjnej. Dyktator, przeklinany przez ludność z powodu surowego prawa rekrutacyjnego, do którego zmusiły go konieczności wojenne, miał wszelkie widoki, iż rozszarpią go na ćwierci. Na szczęście Nostromo — nieoceniony chłopiec! — wraz z garścią włoskich robotników, sprowadzonych do budowy Narodowej Kolei Centralnej, był pod ręką i zdołał go wyrwać z tłumu — przynajmniej narazie. Ostatecznie kapitanowi Mitschellowi udało się przewieźć ich wszystkich we własnej łodzi do jednego z parowców Towarzystwa — była to *Minerwa* — który szczęsnym trafem, właśnie w tej chwili zawijał do portu.

Trzeba było spuszczać tych panów na linie przez otwór w ścianie tylnej, gdy tymczasem motłoch, co wyroił się z miasta i rozproszył wzdłuż wybrzeża, wył

---

[1]) Promenada.

i pienił się u frontowego podnóża budynku. Dostojny przedstawiciel T. O. Ż. P. musiał potem biec z nimi przez całą długość pomostu; był to rozpaczliwy bieg, poprostu karkołomny — i znów Nostromo, ten kochany człowiek, tym razem na czele zastępu robotników portowych Towarzystwa bronił pomostu przed naporem tłuszczy i pozwolił zbiegom dotrzeć do łodzi, co czekała już na nich u drugiego krańca z flagą Towarzystwa, zatkniętą u steru. Sypały się strzały, kije i kamienie; rzucano nawet nożami. Kapitan Mitschell pokazywał długą bliznę na swem lewem uchu i na skroni, pochodzącą od ostrza brzytwy, przytwierdzonej do kija — broni, wedle niego bardzo cenionej „przez najgorszą hołotę murzyńską“.

Kapitan Mitschell był tęgi i już w statecznym wieku. Nosił wysokie, śpiczaste kołnierzyki, miał krótkie bokobrody, był zwolennikiem białych kamizelek i lubił gawędzić, chociaż pokrywał tę chętkę pozorami wyniosłej powściągliwości.

— Ci panowie — mawiał, spoglądając z uroczystą powagą — zmykali jak króliki. I ja także czmychałem jak królik. Pewne rodzaje śmierci są — hm — obrzydliwe dla — hm — przyzwoitego człowieka. Byliby mnie również uśmiercili. Zwarjowany motłoch nie dba o różnice. Przy całej przezorności zawdzięczaliśmy nasze ocalenie mojemu *Capatazowi de Cargadores*, jak go nazywano w mieście. Kiedym go odkrył, był już sternikiem na włoskim okręcie, dużym okręcie genueńskim, jednym z tych nielicznych okrętów europejskich, co stale zawijają do Sulaca z wielkim ładunkiem i zatrzymują się przed zabudowaniami Narodowej Kolei Centralnej. Porzucił go za namową przezacnych przyjaciół, których tu znalazł, swych ziomków

ale mi się zdaje, że chodziło mu także o poprawę swego losu. Trzeba panu wiedzieć, że jestem doskonałym znawcą charakterów. Mianowałem go przodownikiem naszych robotników portowych i nadzorcą naszego pomostu. Oto czem był. Wszelako bez niego Senior Ribiera byłby zginął. Ten Nostromo, człowiek bez zarzutu, stał się postrachem wszystkich miejskich złodziei. Byliśmy podówczas nawiedzeni, zalani poprostu, panie, przez *ladronow* i *matrerów*, złodziei i zbrodniarzy z całej prowincji. Korzystając ze sposobności, napływali do Sulaca przez cały poprzedni tydzień. Wywąchali, że bliski już koniec. Połowa tego rozbójniczego motłochu składa się z zawodowych bandytów, którymi obdarzyło nas *Campo*, ale nie było żadnego śród nich, któryby nie słyszał o Nostromie. Zaś *leperos* miejscy tchórzyli już na sam widok jego czarnego zarostu i białych zębów. Truchleli przed nim, panie! Co to może siła charakteru, nieprawdaż?

Wyglądało to tak, jakby sam Nostromo ocalił życie tym panom, zaś kapitan Mitschell nie odstępował ich, dopóki nie znaleźli się na pokrytych kosztownym welwetem kanapach salonu pierwszej klasy na *Minerwie*, wyczerpani, zdyszani, przerażeni i zrozpaczeni, lecz żywi i cali. Na ostatek okazał tyle delikatności, iż zwrócił się do byłego dyktatora ze słowami: „Wasza ekscelencjo“.

— Panie, nie mogłem inaczej! Ten człowiek był złamany — upiorny, siny, cały pokryty ranami.

Minerwa nie stanęła na kotwicy w porcie. Naczelnik T. O. Ż. P. wydał rozkaz, by natychmiast odpłynęła. Nie dało się oczywiście wylądować ładunku, a podróżni, płynący do Sulaca, nie chcieli wyjść na brzeg. Słyszeli strzały i widzieli dokładnie walkę, co rozegrała się tuż nad wodą. Odparty motłoch rzucił się z rozmachem

na gmach Urzędu Cłowego, posępny budynek o wielu oknach, co wyglądał jak niewykończony. Znajdował się on o jakie dwieście jardów od zabudowań T. O. Ż. P. i był obok nich jedynym wpobliżu przystani. Kapitan Mitschell, poleciwszy komendantowi *Minerwy*, by wylądował „tych panów“ w pierwszym, znaczniejszym porcie poza obrębem Costaguany, powrócił w swej łodzi, by zobaczyć, co dałoby się uczynić dla ochrony własności Towarzystwa. Podobnie jak mienie kolejowe pozostawała ona pod opieką przedstawicieli państw europejskich, to znaczy, samegoż kapitana Mitschella oraz grona inżynierów, co budowali tor, a mieli do pomocy robotników włoskich i baskijskich, którzy dochowali wierności swym angielskim przełożonym. Robotnicy portowi Towarzystwa, acz pochodzący z Costaguany, sprawowali się również dzielnie pod wodzą swego *Capataza*. Były to wyrzutki bardzo mieszanej krwi, głównie murzyni, żyjący w ustawicznych zatargach z innymi klientami podrzędnych szynków miejskich, co korzystali z rozkoszą z tej sposobności, by załatwiać swe osobiste porachunki w tak sprzyjających warunkach. Nie było śród nich ani jednego, któremu nie zdarzyłoby się już patrzeć z trwogą na rewolwer Nostroma, skierowany ku jego twarzy, lub któryby nie doświadczył w inny sposób na sobie jego stanowczości. To był „tęgi chłop“ ten ich *Capataz*, o którym powiadali, że zbyt wiele ma pogardy w swem usposobieniu, by poniewierać wyzwiskami, a jest przytem niestrudzony w swych czynnościach i tem straszniejszy, że nie zapomina języka w gębie. I oto tego dnia stał na czele, zwracając się łaskawie w żartobliwy sposób do tego lub owego.

Takie przewodnictwo dodawało ducha; to też szkody,

wyrządzone przez motłoch, ograniczyły się do podłożenia ognia pod jeden, jedyny stos podkładów kolejowych, które były posmołowane i paliły się dobrze. Główny atak na składy kolejowe, na biura T. O. Ż. P., zaś przedewszystkiem na gmach Urzędu Cłowego, pod którego silnemi sklepieniami znajdował się, jak powszechnie było wiadomo, wielki zapas srebra w bryłach, nie powiódł się zupełnie. Nawet hotelik starego Giorgia, stojący samotnie na połowie drogi między przystanią a miastem, uniknął rabunku i spustoszenia, a nie było to cudem, lecz stało się dlatego, że tłuszcza, czując się bezpieczną, nie dbała zrazu o niego, a później nie zdołała już się zatrzymać. Nostromo ze swymi *cargadorami* zbyt mocno ją naciskał.

ROZDZIAŁ III.

Mógłby był ktoś powiedzieć, iż poprostu śpieszył z pomocą swym najbliższym. Od samego początku zżył się blisko z rodziną hotelarza, który był jego ziomkiem. Stary Giorgio Viola, z pochodzenia genueńczyk, o siwej, rozwianej, lwiej grzywie — zwany często *garibaldino* (podobnie jak mahometanie wzięli miano od swego proroka) — był, wedle najwłaściwszych słów kapitana Mitschella, tym „przezacnym, statecznym przyjacielem", za którego namową Nostromo porzucił służbę na okręcie, by szukać szczęścia na wybrzeżach Costaguany.

Starzec, pełen pogardy dla miejscowej ludności, jak to często się zdarza surowym republikanom, zlekceważył pierwsze objawy zaburzeń. Wyszedł, jak zwykle, tego dnia, by powałęsać się w swych pantoflach dokoła *casy*, wyrażając przytem gniewnym pomrukiem swą pogardę dla rozruchów, pozbawionych charakteru politycznego, i ruszając ramionami. Ostatecznie zaskoczył go niespodziewanie pochód motłochu. Było już za późno myśleć o usunięciu rodziny, bo i dokądże można było uciekać na tej wielkiej płaszczyźnie z pulchną *signorą* Teresą i dwojgiem dziewczątek? Zabarykadowawszy tedy wszystkie otwory, starzec siedział nie-

wzruszony pośrodku przyciemnionej kawiarni ze starą strzelbą myśliwską na kolanach. Obok niego na drugiem krześle zajęła miejsce jego małżonka, szepcąc pobożnie modlitwy do wszystkich świętych z kalendarza.

Stary republikanin nie wierzył ani w świętych, ani w modły, ani w to, co nazywał „religją księżą“. Wolność i Garibaldi byli jego bóstwami; ale pobłażał „zabobonom“ kobiecym i zachowywał pod tym względem wyniosłe milczenie.

Obie jego córki, starsza czternastoletnia, a druga o dwa lata młodsza, przykucnęły na posypanej piaskiem podłodze po obu stronach *signory* Teresy, kryjąc głowy na łonie matki. Obie były podniecone, lecz w odmienny sposób; ciemnowłosa Linda wrzała z oburzenia i gniewu, natomiast młodsza, śliczna Gizela, była raczej przerażona i zrezygnowana. *Signora* podniosła na chwilę ramiona, któremi obejmowła córki, by się przeżegnać, i załamała rozpaczliwie ręce. Stęknęła nieco głośniej:

— Och, Gian' Battisto, czemu tu ciebie niema? Och, czemuż tu ciebie niema?

Nie miała na myśli świętego, lecz Nostroma, którego ten święty był patronem. Siedzący nieruchomo obok niej na krześle, stary Giorgio obruszył się na te bezładne i żałosne biadania.

— Cicho, kobieto! Czy to ma jaki sens? To jego obowiązek — mruknął w pomroce, lecz rzekła mu na to, rzucając się i sapiąc:

— Ech, co mi po cierpliwości? Obowiązek! A cóż ma stać się z kobietą, która była dla niego matką? Klękałam przed nim dziś rano: nie wychodź, Gian' Battisto! pozostań w domu, Battistino! Patrz na dwoje tych niewinnych dzieciątek!

Signora Viola była również Włoszką, urodzoną w Spezzii. Miała już młodość za sobą, aczkolwiek była znacznie młodsza od swego męża. Rysy jej twarzy były niebrzydkie, ale cerę miała żółtą, gdyż klimat Sulaca zupełnie jej nie służył. Głos jej rozbrzmiewał mocnym *contralto*. Kiedy, założywszy ramiona pod bujnem łonem, zrzędziła na krępe, grubonogie dziewczęta chińskie, co bieliły płótno, skubały drób lub tłukły ziarno w drewnianych moździerzach śród brudnych przybudówek za domem, zdobywała się na takie namiętne, rozedrgane, grobowe tony, iż uwiązany na łańcuchu pies podwórzowy czmychał do swej budy, warcząc donośnie. Luis, cynamonowy mulat, o kiełkujących zaledwie wąsikach i grubych, ciemnych wargach, przestawał zamiatać kawiarnię pękiem liści palmowych i czuł, że ciarki przebiegają mu zlekka po grzbiecie. Jego tęskne oczy, co miały kształt migdału, zamykały się przytem na długo.

Tak przedstawiała się służba *Casy Viola*; pierzchła jednak wczesnym rankiem za pierwszym odgłosem rozruchów, woląc ukrywać się wśród pól, niż pozostać w domu. I trudno było ją za to ganić, gdyż — niewiadomo, słusznie, czy niesłusznie — powszechnie w mieście utrzymywano, iż *garibaldino* ma pieniądze, zakopane pod podłogą w kuchni. Pies, zły i kudłaty, ujadał zapamiętale lub skomlał żałośnie, bądźto przewracając się na grzbiet, bądź też wpadając do budy i wypadając z niej, jakgdyby opętany przez trwogę.

Huragany wrzasków zrywały się i zamierały na podobieństwo podmuchów wichru, rozpętanych na płaszczyźnie dokoła zabarykadowanego domu. Gorączkowe grzechotanie wystrzałów górowało nad krzykami. Niekiedy następowały chwile niepojętej ciszy

i niepodobna było wyobrazić sobie czegoś radośniejszego i spokojniejszego od wąskich, jasnych smug światła słonecznego, co przedostawały się przez szczeliny okiennic i skroś zawalonej stołami i krzesłami kawiarni padały na przeciwległą ścianę. Tę pustą, wybieloną salę stary Giorgio wybrał na schronienie. Miała tylko jedno okno, zaś jej jedyne drzwi wychodziły na pokryty kurzem gościniec, co wił się między żywopłotami z aloesu i łączył miasto z przystanią. Zazwyczaj skrzypiały na nim ciężkie wozy, wlokące się wślad leniwie stąpających wołów, popędzanych przez chłopaków na koniach.

Gdy znów nastała chwila ciszy, Giorgio odwiódł kurek u swej strzelby. Na ten złowieszczy chrzęst odpowiedziało głuche stęknięcie znieruchomiałej obok niego kobiety. Nagły wybuch wrogiego wrzasku, co rozległ się tuż koło domu, przycichł naraz w jakichś niewyraźnych pomrukach. Ktoś biegł wzdłuż domu; gdy mijał drzwi, wionął głośny szmer oddechu z jego zdyszanej piersi. Pod ścianą zabełkotał ktoś chrapliwie i zatupotały czyjeś nogi. Czyjeś ramię otarło się o okiennicę, gasząc jasne smugi słońca, co przenikały przez całą szerokość sali. Ramiona *signory* Teresy, obejmujące klęczące kształty córek, zacisnęły się dokoła nich kurczowo.

Motłoch, odparty od gmachu Urzędu Cłowego, rozsypał się na kilka gromad, co skroś równiny pierzchały ku miastu. Na przemożny grzechot salw, rozlegających się z oddali, odpowiadały skądś przyciszone wycia. Pojedyncze strzały huczały w przerwach głucho, a niski, długi, biały budynek o pozamykanych okiennicach zdawał się być ośrodkiem zamętu, co wrzał wielkim kręgiem dokoła jego martwej ciszy. Wszelako

lękliwe ruchy i szepty rozbitej szajki, szukającej chwilowego schronienia pod ścianami domu, wywoływały ciemność w sali, przetkanej pasmami cichego blasku, i napełniały ją złowrogiemi, ukradkowemi szmerami. Rozbrzmiewały one w uszach Violów, którym zdawało się, że jakieś niewidzialne widma czają się za ich krzesłami i naradzają się szeptem, czy nie należałoby podłożyć ognia pod *casę* tych przybłędów.

Rozstrajało to nerwy. Stary Viola podniósł się zwolna, ze strzelbą w ręce, lecz nie wiedział, co uczynić, by napastnikom przeszkodzić. Głosy dolatywały już od tyłu. *Signora* Teresa nie posiadała się z przerażenia.

— Ach, zdrajca! — szeptała niemal bezgłośnie. — Teraz tu nas spalą, a ja padałam na kolana przed nim! Ale on musi deptać po piętach swych Anglików!

Zdawało się jej, że dość było obecności Nostroma, żeby dom był zupełnie bezpieczny. I ona także zostawała pod zaklęciem rozgłosu, jaki zdobył sobie na wybrzeżu i wzdłuż linji kolejowej *Capataz de Cargadores* zarówno śród Anglików, jak śród mieszkańców Sulaca. Przy nim, nawet wobec swego męża, udawała zawsze, iż szydzi sobie z niego, naśmiewając się czasem dobrodusznie, lecz częściej z jakąś dziwną goryczą. Wszelako kobiety są nierozumne w swych sądach, jak zwykł był mawiać spokojnie Giorgio w podobnych okolicznościach. Trzymając tedy przed sobą strzelbę gotową do strzału i nie spuszczając oka z zabarykadowanych drzwi, nachylił się do żony i szepnął jej do ucha, że Nostromo nie zdołałby im dopomóc. Bo i cóż może zdziałać dwu ludzi, zamkniętych w domu, przeciw dwudziestu, którzy chcą podłożyć ogień pod

dach? Jest pewien, iż Gian' Battisto ani przez chwilę nie zapomina o domu.

— Nie zapomina o domu — on? — bełkotała nieprzytomnie *signora* Viola, uderzając się dłonią w piersi. — Znam ja go! On myśli tylko o sobie.

Huk broni palnej rozległ się wpobliżu. Odchyliła głowę wtył i zamknęła oczy. Stary Giorgio zacisnął zęby pod białemi wąsami, a jego źrenice błysnęły dziko. Kilka kul ugodziło równocześnie w skraj ściany i było słychać, jak tynk od zewnątrz obsypywał się kawałkami. Jakiś głos wrzasnął: „Idą tutaj!“ i po chwili straszliwego milczenia zatupotały głucho nogi pod ścianą frontową.

Wyprostowana postać starego Giorgia pochyliła się znowu i uśmiech pogardliwej ulgi przemknął po ustach sędziwego wojownika o lwiej twarzy. To nie był lud, walczący o sprawiedliwość, lecz złodzieje. Bronić się przeciwko nim było już poniekąd poniżeniem dla człowieka, który był jednym z owego nieśmiertelnego tysiąca, co pod wodzą Garibaldiego zdobywał Sycylję. Miał bezgraniczną pogardę dla tych opryszków i *leperów*[1]), co nie rozumieli znaczenia słowa „wolność“.

Odłożył precz swą starą strzelbę, odwrócił głowę i rzucił okiem na kolorową litografję Garibaldiego, co w czarnych ramach widniała na białej ścianie; smuga jasnego blasku przekreślała ją prostopadle. Oczy jego, nawykłe już do mroku, doszukiwały się mocnego zabarwienia twarzy, czerwieni koszuli, zarysów barczystych ramion i czarnej plamy bersaljerskiego kapelusza, nad którym przeginało się kogucie pióro.

---

[1]) Obszarpańców.

Nieśmiertelny bohater. Oto jaka była nasza wolność! Dała nam nietylko życie, lecz także nieśmiertelność!

Nie umniejszał się fanatyzm tego człowieka. W chwili, kiedy doznał ulgi na myśl, że jego rodzina uniknęła największego może niebezpieczeństwa, na jakie była narażona w swem tułaczem życiu, zwrócił się przedewszystkiem do wizerunku swego wodza, a następnie położył rękę na ramieniu żony.

Dzieci, klęczące na podłodze, nie poruszyły się. *Signora* Teresa otworzyła nieco oczy, jakgdyby się budziła z najgłębszego snu, w którym nic jej się nie śniło. Zanim zdążył we właściwy sobie, rozważny sposób rzec do niej uspakajające słowo, zerwała się na równe nogi, mając dzieci, uwieszone po obu bokach, odetchnęła głęboko i wrzasnęła chrapliwie.

Równocześnie jął ktoś mocno i niecierpliwie stukać od zewnątrz w okiennicę. Usłyszeli nagle parskanie konia i przeciągły tętent podków na wąskiej, ubitej ścieżce przed domem. Koniec czyjegoś buta stukał znowu w okiennicę. Za każdem stuknięciem podzwaniały ostrogi. Wzburzony głos zawołał: — Hej, a co tam słychać?

ROZDZIAŁ IV.

Przez cały ranek nie spuszczał Nostromo oczu z *Casy Viola*, nawet w odmęcie najgorętszej utarczki pod gmachem Urzędu Cłowego. „Jeśli ujrzę dym nad dachem“, — myślał sobie, — „to są zgubieni“. Przełamawszy motłoch, ruszył natychmiast pośpiesznie z garstką włoskich robotników w tym kierunku, była to bowiem najkrótsza droga do miasta. Część ściganej przez niego tłuszczy zamierzała, jak się zdawało, zatrzymać się pod domem; towarzysze jego dali salwę z za aloesowego żywopłotu i przynaglili łotrów do dalszej ucieczki. W zagłębieniu, gdzie układano szyny bocznicy kolejowej, wiodącej do portu, ukazał się Nostromo na swej siwej klaczy. Wrzasnął, posłał za uciekającymi wystrzał z rewolweru i popędził do okna kawiarni. Przyszło mu na myśl, iż właśnie tę część domu musiał stary Giorgio wybrać na schronienie. Głos jego dotarł do nich, zdyszany i naglący: — Hej, *Vecchio!* Hola, *Vecchio!* Czy nie stało się wam nic złego?

— A widzisz... — mruknął stary Viola do żony.

Signora Teresa nie odezwała się. Nostromo zaśmiał się za oknem.

— Zdaje mi się, że *padrona* jeszcze żyje.

— Zrobiłeś wszystko, żebym umarła ze strachu — krzyknęła *signora* Teresa. Chciała powiedzieć coś więcej, ale zabrakło jej głosu. Linda podniosła na chwilę oczy ku jej twarzy, lecz stary Giorgio rzekł, jakby chcąc uniewinnić:

— Jest nieco oburzona.

Nostromo zaśmiał się powtórnie:

— Nie może oburzać się na mnie.

Signora Teresa odzyskała głos.

— Jest tak, jak mówię! Nie masz ani serca ani sumienia, Gian' Battisto...

Usłyszeli, że odwraca konia od okna. Oddział, którym dowodził, rozprawiał gorączkowo po włosku i hiszpańsku. Zachęcano się wzajem do pościgu. Stanął znowu na ich czele, wołając:

— *Avanti!*

— Niedługo przebywał z nami. Niema tu cudzoziemców, żeby go chwalili — zawołała tragicznie *signora* Teresa. — *Avanti!* Oto wszystko, co go obchodzi. Byle być pierwszym, mniejsza o to, gdzie — jak? — śród tych Anglików. Będą go pokazywali wszystkim: „Oto nasz Nostromo!“ — Zaśmiała się złowieszczo. — Cóż to za imię? Co to znaczy Nostromo? Przybrał miano, które nie ma nic wspólnego z ich językiem.

Tymczasem Giorgio spokojnemi ruchami otwierał drzwi. Fala światła trysnęła na *signorę* Teresę z dwojgiem przytulonych do niej dziewczątek. Wyglądała malowniczo w tej postawie szczytnego macierzyństwa. Za nią na olśniewająco białej ścianie blakły w słońcu jaskrawe barwy litografji, przedstawiającej Garibaldiego.

Stary Viola, stojąc koło drzwi, podniósł ramię wgórę, jakgdyby zdawał sprawę ze swych śpiesznych, pierz-

chliwych myśli wizerunkowi dawnego swego wodza, zawieszonemu na ścianie. Nawet gdy gotował dla inżynierów — *signori Inglesi*, jak ich nazywał — (był słynnym kucharzem, chociaż kuchnię miał ciemną), pozostawał, jak zawsze, pod okiem tego wielkiego człowieka, który wiódł go do chlubnych bojów hen, pod mury Gaety, gdzie tyranja byłaby sczezła raz na zawsze, gdyby nie przeklęty, piemoncki pomiot królów i ministrów. Kiedy czasem przypaliło się coś na patelni podczas misternej jakiejś czynności z krajaną cebulą i kiedy starzec wybiegał na korytarz, klnąc i kaszląc w obłoku gryzącego dymu, wówczas rozlegało się niejednokrotnie nazwisko Cavoura — tego arcykrętacza, zaprzedanego królom i tyranom — obok wymyślań na chińskie dziewczęta, na zawód kucharski wogóle i na ten podły kraj, do którego zagnała go miłość wolności, zadławionej przez zdrajcę.

Tymczasem *signora* Teresa, cała w czerni, wyszła drugiemi drzwiami i stąpała przed siebie, okazała i stroskana, pochylając głowę o subtelnych rysach czarnobrewki, rozkładając ramiona i zawodząc posępnie:

— *Giorgio!* Co to za narwaniec! *Misericordia Divina!* I to w takiem słońcu! Jeszcze się rozchoruje.

Kury pierzchały jej z pod nóg we wszystkich kierunkach ogromnemi podskokami. Gdyby byli inżynierowie z linji kolejowej, przecinającej Sulaco, to na pewno ukazałaby się jaka młoda twarz angielska z sali bilardowej, co znajdowała się na jednym krańcu domu. Na drugim końcu, w kawiarni, mulat, Luis, dokładał starań, żeby go nie dostrzeżono. Dziewczęta indyjskie, których włosy miały wygląd rozwianych, czarnych grzyw, przyodziane tylko w opięte, krótkie spódniczki, wodziły ospałym wzrokiem z pod grzywek,

przyciętych równo nad czołem. Przenikliwe wyziewy tłuszczu ustały; wzbijały się dymy w słoneczne przestworza; mocny zapach smażonej cebuli zawisł w sennym skwarze, spowijającym domostwo. Oko gubiło się na niezmierzonej, pokrytej trawą płaszczyźnie, co rozpościerała się ku zachodowi, jakgdyby równina między *Sierrą*, wznoszącą się nad Sulaco, a między skrajem wybrzeża, widniejącym od strony Esmeraldy, była tak wielka, jak pół świata.

Signora Teresa, po chwili znaczącego milczenia, odezwała się z wymówką:

— Ej, Giorgio, pozostaw ty Cavoura w spokoju i pomyśl, że zaprzepaściliśmy się w tym kraju z dwojgiem dzieci, ponieważ nie możesz pogodzić się z rządami królewskiemi.

Patrząc na niego, podnosiła chwilami śpiesznie rękę ku sercu, lekkie drżenie jawiło się na jej wdzięcznych ustach i marszczyły się jej proste, czarne brwi, jakgdyby mgnienie cierpkiej męki, czy cierpkiej myśli przebiegało po jej regularnych, pięknych rysach.

Była to męka; zdołała jednak powściągnąć drżenie ust. Pojawiło się ono u niej po raz pierwszy w parę lat po wyjeździe z Włoch, kiedy wyemigrowali do Ameryki i osiedlili się ostatecznie w Sulaco. Tułali się przedtem po różnych miastach, próbowali zakładać sklepiki, a raz jęli się nawet rybołówstwa — było to w Maldonaldo — bowiem Giorgio, podobnie jak wielki Garibaldi, był ongi marynarzem.

Niekiedy niecierpliwiła ją ta męka. Trawiła ją całemi latami, weszła w skład krajobrazu, utworzonego z migotania przystani i rozokolonych nad nią, lesistych przylądków. Nawet blask słoneczny był ciężki i posępny — ciężki od męki — niepodobny do słońca

jej lat dziewczęcych, kiedy Giorgio, który był podówczas w średnim wieku, poprzysiągł jej statecznie i namiętnie miłość na wybrzeżach zatoki w Spezzii.

— Wracaj zaraz do domu, Giorgio! — rzekła rozkazująco. — Mogliby sobie ludzie pomyśleć, że nie masz litości nade mną. Pamiętaj, że mamy w domu czterech *signori Inglesi.*

— *Va bene, va bene!* — zamamrotał Giorgio.

Usłuchał. Niechaj *signori Inglesi* przychodzą upominać się o obiad. Toć on należał kiedyś do tego nieśmiertelnego i niezwyciężonego zastępu wyzwolicieli, przed którym najemnicy tyranji pierzchali niby plewa przed huraganem, *un uragano terribile.* Coprawda, nie był wtedy żonaty i nie miał dzieci; a tyranja nie zdążyła jeszcze podnieść na nowo głowy śród zdrajców, co uwięzili Garibaldiego, jego bohatera.

Dom miał troje drzwi od frontu. Po południu zwykł był stawać *garibaldino* na którymś z swych progów; widniała biel jego gęstej czupryny; ramiona miał założone, nogi skrzyżowane, lwią głowę, opartą o odźwierek i wzrok utkwiony w lesiste upłazy, staczające się od podnóży śnieżnego tumu Higueroty. Od domu padał czarny, długi prostokąt cienia, roztaczający się zwolna na nikłe koleiny, wyżłobione przez zaprzęgnięte wołami wozy. Poprzez otwory, wyrąbane w zaroślach oleandrowych, bocznica kolejowa, położona tymczasowo na poziomie płaszczyzny, wiła się ku portowi połyskliwą krzywizną swych równoległych wstęg, przebiegających o jakie sześćdziesiąt jardów od narożnika domu. Wieczorem pociągi pustych, płaskich wagonów kolejowych okrążyły ciemnozielone gaje Sulaca; toczyły się po równinie kołysząc się zlekka i wyrzucając białe kłęby pary, mijały *Casę Viola* i po-

dążały dalej do warsztatów kolejowych u przystani. Konduktorzy włoscy pozdrawiali go z platform skinieniem ręki, natomiast palacze murzyńscy siedzieli niedbale na tendrach, patrząc wprost przed siebie, a kresy ich wielkich kapeluszy trzepotały na wietrze. Giorgio wywzajemniał się lekkiem kiwnięciem głowy, lecz nie rozplatał skrzyżowanych ramion.

Owego pamiętnego dnia rozruchów ramiona jego nie spoczywały na piersiach. Dzierżył w dłoni lufę strzelby, opartej na progu. Nie spojrzał nawet na biały tum Higueroty, której chłodna czystość zdawała się unikać zetknięcia z rozpaloną ziemią. Rozglądał się z ciekawością po równinie. Długie pasma oparów słaniały się tu i owdzie. Na niepokalanem niebie widniało słońce, jasne i olśniewające. Gromadki ludzi biegły pośpiesznie; inne stały na miejscu; łoskot broni palnej docierał rozedrgany do jego uszu skroś pałającego, cichego powietrza. Niektóre postaci piesze uciekały rozpaczliwie. Jeźdźcy uderzali na siebie, kłębili się i rozpierzchali w okamgnieniu. Giorgio widział, jak ktoś upadł; jeździec i koń zniknęli, niby pochłonięci przez jakąś czeluść, a mgnienia tej burzliwej sceny były jakby szczegółami zapamiętałego turnieju, co odbywał się na równinie między karłami pieszymi i konnymi, dobywającymi z swych wątłych krtani wrzaskliwych głosów u podnóża góry, wyglądającej niby olbrzymie wcielenie milczenia. Nigdy jeszcze nie widział Giorgio na tym spłachciu równiny takiego wrącego życia; nie mógł ogarnąć spojrzeniem wszystkich naraz szczegółów; przysłonił oczy ręką, lecz drgnął tejże samej chwili, gdyż nagle tętent wielu kopyt końskich zagrzmiał tuż koło niego.

Stado koni wybiegło z ogrodzeń Towarzystwa Kole-

jowego. Gnały jak wicher. Chrapiąc, wierzgając i kwicząc, runęły przez tor kolejowy pstrą ławą, zwichrzoną tłuszczą kasztanowatych, karych i siwych grzbietów, pałających ślepi, wyciągniętych szyi, czerwonych nozdrzy i długich, pręgowanych ogonów. Skoro tylko wpadły na drogę, gęsty kurz wzbił się z pod ich kopyt i na sześć jardów od Giorgia przemknął jakby brunatny obłok majaczących niewyraźnie karków i zadów, ale od tego obłoku zadrgała ziemia.

Viola zakaszlał, odwracając się twarzą od kurzu i potrząsając zlekka głową.

— Będą musieli pomyśleć o połapaniu tych koni przed wieczorem.

W czworoboku blasków słonecznych, napływających przez drzwi, *signora* Teresa uklękła przed krzesłem i pochyliła w dłonie swą głowę, ciężką od hebanowych splotów, przetkanych już srebrem. Czarny szal, którym zwykła była osłaniać twarz, obsunął się na podłogę. Dziewczynki powstały, trzymając się za ręce. Były obie w krótkich spódniczkach i miały rozpuszczone bezładnie włosy. Młodsza przysłaniała ramieniem oczy, jakgdyby lękała się spojrzeć w światło. Linda, trzymając rękę na jej ramieniu, spoglądała śmiało. Viola rzucił okiem na dzieci.

Słońce uwydatniło głębokie brózdy na jego twarzy. Miała wyraz energiczny i nieruchomość posągu. Niepodobna było odgadnąć jego myśli. Krzaczaste, siwe brwi przysłaniały posępne jego oczy.

— No, a wy się nie modlicie, jak wasza matka?

Linda wydęła swe czerwone usteczka, pałające niemal aż nadmierną czerwienią. Miała zato przedziwne oczy, ciemne, ze złotemi iskrami w źrenicach, pełne uczucia i myśli i tak promieniste, iż zdawały się rzucać swą

poświetl na jej szczupłą, anemiczną twarzyczkę. Bronzowe połyski migotały na czarnej gęstwie jej włosów, a długie, krucze rzęsy pogłębiały jeszcze bladość jej cery.

— Mama zamierza ofiarować świece do kościoła. Czyni to zawsze, ilekroć Nostromo walczy. Ja mam zanieść kilka do kaplicy Madonny w katedrze.

Powiedziała to prędko, z wielką pewnością siebie, podnieconym i przenikliwym głosem. Poczem, uderzając zlekka siostrę po ramieniu, dodała:

— A ona będzie musiała także zanieść jedną!

— Dlaczegoby musiała? — spytał Giorgio poważnie. — Czyż nie ma ochoty?

— Jest nieśmiała — rzekła Linda, parskając uśmieszkiem. — Ludzie zwracają uwagę na jej piękne włosy, gdy wyjdzie z nami. Wołają za nią: „Idzie *Rubia!*[1]). Patrzcie, idzie *Rubiacita!*“ Tak za nią wołają po ulicach. Nie ma śmiałości do ludzi.

— A ty? Ty przecież nie jesteś nieśmiała — co? — odezwał się ojciec zwolna.

Odrzuciła wtył gęstwę swych ciemnych włosów.

— Nikt za mną nie woła.

Stary Giorgio spoglądał na swe dzieci zamyślony. Było między niemi dwa lata różnicy. Przyszły na świat późno, w kilka lat po śmierci syna. Gdyby ten chłopiec żył, byłby już niemal w wieku Gian' Battisty — którego Anglicy nazywali Nostromem. Córkami zajmował się mało, gdyż nie pozwalała mu na to surowość jego usposobienia, podeszły wiek i pogrążenie się w swych wspomnieniach. Kochał swe dzieci, lecz dziewczęta należą raczej do matki, a przytem uczucia jego znajdowały ujście we wzniosłej służbie wolności.

---

[1]) Miedzianowłosa.

Będąc jeszcze młodym chłopcem, zbiegł z kupieckiego okrętu, co krążył po La Plata, by zaciągnąć się do marynarki w Montevideo, pozostającej wówczas pod wodzą Garibaldiego. Później, walcząc w republikańskim legjonie włoskim przeciw rozpanoszonej tyranji Rosasa, na niezmierzonych płaszczyznach i na ostrowach olbrzymich rzek, brał udział w najzuchwalszych może bojach, jakie kiedykolwiek toczyły się na świecie. Żył śród ludzi, co głosili wolność, cierpieli za wolność, umierali za wolność z rozpaczliwą wzniosłością ducha, zwracając oczy ku uciśnionej Italji.

Entuzjazm jego miał swe źródło w obrazach rzezi, w przykładach szczytnego poświęcenia, w rozhuku bitew, w płomienistym patosie proklamacyj. Nie odstępował nigdy wybranego przez siebie wodza — dumnego zwiastuna niepodległości — wytrwał przy nim w Ameryce i we Włoszech, aż do owego fatalnego dnia, po bitwie pod Aspromonte, kiedy zdrada królów, cesarzy i ministrów objawiła się światu, wtrącając do więzienia rannego bohatera. Katastrofa ta rozniecila w nim głuchą wątpliwość, czy kiedykolwiek zdoła pojąć drogi sprawiedliwości Boskiej.

Mimo to jej nie przeczył. Zwykł był mawiać, że wymaga ona cierpliwości. Aczkolwiek nie lubił księży i za nic w świecie nie byłby przestąpił progu kościoła, mimo to wierzył w Boga. Czyliż proklamacje przeciw tyranom nie zwracały się do ludów w imieniu Boga. i wolności? „Bóg dla mężczyzn — religje dla kobiet", mruczał niekiedy. Na Sycylji pewien Anglik, który powrócił do Palermo po opuszczeniu tego miasta przez armję królewską, dał mu Biblję w przekładzie włoskim, wydaną przez Brytyjskie Towarzystwo Biblijne. Była to księga, oprawna w ciemnę skórę. W okresach

przeciwności politycznych, kiedy rewolucjoniści nie wydawali proklamacyj, Giorgio — czyto jako marynarz, czy jako robotnik w dokach genueńskich, czy wreszcie jako najemnik folwarczny śród wzgórz koło Spezzii — czerpał karm z tej pierwszej książki, która mu wpadła w ręce, poświęcając jej skąpe chwile, wolne od pracy. Zabierał ją ze sobą na pole bitew. Stanowiła ona obecnie jedyną jego lekturę. Nie chcąc obywać się bez niej (gdyż druk był drobny), zgodził się przyjąć oprawne w srebro okulary, które ofiarowała mu w darze *Seniora* Emilja Gould, żona Anglika, zawiadującego kopalniami srebra w górach, o trzy mile od miasta. Była to jedyna Angielka w Sulaco.

Giorgio poważał wielce Anglików. To uczucie, zrodzone na pobojowiskach Urugwaju, liczyło co najmniej czterdzieści lat. Wielu z nich przelało krew za sprawę wolności w Ameryce, zaś pierwszy, którego poznał, miał na imię Samuel. Dowodził on kompanją murzynów pod Garibaldim podczas słynnego oblężenia Montevideo i zginął wraz z swymi murzynami bohaterską śmiercią, przeprawiając się przez Boyanę. Giorgio dosłużył się stopnia chorążego — *alferez* — i gotował dla generała. Później, we Włoszech, mając już stopień porucznika, jeździł ze sztabem i był dalej kucharzem u generała. Gotował dlań podczas całej kampanji lombardzkiej; kiedy maszerowali na Rzym, pietrasił dlań w Kampanji wołowinę na sposób amerykański; odniósł ranę w obronie Rzeczypospolitej Rzymskiej; był jednym z owych czterech zbiegów, którzy wraz z generałem przenieśli z boru do włościańskiej zagrody dogorywającą małżonkę wodza; zmarła tam, wyczerpana trudami tego straszliwego odwrotu. Towarzysząc genera-

łowi, doczekał się w Palermo tej żałosnej chwili, kiedy bomby neapolitańskie jęły pękać nad miastem. Gotował dłań na polu bitwy pod Volturnem po całodziennej walce. I wszędy widywał Anglików w czołowych szeregach armji wolności. Cenił ten naród, gdyż kochali Garibaldiego. Utrzymywano, że ich najznakomitsze hrabianki i księżniczki całowały po rękach generała w Londynie. Wydawało się mu to wiarygodnem, gdyż naród ten był szlachetny, a człowiek poprostu święty. Dość było spojrzeć mu raz w oblicze, by dostrzec w nim nadludzką potęgę wiary, by pojąć jego bezmierne współczucie dla wszystkiego, co było biedne, cierpiące i uciśnione na tym świecie.

Duch zaparcia się, szczere poświęcenie się wielkiej idei ludzkości, właściwe myślom i dążeniom tej rewolucyjnej epoki, pozostawiły na Giorgiu swe znamię, a polegało ono na jakowejś cierpkiej pogardzie dla wszelkiej korzyści osobistej. Człowiek, którego pospólstwo ze Sulaca podejrzewało, iż posiada skarby, zakopane w kuchni, przez całe swe życie gardził pieniądzmi. Mistrzowie jego młodości żyli biedni i umierali biedni. Stało się to nawykiem jego umysłu, iż nie dbał o jutro. Nawyk ten wyniknął poczęści z życia, pełnego podniet, przygód i dzikiej, żołnierskiej doli. Ale w przeważnej mierze pochodził z zasady. Nie przypominał beztroski *kondotjera*, lecz był purytanizmem życiowym, poczętym z surowego entuzjazmu na podobieństwo purytanizmu religijnego.

To surowe oddanie się sprawie zasępiło starość Giorgia. Zasępiło ją, gdyż sprawa wydawała się zgubioną. Zbyt wielu jeszcze królów i cesarzy pleniło się na świecie, który Bóg przeznaczył dla ludu. Smuciła go własna prostoduszność. Aczkolwiek nie szczędził

pomocy swym ziomkom i wszędzie, gdzie przebywał (na wygnaniu, jak się wyrażał), wielce był poważany przez wychodźców włoskich, to jednak nie skrywał przed sobą, iż nie troszczyli się oni zgoła o krzywdy uciemiężonych narodów. Przysłuchiwali się wprawdzie chętnie jego gawędom żołnierskim, lecz wyglądali, jakgdyby na myśl przychodziło im pytanie, co też on na tem zyskał. A dostrzec niczego nie mogli. „Nie upominaliśmy się o nic; cierpieliśmy, bośmy kochali ludzkość!“ krzyczał niekiedy namiętnie, a gromowy głos, płomieniste źrenice, rozwiana biała grzywa i czarna, żylasta ręka, wzniesiona wgórę, jakby wzywała Boga na świadka, wstrząsały duszami słuchaczy. Kiedy zaś starzec urywał nagle, potrząsając głową i ręką, jakgdyby chciał rzec: „Czy to nie szkoda do was o tem mówić?“ poszturchiwali się wzajemnie. Bo też posiadał stary Giorgio potęgę uczucia, urok głębokiego przeświadczenia, coś, co uważali za *terribilità* — i dlatego nazywali go zazwyczaj „starym lwem“ Drobny jakiś wypadek lub odniechcenia rzucone słowo, skłaniały go do zabrania głosu; przemawiał na wybrzeżu morskiem w Maldonaldo do rybaków włoskich i we własnym sklepiku, w Valparaiso, do swych rodaków. Zdarzało się również, iż wieczorem wybuchał nagle w kawiarni, co znajdowała się na jednym krańcu *Casy Viola* (gdyż drugi był przeznaczony dla inżynierów angielskich), mając przed sobą doborową klientelę, złożoną z maszynistów i majstrów z warsztatów kolejowych.

Ludzie ci o szlachetnych, bronzowych, szczupłych obliczach, o czarnych, lśniących kędziorach, gorejących oczach i szerokich barach, brodaci, niekiedy z niewielkiemi, złotemi kolczykami w uszach — tworzyli ary-

stokrację wśród robotników kolejowych i słuchali go, odwracając się od kart lub domina. Ten i ów Baskijczyk przyglądał się tymczasem swym rękom, czekając cierpliwie. Żaden Costaguańczyk nie naprzykrzał się. Była to warownia włoska. Nawet konni policjanci ze Sulaca, patrolujący nocami, mijali ją pobłażliwie, pochylając się tylko w siodłach, by rzucić przez okno okiem na głowy, majaczące w obłokach dymu, a gromki patos opowieści starego Giorgia zdawał się słaniać za nimi po równinie. Jeno pomocnik naczelnika policji, niewielki, śniady człowieczek, o szerokiej twarzy i dużej domieszce krwi indyjskiej w żyłach, uważał za właściwe ukazać się niekiedy. Pozostawiając przed drzwiami konie pod opieką swego towarzysza, podchodził z czelnym, chytrym uśmieszkiem do długiego stołu. W milczeniu wskazywał na jedną z butelek, stojących na półce. Giorgio, włożywszy pośpiesznie fajkę do ust, obsługiwał go osobiście. Ciszę mącił tylko lekki brzęk ostróg. Wychyliwszy szklankę, rozglądał się nieskorym, badawczym wzrokiem po sali, wychodził na dwór i odjeżdżał bez pośpiechu, podążając zpowrotem ku miastu.

ROZDZIAŁ V.

Był to jedyny sposób, w jaki władze miejscowe dawały uczuć swe istnienie licznym gromadom krzepkich cudzoziemców, którzy kopali ziemię, rozsadzali skały i puszczali w ruch maszyny dla „postępowych i patrjotycznych celów“. Były to słowa, któremi przed półtora rokiem *Excellentissimo Senior, don* Vincente Ribiera, dyktator Costaguany, określił Narodową Kolej Centralną, wygłaszając wielką mowę przy rozpoczęciu robót ziemnych.

Przybył umyślnie do Sulaca. Ukończywszy swe czynności urzędowe na wybrzeżu, o godzinie pierwszej wziął udział w uroczystym obiedzie, który dla zaproszonych gości wydało na pokładzie *Junony* Towarzystwo Oceanicznej Żeglugi Parowej. Kapitan Mitschell własnoręcznie sterował statkiem przewozowym, suto przystrojonym flagami, który, holowany przez łódź parową *Junony*, przewiózł *Excellentissima* z pomostu portowego na okręt.

Zaproszono wszystkie wybitniejsze osobistości ze Sulaca — jednego czy dwu kupców cudzoziemskich, wszystkich przedstawicieli starych rodów hiszpańskich, przebywających podówczas w mieście, wielkich właścicieli ziemskich z równin, poważnych, wytwornych, prosto-

dusznych *caballeros* czystej krwi, co mieli małe ręce i nogi, byli konserwatywni, gościnni i uprzejmi. Prowincja Zachodnia stanowiła ich twierdzę. Stronnictwo ich, *blancos*, obecnie triumfowało. Z ich grona wyszedł prezydent-dyktator, *Blanco*, jako i oni. Siedział on obecnie między dwoma przedstawicielami zaprzyaźnionych mocarstw cudzoziemskich, uśmiechając się jgrzecznie. Przybyli wraz z nim ze S-ta Marta, by swą obecnością dodać znaczenia przedsiębiorstwu, w którem brał udział kapitał, pochodzący z ich ojczystych krajów.

Jedyną kobietą w tem towarzystwie była Mrs. Gould, żona Dona Carlosa, zawiadowcy kopalni srebra, San Tomé. Panie ze Sulaca nie były jeszcze dostatecznie przygotowane, by mogły uczestniczyć w życiu publicznem, tak bardzo rozwiniętem. Pojawiły się wprawdzie licznie ubiegłego wieczora na wielkim balu w *Intendencii*, ale obecnie tylko Mrs. Gould odrzynała się jasną plamą na tle czarnych strojów męskich, widniejących za prezydentem-dyktatorem, na pokrytem szkarłatnem suknem podwyższeniu, wzniesionem w cieniu drzewa na brzegu przystani, gdzie miała się odbyć uroczystość odwalenia pierwszej bryły ziemi. Przybyła statkiem przewozowym, pełnym dostojników i szeleszczącym radośnie flagami, siedząc na honorowem miejscu, obok sterującego kapitana Mitschella, a jej jasna suknia była jedyną oznaką uroczystego nastroju śród ciemnych postaci, co zapełniły podłużny, okazały salon *Junony*.

Głowa prezesa nadzorczej rady kolejowej (z Londynu), kształtna i blada, w srebrzystej omgle białych włosów i przyciętej w klin brody, słaniała się opodal jej ramienia, baczna, uśmiechnięta i znużona. Podróż z Londynu do S-ta Marta statkami pocztowemi, póź-

niej zaś wagonami salonowemi na linji pobrzeżnej S-ta Marta (jedyna to kolej, która dochodzi tak daleko), była znośna — nawet przyjemna — wcale znośna. Natomiast mniej miła była przeprawa przez góry do Sulaca w staroświeckiej *diligencii* [1]), po karkołomnych drogach, wijących się skrajem zawrotnych przepaści.

— Dwa razy jednego i tego samego dnia znajdowaliśmy się tuż na krawędzi istnych bezdni — opowiadał półgłosem Mr. Gould. — A gdyśmy wreszcie tu przyjechali, nie wiem, co byłbym począł bez gościnności państwa! Jakiż zapadły kąt to Sulaco! Jak na miasto portowe — wprost zdumiewający!

— My natomiast jesteśmy z niego bardzo dumni. Posiadało zawsze niemałe znaczenie historyczne. W dawnych czasach było siedzibą najwyższego dostojeństwa kościelnego, rozpościerającego swą władzę na dwa wicekrólestwa — wyłuszczała mu z ożywieniem.

— To nie jest bez znaczenia. Nie zamierzałem bynajmniej ubliżać. Pani, jak sądzę, jest gorącą patrjotką.

— Miejscowość jest miła, chociażby tylko dzięki swojemu położeniu. A pan może nie wie, że przebywam tu już oddawna.

— Oddawna? To mnie dziwi — mowił przyciszonym głosem, spoglądając na nią z lekkim uśmiechem. — Nie możemy tu wskrzesić dostojeństwa kościelnego, lecz zato będziecie mieli więcej parowców, kolej i kabel telegraficzny. To przyszłość w wielkim świecie, nieporównanie więcej warta od wszelkiej chwały kościelnej przeszłości. Zetkniecie się państwo z czemś większem od dwu wicekrólestw. Nie wyobrażałem sobie, żeby miejscowość pobrzeżna mogła być tak od-

---

[1]) Dyliżans.

cięta od świata. Gdyby nawet znajdowała się na jakie tysiąc mil w głębi lądu — byłaby już osobliwością. Czy stało się tu cokolwiek w ostatniem stuleciu?

Mówił to przeciągłym, humorystycznym tonem, na który odpowiedziała z lekkim uśmieszkiem. Rozwodząc się ironicznie na jego sposób, zapewniała, że napewno nigdy nie zdarzyło się nic w Sulaco. Nawet rewolucje, których było aż dwie za jej czasów, uszanowały spokój tego miasta. Odbywały się one na gęściej zaludnionych, południowych połaciach Rzeczypospolitej oraz w wielkiej dolinie S-ta Marta, co była istotnem pobojowiskiem stronnictw. W zdobyczy dostawała się im stolica i dostęp do drugiego oceanu. To też tam znać było postęp. Do Sulaca docierały tylko echa tych wielkich zagadnień i zmieniali się oczywiście za każdym razem przedstawiciele władzy, przedostając się przez zawory górskie tą samą drogą, którą on odbył w staroświeckiej *diligencii*, narażając swe życie i całość swych członków.

Prezes kolei korzystał z jej gościnności przez kilka dni i był za nią naprawdę wdzięczny. Skoro tylko wyjechał z S-ta Marta, postradał natychmiast poczucie europejskiego trybu życia śród egzotycznych krain. W stolicy był gościem poselstwa i prowadził układy z członkami rządu Dona Vincente — światłymi ludźmi, którym sposoby cywilizowanego załatwiania interesów zgoła nie były obce.

Obecnie obchodziła go najwięcej sprawa nabycia ziemi pod kolej. W dolinie S-ta Marta, gdzie już istniała jedna linja kolejowa, ludność była skłonna do układów i chodziło tylko o cenę. Ustanowiono komisję szacunkową i wszelkie spory poddawano wytrawnemu orzecznictwu komisarzy. Ale w Sulaco — chociaż

głównie dla rozwoju Prowincji Zachodniej zamierzano budować tę kolej — wyłoniły się trudności. Prowincja ta, chroniona przez wieki swemi zaporami naturalnemi, odtrącała przedsiębiorczość nowoczesną krzesanicami swych łańcuchów górskich, płytkością portu, otwierającego się na wiekuiste cisze chmurnej zatoki i ciemnotą właścicieli żyznych ziem. Wszystkie te arystokratyczne, stare rody hiszpańskie, wszyscy ci Donowie Ambrosiowie, wszyscy ci Donowie Fernandowie zdawali się zapatrywać niechętnie i nieufnie na przeprowadzenie kolei przez ich włości. Zdarzało się, iż komisje, rozesłane po całej prowincji dla zbadania stanu rzeczy, otrzymywały ostrzeżenia, że mogą narazić się na zniewagi czynne. Gdzie indziej znów wyśrubowywano niesłychanie ceny. Ale potentat kolejowy chełpił się, iż sprosta wszelkim trudnościom. Spotkawszy się w Sulaco z niechęcią zaślepionego konserwatyzmu, zamierzał uczucie złagodzić uczuciem i dopiero w ostateczności oprzeć się tylko na swem prawie. Rząd był zobowiązany dotrzymać umowy z radą naczelną nowego towarzystwa kolejowego, nawet gdyby mu wypadło użyć siły. Lecz on bynajmniej nie życzył sobie zbrojnych zatargów w pokojowem przeprowadzaniu swych planów. Były zbyt wielkie, zbyt sięgające w przyszłość i zbyt obiecujące, żeby wszystko miało pozostać po dawnemu; zamierzał tedy skłonić prezydenta-dyktatora do całego szeregu uroczystości i przemówień, których uwieńczeniem byłoby wielkie zadanie odwalenia pierwszej bryły ziemi na brzegu przystani. Bo też ten Don Vincente był poprostu ich tworem. Przedstawiał ucieleśnienie triumfu najlepszych żywiołów w państwie. To były fakta, a ponieważ fakta są wszystkiem, przeto Sir John wywnioskował,

iż wpływ takiego człowieka musi być istotnym i że jego wpływ osobisty wywoła następstwa pojednawcze, o które mu chodziło. Udało się mu załatwić to wszystko przy pomocy bardzo rzutkiego adwokata, który był znany w S-ta Marta jako doradca prawny gouldowskich kopalń srebra, największego przedsiębiorstwa w Sulaco, a nawet w całej Rzeczypospolitej. Jakoż była to istotnie nadzwyczaj bogata kopalnia. Jej tak zwany doradca prawny był widocznie człowiekiem zdolnym i kulturalnym, gdyż, nie piastując stanowiska urzędowego, posiadał mimo to nadzwyczajne wpływy śród najwyższych sfer rządowych. Był w możności zapewnić Sira Johna, iż prezydent-dyktator uda się w tę podróż. W toku jednakże tejże samej rozmowy wyraził ubolewanie, iż generał Montero pragnie również w niej mu towarzyszyć.

Generał Montero, który w pierwszym okresie wojny był skromnym kapitanem, pełniącym służbę na dzikiej, wschodniej granicy państwa, związał swe losy ze stronnictwem Ribiery, w chwili, kiedy wyjątkowe okoliczności nadały temu podrzędnemu przystąpieniu znaczenie wyjątkowe. Szczęście wojenne służyło mu przedziwnie, a zwycięstwo nad Rio Seco (po całodziennej, rozpaczliwej walce) przypieczętowało jego powodzenie. Ostatecznie wypłynął jako generał, minister wojny i wojskowy przewódca stronnictwa białych, aczkolwiek bynajmniej nie mógł się poszczycić pochodzeniem arystokratycznem. Podobno nim i jego bratem zaopiekował się w sieroctwie szczodrobliwy i słynny podróżnik europejski, w którego służbie ich ojciec postradał życie. Inna pogłoska utrzymywała, iż ich ojciec zajmował się wypalaniem węgla w borach, a ich matka była ochrzczoną Indjanką, pochodzącą z głębi kraju.

Bądź co bądź, dzienniki costaguańskie, opisując, jak Montero na samym początku wojny przedzierał się ze swej *commandancii* przez lasy, by połączyć się z wojskami *blanców*, wyrażały się, iż „był to najheroiczniejszy czyn militarny nowszych czasów“. Mniej więcej w tym samym czasie powrócił z Europy jego brat, który wyjechał tam rzekomo jako sekretarz któregoś konsula. Zebrawszy niewielki oddział opryszków, okazał na czele tej *guerilli* niejakie zdolności i kiedy nastąpiło uspokojenie, otrzymał w nagrodę stopień wojskowego komendanta stolicy.

Minister wojny towarzyszył zatem dyktatorowi. Zarząd T. O. Z. P., działając ręka w rękę z władzami kolejowemi dla dobra Rzeczypospolitej, skorzystał z tej ważnej okoliczności i polecił kapitanowi Mitschellowi, aby statek pocztowy *Juno*, oddano do rozporządzenia dostojnych gości. Don Vincente wyjechał z S-ta Marta w kierunku południowym, wsiadł na okręt w Cayta, głównym porcie costaguańskim, i przyjechał do Sulaca morzem. Natomiast prezes towarzystwa kolejowego pojechał śmiało przez góry w rozklekotanej *diligencii* przedewszystkiem dlatego, żeby się zobaczyć z inżynierem naczelnym, któremu powierzono główny nadzór nad trasą kolejową.

Pomimo obojętności, jaką ludzie interesów zwykli okazywać przyrodzie, której wrogość da się zawsze poskromić przy pomocy pieniędzy, nie mógł oprzeć się wrażeniu otoczenia podczas postoju w obozowisku strażniczem, rozbitem na najwyższem wzniesieniu, przez które miała przechodzić kolej. Spędził tam noc, przybył jednakże już za późno, by widzieć żarze słoneczne, dogasające na śnieżnych stokach Higueroty. Kolumnowe zwały czarnego bazaltu obramiały na podobień-

stwo otwartego portyku część białej płaszczyzny, obniżającej się ku zachodowi. W przejrzystem powietrzu wyniosłej wyżyny wszystko wydawało się bardzo bliskiem i ponurzonem w jasnej ciszy, niby w nieważkim płynie. Nadsłuchując turkotu zapowiedzianej *diligencii*, inżynier naczelny stał przed chatą, zbudowaną z dzikiego kamienia, i przyglądał się zmiennym barwom, pałającym na ogromnych zboczach górskich, myśląc, iż w widoku tym, niby w jakimś natchnionym utworze muzycznym, dopatrzeć się można najwyższej subtelności przyciszonego wyrazu i najpotężniejszej wspaniałości efektu.

Sir John przybył za późno, żeby mógł słyszeć szczytną i niedosłyszalną melodję, śpiewaną przez słońce śród wysokich krzesanic *Sierry*. Wyśpiewała się ona w głuchej chwili głębokiego zmierzchu, zanim zdążył zejść po przedniem kole z *diligencii*, rozprostować swe sztywne członki i uścisnąć dłoń inżynierowi.

Podano mu obiad w chacie z kamienia, podobnej do sześciennej kostki; miała ona wprawdzie dwa otwory, ale bez drzwi i okien. Przed chatą paliło się jasno ognisko z chróstu (przywiezionego na mule z dolin) i rzucało do wnętrza swe drżące poświaty. Dwie świece w cienkich lichtarzach — zapalone, jak mu wytłumaczono, ku jego czci — stały na czemś, co zastępowało stół obozowy. Usiadł przy nim po prawicy inżyniera naczelnego. Umiał być miłym. Obok niego zajęli miejsca młodzieńcy ze sztabu inżynierskiego, dla których nadzór nad trasą kolejową miał urok pierwszego kroku na drodze życia. Przysłuchiwali się skromnie, a na ich szczupłych twarzach, ogorzałych na wietrze, znać było niemałe zadowolenie, iż tak wielki człowiek okazuje im tyle uprzejmości.

Następnie późną już nocą wybrał się z naczelnym inżynierem na przechadzkę pod wolnem niebem i rozmawiał z nim długo. Znał go dobrze oddawna. Nie pierwsze było to przedsiębiorstwo, w którem pracowały zgodnie ich uzdolnienia, żywiołowo sprzeczne jak ogień i woda. Z zetknięcia tych dwu osobowości, wyposażonych odmiennym poglądem na świat, powstawała moc, oddana na usługi świata — subtelna siła, co umiała wprawiać w ruch potężne machiny i mięśnie ludzkie, a zarazem rozbudzała w duszach ludzkich nieokiełznane poświęcenie dla podjętego dzieła. Z owych młodzieńców, co siedzieli przy stole i dla których nadzór trasy był jakoby torowaniem drogi życia, niejednemu wypadło zejść z tego świata przed ukończeniem tej pracy. Ale praca winna się dokonać, a moc winna niemal dorównywać wierze. Niecałkiem coprawda. Śród ciszy uśpionego obozowiska, na zalanym poświatą miesięczną płaskowyżu, co tworzył szczyt przełęczy na podobieństwo posadzki wielkiego amfiteatru, otoczonego ścianami bazaltowych grani, zatrzymały się dwie błędne postacie, przyodziane w ciepłe płaszcze, i z ust inżyniera rozległy się dobitnie słowa:

— Gór przenieść nie zdołamy.

Sir John podniósł głowę, by spojrzeć we wskazanym kierunku, i w całej pełni zdał sobie sprawę ze znaczenia tych słów. Z mroków ziemi i skał wydźwigała się w jaśnię księżycową biała Higuerota nakształt zamarzniętej bańki mydlanej. Było cicho, gdy wtem w pobliskiem zagrodzeniu, zbudowanem naprędce z luźnego kamienia dla zwierząt pociągowych, juczny muł uderzył o ziemię kopytem i odezwał się dwukrotnie donośnym porykiem.

Słowa inżyniera naczelnego były odpowiedzią na

przypuszczenie prezesa, że może dałoby się zmienić kierunek linji kolejowej, zgodnie z życzeniami ziemian ze Sulaca. Zdaniem jego, upór ludzki był mniejszą przeszkodą. Zresztą, by go pokonać, mieli do rozporządzenia wielkie wpływy Charles'a Goulda, natomiast przebicie tunelu pod Higuerotą było przedsięwzięciem wprost niesłychanem.

— Ach, tak! Gould. Co to za człowiek?

Sir John słyszał już dużo o Charles'ie Gouldzie w S-ta Marta, lecz pragnął się dowiedzieć jeszcze więcej. Inżynier naczelny zapewnił go, iż zawiadowca kopalni San Tomé posiada ogromne wpływy śród tych *donów* hiszpańskich. Dom jego należy do najprzyzwoitszych w Sulaco, a gościnność Goulda jest wyższa nad wszelkie pochwały.

— Przyjęli mnie, jakby mnie znali od niepamiętnych czasów — opowiadał. — Pani jest uosobieniem dobroci. Mieszkałem u nich z miesiąc. Dopomógł mi zorganizować służbę nadzorczą. Dzięki faktycznemu posiadaniu kopalń srebra San Tomé zajmuje wyjątkowe stanowisko. Znajduje posłuch u wszystkich powag prowincjonalnych, a wszystkich *hidalgów*, jak już powiedziałem, może sobie owinąć dokoła małego palca. Jeśli pan usłucha jego wskazówek, trudności znikną, gdyż on potrzebuje kolei. Oczywiście, musi się pan liczyć z każdem swem słowem. Jest Anglikiem, jak się zdaje, ogromnie bogatym. Firma Holroyd jest jego wspólniczką w tem przedsiębiorstwie, więc może pan sobie wyobrazić...

Przerwał, gdyż od jednego z niewielkich ognisk, palących się pod niską ścianą zagrodzenia, podniosła się postać człowieka, otulonego w *poncho* po samą szyję. Siodło, które służyło mu za wezgłowie, znaczyło

się na ziemi ciemną plamą w czerwonej poświacie żaru.

— Zobaczę się z Holroydem, przejeżdżając zpowrotem przez Stany Zjednoczone — rzekł Sir John. — Jestem przekonany, że on również potrzebuje kolei.

Człowiek, któremu zamąciły spokój zbliżające się głosy, podniósł się z ziemi, by zapalić papierosa. W płomyku zapałki mignęła jego bronzowa twarz o czarnym zaroście i nieulęknione źrenice. Poprawiwszy na sobie płaszcza, legł znowu jak długi na ziemi i oparł głowę na siodle.

— To zawiadowca naszego obozu, którego będę musiał odesłać do Sulaca, gdyż mamy zamiar przystąpić teraz do zbadania stanu robót w dolinie S-ta Marta — odezwał się znów inżynier. — Nader pożyteczny człowiek. Pożyczył mi go kapitan Mitschell z T. O. Ż. P. Było to z jego strony wielką uczynnością. Charles Gould powiedział mi, iż najlepiej zrobię, jeśli z niej skorzystam. Daje on sobie rady z tymi mulnikami i *peonami*. Nie mamy zgoła kłopotów z naszymi ludźmi. Odprowadzi prosto do Sulaca pańską *diligencię*, a będzie miał do pomocy kilku naszych *peonów* kolejowych. Droga jest kiepska. Oszczędzi panu niejednej niemiłej niespodzianki. Obiecał mi, że przez całą drogę będzie dbał o pana, jak o własnego ojca.

Owym zawiadowcą obozu był marynarz włoski, którego wszyscy Europejczycy ze Sulaca, naśladując błędną wymowę kapitana Mitschella, mieli zwyczaj nazywać Nostromem. Jakoż istotnie wywiązał się znakomicie ze swego zadania, zwłaszcza w tych miejscach, gdzie droga była gorsza, i zasłużył na uznanie, którego później nie skąpił mu Sir John, rozmawiając o nim z Mrs. Gould.

ROZDZIAŁ VI.

Nostromo już od dość dawna przebywał w kraju, by wznieść się na najwyższy szczebel w opinji kapitana Mitschella, przeświadczonego o niesłychanej wartości swego odkrycia. Jużcić był on jednym z tych nieocenionych podwładnych, których posiadanie daje wszelkie prawa do dumy.

Kapitan Mitschell chełpił się ze swej przenikliwości w stosunku do ludzi, ale nie był samolubny — i na tle niewinnej jego pychy jęła już rozwijać się manja „wypożyczania mego *Capataza de Cargadores*“, co zczasem doprowadziło Nostroma do osobistego zetknięcia się ze wszystkimi Europejczykami w Sulaco, jako jakiegoś wszechstronnego *factotum* — istnego dziwu sprawności we właściwym mu zakresie życia.

„Ten człowiek jest mi oddany ciałem i duszą!“ zwykł był powtarzać kapitan Mitschell i chociaż nikt nie mógłby zapewne wytłumaczyć, jak to się stało, to jednak przyglądając się ich wzajemnym stosunkom, niepodobna było zaprzeczyć temu twierdzeniu, chyba że ktoś miał tak przykre i dziwaczne usposobienie, jak naprzykład dr. Monygham — którego krótki, beznadziejny śmiech brzmiał jakby bezgraniczną niewiarą w człowieczeństwo. Ten dr. Monygham nie

był, coprawda, arcywzorem ani wesołości ani wielomówności. Milczał zawzięcie w swych najlepszych chwilach, natomiast w swych najgorszych bywał postrachem dla wszystkich z powodu swego nieskrywanego szyderstwa. Jedynie Mrs. Gould zdolna była utrzymać w karbach jego niewiarę w pobudki ludzkie. Ale i do niej (zresztą nie z powodu Nostroma i to w tonie, który, jak na niego, był łagodny), nawet do niej powiedział pewnego razu: „Jest poprostu niedorzecznością domagać się, aby człowiek lepiej myślał o innych, aniżeli potrafi myśleć o samym sobie“.

Mrs. Gould zmieniła pośpiesznie przedmiot rozmowy. Dziwne pogłoski krążyły o tym angielskim lekarzu. Szeptano sobie na ucho, iż przed laty, jeszcze za czasów Guzmana Benty, był wmieszany w jakiś spisek, który skutkiem zdrady wyszedł najaw i, jak utrzymywano, został utopiony we krwi. Posiwiał, a jego wygolona twarz przybrała barwę cegły. Jego flanelowa koszula w wielkie, pstre kraty i jego stary, brudny kapelusz „panama“ pozostawały w nieustannej rozterce z wymaganiami towarzyskiemi, przyjętemi w Sulaco. Gdyby nie wyróżniał się niepokalaną czystością swej odzieży, mógłby był uchodzić za jednego z tych wykolejonych Europejczyków, którzy stanowią skazy na czcigodności kolonij cudzoziemskich niemal we wszystkich egzotycznych częściach świata. Młode dziewczęta, zdobiące kępami ładnych twarzyczek balkony domów, wznoszących się wzdłuż ulicy Konstytucji, ilekroć mijał je, kulejąc, z pochyloną głową, w krótkiej, płóciennej kurtce, wdzianej niedbale na kraciastą, flanelową koszulę, powiadały do siebie: „*Senior* doktór idzie zapewne z wizytą do Donii Emilji, bo włożył swą kurtkę“. Wniosek ten był słuszny, ale głębsze jego

znaczenie nie było dostępne dla ich dziewczęcych inteligencyj. Zresztą nie wysilały ich wcale, myśląc o doktorze. Był stary, brzydki, uczony — i trochę *loco* — warjat, a może nawet czarownik, jak go podejrzywało pospólstwo. Biała kurtka była istotnie ustępstwem, jakie czynił uszlachetniającemu wpływowi Mrs. Gould. Doktór, ze swym nawykiem do gorzkich, sceptycznych spostrzeżeń, nie miał innego sposobu okazania swej głębokiej czci dla charakteru kobiety, znanej w kraju jako angielska *Seniora*. Jakoż czynił swe hołdy nader poważnie, co nie było drobnostką przy jego usposobieniu. Mrs. Gould odczuwała to najzupełniej, ale nie przyszło jej nigdy na myśl, by zniewalać go do tych widocznych oznak poważania.

Jej starożytny dom hiszpański (jeden z najpiękniejszych w Sulaco) rozporządzał wszystkiemi drobnemi urokami istnienia. Obdzielała niemi z prostotą i wdziękiem, powodowana przenikliwem wyczuciem wartości. Posiadała niezwykły dar towarzyskości, który polega na subtelnych odcieniach zapominania o sobie oraz na zdolności zrozumienia wszystkiego. Charles Gould (rodzina Gouldów, osiedlona w Costaguanie od trzech pokoleń, zawsze pielgrzymowała do Anglji po wykształcenie i po żony) wyobrażał sobie, iż zakochał się w zdrowym rozsądku dziewczyny, nie różniącej się od innych ludzi; nie tłumaczyło to atoli w zupełności powodów, dlaczego, naprzykład, całe obozowisko strażnicze, począwszy od najmłodszego z młodzieży a skończywszy na dojrzałym jej zwierzchniku, szukało sposobności, by możliwie najczęściej zachodzić do domu Mrs. Gould, kiedy przebywała śród wysokich krzesanic *Sierry*. Gdyby jednak ktoś jej opowiedział, jaką wdzięcznością otoczona jest jej pamięć

na pograniczu śniegów powyżej Sulaca, byłaby się zaparła, jakoby cokolwiek uczyniła dla nich, uśmiechając się przyczem zlekka i otwierając szeroko swe zdumione, siwe oczy. W ostateczności posłużyłaby się swą bystrością i szukałaby wytłumaczenia: „To było dla tych chłopaków wielką niespodzianką, iż spotkali się z jakiem takiem przyjęciem. Zresztą zdaje mi się, że im jest tęskno. Mojem zdaniem, każdemu musi być nieco tęskno“.

Bolała ją zawsze tęsknota ludzka.

Urodzony, podobnie jak jego ojciec, w tym dalekim kraju, smukły i szczupły, o mocno ryżych wąsach, kształtnej brodzie, jasnoniebieskich oczach, kasztanowatych włosach i pociągłej, świeżej, różowej twarzy, Charles Gould wyglądał na cudzoziemca, co niedawno przybył z za morza. Dziad jego walczył za sprawę niepodległości pod Bolivarem w owym słynnym legjonie angielskim, któremu na pobojowisku pod Carabobo wielki wyzwoliciel dał zaszczytne miano zbawcy swej ojczyzny. W okresie federacji jeden z stryjów Charles'a Goulda został z wyboru prezydentem tejże samej prowincji Sulaca (która tworzyła podówczas państwo), lecz wnet potem postawiono go pod ścianę kościoła i rozstrzelano z rozkazu barbarzyńskiego generała unjonistów, Guzmana Benty. Był to ten sam Guzman Bento, który, zostawszy później prezydentem dożywotnim, zasłynął z swej bezlitosnej i krwawej tyranji, zaś szczytu swej haniebnej chwały dostąpił w ludowem podaniu o siejącym postrach upiorze, którego zewłok porwał djabeł z ceglanego grobowca, zbudowanego w nawie kościoła Wniebowstąpienia Panny Marji w Santa Marta. Przynajmniej w ten sposób tłumaczyli księża jego zniknięcie bosym tłumom, co

napływały, by zajrzeć ze zgrozą do wnętrza szpetnje, ceglanej wnęki, ziejącej przed wielkim ołtarzem.

Prócz stryja Charles'a Goulda skazał na śmierć potworny Guzman Bento jeszcze wiele innych osób. Wszystkie były w pewnej mierze męczennikami idei arystokratycznej, zwolennikami oligarchów ze Sulaca (wedle frazeologji z epoki Guzmana Benty). Ci rzekomi oligarchowie zwali się obecnie *blancos* i wyrzekli się idei federalistycznej. Nazwa ta obejmowała rody czystej krwi hiszpańskiej. Zaliczały one Charles'a do swego grona. Z takiemi tradycjami rodzinnemi niepodobna było być czyściejszym *costaguanerem* od Dona Carlosa Goulda; atoli wygląd jego był tak charakterystyczny, iż pospólstwo wciąż jeszcze nazywało go *Inglezem* — Anglikiem ze Sulaca. Wyglądał więcej na Anglika od co tylko dowiezionych żółtodzióbków, młodych inżynierów kolejowych, a nawet od figur ze scen myśliwskich, ilustrujących *Puncha*, który docierał do salonu jego żony w dwa miesiące po wyjściu z druku. Dziwiło to, iż mówił najzupełniej biegle po hiszpańsku (kastylijsku, jak wyrażają się krajowcy), a nawet miejscowem narzeczem indyjskiem. Nie miał nigdy angielskiego akcentu. A jednak w jego przodkach, tych costaguańskich Gouldach — bojownikach o wolność, odkrywcach, plantatorach kawy, kupcach i rewolucjonistach — było coś tak niezatartego, że on, w trzeciem pokoleniu jedyny ich spadkobierca, na lądzie, co posiada swoisty styl jazdy konnej, nawet na siodle był obrazem doskonałego Anglika. Nie jest to bynajmniej powiedziane w znaczeniu ironicznem, jak mówią *Llaneros* — ludzie z wielkich równin — którzy mniemają, że prócz nich niema nikogo, coby umiał siedzieć na koniu. Charles Gould — jeśli można

się posłużyć potocznym, górnolotnym zwrotem — jeździł konno jak centaur. Jazda konna nie była dla niego jakiemś ćwiczeniem popisowem; stanowiła wrodzoną właściwość, podobnie jak wszyscy ludzie, zdrowi na duszy i na ciele, mają zwyczaj chodzić na tylnych kończynach. A jednak kiedy jechał kłusem do kopalni, omijając wyboje, poczynione przez wozy, zaprzęgnięte w woły, w angielskiem ubraniu i na cudzoziemskiem siodle, wyglądał, jakby przybył co tylko do Costaguany na swym łagodnym, rączym *pasotrote* [1]) z jakichś łąk zielonych, rozpostartych na drugim krańcu świata.

Droga jego prowadziła zazwyczaj obok starodawnego, hiszpańskiego gościńca — *Camino Real*, jak mówi pospólstwo. Jest to z istnienia i nazwania jedyna pozostałość rządów królewskich, których stary Giorgio Viola nienawidził, chociaż nawet ich cień już oddawna pierzchł z kraju.

Coprawda należałoby jeszcze wspomnieć o wielkim posągu konnym Karola IV, piętrzącym się na tle drzew u wylotu *Alamedy* [2]). Ale chłopom z okolicy i żebrakom miejskim, wysypiającym się na jego stopniach, był on znany tylko pod nazwą Kamiennego Konia. Inni Carlosowie, co mijali go na lewo z szybkim tętentem kopyt po zrujnowanym bruku — zaś zwłaszcza Carlos Gould w swem angielskiem ubraniu — nie dostrajali się do jego epoki, ale byli nierównie więcej u siebie, niż królewski jeździec, co siedząc na swym rumaku śród uśpionych *leperów*, podnosił marmurowe ramię do marmurowej kresy wiejącego piórami kapelusza.

Uszkodzony przez czas posąg królewski, znierucho-

---

[1]) Kłusak. [2]) Promenada.

miały w geście pozdrowienia pod dłutem rzeźbiarza, zdawał się potajemnie stawić czoło politycznym zmianom, co pozbawiły go nawet imienia. Ale też i drugi jeździec, dobrze znany ludowi ze swej siły i zręczności, gdy siedział na kształtnym, karym koniu, nie zwykł nosić serca na dłoni. Umysł jego nie wychodził z równowagi stałej, jakgdyby pozostawał pod zaklęciem beznamiętnej niewzruszalności pojęć, które co do poprawności prywatnej i publicznej obowiązują w Europie. Przyjmował z jednakim spokojem rażącą niewłaściwość, z jaką panie z Sulaca pokrywały swe twarze pudrem perłowym tak obficie, iż wyglądały wkońcu niby białe odlewy gipsowe o pięknych, ognistych oczach — i osobliwsze plotkarstwo tego miasta i nieustanne zmiany polityczne, co rzekomo miały „zbawiać kraj“, a dla jego żony były niedorzeczną i krwiożerczą igraszką, pełną zbrodni i kradzieży, uprawianą ze straszliwą powagą przez zepsute dzieci. W pierwszych czasach swego pobytu w Costaguanie młoda cudzoziemka nieraz z rozpaczą załamywała ręce, iż nie jest zdolna spraw publicznych tego kraju brać tak poważnie, jakby może należało, sądząc po srogości metod politycznych, stosowanych w różnych okolicznościach. Wydawały się jej komedją naiwnych uroszczeń, w której, poza jej własnem oburzeniem i przerażeniem, nie było ani odrobiny szczerości. Charles słuchał jej z wielkim spokojem, podkręcał bujnego wąsa, ale nie chciał wdawać się w rozmowy o tych sprawach. Zdarzyło się jednak, iż raz rzekł łagodnie:

— Zapominasz, kochanie, że tu się urodziłem.

Usłyszawszy te proste słowa, umilkła, jakby pod wpływem nagłej rewelacji. Być może, iż to, że przy-

szedł na świat w tym kraju, stanowiło między nimi różnicę. Miała wielkie zaufanie do swego męża, prawie bezgraniczne. Od pierwszej chwili oddziałał na jej wyobraźnię tem, że był pozbawiony sentymentalizmu, a posiadał natomiast wielki spokój umysłu, co w jej pojmowaniu było oznaką doskonałej biegłości w sztuce życia. Don José Avellanos, ich sąsiad z naprzeciwka, mąż stanu, poeta, człowiek wielkiej kultury, który bywał przedstawicielem swej ojczyzny na różnych dworach europejskich (i doznał niewysłowionej poniewierki jako więzień polityczny za tyrańskich rządów Guzmana Benty), wyraził się raz w salonie Donii Emilji, iż Karlos kojarzy wszystkie angielskie właściwości charakteru ze szczerem, patrjotycznem uczuciem.

Mrs. Gould spojrzała na szczupłą, różową, ogorzałą twarz swego męża, ale nie dostrzegła najlżejszego drgnienia w jego rysach, aczkolwiek nie uszło zapewne jego uwagi to przeświadczenie o jego patrjotyzmie. Być może, iż co tylko zsiadł z konia, powróciwszy z kopalni; dość jeszcze był Anglikiem, by nie zwracać uwagi na najgorętszą porę dnia. Basilio, w białej, płóciennej liberji z czerwonemi wypustkami, pochylił się na chwilę do jego stóp, by zdjąć mu w *patio* ciężkie, niezdarne ostrogi. Poczem *Senior* administrator wszedł po schodach na galerję. Rzędy roślin doniczkowych, umieszczonych na balustradzie między kolumnami arkad, swemi liśćmi i kwiatami osłaniały *corrédor* od strony położonego poniżej czworoboku, którego wybrukowany przestwór jest właściwem ogniskiem rodzinnem domów południowo-amerykańskich, gdzie spokój życia domowego mierzy się zmiennością światła i cienia na płytach posadzki.

Senior Avellanos miał zwyczaj zachodzić niemal

codziennie o piątej po południu. Don José lubił pojawiać się na *patio* w porze, kiedy podawano herbatę, gdyż zwyczaje angielskie, panujące pod dachem *Donii* Emilji, przypominały mu pobyt w Londynie, gdy był ministrem pełnomocnym przy dworze królewskim. Herbaty nie lubił; oparłszy swe kształtne obuwie na podnóżku, kołysał się zazwyczaj w amerykańskim fotelu i mówił nieprzerwanie z pewną lubością krasomówczą, dziwną w jego wieku, nie wypuszczając ani na chwilę filiżanki z ręki. Włosy miał krótko przystrzyżone i zupełnie białe, oczy czarne jak węgiel.

Kiedy Charles Gould wchodził do sali, witał go tymczasowem skinięciem głowy i kończył zaczęty okres. Poczem odzywał się:

— Mój drogi Carlosie, znów przyjechałeś konno ze San Tomé, nie zważając na upał. Zawsze ta sama, iście angielska pracowitość. Cóż nam powiesz?

Rzekłszy to, wypijał filiżankę do dna jednym haustem. Czynności tej towarzyszył stale lekki wstrząs i głuche, mimowolne br-r-r, którego nigdy nie udawało się mu pokryć śpiesznym wykrzyknikiem: „Przewyborna!"

Następnie, oddawszy pustą filiżankę do rąk swego młodego przyjaciela, wyciągał się z uśmiechem i rozwodził się dalej nad patrjotycznem znaczeniem kopalni San Tomé, lubując się swą płynną wymową i bujając się w fotelu na biegunach, przywiezionym ze Stanów Zjednoczonych. Powała największego salonu w *Casa Gould* roztaczała swe biele wysoko nad jego głową. W ogromie jego karłowato przedstawiała się mieszanina ciężkich, szeroko rozpartych, krzeseł hiszpańskich z brunatnego drzewa, wybitych skórą, oraz mebli europejskich, niewielkich i wyścielanych w całości, co

wyglądały niby krępe potworki, wypchane stalowemi sprężynami i włosiem końskiem. Były tam pieścidełka, rozmieszczone na stolikach, zwierciadła, wpuszczone w ściany nad marmurowemi konsolami, kwadratowe płachty dywanów, rozpostartych pod dwiema grupami foteli, śród których miejsca naczelne zajmowały wygodne kanapy; na czerwonych płytach posadzki leżały tu i owdzie kilimy. Trzy okna, sięgające od sklepienia do samego dołu, wychodziły na balkon, ujęte w obramienia prostopadłych fałd ciemnych portjer. Staroświecka okazałość kryła się wśród czterech wysokich gładkich ścian, powleczonych subtelnem, różowem obiciem. Mrs. Gould, o małej główce i lśniących uplotach włosów, siedziała tam w obłoku koronek i muślinów przy misternym, mahoniowym stole i podobna była do czarodziejki, co słodyczą miłosnych napojów napełnia czary ze srebra i porcelany.

Mrs. Gould znała dzieje kopalni San Tomé. Za dawnych czasów pracowali w niej głównie niewolnicy, przynaglani biczem, a dobywanym z niej skarbom dorównywały wagą kości ludzkie. Wyginęły w niej przy pracy całe plemiona indyjskie. Następnie ją opuszczono, gdyż skutkiem prymitywnych metod górniczych przestała być zyskownem przedsiębiorstwem mimo całych gór trupów, rzucanych w jej czeluście. Poszła w zapomnienie. Odkryto ją na nowo po wojnie o niepodległość. Pewna spółka angielska uzyskała prawo eksploatacji i znalazła złoża tak bogate, iż ani zdzierstwa zmieniających się kolejno rządów ani przemoc, jakiej się dopuszczali oficerowie, zabierając do wojska najemnych górników, nie zdołały zachwiać jej wytrwałością. Wkońcu podczas przewlekłego zamętu

pronunciamentów [1]), co nastąpił po śmierci osławionego Guzmana Benty, górnicy miejscowi, podburzeni przez wysłanników ze stolicy, rzucili się na swych angielskich przełożonych i wycięli ich w pień. Dekret, zarządzający konfiskatę, który wnet potem pojawił się w *Diario Official*, wydawanym w S-ta Marta, zaczynał się od słów: „Ludność górnicza z San Tomé, słusznie oburzona uciskiem cudzoziemców, powodowanych raczej nikczemnemi pobudkami zysku, niż miłością kraju, do którego zagnało ich ubóstwo i chciwość, i t. d...“ a kończył się oświadczeniem: „Naczelnik państwa postanowił zastosować w całej rozciągłości przysługujące mu prawo łaski. Kopalnia, która wedle wszelkich praw międzynarodowych, ludzkich i boskich, wraca znów jako własność narodowa w posiadanie rządu, ma pozostać zamknięta aż do chwili, kiedy miecz, dobyty w obronie uświęconych zasad liberalnych, nie dokona swego dzieła i nie zapewni pomyślności naszej drogiej ojczyźnie“...

Kopalnia San Tomé przez długie lata pozostawała w tym stanie. Jakiej korzyści spodziewał się rząd z tego łupu, niepodobna obecnie powiedzieć. Niełatwo przyszło zmusić Costaguanę do wypłacenia żebraczych odszkodowań rodzinom ofiar, poczem sprawa ta spadła z porządku dziennego dyplomacji. Wnet potem inny rząd jął zastanawiać się nad tą cenną spuścizną. Był to zwyczajny rząd costaguański — czwarty zkolei w przeciągu sześciu lat — ale posiadał zdrowy sąd o rzeczy. Miał skryte poczucie, że kopalnia San Tomé nie posiada w jego ręku żadnej wartości lecz równocześnie z niepowszednią zmyślnością zdawał sobie

[1]) Rewolucja.

sprawę z rozmaitych sposobów zużytkowania złóż srebrnych z pominięciem niegodnego wydobywania tego kruszcu z łona ziemi. Ojciec Charles'a Goulda, jeden z najzamożniejszych kupców kostaguańskich, postradał już znaczną część swego mienia w przymusowych pożyczkach, zaciąganych przez kolejno następujące po sobie rządy. Był to człowiek spokojny i rozsądny, któremu nigdy nie śniło się dochodzić swych praw. To też, kiedy mu nagle zaofiarowano bezterminową koncesję na kopalnię San Tomé, zaniepokojenie jego nie miało granic. Znał doskonale metody rządowe. Jakoż zamiary rządu w tej sprawie, acz niewątpliwie przemyślane głęboko w skrytości, widniały na powierzchni dokumentu, który mu polecono jak najrychlej podpisać. Trzeci i najważniejszy jego punkt ustalał, iż posiadacz koncesji będzie zobowiązany wypłacić odrazu rządowi pięcioletni czynsz dzierżawny od domniemanej produkcji kopalni.

Mr. Gould, ojciec, nie skąpił próśb i argumentów, wymawiając się od tej fatalnej łaski, ale bez powodzenia. Nie miał pojęcia o górnictwie; nie wiedział, w jaki sposób zużytkować swą koncesję na targu europejskim; kopalnia, jako przedsiębiorstwo czynne, nie istniała. Budynki spalono, urządzenia górnicze zniszczono, ludność górnicza rozpierzchła się oddawna z okolicy; nawet droga znikła tak doszczętnie pod naporem roślinności podzwrotnikowej, jakby ją pochłonęło morze; wreszcie szyb główny zawalił się na przestrzeni stu jardów od wejścia. Nie była to już opuszczona kopalnia, lecz dzika, niedostępna, skalista gardziel pośród *Sierry*, gdzie pod gąszczem ciernistych pnączy, co pokrywały ziemię, można było znaleźć resztki zwęglonego budulca, trochę pogruchotanej

cegły i zniekształcone ułomki zardzewiałego żelaziwa. Mr. Gould, ojciec, nie pragnął bynajmniej wejść w wieczyste posiadanie tego pustkowia. Ilekroć zamajaczyło mu śród ciszy nocnej przed oczyma duszy, popadał w stan gorączkowej i niespokojnej bezsenności.

Zdarzyło się atoli, że ministrem skarbu w owych czasach był człowiek, któremu Mr. Gould miał nieszczęście odmówić dawnemi laty niewielkiej zapomogi pieniężnej, uzasadniając swą odmowę tem, że jest on znany jako oszust i szuler, ponadto mocno podejrzewany o rabunkowy napad na pewnego zamożnego *ranchera* [1]) w odległej dzielnicy państwa, gdzie piastował godność sędziego. Otóż, dostąpiwszy ministerjalnego dostojeństwa, polityk ów oświadczył, iż ma zamiar odwzajemnić się *seniorowi* Gouldowi — temu biedakowi — dobrem za złe. Zapewnienia te ponawiał w salonach Santy Marty takim słodkim i nieubłaganym głosem i z takim złośliwym błyskiem w oczach, iż najlepsi przyjaciele ostrzegali z naciskiem Mr. Goulda, by nie próbował z tej pułapki wykpić się przekupstwem. Było to bezużyteczne. Jakoż nie była to droga zbyt bezpieczna. Podzielała to zdanie w zupełności pewna zamaszysta, krzykliwa dama francuskiego pochodzenia, podobno — jak utrzymywała — córka wyższego oficera *(officier supérieur de l'armée)*, która zamieszkiwała dla wygody w sekularyzowanym klasztorze, przytykającym do Ministerjum Skarbu. Ta wymalowana osóbka, gdy wezwano ją ku pomocy Mr. Goulda, we właściwy sposób i nie szczędząc hojnego podarku, potrząsła głową z zakłopotaniem. Miała

[1]) Gospodarz.

serce dobre i zakłopotanie jej było najzupełniej szczere. Wychodziła z założenia, iż nie wypada jej brać pieniędzy za coś, czego dokonać nie jest zdolna. Przyjaciel Mr. Goulda, który podjął się drażliwego zadania, utrzymywał później, iż była ona jedyną uczciwą osobą, pozostającą w bliższym czy dalszym stosunku z rządem. — Nie idzie! — rzekła właściwym sobie, pretensjonalnym, opryskliwym głosem, posługując się wyrażeniami, godniejszemi raczej jakiego podrzutka, niż sieroty po dostojniku wojskowym. — Nie; to nie da się zrobić! *Pas moyen, mon garçon. C'est dommage, tout de meme. Ah! zut! Je ne vole pas mon monde. Je ne suis pas ministre — moi! Vous pouvez emporter votre petit sac.*

Przez chwilę, zagryzając swe karminowe wargi, ubolewała w głębi duszy nad tyranją surowych zasad, któremi powodowała się, frymarcząc swym wpływem w sferach rządzących. Poczem znacząco i z odcieniem zniecierpliwienia dorzuciła: — *Allez, et dites bien à votre bonhomme — entendez vous — qu'il faut avaler la pilule.*

Po tem ostrzeżeniu nie pozostawało nic innego jak podpisać i zapłacić. Mr. Gould połknął pigułkę, lecz zawierała ona widocznie jakąś subtelną truciznę, gdyż jęła oddziaływać bezpośrednio na jego mózg. Dostał bzika na punkcie kopalni, a ponieważ był oczytany w lżejszej literaturze, bzik ten przybrał w jego umyśle kształty starca morskiego, uczepionego do jego ramion. Jęły mu tedy majaczyć się upiory. Mr. Gould przeceniał przed sobą ujemne strony swego nowego położenia, dając się ponosić swym odczuwaniom. Stanowisko jego w Costaguanie nie było gorsze od poprzedniego. Atoli człowiek jest przeraźliwie konser-

watywną istotą a groteskowa nowość tej zniewagi, wyrządzonej jego sakiewce, wstrząsnęła jego wrażliwością. Nie było dokoła niego ludzi, których nie obrabowałyby rządy i rewolucje po śmierci Guzmana Benty. Doświadczenie uczyło go, iż żadna szajka, która wejdzie w posiadanie pałacu prezydjalnego, nie będzie do tego stopnia nieudolna, by dla braku pozorów pozwolić wywieść się w pole, chociażby nawet łup miał zawieść w pewnej mierze jej uzasadnione oczekiwania. Pierwszy lepszy, przygodny pułkownik bosej armji urwipołciów mógł nawet specjaliście od prawa cywilnego z całym naciskiem i ścisłością wykazać swe prawa do sumy 10.000 dolarów, w każdym jednak razie liczył nieodmiennie na łapówkę co najmniej tysiąca dolarów. Mr. Gould wiedział o tem znakomicie i, uzbroiwszy się w cierpliwość, czekał lepszych czasów. Wszelako grabież pod płaszczykiem prawności i interesu była dla jego wyobraźni nie do zniesienia. Mr. Gould, ojciec, miał jedną wadę w swym godnym i roztropnym charakterze: oto przypisywał zbyt wielkie znaczenie formie. Jest to pospólna właściwość ludzi, których poglądy nasiąkły przesądami. W sprawie tej dopatrywał się ohydy znikczemniałej sprawiedliwości i doznał wstrząsu moralnego, który zachwiał jego krzepkim ustrojem fizycznym. „To mnie wkońcu zabije“ — powtarzał codziennie. Jakoż od tego czasu jął cierpieć na wątrobę i na dławiącą niemoc myślenia o czemkolwiek innem. Minister skarbu nie przeczuwał wcale, jak bardzo subtelny był jego odwet, Nawet listy, które Mr. Gould pisywał do swego czternastoletniego syna, Charles'a, przebywającego podówczas dla wykształcenia w Anglji, nie mówiły o niczem innem, jak o kopalni. Sarkał na niesprawiedliwość,

na prześladowania, na haniebne brzemię tej kopalni; zapełniał całe stronnice wywodami na temat fatalnych następstw, jakie ze wszystkich punktów widzenia muszą wyniknąć z posiadania tej kopalni, snuł złowrogie wnioski, truchlał na myśl o pozornie wiekuistej trwałości tego przekleństwa. Bowiem tej koncesji udzielono jemu i jego potomstwu po wszystkie czasy. Zaklinał syna, by nigdy nie wracał do Costaguany, nigdy nie upominał się o dział tamtejszego swego dziedzictwa, gdyż plami je owa nikczemna koncesja; niechaj po nie nie sięga, niechaj nawet się nie zbliża, niechaj zapomni, że istnieje Ameryka i zajmie się kupiectwem w Europie. Zaś każdy list kończył się gorzkiemi ubolewaniami, iż za długo przyszło mu przebywać w tej jaskini złodziei, bandytów i krętaczy.

W czternastym roku życia nie przywiązuje się zbyt wielkiego znaczenia do nieustannie ponawianych zapewnień, iż przyszłość nasza jest zwichnięta skutkiem posiadania kopalni srebra; ale forma tych zapewnień może wywołać pewien odruch zdziwienia i zastanowienia. Z biegiem czasu chłopak, nietyle oszołomiony temi gorzkiemi żalami, co zmartwiony kłopotami swego taty, jął zastanawiać się nad tą sprawą w chwilach, wolnych od nauki i zabawy. W ciągu jakiegoś roku zdołał wysnuć z owych listów niewzruszone przeświadczenie, iż istnieje kopalnia srebra w prowincji Sulaco, stanowiącej część Rzeczypospolitej Costaguany, gdzie przed wielu laty żołnierze rozstrzelali biednego stryja Henryka. Z ową kopalnią pozostawała w ścisłym związku rzecz, zwana „niegodziwą koncesją Goulda“, która widocznie była napisana na papierze, skoro jego ojciec pragnął gorąco „ją podrzeć i rzucić w twarz“ prezydentów, członków trybunału i ministrów państwa.

Pragnienie to nie wygasało, aczkolwiek zauważył, iż nazwiska tych dygnitarzy rzadko pozostawały bez zmiany w ciągu całego roku. Wydawało się ono zupełnie słusznem chłopakowi, gdyż rzecz ta była niegodziwą, nie wiedział jednak, na czem jej niegodziwość polega. Później, w miarę jak mu rozwidniało się w mózgu, zdołał oddzielić istotną prawdę od fantastycznych naleciałości o starcu morskim, upiorach i widziadłach, które korespondencji jego ojca nadawały posmak jakiejś okropnej baśni z arabskich nocy. Wkońcu dorastający młodzieniec posiadał niemniej dokładną znajomość kopalni San Tomé od starca, który pisywał te boleściwe i zaciekłe listy z drugiej strony oceanu. Donosił on, że nałożono na niego kilkakrotnie ogromne grzywny za zaniedbywanie pracy w kopalni, chociaż już poprzednio zmuszono go do wypłacenia zaliczek na rachunek przyszłego czynszu dzierżawnego, pozorując to bezprawie tem, iż człowiek, który znajduje się w posiadaniu takiej cennej koncesji, nie powinien odmawiać pieniężnego poparcia rządowi Rzeczypospolitej. Resztę jego mienia wymuszono — jak pisał z wściekłością — wzamian za bezwartościowe kwity, piętnując go równocześnie jako człowieka, który miał ciągnąć olbrzymie zyski z konieczności państwowych. A młodzieniec, przebywający w Europie, z coraz większem zajęciem śledził rzecz, która zdolna była wywołać taki zamęt słów i namiętności.

Myślał o niej codziennie, ale myślał bez goryczy. Nie ulegało wątpliwości, iż nieszczęściem była ta sprawa dla jego biednego taty i że cała historja rzucała posępne światło na stosunki polityczne i społeczne w Costaguanie. Pogląd jego na te sprawy nie różnił się od poglądu ojca, ale był spokojny i refleksyjny. Niepo-

dobna jest z uporczywą i przewlekłą zawziętością odczuwać fizycznych czy psychicznych udręczeń innego ustroju, chociażby chodziło nawet o ustrój własnego ojca. W dwudziestym roku życia Charles Gould uległ zkolei zaklęciu kopalni San Tomé. Ale był to inny rodzaj oczarowania, bardziej zgodny z jego młodością, gdyż w skład jego formuły magicznej zamiast zgnębionego oburzenia i rozpaczy wchodziła nadzieja, krzepkość i ufność we własne siły. Pozostawiony w tym wieku samemu sobie (wszelako z surowem zastrzeżeniem, by nie wracał do Costaguany), odbywał dalsze studja w Belgji i Francji, chcąc zostać inżynierem górniczym. Wszelako strona naukowa tych studjów, zarysowywała się w jego umyśle niejasno i ułamkowo. Kopalnie posiadały dlań napięcie dramatyczne. Badał ich właściwości z osobistego punktu widzenia, podobnie jak ktoś bada odmienne cechy charakterów ludzkich. Zwiedzał kopalnie w Niemczech, w Hiszpanji i Kornwalji. Zwłaszcza opuszczone oddziaływały na niego mocno. Ich opuszczenie wstrząsało nim na podobieństwo niedoli ludzkiej, której przyczyny są głębokie i rozmaite. Mogą być liche, ale mogą być też niedocenione. Jego przyszła żona była pierwszą, i może jedyną istotą ludzką, która zdołała odkryć pobudki, rządzące nader wrażliwem i niemal bezgłośnem zachowaniem się tego człowieka w stosunku do świata spraw materjalnych. I odrazu jej skłonność do niego, co ociągała się z nawpół rozpostartemi skrzydłami na podobieństwo ptaków, niełatwo wzlatujących z równiny, znalazła szczyt, z którego mogła wzbić się w niebiosa.

Poznali się we Włoszech, gdzie przyszła Mrs. Gould przebywała w towarzystwie starej, bladej ciotki, która

przed laty poślubiła zubożałego, włoskiego markiza, człowieka w średnim wieku. Nie zdejmowała żałoby po tym człowieku, co umiał oddać swe życie za niepodległość i zjednoczenie swej ojczyzny. Uczynił to z taką entuzjastyczną wielkodusznością, iż dorównał najmłodszym, którzy również zginęli za tę samą sprawę i których błędnym szczętem był stary Giorgio Viola na podobieństwo zgruchotanego dzioba okrętowego, niknącego niepostrzeżenie śród fal po morskiem zwycięstwie. Ubrana zawsze czarno i z białą przepaską na czole jak zakonnica, prowadziła *Marchesa* ustronne, przyciszone życie w zakątku starożytnego i zrujnowanego pałacu, którego wielkie, puste sale mieściły na dole, pod swemi malowanemi sklepieniami, ziemiopłody, drób, a nawet bydło obok całej rodziny dzierżawcy.

Młodzi spotkali się w Lucce. Po tem spotkaniu Charles nie zwiedzał już kopalń, chociaż pewnego razu pojechali oboje powozem, by zobaczyć kamieniołomy marmuru, w których praca o tyle jest podobna do górniczej, iż również ma na celu wydobywanie cennego surowca z ziemi. Charles Gould nie wygłaszał przed nią mów, by osłonić swe serce. Dawał się jej poznać, myśląc i działając. Tak zwykła objawiać się szczerość. Częstem jego powiedzeniem bywały słowa: „Zdaje mi się, że mój biedny ojciec ma niesłuszny pogląd na to przedsiębiorstwo San Tomé“. I zastanawiali się oboje nad tym poglądem długo i poważnie, jakgdyby mogli oddziałać na niego poprzez pół kuli ziemskiej. Atoli rzeczywistą tych rozważań przyczyną była miłość, która przenika wszelki przedmiot i rozpłomienia życiem najobojętniejsze wyrażenia. Oto powód, dla którego Mrs. Gould lubiła te dyskusje w swem

narzeczeństwie. Charles troskał się, że jego ojciec wyczerpuje swe siły i naraża się na chorobę, chcąc zwolnić się z kopalni. „Mam wrażenie, że nie jest to właściwy sposób postępowania“ — dumał głośno, jakgdyby mówił do siebie. Kiedy zaś ona nie taiła swego zdziwienia, iż człowiek charakteru może poświęcać swe siły knowaniom i intrygom, Charles oświadczył, że pojmuje jej zdziwienie, lecz dodał:

— Proszę nie zapominać, że tam się urodził.

Z właściwą sobie bystrością jęła zastanawiać się nad temi słowy, poczem postawiła pytanie niekonsekwentne, które wydało się mu najzupełniej uzasadnionem, bo było niem istotnie:

— No, a pan? Pan również tam się urodził.

Miał odpowiedź gotową.

— To co innego. Nie byłem tam od dziesięciu lat. Ojciec nie miał nigdy tak długiego wytchnienia. A trwa już to ze trzydzieści lat.

Była pierwszą osobą, do której przemówił, dowiedziawszy się o śmierci swego ojca.

— Zabili go — powiedział.

Otrzymawszy tę wiadomość, wyszedł z miasta i podążał wprost przed siebie w południowem słońcu, po białej drodze, aż stanął przed nią w sali zrujnowanego pałacu. Była to komnata wspaniała i pusta. Długie strzępy adamaszku, poczerniałe od czasu i wyziewów, zwieszały się tu i owdzie po ogołoconych boazerjach ścian. Umeblowanie jej składało się z pozłocistego krzesła z odłamanem oparciem i z piedestału w kształcie ośmiościennej kolumny, na którym stała ciężka, marmurowa urna, zdobna rzeźbionemi maskami oraz girlandami kwietnemi i pęknięta od góry do dołu. Charles Gould był cały zakurzony od

białego pyłu gościńca; pokrywał on jego obuwie, ramiona i czapkę. Pot ściekał po jego twarzy. W odsłoniętej, prawej ręce trzymał gruby kij dębowy.

Wydawała się bardzo bladą pod różami swego wielkiego, słomianego kapelusza. Włożyła już rękawiczki i wzięła jasną parasolkę, by wyjść naprzeciw i oczekiwać go na szczycie wzgórza, gdzie trzy topole wystrzelały obok muru winnicy.

— Zabili go — powtórzył. — Miałby jeszcze długie lata przed sobą. W naszej rodzinie żyje się długo.

Nazbyt była strapiona, by przemówić. Utkwił swe przenikliwe, nieruchome spojrzenie w pękniętej urnie marmurowej, jakby pragnął jej kształty utrwalić na zawsze w swej pamięci. Dopiero gdy nagle zwróciwszy się do niej, wybełkotał dwukrotnie:

— Przyszedłem do pani... przyszedłem prosto do pani... — zdołała w całej pełni zdać sobie sprawę z wielkiej i żałosnej niedoli tego dalekiego i udręczonego zgonu w Costaguanie. Ujął ją za rękę i podniósł jej dłoń do swych ust, ona zaś upuściła parasolkę, by pogłaskać go po twarzy, mówiąc szeptem: — Biednyś ty! — Poczem jęła ocierać oczy pod nawisłą kresą swego kapelusza. Drobna jej postać w skromnym, białym kostjumie podobna była do dziecka, co, zabłąkane, szlocha śród obumarłego przepychu wspaniałej sali. Znieruchomiał znów obok niej, zapatrzony w marmurową urnę.

Poszli następnie na długą przechadzkę, nie zamieniając zrazu ani słowa. Wkońcu wydarło się mu z ust:

— No, tak! Lecz gdyby był wziął się do rzeczy we właściwy sposób!

Przystanęli. Wszędy słaniały się długie cienie po wzgórzach, po drogach, po ogrodzonych sadach oliw-

nych: cienie topól, rozłożystych orzechów włoskich, budynków folwarcznych i ścian kamiennych. Dźwięczny, radosny głos dzwonu rozlegał się w pogodnem powietrzu na podobieństwo tętna żaru słonecznego. Jej usta rozchyliły się, jakgdyby ze zdziwienia, że nie patrzy na nią z właściwym sobie wyrazem. Zwykły jego wyraz polegał na skupieniu i bezwzględnem dla niej uznaniu. W rozmowach z nią bywał najtroskliwszym i najczołobitniejszym władcą, co jej podobało się niezmiernie. Dzięki temu miała poczucie swej władzy bez ujmy dla jego godności. Ta szczupła dziewczyna o drobnych nóżkach, drobnych rączkach i drobnej twarzyczce, przeciążonej uroczo szczodremi splotami włosów, posiadała wyniosłą duszę doświadczonej kobiety. Jej nieco za duże usta tchnęły świeżością szczerości i szlachetności. Ponad wszystko, ponad wszelkie pochlebstwa, troszczyła się o tego, co był chlubą jej wyboru. Otóż w owej chwili nie patrzał na nią wcale. Miał rysy napięte i wyraz twarzy nieprzytomny, jak człowiek, co ponad głową młodej dziewczyny zapatrzył się w nicość.

— A więc tak. To była krzywda. Skrzywdzili biednego starca. Ach, czemuż nie pozwalał mi wrócić do siebie? Lecz teraz będę wiedział, jak wziąć to w ręce.

Wymówiwszy te słowa z ogromną otuchą, spojrzał na nią i odrazu stał się pastwą przygnębienia, niepewności i obawy.

Jedyną rzeczą, o którą mu obecnie chodziło, było to, czy ona dość go kocha — czy ma odwagę pojechać z nim tak daleko? Stawiał jej te pytania głosem, drżącym z obawy — gdyż był człowiekiem stanowczym.

Tak; kochała go bardzo. Chciała jechać. I niezwłocznie przyszła orędowniczka wszystkich Europejczyków w Sulaco, doznała fizycznego wrażenia, iż ziemia zarywa się pod nią. Pierzchła jej z przed oczu, pierzchł nawet dźwięk dzwonu. Kiedy znów uczuła ziemię pod stopami, dźwięki wciąż jeszcze rozlegały się śród doliny; podniosła ręce do włosów, oddychając szybko i powiodła okiem po okolonej murami drożynie. Uspokoiła się, bo nie było nikogo. Tymczasem Charles stanął jedną nogą w suchym, zakurzonym rowie i podniósł otwartą parasolkę, co odskoczyła od nich z marsowym łoskotem potrąconego bębna. Wręczył ją spokojnie, acz z niejakiem przygnębieniem.

Jęli wracać ku domowi. Kiedy zaś wsunęła mu rękę pod ramię, pierwsze jego słowa były:

— Jak to dobrze, że będziemy mogli osiedlić się w mieście portowem! Słyszałaś jego miano. To Sulaco. Rad jestem, że mój biedny ojciec kupił tam dom. Nabył go już przed laty, aby w głównem mieście tak zwanej Prowincji Zachodniej istniała zawsze *Casa Gould*. Będąc małym chłopcem, mieszkałem tam już raz przez cały rok z moją drogą matką; mój biedny ojciec bawił podówczas w Stanach Zjednoczonych za interesami. Będziesz nową panią *Casy Gould*.

Później zaś w niezamieszkanym zakątku starożytnego pałacu, hen, nad winnicami, marmurowemi wzgórzami, pinjami i oliwami Lucci, tak do niej mówił:

— Nazwisko Gouldów cieszyło się zawsze wielkiem poważaniem w Sulaco. Mój stryj, Harry, był czas jakiś naczelnikiem państwa i pozostawił po sobie dobrą pamięć śród najznakomitszych rodów. Są to czyści kreolowie, którzy nie biorą udziału w nędznych błazeństwach rządowych. My, Gouldowie, nie jesteśmy

w Costaguanie przybłędami. Pochodził z tego kraju, kochał go, ale w swych przekonaniach pozostał do rdzenia Anglikiem. Posługiwał się politycznem hasłem swej epoki. Była niem federacja. Ale nie był politykiem. Stawał w obronie porządku społecznego poprostu z czystego umiłowania rozumnie pojmowanej wolności i z nienawiści do wszelkiego ucisku. Nie gmatwał się w niedorzecznościach. Jął się pracy na swój sposób, gdyż uważał ją za potrzebną, podobnie jak ja muszę zabrać się do tej kopalni.

Mówił do niej temi słowy, ponieważ pamięć jego pełna była kraju lat dziecinnych, ponieważ serce śniło o pożyciu z tą dziewczyną, a myśl była zajęta kopalnią San Tomé. Zapowiedział jej, że opuści ją na kilka dni, by odszukać pewnego Amerykanina, pochodzącego ze San Francisco, który wałęsał się jeszcze po Europie. Poznał go przed kilku miesiącami w starożytnem, historycznem mieście niemieckiem, położonem w okręgu górniczym. Amerykanin był w towarzystwie żony, lecz widywano go samotnym, gdyż całemi dniami rysowali oboje starożytne odźwierki i uwieńczone wieżyczkami narożniki średniowiecznych domostw. Charles Gould zawiązał z nim ścisłą spółkę w sprawie kopalni. Spólnik ten znał się na przedsiębiorstwach górniczych, był nieco obeznany z Costaguaną i z nawiskiem Gouldów. Rozmawiali z niejaką poufałością, co było możliwe dzięki różnicy wieku. Charles potrzebował wówczas kapitalisty o przenikliwym umyśle i ludzkim charakterze. Mienie jego ojca w Costaguanie, które w mniemaniu jego miało być dość znaczne, stopniało widocznie w łotrowskim tyglu rewolucyj. Prócz jakichś dziesięciu tysięcy funtów, umieszczonych w Anglji, pozostał tylko dom w Sulaco,

problematycznej wartości prawo do eksploatacji lasów w odległych i dzikich stronach, oraz koncesja na kopalnię San Tomé, która doprowadziła jego biednego ojca na krawędź grobu.

Wyłuszczał to wszystko. Rozstali się bardzo późno. Nigdy jeszcze nie widział jej w takiej świetności uroku. Cała tęsknota młodzieńcza do niepowszedniego życia, do wielkich oddali, do przyszłości, nęcącej obietnicą przygód i walki — wszystka subtelna myśl o współdziałaniu i podboju rozpłomieniała ją mocnem podnieceniem, co w stosunku do niego przejawiało się nie tak już skrywaną i przedziwną tkliwością.

Gdy, pożegnawszy się z nim, schodziła ze wzgórza i gdy pozostał sam, odzyskał natychmiast swą trzeźwość. Zmiana, jaką śmierć nieubłagalna wywołuje w toku naszych powszednich myśli, może stać się nieokreślonym i dotkliwym rozstrojem umysłu. Bolało to Charles'a Goulda, iż już nigdy, żadnym wysiłkiem woli nie będzie mógł myśleć o swym ojcu w ten sam sposób, w jaki zwykł był myśleć o nim za jego życia. Żywy jego obraz nie był już dlań uchwytny. To spostrzeżenie, bezpośrednio uderzające w własną jego istność, napełniało pierś jego bolesnem i przejmującem pragnieniem czynu. Pod tym względem instynkt go nie zawodził. Czyn ma moc pocieszenia. Jest wrogiem myśli i druhem pieściwych rojeń. Jedynie w toku naszych działań możemy doszukać się zagadki panowania nad przeznaczeniem. Dla jego działalności kopalnia była wyłączną dziedziną. Chwilami występowało natarczywe pytanie, jak sprzeniewierzyć się uroczystym życzeniom nieboszczyka. Postanowił sobie, iż nieposłuszeństwo jego (jako zadośćuczynienie) będzie najzupełniejsze. Kopalnia była przyczyną niedorzecznego

nieszczęścia moralnego; praca w niej winna się stać poważnem powodzeniem moralnem. Należało się to pamięci zmarłego. Tak przedstawiały się odczuwania Charles'a Goulda. Myśli jego krążyły około uruchomienia wielkiego kapitału w San Francisco lub gdzie indziej. Mignęła mu w mózgu refleksja, iż rady nieboszczyka byłyby zawodnym przewodnikiem. Nigdy nie można zgóry przewidzieć, jakie ogromne zmiany może wywołać zgon tej lub owej jednostki w najistotniejszym porządku świata.

Najnowszy okres dziejów kopalni znała Mrs. Gould z własnego doświadczenia. Były to dzieje jej małżeńskiego pożycia. Płaszcz dziedzicznego stanowiska Gouldów w Sulaco obsunął się suto na jej drobną osóbkę; nie chciała jednak dopuścić, żeby właściwości tego osobliwego stroju miały przytłoczyć żywość jej charakteru, co było oznaką nie samej tylko bystrości mechanicznej, lecz także przenikliwej inteligencji. Nie trzeba przypuszczać, że umysł Mrs. Gould był męski. Kobieta o umyśle męskim nie jest istotą wyższego rzędu; jest poprostu objawem niedoskonałego zróżniczkowania — zajmująco jałowym i bez znaczenia. Kobieca inteligencja *Donii* Emilji, pomogła jej dokonać podboju Sulaca, torując drogę jej nieegoistycznej i współczującej naturze. Umiała rozmawiać z wdziękiem, ale nie była gadatliwa. Wiedza serca, nie mająca nic wspólnego z budowaniem lub burzeniem teoryj, a tem mniej z obroną przesądów, nie ma czczych słów na zawołanie. Słowa, przez nią wyrzeczone, mają wartość aktów rzetelności, wyrozumiałości i współczucia. Szczera tkliwość kobieca, podobnie jak szczera męskość mężczyzny, wyraża się czynami, co mają władzę podbijania. Panie ze Sulaco uwielbiały Mrs. Gould: — „Wciąż

jeszcze patrzą na mnie, jak na jakieś dziwo“ — rzekła żartem do jednego z trzech gentelmenów z San Francisco, których wypadło jej ugaszczać w swej nowej siedzibie po roku pożycia małżeńskiego.

Byli to pierwsi goście zagraniczni, którzy przybyli obejrzeć kopalnię San Tomé. „Żartuje bardzo miło“ — myśleli sobie, zaś Charles Gould, wiedząc doskonale, do czego zmierza, parł ku urzeczywistnieniu. Te okoliczności usposabiały ich przychylnie dla jego żony. Niezaprzeczony entuzjazm, zabarwiony lekkim nalotem ironji, sprawił, iż jej wywody o kopalni zachwycały poprostu jej gości i wywoływały u nich poważne i pełne pobłażania uśmiechy, nie pozbawione dużej domieszki czci. Być może, iż gdyby byli poznali zapamiętały idealizm jej poglądów na powodzenie przedsiębiorstwa, byliby niemniej zdumieni właściwościami jej umysłu od owych hiszpańsko-amerykańskich pań, które nie wychodziły z podziwu dla niestrudzonej działalności jej ciała. Istotnie mogła być dla nich — posługując się jej własnemi słowami — „istnem dziwem“. Ale Gouldowie byli z usposobienia skryci i ich goście wyjechali, nie przypuszczając, iż może chodzić o coś innego, niż o zyski puszczonej w ruch kopalni. Mrs. Gould kazała zaprząc parę białych mułów do swego powozu, by odwieźć ich do przystani, skąd *Ceres* miała ich odstawić na plutokratyczny Olimp. Kapitan Mitschell skorzystał z tego pożegnania, by szepnąć poufnie do Mrs. Gould: „To zapowiedź nowej epoki“.

Mrs. Gould lubiła *patio* [1]) swego hiszpańskiego domu. Na szerokie, kamienne schody spoglądała w milczeniu

---

[1]) Podwórzec.

z wnęki ściennej Madonna w błękitnych szatach, z ukoronowanem Dzieciątkiem na ramieniu. Przyciszone głosy dolatywały wczesnym rankiem z wybrukowanego zagłębienia czworoboku; słychać było stąpania koni i mułów, które prowadzono parami, by napoić je w cysternie. Z kolanek smukłych pni bambusowych zwieszały się wąskie, lancetowate liście nad kwadratową taflą sadzawki, a tłusty stangret siedział, skulony, na jej cembrowinie, trzymając leniwie końce lejc w ręku. Wynurzywszy się z pod niskiego, mrocznego sklepienia sieni, przemykały się tu i owdzie bose dziewczęta służebne; pojawiły się dwie praczki, niosące kosze z wypraną bielizną, przeszedł piekarz z dzieżą zarobionego ciasta i jej własna *camerista* [1]), Leonarda, co wyprostowana, w ręce, wzniesionej ponad kruczą czerń włosów, niosła pęk nakrochmalonych spódniczek, olśniewająco białych w kosych blaskach słońca. Poczem posztykutał stary odźwierny, zamiatając kamienne płyty bruku i dom był przygotowany do zwykłego życia dziennego. Wysokie pokoje po trzech stronach czworoboku były połączone między sobą i miały drzwi na *corredor* [2]) lub otwierały się na dzierzgane z krat żelaznych balkony, ozdobione kwiatami. Na podobieństwo władczyni średniowiecznego zamczyska, mogła widzieć z góry, kto wjeżdżał lub wyjeżdżał z *Casy*, a odgłosy, rozlegające się za każdym razem ze sklepionej sieni, wzmagały wrażenie okazałości.

Patrzyła, jak wyjeżdżał jej powozik, odwożący trzech gości z północy. Uśmiechała się. Troje ramion podniosło się równocześnie do trzech kapeluszy. Czwartym był kapitan Mitschell, który towarzyszył im

---

[1]) Pokojówka. [2]) Korytarz.

z grzeczności i zaczął już pompatyczną przemowę. Ociągała się. Ociągała się, pochylając co chwila twarz nad kępami kwiatów, jakgdyby chciała pozostawić swym myślom czas, by dostosowały się do powolności jej kroków, zdążających w głąb długiego korytarza.

Obwieszony frendzlami i barwnemi piórami hamak indyjski z Aroa widniał, zawieszony przemyślnie w kącie, gdzie najwcześniej pojawiało się słońce; gdyż poranki bywają w Sulaco chłodne. Ogromne kępy kwiatów, zwanych *flor de noche buena*, pałały przed roztwartemi, oszklonemi drzwiami salonów. Wielka, zielona papuga, połyskująca świetnością szmaragdu, w klatce, co migotała pozłociście, zaskrzeczała dziko: *Viva Costaguana!* poczem zawołała dwukrotnie słodko: „Leonarda, Leonarda!“ naśladując głos Mrs. Gould, i pogrążyła się nagle w nieruchomości i w milczeniu. Mrs. Gould dosięgnęła końca galerji i zajrzała z poza drzwi do pokoju swego męża.

Charles Gould z nogą, wspartą na niskim stołeczku, przypinał już ostrogi. Śpieszył się do kopalni. Mrs. Gould, nie wchodząc do środka, rozejrzała się po pokoju. Jedną szafę, dużą i szeroką, z oszklonemi drzwiami, wypełniały książki; natomiast druga, pozbawiona półek i wybita czerwoną bają, zawierała broń palną: karabiny winchesterowskie, rewolwery, parę strzelb myśliwskich i nawet dwie pary pistoletów z podwójnemi lufami. Śród nich, osobno, na kawałku szkarłatnego welwetu, wisiała stara szabla kawaleryjska, ongi własność Dona Enrique Goulda, bohatera Prowincji Zachodniej, darowana przez Dona Josego Avellanosa, dziedzicznego przyjaciela rodziny.

Zresztą białe ściany były zupełnie ogołocone z ozdób. Wyjątek stanowiła akwarela, przedstawiająca góry San

Tomé; była ona własnoręcznem dziełem *Donii* Emilji. Pośrodku, na posadzce, ułożonej z czerwonych płytek, stały dwa długie stoły, zawalone planami i papierami; obok nich kilka krzeseł i szafka oszklona, zawierająca okazy rudy kopalnianej. Mrs. Gould, rzuciwszy śpiesznie okiem na te przedmioty, wyraziła głośno zdziwienie, dlaczego rozmowy tych bogatych i przedsiębiorczych ludzi, rozprawiających o możliwościach, o działalności i bezpieczeństwie kopalni, niecierpliwiły ją i rozstrajały, podczas gdy ze swym mężem mogła całemi godzinami gawędzić o kopalni z niesłabnącem zajęciem i zadowoleniem.

I, spuszczając oczy, dodała z naciskiem:

— A *ty* jak to odczuwasz, Charley?

Poczem, zdziwiona milczeniem męża, podniosła szeroko otwarte oczy, piękne jak blade kwiaty.

Załatwił się już ze swemi ostrogami i muskając obiema dłońmi swe długie wąsy, przyglądał się jej z wysokości swych długich nóg z widocznem dla jej powierzchowności uznaniem. Przeświadczenie, iż jest tak podziwiana, sprawiało przyjemność Mrs. Gould.

— Są to wielce poważani ludzie — odezwał się.

— Wiem o tem. Ale czy przysłuchiwałeś się ich rozmowom? Nie zdaje się mi, żeby bodaj w przybliżeniu zdawali sobie sprawę z tego, co tu widzieli.

— Oglądali kopalnię. Czynili to w pewnym zamiarze — wtrącił Charles Gould, stając w obronie gości. Na to jego żona wymieniła nazwisko najwybitniejszego z tej trójki. Wyróżniał się w dziedzinie finansowej i przemysłowej. Nazwisko jego znały miljony ludzi. Był znakomitością tej miary, iż nigdy nie podjąłby się pracy tak daleko od środka swej działalności, gdyby lekarze, nie szczędząc skry-

wanych pogróżek, nie zniewolili go do dłuższych wywczasów.

— Mr. Holroyd — mówiła dalej Mrs. Gould — czuł się dotkniętym i urażonym błyskotliwością świętych, co ustrojeni stoją w katedrze. Nazwał ich świętościami z drzewa i pozłótki. Ale mnie się zdaje, iż on zapatruje się na swego Boga jak na jakiegoś możnego wspólnika, którego udział w zyskach polega na fundowaniu kościołów. Jest to bałwochwalstwo pewnego rodzaju. Opowiadał mi, że co roku funduje kościół.

— Bez końca — przemówił Mr. Gould, podziwiając w duszy ruchliwość jej rysów. — Po całym kraju. Słynie z tej swojej hojności.

— Oh, nie przechwalał się tem! — zaświadczyła sumiennie Mrs. Gould. — Zdaje mi się, że to naprawdę dobry człowiek, ale taki głupi! Biedny *Chulo* [1]), co ofiarowuje swemu Bogu srebrne ramię lub nogę za to, że go uleczył, jest tak samo mądry, a nierównie więcej wzruszający.

— Stoi na czele olbrzymich przedsiębiorstw srebrnych i żelaznych — napomknął Charles Gould.

— Ach, tak! Religja srebra i żelaza! To bardzo przyjemny człowiek, acz ujrzawszy w klatce schodowej po raz pierwszy Madonnę z pomalowanego drzewa, przybrał wyraz namaszczonej zgrozy, ale nic mi nie powiedział. Mój drogi Charley, słyszałam, jak ci ludzie rozmawiali ze sobą. Czy to możliwe, by ze względu na ogromne poważanie pragnęli istotnie zostać nosiwodami i drwalami dla wszystkich krajów i narodów świata?

---

[1]) Kuglarz.

— Człowiek winien pracować do ostatka — rzekł ogólnikowo Charles Gould.

Mrs. Gould, marszcząc brwi, oglądała go od stóp do głowy. W swych *breechesach*, skórzanych kamaszach (nie widywanych przedtem w Costaguanie), norfolskiej marynarce z szarej flaneli i z temi wielkiemi, płomienistemi wąsami, wyglądał na oficera kawalerji, co został wielkopańskim *farmerem*. To porównanie odpowiadało upodobaniom Mrs. Gould. — Jaki on, biedak, szczupły! — myślała. — Przepracowuje się. — Niepodobna jednak było zaprzeczyć, iż jego subtelna, wyrazista, czerwonawa twarz i cała jego smukła, laskonoga postać wywoływała wrażenie szlachetności i wytworności. Jakoż Mrs. Gould złagodniała.

— Zastanawiałam się tylko, jak ty to odczuwasz — szepnęła słodko.

W ostatnich dniach Charles Gould musiał dwa razy pomyśleć, zanim coś powiedział, i nie zwracał zbytnio uwagi na swe odczuwania. Ale gra mu się udała, więc nietrudno mu przyszło znaleźć odpowiedź.

— Najlepsze me uczucia są w twej mocy — rzekł swobodnie i tyle było prawdy w tych niejasnych słowach, iż tejże samej chwili doznał względem niej wielkiego przypływu tkliwości i wdzięczności.

Nie wyglądało atoli, żeby ta odpowiedź była dla Mrs. Gould niejasna. Pokraśniała zlekka; lecz już zmienił ton.

— No, to jest pewnikiem! Wartość kopalni jako kopalni nie ulega wątpliwości. Dzięki jej będziemy bardzo bogaci. Puszczenie jej w ruch jest zagadnieniem wiedzy technicznej, a tę posiadam — i posiada ją tysiąc innych ludzi na świecie. Ale jej bezpieczeństwo, trwałość jej istnienia jako przedsiębiorstwa, za-

pewniającego dochody tym ludziom — tym cudzoziemcom — co włożyli w nią swe pieniądze, spoczywa wyłącznie w mych rękach. Wzbudziłem zaufanie w człowieku bogatym i możnym. Wydaje się ci to zupełnie naturalnem — nieprawdaż? No, a ja nie wiem, nie wiem, dlaczego zdołałem je wzbudzić. Ale to pewnik. Czyni on wszystko możliwem. Bez niego nie przyszłoby mi na myśl nie oglądać się na życzenia mego ojca. Nigdy nie rozporządziłbym się tą koncesją jak spekulant, co odstępuje swe prawa spółce za gotówkę i dywidendy, by wzbogacić się przy nadarzającej się sposobności lub przynajmniej zagarnąć nieco grosza do kieszeni. Nie! Nie uczyniłbym tego, nawet gdyby to było możliwe — o czem wątpię. Biedny ojciec tego nie rozumiał. Obawiał się, że uwieszę się przy zrujnowanem przedsiębiorstwie i, czekając na podobną sposobność, zmarnuję życie. Takie znaczenie miał jego zakaz, z którego świadomie się wyłamałem.

Przechadzali się po korytarzu. Sięgała mu głową do ramienia. Opuścił ramię i objął jej kibić. Ostrogi pobrzękiwały zlekka.

— Nie widział mnie od dziesięciu lat. Nie znał mnie. Rozstał się ze mną dla mojego dobra i nie chciał pozwolić, żebym wrócił. Powtarzał nieustannie w swych listach, żebym się wyrzekł Costaguany, porzucił wszystko i ratował się ucieczką. Sam był zbyt cennym łupem. Za pierwszem podejrzeniem byliby go wrzucili do więzienia.

Ostrogi odezwały się znów cichym podźwiękiem. Pochylał się ku żonie, mówiąc do niej. Wielka papuga przechyliła głowę i śledziła ich ruchy krągłem, nie mrużącem się okiem.

— Był to samotnik. Kiedy miałem dziesięć lat, przemawiał do mnie, jakbym był człowiekiem dorosłym. Podczas mego pobytu w Europie pisywał do mnie co miesiąc. Dziesięć, dwanaście stron każdego miesiąca przez dziesięć lat. Lecz mimo to mnie nie znał. Dość wyobrazić sobie — całe dziesięć lat w okresie, kiedy stawałem się mężczyzną! Nie mógł mnie znać. Jak ci się zdaje?

Mrs. Gould potrząsnęła przecząco głową, gdyż przyszło jej na myśl, że nikt nie może znać jej Charles'a — znać go naprawdę — prócz niej samej. To było oczywiste. Dawało się odczuć. Nie wymagało uzasadnień. Zaś biedny Mr. Gould, ojciec, który umarł za wcześnie, by dowiedzieć się o ich narzeczeństwie, przedstawiał się jej zbyt mglisto, żeby mogła przypisywać mu znajomość czegokolwiek.

— Nie, nie zdawał sobie sprawy! W mojem pojęciu ta kopalnia nie jest czemś, co można sprzedać. Nigdy! Po tem, co przecierpiał, poprostu nie mógłbym wziąć za nią pieniędzy. — Mówił Charles Gould dalej, a ona potakująco tuliła głowę do jego ramienia.

Tych dwoje młodych ludzi rozmyślało o życiu, co zakończyło się w niedoli właśnie wówczas, kiedy ich własne istnienia zajaśniały w blaskach ufnej miłości, co bardzo wrażliwym umysłom wydaje się niby triumfem dobra nad wszystkiemi nędzami ziemi. Niejasna idea rehabilitacji wtargnęła do zamierzeń ich życia. Była zbyt niejasna, by obyć się bez podpory uzasadnienia, lecz właśnie dlatego była tem silniejsza. Objawiła się im w tej chwili, kiedy kobiecy zmysł poświęcenia i męski zmysł działania pod wpływem najmożniejszego ze złudzeń, ulegają najsilniejszemu bodźcowi. Ze surowości zakazu wynikała konieczność powodzenia,

jakby byli moralnie zobowiązani do wykazania wyższości swego krzepkiego pojmowania życia nad zboczeniem znużenia i rozpaczy.

Myśl o bogactwie nasuwała się im o tyle, o ile kojarzyła się z owem istotniejszem powodzeniem. Mrs. Gould, sierota bez majątku, wychowana w atmosferze upodobań intelektualnych, nie upajała się nadzieją wielkich bogactw. Były one zbyt dalekie, a przytem nie nawykła ich pożądać. Z drugiej strony nie zaznała zupełnego niedostatku. Nawet wielkie ubóstwo jej ciotki, *Marchesy*, nie było nie do zniesienia dla wysubtelnionego umysłu; pozostawało w zgodzie z wielkiem cierpieniem; tchnęło surowością ofiary, złożonej szczytnemu ideałowi. Nie było zatem w charakterze Mrs. Gould najsłuszniejszych nawet rysów materjalizmu. Zmarły, o którym myślała z czułością (gdyż był ojcem Charleya) i z niejaką niecierpliwością (ponieważ był słaby), nie mógł mieć ani cienia słuszności. W przeciwnym bowiem razie nic nie zdołałoby uchronić ich pomyślności od skazy, plamiącej jej jedynie realną, jej niematerjalną stronę!

Natomiast Charles Gould musiał brać należycie pod rozwagę myśl o bogactwach; wszelako zajmował się nią jako środkiem nie zaś jako celem. Gdyby kopalnia nie była korzystnym interesem, nie należałoby jej puszczać w ruch. Musiał dbać o widoki przedsiębiorstwa. Była to dźwignia, zapomocą której mógł ruszyć kapitalistów. A Charles Gould wierzył w kopalnię. Wiedział o niej wszystko, co tylko można było wiedzieć. Jego wiara w kopalnię udzielała się innym, chociaż wielkiej wymowy nie miała na swe usługi; ale ludzie interesu bywają często niemniej zapalni i marzycielscy od kochanków. Częściej ulegają urokowi

osobistemu, niżby ktoś przypuszczał; a Charles Gould z swą niezachwianą pewnością był bezwarunkowo przekonywający. Ponadto ludzie, do których się zwracał, znali się na rzeczy i wiedzieli, że przedsiębiorstwo górnicze w Costaguanie jest grą, która może być nierównie więcej warta od świeczki. Ludzie interesu posiadali dobre informacje. Rzeczywista trudność ruszenia z miejsca znajdowała się gdzie indziej. Ale zwalczała ją spokojna i nieugięta stanowczość, zabarwiająca nawet głos Charles'a Goulda. Ludzie interesów porywają się czasem na rzeczy, które dla zdrowego rozsądku ludzkiego uchodzą za niedorzeczne; powodują się w swych postanowieniach pobudkami ludzkiemi i wrażeniowemi. — No, tak — rzekła wybitna osobistość, której Charles Gould, przejeżdżając przez San Francisco, wyłuszczył jasno swe poglądy. — Przypuśćmy, że przystępujemy do przedsiębiorstwa górniczego w Sulaco. Któż w niem będzie? Po pierwsze, firma Holroyd, zupełnie pewna; po wtóre, Mr. Charles Gould, obywatel costaguański, zupełnie pewny; no, i wreszcie rząd Rzeczypospolitej. Bardzo to podobne do zaczątków przedsiębiorstwa pól saletrowych w Atakamie; brała w niem udział firma, która dawała pieniądze, pewien dżentelman, nazwiskiem Edwards, i rząd — a raczej dwa rządy, dwa rządy południowoamerykańskie. I wie pan, co z tego wynikło? Wynikła z tego wojna, przewlekła, wyniszczająca wojna, Mr. Gould! Coprawda, w pańskim wypadku mamy do czynienia tylko z jednym rządem południowoamerykańskim, czyhającym łapczywie na udział w łupie. Jest to strona dodatnia. Ale zło ma swe stopniowania, a rząd, o którym mówimy, jest rządem costaguańskim.

Tak mówiła wybitna osobistość, miljonowy fundator kościołów na miarę, godną wielkości jego ojczyzny — ten sam, do którego lekarze przemawiali językiem zatrważających i skrywanych pogróżek.

Był to ociężały, roztropny człowiek, którego stateczna tusza sutemu frakowi na jedwabnej podszewce użyczyła przewytwornej godności. Włosy miał stalowosiwe, brwi jeszcze czarne, a jego potężny profil przypominał profil głowy Cezara na starożytnych monetach rzymskich. Atoli jego pochodzenie wyprowadzano od Niemców, Szkotów i Anglików, co z niejaką domieszką krwi duńskiej i francuskiej wyposażało go temperamentem purytanina i nienasyconą wyobraźnią zdobywcy. Nie krępował się zupełnie w stosunku do swego gościa, ponieważ miał on gorące poparcie z Europy i ponieważ pomysły, niezgodne z rozumem, zwykły podobać się powadze i stanowczości, bez względu na koniec, do jakiego prowadzą.

— Rząd costaguański wyciągnie rękę po całą jej wartość; wspomni pan moje słowa, Mr. Gould! Bo i czem jest Costaguana? Bezdenną otchłanią pożyczek na 10 procent i innych, równie dowcipnych inwestycyj. Europejczycy przez długie lata rzucali w nią swe kapitały obiema rękami. Ale my nie. Znamy ten kraj już dość dobrze, by mieć się na baczności. Możemy siedzieć i czekać. Przyjdzie jużcić czas, że tam wtargniemy. Jesteśmy gotowi. Ale niema pośpiechu. Sam czas jest na usługach największego kraju w całym Bożym świecie. Naszem posłannictwem jest dać niejedno światu: przemysł, handel, prawo, dziennikarstwo. sztukę, politykę i religję, od przylądka Horna po cieśninę Smitha i dalej, hen w kierunku bieguna północnego. A zczasem zagarnie się postronne wyspy

i lądy ziemskie. Weźmiemy sprawy świata w ręce bez względu na to, czy to światu się spodoba lub nie. Nic na to nie poradzi — a my od swego nie odstąpimy. Tak sądzę.

Swej wierze w posłannictwo dawał ujście w słowach, dostosowanych do swej inteligencji, niewyćwiczonej w wyrażaniu idei ogólnych. Inteligencja jego karmiła się faktami. Zaś Charles Gould, którego wyobraźnia pozostawała stale pod zaklęciem jednego wielkiego faktu, mianowicie kopalni srebra, temu jego poglądowi na przyszłość świata nie miał nic do zarzucenia. Jeżeli chwilowo go raził, to tylko dlatego, że to nagłe stwierdzenie tak rozległych możliwości unicestwiało niemal sprawę, która była na porządku dziennym. On i jego zamierzenia i wszystkie bogactwa kopalniane Prowincji Zachodniej wydały się mu nagle ogołoconemi ze wszystkich znamion wielkości. Wrażenie było niemiłe; ale Charles Gould nie był tępy. Czuł już, że się podoba; świadomość tego pochlebnego faktu pozwoliła mu zdobyć się na nieokreślony uśmiech, który jego gruby towarzysz wziął za uśmiech dyskretnego i pełnego podziwu uznania. Odwzajemnił się spokojnym uśmiechem. I w jednej chwili Charles Gould z tą lotnością umysłu, którą zwykli okazywać ludzie, broniący swych umiłowanych nadziei, zdał sobie sprawę, iż nader widoczna niepozorność jego zamierzeń może mu dopomóc do powodzenia. Jego osoba i jego kopalnia będą dobrze przyjęte, ponieważ są to rzeczy niewielkiej wagi dla człowieka, którego działalność miała na celu cały ogrom przeznaczenia. I Charles Gould nie czuł się upokorzonym tą myślą, gdyż jego sprawa nie postradała nic ze swego wielkiego znaczenia. Niczyje, najrozleglejsze nawet poglądy

na przeznaczenie nie mogły umniejszyć wartości jego dążeń do odbudowania kopalni San Tomé. W porównaniu z jasnością jego zamierzeń, określonych w przestrzeni i dających się osiągnąć w oznaczonym czasie, wielki finansista wydał mu się idealistą, marzycielskim i nie mogącym zaważyć na szali.

Otyły, dobrotliwy dostojnik spoglądał na niego w zamyśleniu. Wnet jednak przerwał milczenie, by rzucić uwagę, iż od koncesyj aż roi się w Costaguanie. Każdy poczciwina, który tamtejszej koncesji zapragnie, może ją uzyskać odrazu.

— Nasi konsulowie przejadają się niemi — ciągnął dalej z błyskiem jowjalnej wzgardy w oczach. — Sumiennemu, prawemu człowiekowi, który niczego nie traktuje byle jak i umie się połapać w ich intrygach, sprzysiężeniach i klikach, natychmiast wręczają pasporty. Cóż pan na to, Mr. Gould? *Persona non grata.* I to jest przyczyną, dla której nasz rząd nigdy nie jest należycie poinformowany. Trzeba jednak trzymać Europę zdala od tego lądu, a na nasze wmieszanie się jeszcze czas nie przyszedł; przynajmniej tak pozwalam sobie twierdzić. Ale my nie jesteśmy ani rządem tego kraju, ani pierwszymi lepszymi poczciwinami. Pańska sprawa przedstawia się korzystnie. *All right.* Głównem zagadnieniem naszem jest, czy drugi uczestnik, to znaczy, pan, zdoła poradzić sobie z trzecim i niepożądanym uczestnikiem, mianowicie z tą lub ową rozpanoszoną i potężną szajką łupieską, która będzie miała w rękach rządy Costaguany. Jak panu się zdaje, Mr. Gould, eh?

Pochylił się, patrząc uparcie w spokojne oczy Charles'a Goulda, który, wspomniawszy wielką szkatułę listów ojcowskich, nagromadzoną od wielu lat gorycz i wzgardę zawarł w tonie swej odpowiedzi:

— O ile chodzi o znajomość tych ludzi, ich metod i ich polityki, to mogę ręczyć za siebie. Karmiono mnie tą znajomością od lat chłopięcych. Nie jestem skłonny popadać w błędy z nadmiaru optymizmu.

— Nie jest pan skłonny, eh? To bardzo dobrze. Węch i wydęta wyniośle górna warga — oto, czego pan potrzebuje! I może pan nieco mydlić oczy potęgą swego przedsiębiorstwa. Ale nie zanadto. Nie opuścimy pana, dopóki wszystko będzie szło dobrze. Ale nie chcemy narażać się na większe kłopoty. Podejmę się tego eksperymentu. Nie jest on bez ryzyka, ale godzimy się na nie. Z chwilą jednak, gdy nie będzie pan mógł dać sobie rady, weźmiemy straty na siebie — i damy wszystkiemu pokój. Ta kopalnia może czekać... Pan wie, iż raz już była zasypana. Zapewne pan rozumie, iż żadną miarą nie będziemy marnowali dobrych pieniędzy na kiepskie interesy.

Tak mówił ów znakomity mąż w swem prywatnem biurze, w wielkiem mieście, gdzie inny człowiek (nader wybitny w pojęciu gawiedzi) oczekiwał z upragnieniem skinienia jego ręki. A kiedy, w jakiś rok później, pojawił się nieoczekiwanie w Sulaco, dał jeszcze silniejszy wyraz swej nieustępliwości ze swobodą szczerości, na jaką mu pozwalały jego wpływy i bogactwa. Być może, że przyszło mu to tem łatwiej, iż odbyta kontrola, zaś przedewszystkiem sposób, w jaki posuwała się stopniowo rozbudowa przedsiębiorstwa, obudziły w nim przeświadczenie, iż Charles Gould zdoła sprostać zadaniu.

— Ten młodzieniec — pomyślał — może zczasem stać się potęgą w tym kraju.

Ta myśl była mu przyjemna, gdyż to, co dotych-

czas powiadał swym przyjaciołom o tym młodzieńcu, brzmiało następująco:

— Mój szwagier poznał go w pewnem starożytnem mieście niemieckiem, leżącem w okręgu górniczym, i przysłał go do mnie z listem. Pochodzi on z Gouldów costaguańskich, czystej krwi Anglików, ale zrodzonych już w tym kraju. Stryj jego wmieszał się w sprawy polityczne, był ostatnim prezydentem prowincjonalnym Sulaca i został rozstrzelany po przegranej bitwie. Ojciec jego był wybitnym *businessmanem* w S-ta Marta, chciał wyzwolić się z matactw politycznych i umarł, zrujnowany zmiennemi kolejami rewolucyj. Cała historja Costaguany w łupinie orzecha!

Jużcić był nazbyt wielkim człowiekiem, by o jego pobudki mieli pytać nawet najbliżsi. Światu wolno było podziwiać kornie ukryte znaczenie jego działalności. Był tak wielkim człowiekiem, iż jego szczodry patronat nad „czystszemi formami chrześcijaństwa“ (które przejawiało się naiwnem fundowaniem kościołów ku uciesze Mrs. Gould) uchodził śród jego ziomków za objaw pokory i pobożności. Natomiast w własnych jego sferach świata finansowego na jego przystąpienie do takiego przedsiębiorstwa, jak kopalnia San Tomé, zapatrywano się wprawdzie z uznaniem, ale nie bez tajonej wesołości. Był to kaprys wielkiego człowieka. W gmachu Holroyda (olbrzymim stogu żelaza, szkła i ciosu, położonym na zbiegu dwu ulic i zasnutym u szczytu promienistą tkanką drutów telegraficznych) naczelnicy głównych departamentów wymieniali między sobą żartobliwe spojrzenia, które miały oznaczać, iż nie są dopuszczeni do tajemnicy przedsiębiorstwa San Tomé. Przesyłki pocztowe z Costaguany (niezbyt obfite — ograniczające się do jednej, średnio ciężkiej

koperty) odsyłano nieotwarte wprost do pokoju wielkiego człowieka, skąd nigdy nie otrzymywano polecenia, żeby je załatwić. Urzędnicy szeptali sobie na ucho, iż odpowiadał osobiście, nie dyktując nikomu, lecz pisząc własnoręcznie piórem i atramentem. Przypuszczano nawet, iż sam kopjował swe listy w kopjale prywatnym, niedostępnym dla oczu zwykłych śmiertelników. Niektórzy złośliwi młodzieńcy, spełniający podrzędne czynności w jedenastopiętrowym warsztacie wielkich interesów, wypowiadali otwarcie swe osobiste zdanie, iż ich znakomity szef palnął wreszcie głupstwo i czuł się zawstydzonym swym nierozumem. Inni, starsi i mało znaczni, lecz pełni romantycznej czci dla interesów, co pochłonęły najlepsze ich lata, przebąkiwali niejasno i przenikliwie, że jest to zapowiedź wielkiej wagi, że spółka Holroyda zamierza zagarnąć niezwłocznie całą Rzeczpospolitą Costaguańską ze wszystkiemi dobrodziejstwami inwentarza. Wszelako przypuszczenie, iż była to tylko chimeryczna zachcianka, okazało się najsłuszniejszem. Wielki człowiek zapragnął zaznajomić się osobiście z kopalnią San Tomé; zapragnął tem goręcej, iż zachcianka ta zmierzała do pierwszych, zupełnych wywczasów, na jakie zamierzał sobie pozwolić od bardzo wielu lat. Nie chodziło mu o wielkie przedsiębiorstwo, o jakąś budowę kolei czy spółkę przemysłową. Chodziło mu o człowieka! Dogadzałoby mu wielce powodzenie, wynikające z nowego, orzeźwiającego źródła; ale z drugiej strony poczuwał się do obowiązku umycia rąk od wszystkiego za pierwszą oznaką niepomyślną. Człowieka można się pozbyć. Dzienniki na nieszczęście roztrąbiły po całym kraju wiadomość o jego podróży do Costaguany. Wyrażając uznanie dla drogi, obranej

przez Charles'a Goulda, przyrzekał pomoc, ale nie szczędził cierpkich ostrzeżeń. Na jakieś pół godziny przed swym wyjazdem, kiedy, trzymając kapelusz w ręce, miał już zejść na *patio*, by wsiąść do powozu, zaprzęgniętego białemi mułami, tak jeszcze się odezwał w pokoju Charles'a:

— Niech pan idzie swoją drogą i tak długo liczy na moją pomoc, jak długo będzie umiał pan sobie radzić. Ale niech pan będzie pewny, iż w razie potrzeby będziemy wiedzieli, jak w porę pozbyć się pana.

Na to jedyną odpowiedzią Charles'a Goulda były słowa:

— Proszę możliwie najrychlej przysyłać maszyny!

A wielkiemu człowiekowi podobała się ta niewzruszona pewność siebie. Tajemnica jej polegała na tem, iż Charles Gould lubował się w takich bezwzględnych określeniach. Były niemniej stanowcze od przeświadczenia, jakie urobił sobie o kopalni w swych chłopięcych latach. Wszystko zależało tylko od niego. Rzecz była wielkiej wagi, to też przystępował do niej z zaciętością.

Przechadzając się z żoną po korytarzu pod gniewnem okiem papugi, opowiadał jej o swej rozmowie z swym niedawnym gościem i zauważył:

— Oczywiście taki człowiek może podźwignąć sprawę lub jej zaniechać wedle swego widzimisię. Nie pogodziłby się z myślą o porażce. Może dać za wygraną lub jutro umrzeć, ale wielkie przedsiębiorstwa srebrne i żelazne go przeżyją i przyjdzie dzień, że opanują Costaguanę i resztę świata.

Przystanęli wpobliżu klatki. Papuga, podchwyciwszy dźwięk wyrazu, należącego do jej słownika, uważała

za potrzebne się wtrącić. Papugi są bardzo towarzyskie.

— *Viva Costaguana!* — wrzasnęła z ogromną stanowczością i wraz nastrzępiwszy swe pióra, przybrała wygląd napuszonej senności za rozmigotanemi drutami klatki.

— A czy ty w to wierzysz, Charley? — spytała Mrs. Gould — Dla mnie jest to najkrańcowszy materjalizm i...

— To mnie nie obchodzi — przerwał jej mąż przekonywającym tonem. — Posługuję się wszystkiem, co mi pod rękę się nawinie. Nie moją jest rzeczą orzekać, czy jego gadanina jest głosem przeznaczenia czy też przejawem tuzinkowej wymowy. W obu Amerykach słyszy się często jedno i drugie. Widocznie atmosfera Nowego Świata sprzyja sztuce krasomówczej. Czy nie pamiętasz, jak nasz kochany Avellanos potrafi tu gadać całemi godzinami?...

— Oh, to co innego! — zaprzeczyła Mrs. Gould, niemal urażona. Przymówka nie była na miejscu. Don José był kochanym, zacnym człowiekiem, który mówił bardzo dobrze i rozprawiał z zapałem o kopalni San Tomé. — Jak ty możesz ich porównywać? — zawołała z wyrzutem. — On cierpiał, a jednak nie traci nadziei.

Uzdolnienia czynne — o których zresztą nie powątpiewała — bywały zawsze dla Mrs. Gould wielką niespodzianką u ludzi, zauważyła bowiem, iż niejednokrotnie, kiedy chodziło o najoczywistsze wnioski, okazywali oni osobliwą tępotę.

Charles Gould z zatroskanym spokojem, który zapewnił mu znów serdeczną tkliwość żony, zaręczył, iż nie miał zamiaru porównywać. Bądź co bądź sam

był Amerykaninem i w niejakiej mierze mógł zdawać sobie sprawę z obu rodzajów wymowy — gdyby nie szkoda było na to czasu — dodał z goryczą. On atoli oddychał powietrzem angielskiem dłużej niż ktokolwiek z jego rodziny od trzech pokoleń, więc zasługuje może na uniewinnienie. Jego biedny ojciec mógł również być wymownym. I zapytał żony, czy przypomina sobie ustęp z pewnego ojcowskiego listu, w którym Mr. Gould wyrażał przeświadczenie, „iż widocznie Bóg pogniewał się na tę ziemię, gdyż inaczej zesłałby przez jaką szczelinę bodaj promyk nadziei w te potworne mroki intryg, krwiożerczości i zbrodni, co zaległy nad królową lądów“.

Mrs. Gould nie zapomniała. — Czytałeś mi to, Charley — szepnęła. — Wstrząsnęło mną to zdanie. Jak głęboko musiał twój ojciec odczuwać jego okropność.

— Nie chciał być ofiarą rozboju. Doprowadzało go to do rozpaczy — rzekł Charles Gould. — Ale jego obrazowe powiedzenie da się wcale nieźle zastosować. Trzeba nam tu prawa, rzetelności, porządku, bezpieczeństwa. Niechaj inni deklamują sobie o tych sprawach, ja pokładam ufność w interesach materjalnych. Gdy staną mocno na nogach, będą musiały wytworzyć warunki, od których jedynie zależy dalsze ich istnienie. Oto dlaczego groszoróbstwo znajduje usprawiedliwienie wobec tutejszego nierządu i bezprawia. Usprawiedliwia je to, iż bezpieczeństwo, którego wymaga, staje się udziałem uciemiężonego ludu. Lepszy rodzaj sprawiedliwości nastąpi później. Na tem polega ów promyk nadziei. — Ramię jego zacisnęło się na chwilę silniej dokoła jej smukłych kształtów. — I kto wie, czy kopalnia San Tomé nie stanie się w tem

znaczeniu ową szczeliną w ciemnościach, o której mój biedny ojciec powątpiewał, czy kiedy ją zobaczy.

Spojrzała na niego z podziwem. Był powołany do dzieła. Stwarzał formę, co mogła pomieścić nieokreśloność jej niesamolubnych ambicyj.

— Charley — rzekła — jesteś przedziwnie nieposłuszny.

Nagle pozostawił ją samą na korytarzu i poszedł po swój kapelusz, miękki, szary *sombrero*, który aczkolwiek stanowił cząstkę stroju narodowego, mimo to nadspodziewanie dobrze licował z jego angielskim wyglądem. Po chwili ukazał się znowu, dzierżąc szpicrutę pod pachą i zapinając swe grube rękawice. Twarz jego odzwierciedlała stanowczość jego myśli. Żona oczekiwała go u schodów. Zanim ucałował ją na pożegnanie, dokończył rozmowy:

— To jedno jest rzeczą pewną, iż cofnąć się już nie możemy. Czyż podobna zaczynać życie na nowo? Postawiliśmy na tę kartę całe swe istnienie.

Pochylił się nad jej odwróconą twarzą z wielką słodyczą i jakby ze skruchą. Charles Gould był powołany do dzieła, gdyż nie poddawał się złudzeniom. O koncesję Gouldów trzeba było walczyć na śmierć i życie taką bronią, jaką można było znaleźć w kałuży zepsucia, co było tak powszechne, iż postradało niemal swe znaczenie. Był gotów sięgnąć po tę broń. Przez chwilę doznawał wrażenia, jakgdyby ta kopalnia srebra, co zabiła jego ojca, wabiła go dalej, niż pójść zamierzał, i poddając się rozlewnej logice wrażeń, czuł, że dostojeństwo jego życia zależy od powodzenia. Cofać się już nie było można.

ROZDZIAŁ VII.

Mrs. Gould posiadała zbyt inteligentną zdolność odczuwania, żeby nie podzielać tego uczucia. Stanowiło ono podnietę życiową, a nazbyt była kobietą, żeby miała nie lubić podniet. Ale trwożyła się też nieco; a kiedy Don José Avellanos, kołysząc się w amerykańskim fotelu, zapędzał się tak daleko, iż powiadał: — A gdyby nawet, mój drogi Carlosie, ci się nie powiodło, gdyby jakiś złowrogi wypadek zniszczył twe dzieło, to jednak zasłużyłbyś się ojczyźnie — Mrs. Gould podniosła oczy od zastawy stołowej i wpatrywała się przenikliwie w swego męża, obracając łyżeczką w filiżance, jakgdyby poto, żeby tych słów nie dosłyszał.

Zresztą Don José nie miał podobnych przypuszczeń na myśli. Nie mógł dość się nachwalić taktu i odwagi drogiego Carlosa. Jego angielskie, twarde jak skała właściwości charakteru, były najlepszą rękojmią. Tak utrzymywał Don José, poczem zwracając się do Mrs. Gould z poufałością, na jaką mu pozwalał podeszły wiek i dawna zażyłość, dodawał: — Jeżeli zaś chodzi o ciebie, Emiljo, moja duszyczko, to jesteś taką szczerą patrjotką, jakgdybyś się urodziła śród nas.

Mogło to być mniej lub więcej prawdą. Mrs. Gould, jeżdżąc z mężem po całej prowincji w poszukiwaniu

robotników, przyglądała się uważniej temu krajowi, niżby to uczyniła urodzona *Costaguanera*. W podniszczonej amazonce, z twarzą, okrytą białym kurzem niby warstwą gipsu i przysłoniętą małą, jedwabną maską przed upalnem słońcem, podróżowała na kształtnym, lekkonogim kłusaku w otoczeniu nielicznego grona. Dwu *mozów de campo* [1]), w malowniczych, wielkich kapeluszach, z ostrogami u bosych pięt, w białych, wyszywanych *calzonetach* [2]), skórzanych kurtkach i pasiastych *ponchach*, przewiesiwszy karabiny przez plecy, gnało na złamanie karku, kołysząc się miarowo na swych koniach. *Tropilla* [3]) mułów jucznych tworzyła straż tylną, pozostającą pod nadzorem szczupłego, śniadego mulnika, co siedział na swym kłapouchym człapaku bardzo blisko zadu, wyciągnąwszy daleko nogi ku przodowi, a szeroka kresa jego kapelusza, tworzyła jakby otok dokoła jego głowy. Na komendanta i organizatora tej wyprawy polecił Don José starego oficera costaguańskiego, wysłużonego majora, który wprawdzie nie mógł poszczycić się szlachetnem pochodzeniem, lecz mimo to był w łaskach u najznakomitszych rodów, gdyż należał do *blancos*. Końce siwych wąsów zwisały mu znacznie poniżej brody. Jadąc obok Mrs. Gould, rozglądał się dokoła dobrotliwemi oczyma, zwracał uwagę na właściwości okolicy, wyszczególniając po nazwaniu małe *pueblos* [4]), *estates* [5]) i *haciendas* [6]), co na podobieństwo wydłużonych warowni wieńczyły wzgórza, wznosząc się nad doliną Sulaca. Pełna zieleni łanów, łęgów i zagajników, błyskająca zwierciadłami wód, roztaczała się ona na podobieństwo parku od błękitnych oparów dalekiej *Sierry*

---

[1]) Parobek. [2]) Spodnie. [3]) Stadko. [4]) Wioski. [5]) Folwarki. [6]) Dwory.

aż po niezmierną pogodę widnokręgu, uciekającego w głąb przestworów i błękitów, gdzie wielkie, białe obłoki zdawały się zwolna zapadać w pomrok swych własnych cieni.

Ludzie orali drewnianemi pługami, ciągnionemi przez woły, co gubiły się śród ogromu przestrzeni, jakgdyby pochłaniane przez nieskończoność. Konne postacie *vaquerów* przemykały w oddali. Rogate łby wielkich stad pasącego się bydła zlewały się skroś rozległych *portrerów* [1]) w jedną, rozfalowaną linję. Rosochate drzewo bawełniane ocieniało słomianą strzechę *ranchy* [2]) przydrożnej. Wlekli się długim uznojonym szeregiem obarczeni ciężarami Indjanie, co zdejmowali kapelusze i wznosili swe smutne oczy ku podróżnym, wzbijającym kurz na rozsypującej się *camino real*, zbudowanej ongi rękami ich ujarzmionych praojców. I z każdym dniem podróży zdawało się Mrs. Gould, że wnika coraz głębiej w duszę tego kraju, że dokonywa straszliwego odkrycia jego wnętrza, niedotkniętego lekką, europejską powłoką miast pobrzeżnych, że ten wielki przestwór równin i gór pełen jest ludu cierpiącego i milczącego, zakrzepłego w bolesnem i cierpliwem oczekiwaniu przyszłości.

Poznała krajobrazy tej ziemi i jej gościnność, udzielaną z ospałą jakby godnością w wielkich dworach, o długich, ślepych ścianach i potężnych portykach, otwierających się na wietrzne pastwiska. Zajmowała pierwsze miejsce przy stołach, do których państwo i czeladź zwykli zasiadać razem z patrjarchalną prostotą. Zdarzało się jej rozmawiać z paniami tych domów na podwórzach, gdzie drzewa pomarańczowe

---

[1]) Pastwiska. [2]) Chata.

pławiły się w miesięcznej poświacie. Czarowała ją słodycz ich głosów i jakby jakaś tajemniczość ich spokojnego bytowania. Rankiem panowie, w plecionych *sombrerach* i suto haftowanych strojach, wsiadali na swe rumaki, połyskujące od srebrnych świecideł, i odprowadzali odjeżdżających gości aż do słupów granicznych swych majątków, gdzie żegnali ich z powagą i polecali opiece Boskiej. We wszystkich tych dworach żyły wspomnienia ucisku politycznego; opowiadano jej o krewnych i znajomych, zrujnowanych, uwięzionych, poległych w niedorzecznych wojnach domowych lub wyjętych z pod prawa i okrutnie straconych, jakgdyby rządy w państwie były igraszką głupkowatych djabłów, których wypuszczono na kraj, odziawszy w mundury, uzbroiwszy w szable i górne frazesy. I ze wszystkich ust przemawiało umęczone pragnienie pokoju oraz lęk przed światem urzędniczym wraz z jego upiorną parodją administracji bez prawa, bezpieczeństwa publicznego i sprawiedliwości.

Podróżowała całe dwa miesiące i zniosła tę podróż bardzo dobrze; okazywała wielką odporność na trudy, którą ze zdziwieniem dostrzega się niekiedy u pozornie wątłych kobiet — jakgdyby wyposażonych szczególniejszą mocą ducha. Don Pépé, stary oficer costaguański, niepokoił się zrazu wielce o to chuchro, lecz później jął ją nazywać „niestrudzoną seniorą“. Jakoż Mrs. Gould istotnie stała się *Costaguanerą*. Zapoznawszy się w Europie południowej z rzetelnem włościaństwem, była w możności ocenić wielką wartość ludu. Pod powłoką milczącego zwierzęcia roboczego o smutnych oczach dostrzegała człowieka. Widywała ich, jak na drogach uginali się pod ciężarami lub samotnie pracowali śród równin w wielkich, słomkowych ka-

peluszach i trzepoczących na wietrze płótniankach. Zapamiętywała sobie wsie wedle gromadek kobiet indyjskich, stojących u studni, lub wedle melancholijnych i zmysłowych rysów dziewcząt indyjskich, co podnosiły gliniane naczynia, napełnione zimną wodą u drzwi ciemnych chat z drewnianemi sionkami, w których stały wielkie, brunatne dzbany.

Potężne koła drewniane wozów, których dyszle nurzały się w kurzu, były dziełem siekiery. Węglarze, z których każdy umieszczał swe brzemię tuż nad swą głową na niskim, glinianym murze, układali się rzędem do snu w smudze cienia.

Ogromne, kamienne sklepy mostów i kościołów, co pozostały po zdobywcach, świadczyły o nieposzanowaniu ludzkiego znoju, o niewolniczej pracy wytępionych narodów. Wszechwładza królów i Kościoła wprawdzie minęła, ale na wzgórzach, co wystrzelały śród niskich, glinianych lepianek wiejskich, wciąż jeszcze widniały potężne zwały ruin. Na ich widok Don Pépé przestawał opowiadać o swych wyprawach wojennych i wzdychał:

— Biedna Costaguano! Dawniej byłaś wszystkiem dla *Padrów*, a niczem dla ludu; teraz jesteś wszystkiem dla tych polityków ze Santa Marta, dla murzynów i złodziei!

Charles rozmawiał z *alcadami*, z urzędnikami skarbowymi, z radcami miejskimi i z szlachtą wiejską. Komendanci okręgów ofiarowywali mu eskorty — gdyż mógł się wykazać upoważnieniem ówczesnego wielkorządcy ze Sulaca. Ile złotych dwudziestopięciodolarówek kosztował go ten dokument, to miało pozostać tajemnicą między nim a wielkim człowiekiem ze Stanów Zjednoczonych (który raczył odpisywać

własnoręcznie na listy ze Sulaca) i jeszcze innym wielkim człowiekiem, o ciemnej, oliwkowej cerze i chytrych oczach, który rezydował wtedy w pałacu *Intendencii* w Sulaco i chełpił się swą kulturą i europejskością we francuskim stylu, gdyż spędził kilka lat w Europie — na wygnaniu, jak powiadał. Było jednak powszechnie wiadomo, iż przed owem wygnaniem zdarzyło się mu nieopatrznie przegrać całą gotówkę Urzędu Cłowego w pewnym niewielkim porcie, gdzie dzięki poparciu wpływowego przyjaciela piastował godność poborcy. Ta młodzieńcza nieopatrzność naraziła go na niejakie nieprzyjemności i uczyniła zeń na czas jakiś kelnera w kawiarni madryckiej; ale widocznie odznaczał się wielkiemi zdolnościami, skoro z taką chwałą powrócił na widownię polityczną. Charles Gould, wyłuszczając swą sprawę z niewzruszonym spokojem, tytułował go ekscelencją.

Dostojnik prowincjonalny przybrał wyraz znudzonej wyższości, kołysząc się w swym fotelu koło otwartego okna na sposób iście costaguański. Zdarzyło się, iż orkiestra wojskowa rzępoliła właśnie na placu urywki z oper, więc podniesioną ręką dwukrotnie nakazywał milczenie, by wysłuchać ulubionej melodji.

— Znakomicie, rozkosznie! — bełkotał, nie zważając, iż Charles Gould stoi i czeka z niepojętą cierpliwością. — *Lucia, Lucia di Lammermoor!* Namiętnie lubię muzykę. Zachwyca mnie! Ach, to boskie — ach, to Mozart! *Si*, boskie!.., O czem to pan mówił?

Rzecz prosta, iż pogłoski o zamiarach przybysza dotarły już do jego uszu. Ponadto otrzymał ostrzeżenie urzędowe ze S-ta Marta. Chodziło mu poprostu o to, by nie wydał się ze swą ciekawością i wywarł wrażenie na gościu. Skoro jednak w otwartej szufla-

dzie stojącego opodal, wielkiego biurka dostrzegł coś, czego przedtem tam nie było, stał się niezmiernie uprzejmym i powrócił śpiesznie na swój fotel.

— Jeżeli pan zamierza budować wioski i osadzać ludność dokoła kopalni, to trzeba będzie się postarać o pozwolenie Ministra Spraw Wewnętrznych — doradzał w formie urzędowej.

— Podanie już wysłałem — rzekł niezachwiany Charles Gould — i liczę obecnie z całą ufnością na przychylną odpowiedź ekscelencji.

Ekscelencja był człowiekiem niestałego umysłu. Otrzymawszy łapówkę, doznał wielkiej lubości w swej niezłożonej duszy. Nadspodziewanie wydał głębokie westchnienie.

— Ach, Donie Carlosie! Czego tu trzeba, w tej prowincji, to takich postępowych ludzi jak pan! Zastój — zastój u tych arystokratów! Nie mają zmysłu społecznego! Nie mają przedsiębiorczości! Poczyniwszy głębokie studja w Europie, chciałbym... rozumie mnie pan?

Z ręką na wypiętej piersi podnosił się i opadał na palcach i przez jakieś dziesięć minut, z zapartym tchem starał się narzucić intelektualnie Charles'a Goulda grzecznemu milczeniu; kiedy zaś ustał nagle i obsunął się znowu w swój fotel, wyglądał, jakgdyby go odparto od jakiejś warowni. By nie uczynić ujmy swej godności, odprawił śpiesznie milczącego gościa dostojnem skinieniem głowy i słowami, pełnemi oprywliwej, znużonej wyniosłości:

— Może pan polegać na mej światłej przychylności, o ile nie będzie pan się rozmijał z obowiązkami dobrego obywatela.

Wziął do ręki papierowy wachlarz i jął się nim

chłodzić z wielce urzędową miną. Kiedy jednak Charles Gould skłonił się i wyszedł, opuścił natychmiast wachlarz. Miał na twarzy wyraz zdziwienia i zakłopotania, patrząc przez czas jakiś na zamknięte drzwi. Wkońcu ruszył ramionami, jakby chciał się utwierdzić w swem lekceważeniu. Chłodny, nieruchawy. Bez inteligencji. Rude włosy. Prawdziwy Anglik. Uczuł do niego odrazę.

Twarz mu pociemniała. Co oznaczało to obojętne i chłodne zachowanie? Był pierwszym z polityków, wysłanych ze stolicy dla zawiadywania Prowincją Zachodnią, którego postępowanie Charles'a Goulda w stosunkach urzędowych dotknęło obraźliwą niezależnością.

Charles Gould był zdania, iż o ile pozory, jakoby przysłuchiwał się idjotycznym bzdurom, mogły jeszcze wchodzić w skład łapówki, za którą miano mu oszczędzić niemiłych nagabywań, o tyle obowiązek popisywania się samemu podobną gadaniną już do niej nie należał. Przyjął pewien sposób postępowania. Dla satrapów prowincjonalnych, przed którymi zwykły truchleć wszystkie warstwy spokojnej ludności, powściągliwość tego angielskiego inżyniera była wielce nie na rękę, więc wahali się między uniżonością a gburowatością. Wkońcu przekonali się wszyscy, iż bez względu na stronnictwo, które stało u władzy, pozostawał on zawsze w najściślejszych stosunkach ze sferami rządzącemi w S-ta Marta.

Było to pewnikiem z niemałą korzyścią dla Gouldów, którzy bynajmniej nie byli tacy bogaci, jak inżynier naczelny nowej kolei mógł słusznie przypuszczać. Idąc za radą Dona Joségo Avellanosa, który był człowiekiem rozumnym (acz zalęknionym okrop-

nemi wspomnieniami z czasów Guzmana Benty), Charles Gould nie gromadził kapitałów. Mimo to w plotkach potocznych rezydentów cudzoziemskich (poczęści poważnie, a poczęści ironicznie) był zwany „królem Sulaca“. O pewnym adwokacie trybunału costaguańskiego, człowieku, znanym ze zdolności i prawości, a przytem należącym do znakomitej rodziny Moragów, posiadającej rozległe włości w dolinie Sulaca, powiadano z domieszką poszanowania i tajemniczości, iż jest agentem kopalni San Tomé — rozumie się, „politycznym“. Był rosły, miał czarne bokobrody i słynął ze swej skrytości. Wiedziano powszechnie, iż ma łatwy dostęp do ministrów i że wielu generałów costaguańskich bywa chętnie u niego na obiadach. Prezydenci bez trudu udzielali mu posłuchania. Pozostawał w ożywionej korespondencji ze swym wujem, Donem Josém Avellanosem, ale swe listy, o ile nie były zdawkowym przejawem powinnego uszanowania, rzadko powierzał poczcie costaguańskiej. Otwierano je bowiem naogół z nieskrępowanym i czelnym bezwstydem, charakterystycznym dla niektórych rządów południowo-amerykańskich. Trzeba jednakże nadmienić, iż mulnik, którym posługiwał się Charles Gould w swych pierwszych wycieczkach po równinach, mniej więcej w tym czasie, kiedy nastąpiło ponowne otwarcie kopalni San Tomé, przyłączył swe niewielkie stadko zwierząt jucznych do nikłego ponika ruchu handlowego, co przełęczami górskiemi przenikał z płaskowyżu S-ta Marta do doliny Sulaca. Tym stromym i niebezpiecznym szlakiem rzadko kto podróżował, o ile nie zachodziły wyjątkowe okoliczności, zaś stan handlu wewnątrz kraju nie wymagał widocznie dodatkowych ułatwień przewozowych; mimo to ów

mulnik zdawał się nieźle wychodzić na swem zajęciu. Trochę pakunków zawsze jakoś się znalazło, gdy miał wyruszać w drogę. Bardzo suchy i śniady, w portkach z koziej skóry, wywróconej włosem nazewnątrz, sadowił się na swym rączym mule blisko jego zadu, zasłaniał się swym wielkim kapeluszem od słońca i z wyrazem błogiego próżniactwa na wydłużonej twarzy podśpiewywał sobie całemi dniami żałośnie jakieś piosnki miłosne, lub nie zmieniając w niczem swego wyglądu, przynaglał wrzaskiem swą małą *tropillę*, idącą przodem. Niewielka, krągła gitara zwieszała się mu z pleców, zaś w jednem z jego drewnianych siodeł znajdował się artystycznie wydrążony otwór, w który można było włożyć mocno zwinięty papier, poczem zatkać ten otwór drewnianym kołkiem i zgrzebne płótno, co stanowiło powłokę siodła, przybić gwoździkami na nowo. Kiedy był w Sulaco, całemi dniami (jakby nie miał nic lepszego do roboty) smoktał papierosy lub wylegiwał się na ławie kamiennej, co stała przed bramą *Casy Gould*, nawprost okien domu Avellanosa. Przed laty matka jego była pierwszą praczką w tym domu — nadzwyczaj biegłą w prasowaniu sztywnej bielizny. On sam przyszedł na świat w jednej z *haciend* Avellanosów. Miał na imię Bonifacio. Don José, idąc do *Donii* Emilji na zwykłą, popołudniową wizytę, zawsze odpowiadał na jego pokorny ukłon skinieniem ręki lub głowy. Odźwierni obu domostw gawędzili z nim leniwie tonem wielkiej zażyłości. Wieczory spędzał na grze lub zabawiał się po pańsku i wesoło z dziewczętami *peyne d'oro* [1]) w najodleglejszych zaułkach miasta. Ale był również człowiekiem bardzo dyskretnym.

[1]) Ze złotemi grzebykami we włosach.

ROZDZIAŁ VIII.

Kto dla ciekawości lub interesu bywał w Sulaco przed wypuszczeniem pierwszego pociągu, ten zapewne pamięta, jaki zbawienny wpływ wywarła kopalnia San Tomé na życie tej zabitej deskami prowincji. Wygląd zewnętrzny jeszcze wówczas się nie zmienił, jak to nastąpiło później, kiedy tramwaje jęły krążyć po ulicy Konstytucji, kiedy w głąb kraju rozbiegły się gościńce, hen, ku Rincon i do innych wsi, gdzie kupcy cudzoziemscy i *Ricos* posiadają nowoczesne wille, i kiedy zbudowano ogromne magazyny kolejowe w pobliżu portu, który otrzymał ulicę przybrzeżną, długi rząd składów towarowych i najzupełniej swoiste, nie byle jak zorganizowane zaburzenia robotnicze.

Nikt przedtem nie słyszał o zaburzeniach robotniczych. Robotnicy portowi tworzyli krnąbrne bractwo wszelkiej hołoty. Bractwo to miało swego świętego patrona. Zwykli byli strajkować każdego dnia, kiedy odbywały się walki byków, zaś tego rodzaju zaburzeń nawet wielka powaga Nostroma nie była zdolna powściągnąć dość skutecznie. Ale nazajutrz po takiej *fiescie* [1]), kiedy śniegi Higueroty jarzyły się blado

---

[1]) Uroczystość.

nad miastem na czarnem jeszcze niebie, a przekupki indyjskie nie zdążyły jeszcze pootwierać na *plazy* swych uplecionych z łyka parasoli, pojawienie się widziadlanego jeźdźca na siwej klaczy rozstrzygało niezawodnie o problemacie pracy. Klacz jego człapała po błotnistych uliczkach i porośniętych chwastami podwórkach czarnych i nieoświetlonych chat, co, okolone murami starej warowni wyglądały jak stajnie lub jak psie budy. Jeździec łomotał kolbą ciężkiego rewolweru do drzwi niskich *pulperij* [1]), ohydnych lepianek, przypartych do zwalisk wyniosłych ścian, lub kołatał do drewnianych ścian kletek, tak wątłych, iż w przerwach między potężnemi rozhukami jego uderzeń dolatywały z wewnątrz szmery chrapania i sennego mamrotania. Nie opuszczając siodła, jeździec wołał groźnie po imieniu i powtarzał wołanie. Zaspane głosy — opryskliwe, pojednawcze, dzikie, żartobliwe lub błagalne — odzywały się z wnętrza i rozlegały się śród mrocznej ciszy, co spowijała jeźdźca, a po chwili ciemna postać ukazywała się, chrząkając, w zamierzchu powietrznym. Niekiedy niski głos kobiecy zaszczebiotał z wnęki okiennej:

— Zaraz idzie, *senior!* — a jeździec czekał w milczeniu na nieruchomym koniu. Ale jeżeli zdarzyło się mu zejść z siodła, to po chwili z drzwi takiej kletki lub *pulperii*, śród dzikich podrygów i zdławionych klątw, wylatywał *cargador* głową naprzód i toczył się pod przednie kopyta siwej klaczy, co tylko strzygła bystro swemi drobnemi uszkami. Była przyzwyczajona do podobnych widowisk; zaś potrącony stawał na nogi i usuwał się śpiesznie z przed

---

[1]) Szynk.

rewolweru Nostroma, zataczając się zlekka po drodze i klnąc pod nosem. Kapitan Mitschell, który o wschodzie słońca miał zwyczaj pojawiać się w nocnym stroju na drewnianym balkonie, przebiegającym wzdłuż całego budynku T. O. Ż. P., widział, że statki przewozowe już są w drodze i że robotnicy krzątają się pilnie koło żórawi ciężarowych. Zdarzało mu się nawet słyszeć nieocenionego Nostroma, który, zsiadłszy z konia, w kraciastej koszuli i czerwonym pasie żeglarzy śródziemnomorskich, grzmiącym głosem wydawał z końca pomostu rozkazy. Co za człowiek!

Materjalne przejawy udoskonalonej cywilizacji, zacierającej indywidualności starych miast stereotypowemi urządzeniami nowoczesnego życia podówczas jeszcze nie wtargnęły. Wszelako nader nowoczesna w swej istocie działalność kopalni San Tomé jęła już wywierać swój subtelny wpływ na zgrzybiałą odwieczność Sulaca, gdzie domy, ozdobione stiukami, mają zakratowane okna i gdzie z poza posępnej zieleni cyprysów wyzierają ogromne, żółtawobiałe ściany opustoszałych klasztorów. Zmienił się również zewnętrzny wygląd ciżby, co w uroczyste dni tłoczyła się na *plazy* przed otwartemi podwojami katedry, gdyż pojawiło się mnóstwo białych *ponchos* z zielonem obszyciem, co stanowiły odświętny strój górników ze San Tomé. Jęli oni również nosić białe kapelusze z zielonemi wstążkami i takież naramienniki. Te części stroju, w przednim zresztą gatunku, nabywali za bezcen w magazynach administracji. Spokojny *Chulo*, noszący te barwy (niezwyczajne w Costaguanie), nader rzadko bywał do nieprzytomności pobity z powodu nieposzanowania, okazanego policji miejskiej. Nie narażał się również na niebezpieczeństwo, iż po drodze

zostanie pojmany na *lasso* przez *lancerów*, połowiających rekruta. Ta metoda zaciągania ochotników do wojska uchodziła za najzupełniej prawną w Rzeczypospolitej. Wiadomo było powszechnie, iż całe wsie werbowano w ten sposób do armji, na co Don Pépé, wzruszając beznadziejnie ramionami, powiadał do Mrs. Gould: — Cóż pani chce? Biedni ludzie! *Pobrecitos!* [1]) *Pobrecitos!* Ale państwo musi mieć żołnierzy.

Tak ze swego stanowiska zawodowego zapatrywał się na to rycerski Don Pépé, o obwisłych wąsach, orzechowobronzowej, szczupłej twarzy i twardo zarysowanych szczękach. Z wyglądu przypominał on konnego pastucha, co strzeże bydła na wielkich *Llanos* [2]) Południa. — Jeżeli *seniores* zechcą posłuchać starego oficera Paeza — tak zwykł był zaczynać swe przemowy w Klubie Arystokratycznym w Sulaco, do którego go dopuszczono w uznaniu zasług, jakie położył ongi w sprawie federacji. Klub ten, założony w epoce ogłoszenia niepodległości Costaguany, szczycił się, że wielu bojowników o wyzwolenie należało do grona jego założycieli. Znęcała się nad nim bez końca samowola różnych rządów. Członkowie jego bywali wyjmowani z pod prawa, a wkońcu padli nawet ofiarą gromadnej rzezi, zebrawszy się nieopatrznie na ucztę z polecenia gorliwego komendanta miejscowej załogi. Najnikczemniejszy motłoch odarł następnie ich zwłoki do naga i powyrzucał przez okna na *plazę*. Z nastaniem lepszych czasów rozkwitł on na nowo. Szczodrze użyczał cudzoziemcom gościnności w chłodnych, obszernych komnatach, położonych we frontowej części

---

[1]) Biedacy. [2]) Równina.

budynku, co był niegdyś siedzibą wysokiego dostojnika Stolicy Apostolskiej. Dwa inne skrzydła stały opuszczone, a za ich zabitemi na głucho podwojami dokonywała się zupełna ruina odwróconej ku bramie części tylnej. Przysłaniał ją zagajnik drzew pomarańczowych, co wybujały na niebrukowanem podwórzu. Wchodziło się tam z ulicy, jak do jakiegoś zaklętego sadu. Podnóża rozklekotanej klatki schodowej strzegł omszały posąg jakiegoś świętego biskupa w mitrze i z pastorałem. Pokornie znosił on ohydę utrąconego nosa, skrzyżowawszy na piersiach swe kształtne, kamienne ramiona. Czekoladowe twarze służby z czubami czarnych włosów spoglądały z góry. Łoskot kul bilardowych dolatywał do uszu, a kiedy weszło się po schodach, zaraz w pierwszej sali spostrzegało się zazwyczaj Dona Pépé, który w pełnem świetle sadowił się sztywnie na krześle o prostopadłem oparciu, poruszał swemi długiemi wąsami i na całą długość ramienia rozczytywał się w nienajświeższych dziennikach ze Santa Marta. Koń jego — jasnokoścista, lecz wytrzymała kara szkapa o łbie kształtu młota — drzemał nieruchomo na ulicy pod olbrzymiem siodłem, dotykając niemal nozdrzami skraju chodnika.

Don Pépé, o ile „wypełzł z gór“, jak brzmiało powiedzenie, używane często w Sulaco, bywał także w salonie *Casy Gould*. Ze skromnem poczuciem swej godności i niejaką powściągliwością zasiadał do stołu, przy którym podawano herbatę. Trzymając kolana blisko siebie i z dobroduszną jowjalnością łypiąc głęboko osadzonemi oczyma, wtrącał swe zwięzłe, ironiczne żarty do toku rozmowy. Była w tym człowieku jakaś zdrowa, ucieszna przebiegłość oraz żyłka szczerego człowieczeństwa, spotykana tak często u prostych, sta-

rych żołnierzy, co niejednokrotnie dowiedli swej odwagi w rozpaczliwych okolicznościach. Nie miał oczywiście pojęcia o górnictwie, ale jego zajęcie było specjalnego rodzaju. Miał nadzór nad ludnością na całem terytorjum kopalni od wylotu gardzieli, aż do miejsca, gdzie droga jezdna opuszcza podnóże gór i skręca w równinę, podążając przez strumień po drewnianym mostku, pomalowanym na zielono; zieleń ta, oznaka nadziei, była zarazem barwą kopalni.

Opowiadano w Sulaco, iż „hen, w górach“ Don Pépé przyodziewał wyszarzany mundur z przygasłemi epoletami starszego majora i chodził po stromych ścieżynach z wielkim mieczem u boku. Górnicy składali się przeważnie z Indjan o dużych, dzikich oczach. Mówili oni do niego: *Taita* (ojcze), jak zwykł przemawiać bosy lud costaguański do ludzi, którzy mają na nogach obuwie. Niczem to jednak było w porównaniu z tem, co uczynił Basilio, osobisty *mozo* Mr. Goulda i najstarszy służący w domu. Oto z najzupełniej dobrą wiarą i nie bez poczucia tego, co wypada, dał raz znać o jego przybyciu uroczystemi słowy: „Przyszedł *El Senior Gobernador*“.

Don José Avellanos, który był wtedy w salonie, ubawił się niezmiernie trafnością tego tytułu i prześladował nim odtąd starego majora, ilekroć jego żołnierska postać ukazywała się we drzwiach. Na to Don Pépé tylko się uśmiechał pod swemi długiemi wąsami, jakby chciał powiedzieć: — Możnaby znaleźć gorsze nazwanie dla starego żołnierza.

I *El Senior Gobernador* pozostawał w salonie, podżartowując zlekka ze swych czynności i ze swej dziedziny, gdzie, jak zapewniał z zabawną przesadą:

— Nawet dwa kamienie nie potrącą o siebie, żeby *Gobernador* nie dosłyszał ich łoskotu.

I zmyślnie przykładał koniec palca do ucha. Nawet gdy ilość górników powiększyła się do przeszło sześciu tysięcy, znał on tych wszystkich, niezliczonych José'ów, Manuelów, Ignaciów z wioski *primero* — *secundo* — lub *tercero* (bo aż trzy wsie górnicze pozostawały pod jego zarządem). Rozpoznawał ich nietylko po ich płaskich, bezbarwnych twarzach, co dla Mrs. Gould były tak do siebie podobne, jakgdyby je wszystkie odlano w tej samej dziedzicznej formie niedoli i cierpliwości, ale także po nieskończonem cieniowaniu czerwonawobrunatnych, czarniawobrunatnych lub miedzianobrunatnych grzbietów, kiedy dwie ich zmiany, odziane tylko w płócienne portki i skórzane czapki, tłoczyły się na wzniesieniu przed wejściem do głównego szybu, tworząc zamęt nagich członków, zarzuconych na ramiona oskardów, rozkołysanych lamp i stóp, ozutych w sandały. Była to chwila odpoczynku. Chłopcy indyjscy stali, oparci leniwie o długi rząd małych, pustych, wywrotnych wagoników; górnicy od łupania i przesiewania rudy przykucnęli na ziemi, paląc długie cygara; wielkie, drewniane stocznie, pochylone nad skrajem wzniesienia, z którego wchodziło się do szybu, ucichły; słyszało się tylko mocny, nieprzerwany szum wody, szemrzącej w sztucznych łożyskach, łoskot rozpędzonych kół turbinowych i dudnienie stęp, co rozcierały opodal na proch drogocenny kamień. Starsi górnicy, wyróżniający się mosiężnemi odznakami, zawieszonemi na nagich piersiach, odbywali przegląd swych podwładnych. Wkońcu pochłonęła góra jedną połowę milczącej ciżby, zaś druga jej połowa jęła długiemi szeregami schodzić po zakosach ścieżek w głąb

doliny. Była ona głęboka; smuga roślinności, wijąca się hen, wdole śród skrawych zwałów skał, podobna była do nikłej, zielonawej wstęgi, na której trzy zwarte kępy gajów bananowych, strzech, pokrytych liśćmi palmowemi, i ciernistych drzew oznaczały wieś pierwszą, wieś drugą i wieś trzecią, co stanowiły siedziby górników z kopalni Gouldów.

Całe rodziny ruszyły odrazu ku podnóżom Higueroty, gdy śród wsiowego *Campa* gruchnęła wieść, że można tam znaleźć pracę i bezpieczeństwo. Omijając wezbrane wody, przedzierały się przez rozpadliny i wąwozy dalekich, błękitnych krzesanic *Sierry*. Przodem szedł ojciec w stożkowatym, słomkowym kapeluszu, za nim matka ze starszemi dziećmi, a zazwyczaj także karłowaty osiołek. Wszyscy dźwigali ciężary prócz przewodnika, no i niekiedy dorosłej dziewczyny, chluby swych rodziców, co szła boso, prosta, jak trzcina, z oplotami kruczych włosów, okalających jej wyrazistą, dumną twarz, nie niosąc nic prócz małej gitary i miękkich, skórzanych kierpców, przewieszonych przez plecy. Na widok tych wędrowców, snujących się miedzami lub wypoczywających opodal królewskiego gościńca, konni podróżni powiadali do siebie:

— Znów napływają ludzie do kopalni San Tomé. Jutro przyjdą inni.

I, przynaglając konie do biegu śród obłoków kurzu, rozprawiali o nowinach, głośnych w całej prowincji, o kopalni San Tomé. Jakiś bogaty Anglik przystępował w niej do pracy — a może nie jest to Anglik, *Quien sabe?* [1]) No, cudzoziemiec, co ma pieniądze. Tak, to już się zaczęło. Ludzie, co byli w Sulaco ze

---

[1]) Kto wie?

stadem czarnych byków, przeznaczonych na najbliższą *corridę* [1]), opowiadali, iż z przedsionka *posady* [2]) w Rincon, o lekką milę od miasta, widać, jak światła w górach migocą skróś drzew. Podobno ma być tam kobieta, co jeździ na koniu bokiem, nie w kolebce do siedzenia, lecz jakby na jakiemś siodle i nosi męski kapelusz. Chodzi też pieszo ścieżkami górskiemi. Pewno jest inżynierem.

— Co za głupstwo! To niemożliwe, *senior!*

— *Si, si. Una Americana del Norte.*

— No, to co innego, jeśli szanowny pan wie na pewno. *Una Americana!* Pewno to coś takiego.

I podśmiechiwali się zlekka nie bez zdumienia i pogardy, rozglądając się czujnie śród zapadających zmierzchów, gdyż nie należy do rzeczy przyjemnych spotkać śród *Campa* złoczyńców o późnej porze.

Wszelako Don Pépé znał nietylko mężczyzn; bacznem, myślącem spojrzeniem ogarniał także każdą kobietę, każdą dziewczynę i każdego wyrostka, przebywającego w jego dziedzinach. Jedynie dzieciarnia wprawiała go niekiedy w kłopot. Widywano go często z księdzem, jak stawali obaj zamyśleni na ulicy i przyglądali się gromadkom spokojnych, śniadych dzieci lub naradzali się półgłosem nad pochodzeniem małego, statecznego berbecia, co nagi i poważny, dreptał drogą z cygarem w dziecięcych ustach i z różańcem na szyi, wypożyczonym dla ozdoby od matki i zwisającym sznurem pereł na drobny, krągły brzuszek. Pasterz duchowny i pasterz doczesny ludności górniczej żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni. Natomiast z d-rem Monyghamem, pasterzem lekarskim, który

---

[1]) Wyścigi. [2]) Domostwo, gospoda..

podjął się tych obowiązków na życzenie Mrs. Gould i mieszkał w zabudowaniach szpitalnych, zażyłość ich nie była zbyt bliska. Ale też trudno było utrzymywać bliższe stosunki z doktorem, który ze swym przygarbionym grzbietem, zwieszoną głową, szyderczemi ustami i kosem, gorzkiem spojrzeniem był niemiły i tajemniczy. Dwaj inni zwierzchnicy pracowali zgodnie. Ojciec Roman, mały, suchy, ruchliwy, pomarszczony, z wielkiemi, krągłemi oczyma, kończastą brodą i wielkim, zatabaczonym nosem, był również weteranem; spowiadał niejednego biedaka na pobojowiskach Rzeczypospolitej, klękał nieraz przy konających na stokach wzgórz, w bujnych trawach lub w mrokach borów, by wysłuchać ostatniej spowiedzi, mając nozdrza pełne wyziewów prochu, a uszy rozkołatane od szczęku karabinów, od syków i pogwizdów kul. Wczesnemi wieczorami mieli zwyczaj grywać na probostwie w zatłuszczone karty i rozstawali się z przykrością, gdy Don Pépé wychodził, by zobaczyć, czy wszyscy strażnicy kopalni, których sam do tej służby przygotował, są na swych posterunkach. Spełniając ten ostatni obowiązek przed udaniem się na spoczynek, Don Pépé przypasywał swą starą szablicę na werandzie białego szaletu, zbudowanego w stylu rdzennie amerykańskim i zwanego przez ojca Romana probostwem. Stojący opodal długi, niski, mroczny budynek, podobny do dużej szopy, lecz z dzwonnicą na dachu i krzyżem drewnianym u szczytu, był kaplicą górników. Ojciec Roman odprawiał tam codziennie mszę przed posępnym ołtarzem, gdzie widniało *Zmartwychwstanie*; szary złom kamienia grobowego stał — odchylony — po jednej stronie obrazu, nad nim ulatywała wzwyż wydłużona, sina postać w otoku bla-

dawej po świetli, a na wulkanicznem podłożu przedniego tła leżał powalony, śniady legjonista z hełmem na głowie. — „To malowidło, moje dzieci, jest *muy linde e maravillosa*“ [1]) — mawiał ojciec Roman do swych owieczek. — „Oglądacie je tutaj dzięki szczodrobliwości małżonki *Seniora Administradora.* Namalowano je w Europie, kraju cudów i świętych, dużo większym od naszej Costaguany“. — I zażywał z namaszczeniem szczyptę tabaki. Kiedy jednak jaki badawczy umysł zapragnął dowiedzieć się, w jakim kierunku leży ta Europa, czy znajduje się powyżej lub poniżej wybrzeża, ojciec Roman, chcąc ukryć swe zakłopotanie, stawał się bardzo powściągliwym i surowym. — „To pewna, iż leży bardzo daleko. Ale tacy ciemni grzesznicy, jak wy, powinni raczej wzdragać się przed wiekuistem potępieniem niż dopytywać się o wspaniałości tej ziemi z jej krajami i narodami, co zresztą nie pomieściłoby się w waszych głowach“.

— „Dobranoc, *Padre*“. — „Dobranoc Don Pépé“ — z temi słowy zwykł był wychodzić *Gobernador* wielkim, posuwistym krokiem, pochylając się naprzód i tuląc do boku swe szablisko. Jowjalność, z jaką zabawiał się niewinną grą w karty o kilka cygar lub wiązkę *yerby* [2]), ustępowała miejsca surowemu poczuciu obowiązku u oficera, który idzie nadzorować placówki obozującej armji. Na donośny gwizd świstawki, zawieszonej na jego szyi, odpowiadały niezwłocznie przeraźliwe gwizdania innych świstawek, pomieszane ze szczekaniem psów, co odzywały się z doliny, pragnąc widocznie, by w górskim wąwozie wreszcie nastał spokój. Bez szmeru podbiegało ku niemu

---

[1]) Bardzo piękne i cudowne. [2]) Liście drzewa, rosnącego w Ameryce Południowej.

dwu *serenów* [1]), którzy strzegli mostu. Po jednej stronie drogi wznosiły się długie zabudowania magazynów, pozamykanych szczelnie od końca do końca; po drugiej jej stronie jeszcze dłuższe, białe baraki z werandą mieściły szpital. Jarzyło się światło w dwu oknach mieszkania, zajmowanego przez dra Monyghama. Nie drżało nawet wiotkie listowie kępy drzew pieprzowych, tak ciche były mroki nocne, ogrzane promieniowaniem rozpalonych skał. Don Pépé zatrzymywał się na chwilę, mając przed sobą nieruchome postacie *serenów*, gdy wtem, hen, wgórze, na litych zboczach skał, upstrzonych migającemi pochodniami niby kroplami płomieni, co spadły z powyżej gorejących, dwu wielkich ognisk, rozpoczynała dudnieć ruda w stoczniach. Ogromny łoskot i łomot, skupiający w sobie rozpęd i ciężar, podchwytywały krzesanice wąwozu i odrzucały na równiny rozhukiem gromu. *Posadero* [2]) z Rincon zaklinał się, iż nieraz cichą nocą, kiedy stał we drzwiach swego domu i nadsłuchiwał uważnie, huk ów dolatywał do niego niby burza, co sroży się w górach.

Charles'owi Gouldowi roiło się, że łoskot ten musi docierać do najdalszych krańców prowincji. Jadąc konno nocą do kopalni, odróżniał go na skraju lasku, tuż za Rincon. Nie ulegało wątpliwości, iż był to głuchy pomruk gór, obsuwających się w stępy lawiną swych skarbów. Rozlegał się on w jego sercu z potęgą proklamacji, wstrząsającej kraj cały rozhukiem gromu, i z przedziwnością dokonania śmiałych zachceń. Słyszał on go już w swej wyobraźni owego dawno minionego wieczora, kiedy wraz z żoną prze-

---

[1]) Stróż nocny. [2]) Właściciel gospody.

darł się konno przez ostępy leśne i przystanął nad strumieniem, by spojrzeć po raz pierwszy w zarośniętą chaszczami czeluść wąwozu. Tu i ówdzie widniały wierzchołki palm. W wyżynnej rozpadlinie, co okalała skraj góry San Tomé (wystrzelającej na kształt graniastej turni), wąska wstęga wodospadu migotała szklisto i świetliście skroś ciemnej zieleni rosochatych drzew paprociowych. Don Pépé, który im towarzyszył, podjechał bliżej i wyciągając ramię w kierunku wąwozu, zawołał z ironicznem namaszczeniem: — Oto istny raj wężów, *seniora!*

Poczem skręcili końmi i pojechali zpowrotem, by przespać się w Rincon. Alkad — stary, wyschły *Moreno*[1]), sierżant z czasów Guzmana Benty — usunął się czołobitnie z domu wraz ze swemi trzema ładnemi córkami, by miała pomieszczenie obca *seniora* i wielmożni *Caballeros*. Wzamian za tę przysługę prosił Charles'a Goulda (którego wziął za jakąś zagadkową i urzędową figurę), by zechciał przypomnieć władzom naczelnym — *El Gobierno supremo* — o pensyjce (wynoszącej coś około dolara na miesiąc), która rzekomo mu się należała. Przyrzeczono ją, jak zapewniał, prostując marsowo swą pochyloną postać, „przed wielu laty za moją waleczność w wojnach z dzikimi Indjanami, kiedy byłem jeszcze młodym człowiekiem“.

Wodospad już nie istniał. Drzewa paprociowe, co bujały śród swych latorośli, pousychały nad osuszonem bagnem, a wyżynna rozpadlina zamieniła się w duży jar, wypełniony do połowy rumowiskiem wykopów i kamieniołomów. Strumień, omurowany u góry, rozprowadzał swe rwące wody zapomocą koryt, wydrą-

[1]) Śniady.

żonych w pniach drzewnych i rozpartych na kozłach, do turbin, poruszających stępy na niższym płaskowyżu — *mesa grande* góry San Tomé. Wspomnienie wodospadu śród osłupiającej paprociarni, zawieszonej niby jakiś ogród nad krzesanicami wąwozu, przechowało się jedynie na akwaforcie Mrs. Gould; namalowała ją naprędce z polanki śród chaszczy, siedząc w cieniu słomianego daszku, wspartego na nieodartych z kory palach, a obmyślanego dla niej przez *Dona* Pépé.

Mrs. Gould widziała wszystko od początku: trzebienie puszczy, budowanie drogi, rąbanie nowych ścieżek na turni San Tomé. Przebywała tam tygodniami w towarzystwie męża i przez cały rok widywano ją tak rzadko w Sulaco, iż pojawienie się powozu Gouldów na *Alamedzie* [1]) wywoływało powszechne poruszenie. Z ciężkich, familijnych pojazdów, zatłoczonych statecznemi *seniorami* i czarnookiemi *senioritami*, pozdrawiały ją białe dłonie i dolatywał zgiełk powitalny. „*Donia* Emilja powróciła z gór“.

Ale nie na długo. Po jednym lub dwu dniach *Donia* Emilja znów wyjeżdżała „w góry“, a dla mułów z jej skromnego zaprzęgu zaczynały się nowe wywczasy. Czuwała nad budową pierwszego baraku, postawionego na niższej *mesie* dla pomieszczenia biur i Dona Pépé; przeniknęło ją dziękczynne drżenie radości, gdy usłyszała, jak ruda, wysypana z pierwszego wagonu, załomotała po jedynej podówczas stoczni; nie poddając się wzruszeniu, stała milcząca obok swego męża, gdy po raz pierwszy puszczano w ruch pierwszą baterję piętnastu stąp. Gdy pod pierwszym rzędem

---

[1]) Promenada.

retort zapłonęły w hucie ognie, rozwidniając swą łuną mroki nocne, nie poszła spocząć na twardym tapczanie, który ustawiono dla niej w ogołoconym jeszcze baraku, lecz czekała, by ujrzeć pierwszą gąbczastą bryłę srebra, którą ciemne otchłanie kopalni Gouldów wyrzuciły na igraszkę świata. Z drżącą pożądliwością położyła swe nieprzekupne ręce na pierwszej sztabie srebra, co jeszcze ciepła wyszła z formy. Ważąc w swej wyobraźni jej potęgę, wyposażała tę bryłę kruszcu pojęciem rozgrzeszenia, jakgdyby nie była ona samym tylko faktem, lecz czemś daleko sięgającem i nieuchwytnem, niby najistotniejszy wyraz jakiegoś odczucia lub wyłonienie się jakiejś zasady.

Don Pépé, który okazywał również ogromne zaciekawienie, spoglądał przez jej ramię z uśmiechem, co żłobił podłużne brózdy w jego twarzy, czyniąc ją podobną do skórzanej maski z dobrodusznie djabelskim wyrazem.

— Byleby *muchachos*[1]) Hernandeza nie pokusili się o tę bagatelkę, co *por Dios*, wygląda jak kawałek cyny — odezwał się jowjalnie.

Rozbójnik, Hernandez, był ongi nieszkodliwym, drobnym *rancherem*[2]), którego podczas jednej z wojen domowych wydarto ze szczególniejszem okrucieństwem z pieleszy rodzinnych i zmuszono do służby w wojsku. Jako żołnierz sprawował się wzorowo, aż do chwili, kiedy udało mu się zabić swego pułkownika i odzyskać wolność. Z szajką zbiegów, co uczynili go swym naczelnikiem, schronił się w dzikie i bezwodne pustkowia Bolson de Tonoro. *Haciendas* opłacały mu haracz bydłem i końmi. Opowiadano istne cuda o jego

---

[1]) Chłopcy. [2]) Włościanin.

zdolnościach i nieprawdopodobnych ucieczkach z więzień. Do wsi i miasteczek *Campa* miał zwyczaj przyjeżdżać konno, sam jeden, z dwoma rewolwerami u pasa, pędząc przed sobą jucznego muła. Przyjechawszy, wchodził do sklepu lub magazynu, zabierał, co mu było potrzebne, i odjeżdżał nie napastowany, gdyż słynął ze swej nieustraszoności i z okropieństwa swych rozbojów. Biedotę wiejską pozostawiał zwykle w spokoju; zamożniejszych często zatrzymywał po drogach i grabił; natomiast wszystkich urzędników, którzy mieli nieszczęście wpaść mu w ręce, poddawał surowej chłoście. Oficerowie nie lubili, gdy wymieniano jego imię w ich obecności. Towarzysze jego, siedząc na skradzionych koniach, kpili sobie z pościgów kawalerji, którą wysyłano na ich połów, i zabawiali się, wciągając ją nader umiejętnie w zasadzki na usypiskach swych kryjówek. Urządzano obławy i wyznaczono nagrodę za jego głowę; próbowano nawet wdawać się z nim podstępnie w jawne układy, ale nie zdołano wymóc najlżejszej bodaj zmiany w jego postępowaniu. Wkońcu dyrektor Izby Skarbowej w Tonoro, pałając chęcią poskromienia osławionego Hernandeza, postąpił iście po costaguańsku i zaofiarował mu wynagrodzenie pieniężne oraz list żelazny na wyjazd z kraju, jeśli zgodzi się wydać swych towarzyszy. Atoli Hernandez nie był widocznie z tej samej gliny, z której ulepiono znakomitych polityków i wojskowych warchołów costaguańskich. Ten przebiegły, acz nie wyszukany pomysł (który jest zaklęciem, powściągającem często rewolucje) zawiódł w zupełności w stosunku do herszta pospolitych *Salteadorów* [1]). Zapowiadało się to zrazu nader pomyślnie

[1]) Rozbójnik.

dla dyrektora Izby Skarbowej, lecz skrupiło się bardzo dotkliwie na szwadronie *lancerów*, zaczajonych w kotlinie, do której Hernandez obiecał przyprowadzić swych towarzyszy, nie podejrzewających rzekomo niczego. Przyszli też istotnie o oznaczonej porze, lecz pełznąc przez chaszcze na czworakach, i o swej obecności dali znać tylko salwą ognia karabinowego, co wielu *lancerów* zmiótł ze siodeł. Pierzchający żołnierze, pędząc, co koń wyskoczy, wpadli do Tonoro. Utrzymywano potem, iż ich komendant (który wyprzedził wszystkich, mając lepszego konia) upił się do nieprzytomności z rozpaczy i za to zniesławienie armji narodowej obił mocno płazem swej szabli ambitnego dyrektora Izby Skarbowej w obecności jego małżonki i jego córek. Podobno najwyższy dostojnik cywilny z Tonoro miał zemdleć i powalić się na ziemię, zaś jego kolega wojskowy w przystępie przeczulenia pastwił się nad nim dalej, kopiąc go i kiereszując mu twarz i szyję ostrogami. Mrs. Gould znała do najdrobniejszych szczegółów tę plotkę z głębi *Campa*, tak znamienną dla rządców kraju, którego dzieje są jednem pasmem ucisku, niemocy, tępoty, zdrady i dzikiej zwierzęcości. Jedną z oznak upadku, który ją doprowadzał niemal na skraj rozpaczy, było to, iż ludzie inteligentni, wytworni, nie pozbawieni charakteru, dowiadywali się o takich zdarzeniach bez oburzenia, godząc się z niemi niby z czemś, wynikającem z natury rzeczy. Nie podnosząc jeszcze oczu od bryły srebra, potrząsnęła głową i odrzekła na słowa Dona Pépé:

— Gdyby nie bezprawie waszych rządów, wielu z tych wywołańców, co teraz łączą się z Hernandezem, żyłoby spokojnie i szczęśliwie z uczciwej pracy swych rąk.

— To prawda, *Senioro!* — zawołał Don Pépé z zapałem. — To jakby Bóg dał pani władzę przenikania do głębi dusz ludzkich! Widziała ich pani przy pracy, Donio Emiljo — łagodni jak baranki, cierpliwi jak ich osły, waleczni jak lwy! Prowadziłem ja ich w paszcze dział — jak tu stoję, *seniora* — za czasów Paeza, który był wspaniałomyślny i któremu nikt nie dorównywał odwagą, prócz może stryja Dona Carlosa. Nic dziwnego, że *Campo* wydaje bandytów, skoro w Santa Marta rządzą złodzieje, oszuści i krwiożercze małpy. Lecz niech będzie, jak chce, — bandyta jest bandytą i powinniśmy mieć z tuzin dobrych winchesterów, jeśli zechcemy odwieźć to srebro do Sulaca.

Przejażdżka konna śród eskorty, która odstawiła pierwszy transport srebra do Sulaca, była dla Mrs. Gould zakończeniem tego, co nazywała swem „życiem polowem"; odtąd osiedliła się już na stałe w swym miejskim domu, jak wypadało i co nawet było konieczne dla małżonki administratora takiego potężnego przedsiębiorstwa, jak kopalnia San Tomé. Stało się bowiem ono instytucją, punktem węzłowym dla wszystkich tych żywiołów, które nie mogły wyżyć bez porządku i spokoju. Bezpieczeństwo zdawało się spływać na kraj z rozpadliny górskiej. Władze ze Sulaca pojęły, iż kopalnia San Tomé może być wartą zachodu, o ile jej sprawy i ludzi pozostawi się w spokoju. Było to pierwsze zbliżenie się do prawideł sprawiedliwości i zdrowego rozsądku, które Charles Gould uważał narazie za możliwe do osiągnięcia. To też kopalnia ze swą organizacją, ze swą szybko wzrastającą ludnością, przywiązaną gorąco do przywileju bezpieczeństwa, ze swą zbrojownią, ze swym Donem

Pépé i zbrojnym zastępem *serenów* (między którymi znajdowało się podobno wielu zbiegów i wywołańców, a nawet rozbójników z szajki Hernandeza) — kopalnia była potęgą w kraju. Pewnego razu, kiedy w Santa Marta zastanawiano się nad wytyczną działalności, jaką władze ze Sulaca przyjęły w okresie przesilenia politycznego, któryś z wybitnych mężów stanu zawołał, parskając czczym śmiechem:

— Panowie sądzicie, że oni są urzędnikami rządowymi? Oni? Bynajmniej! To urzędnicy kopalni — urzędnicy koncesji Gouldów! Wierzcie mi!

Znakomity ten mąż (który dzierżył podówczas ster władzy, a miał twarz koloru cytryny oraz nader krótką i kędzierzawą, by nie rzec, wełnistą czuprynę) zapamiętał się w swem niezadowoleniu tak dalece, iż potrząsnął swą żółtą pięścią pod nosem przeciwnika i wrzasnął:

— Tak jest! Wszyscy! Milczeć tu! Wszyscy! Powiadam wam! *Jefé*[1]) polityczny, dyrektor policji, dyrektor ceł, generał — wszyscy są urzędnikami Goulda.

Poczem w gabinecie ministerjalnym wszczął się nieulękniony, lecz przyciszony i przekonywający poszmer głosów i gniew znakomitego męża zakończył się cynicznem ruszeniem ramion. O cóż zresztą chodzi? — chciał niem powiedzieć — skoro nie zapomina się i o ministrze podczas jego krótkiego urzędowania? Mimo to, nieurzędowy przedstawiciel kopalni San Tomé, pracujący dla dobra sprawy, miewał chwile troski, której dawał ujście w listach do swego wuja, Dona José Avellanosa.

---

[1]) Szef.

— Żadna krwiożercza małpa ze Santa Marta nie postanie nigdy w tej części Costaguany, która leży za mostem San Tomé, — zapewniał Don Pépé w rozmowach z Mrs. Gould — chyba że będzie naszym gościem, bo nasz *Senior Administrador* jest głębokim politykiem. — Ale kiedy był sam na sam z Charles'em Gouldem, stary major mawiał z żołnierską niedbałością: — Stawką w tej grze są nasze głowy.

Zaś Don José Avellanos pomrukiwał: — To *imperium in imperio*, Emiljo, moja duszo — a mówił to z wyrazem głębokiego zadowolenia, które jednakże, szczególniejszym jakimś trafem, zdawało się zawierać domieszkę przykrości fizycznej. Było to atoli widoczne tylko dla wtajemniczonych.

I dziwnem, zaiste, dla wtajemniczonych miejscem był salon *Casy Gould*, gdzie tylko od czasu do czasu pojawiał się pan domu — *El Senior Administrador* — starszy, krzepszy i zagadkowo milczący. Pogłębiły się rysy jego angielskiej, czerwonawej, ogorzałej twarzy. Cienkie jego nogi kawalerzysty przekraczały ten próg bądźto kiedy wracał „z gór“, bądź też kiedy wybierał się „w góry“. Pobrzękiwał wówczas ostrogami i mie wał szpicrutę pod pachą. Z żołnierską skromnością przesiadywał tam Don Pépé, szczery *Llanero*, co zdawał się odzyskiwać niekiedy swą rycerską jowjalność, swą znajomość świata i poczucie swego stanowiska, zatracone śród dzikich, zbrojnych rozterek ze swymi plemiennikami. Bywał Avellanos, poufały i wytworny, pokrywający wielomównością wielką roztropność i wiedzę, zawartą w subtelnych wskazaniach rękopisu dzieła historycznego o Costaguanie. Nosiło ono tytuł „Pięćdziesiąt lat nierządu“. Przezorność nie pozwalała mu narazie (nawet gdyby to było rzeczą możliwą) „dać

tę książkę światu". Śród nich nad błyszczącą zastawą stołową zajmowała miejsce *Donia* Emilja, wdzięczna i drobna niby czarodziejka. Łączyła ją z tymi trzema ludźmi wspólna myśl przewodnia, wspólne poczucie trudnych warunków i niewygasająca nigdy troska o zachowanie nietykalności kopalni za każdą cenę. Widywano tam również kapitana Mitschella, co siadywał nieco na uboczu, wpobliżu wielkiego okna. Wyglądał na staroświeckiego, przyzwoitego bakałarza w swej białej kamizelce i z napuszoną potrosze miną. Nie zwracano zbytnio na niego uwagi, ale nie czuł tego. Będąc jak tabaka w rogu, wyobrażał sobie, iż przenika do rdzenia rzeczy. Spędził trzydzieści lat na pełnem morzu, zanim otrzymał to, co nazywał „biletem lądowym", i był wielce zdziwiony ogromem przedsięwzięć (nie mających nic wspólnego z żeglugą), które dokonywały się na stałym lądzie. Niemal każdy wypadek, rozmijający się z powszedniością codzienną, miał dla niego „znaczenie epokowe" lub był „historyczny". Zdarzało się jednak, iż wrodzona chełpliwość przedzierzgała się w stropioną niepewność na jego czerwonej, niebrzydkiej twarzy, okolonej gęstą, śnieżnobiałą czupryną i krótkiemi bokobrodami; zmieszany bełkotał:

— Ach, to! To była pomyłka, panie!

Kapitan Mitschell był przekonany, iż ma do czynienia z „wypadkiem epokowym", kiedy jednemu z parowców T. O. Ż. P. polecono odstawić do San Francisco pierwszy transport srebra z kopalni San Tomé. Bryły tego kruszcu mieściły się w skrzynkach ze sztywnej skóry wołowej, opatrzonych uchami z plecionego rzemienia. Każdą taką skrzynkę dwu ludzi mogło unieść z łatwością. Powierzono tę pracę *serenom*,

którzy, krocząc dwójkami po stromych zakosach ścieżek, znieśli starannie drogocenny ciężar do podnóża góry. Tu wkładano te skrzynki do ustawionych długim rzędem, dwukolnych wozów, co były podobne do dużych kufrów z wiekami od tyłu. Zaprzęg każdego takiego wozu pancernego składał się z pary mułów. Nad całym taborem czuwali zbrojni *serenos* na koniach. Don Pépé pozamykał wkońcu wszystkie drzwiczki i na gwizd jego świstawki rząd wozów ruszył z miejsca śród szczęku ostróg i karabinów, śród klaskania i trzaskania batów. Z wielkim zgiełkiem potoczył się tabor przez graniczny most („w głąb kraju złodziei i krwiożerczych małp“, jak wyraził się później Don Pépé). Zakołysały się w pierwszych brzaskach dnia kapelusze na głowach postaci otulonych w opończe. Spoczęły winchestery na biodrach. Dzierżąc lejce, wysuwały się z pod fałdzistych *ponchów* szczupłe, brunatne ręce. Tabor minął niewielki lasek, poczem podążając drożyną, co była własnością kopalni, wjechał między lepianki i niskie mury wsi Rincon. Na *camino real* przyśpieszono kroku; poczęto popędzać muły, eskorta ruszyła cwałem. Don Carlos jechał konno sam na czele ogromnej kurzawy, w której majaczyły niewyraźnie długie uszy mułów, trzepotały zielono-białe chorągiewki, pozatykane na wozach, podnosiły się ramiona śród ciżby *sombrerów* i błyskały białka podkrążonych oczu. Don Pépé, zaledwo widoczny w obłokach kurzu, cwałował na samym końcu tego roztrajkotanego taboru. Wyprostowana jego postać podnosiła się i opadała rytmicznie na grzbiecie karej szkapy, co miała owczą szyję i łeb kształtu młota.

Rozespani mieszkańcy siół i gospód przydrożnych, słysząc ogromną wrzawę, domyślili się, iż z kopalni

San Tomé wiozą srebro hen, ku murom miejskim, co rozsypywały się już ze strony *Campa*. Wybiegli na dwór, by zobaczyć tabor, co podążał kamienistą drogą śród klaskania i trzaskania batów z regularnością i niewstrzymanym pędem baterji, rzucającej się w odmęt walki. Daleko na samym przodzie, widniała samotnie angielska postać *Seniora Administradora*.

W ogrodzeniach przydrożnych bryknęły dziko puszczone luzem konie. Bydło brodziło po piersi w trawach, odpowiadając głuchym porykiem na przelatującą wrzawę. Pokorne chłopstwo indyjskie spoglądało poza siebie i pośpiesznie usuwało się pod mury, wlokąc za sobą swe objuczone osiołki, by nie zastępować drogi transportowi srebra, co z kopalni San Tomé zdążał ku morzu. Gromadka *leperów*, którzy marzli pod Kamiennym Koniem na Alamedzie, zabełkotała: *Caramba!* widząc, jak tabor, zatoczywszy wielkie koło, zagłębił się cwałem w pustą ulicę Konstytucji. Bowiem mulnicy z kopalni San Tomé mniemali, iż wypada pędzić przez budzące się miasto co koń wyskoczy, jakgdyby djabeł siedział im na karku.

Wczesne świty jarzyły się bladą różanością i bladym błękitem na ścianach wielkich domów. Bramy były jeszcze pozamykane i za żelaznemi kratami okien nie ukazywały się twarze. Puste były balkony, zalane światłem słonecznem, i tylko na jednym z nich, zawieszonym wysoko nad połyskliwym brukiem, pojawiła się biała postać. Była to małżonka *Seniora Administradora*. Wychyliła się, by zobaczyć, jak tabor będzie przejeżdżał ku przystani. Szczodre oploty jasnych warkoczy okalały niedbale jej główkę. Miała na sobie muślinową suknię, zamkniętą pod szyją smugą koronki. Uśmiechnęła się, gdy mąż podniósł ku niej

przelotnie oczy, poczem patrzyła na ciżbę, co przewaliła się sfornie poniżej jej stóp, a wkońcu odpowiedziała przyjacielskiem skinieniem głowy na sztywny, czołobitny ukłon Dona Pépé, który w pędzie uchylił kapelusza aż poniżej swych kolan.

Wydłużał się z każdym rokiem sznur zamczystych wozów i pomnażała się eskorta. Potężniejący nieustannie strumień skarbów przelewał się co trzy miesiące przez ulice Sulaca, by zatrzymać się pod silnemi sklepieniami zabudowań portowych T. O. Ż. P. i odpłynąć następnie ku Północy. Ze zwiększoną objętością zwiększała się również ogromna jego wartość. Promieniejąc radością, powiedział pewnego razu Charles Gould do żony, iż niema na świecie niczego, coby dorównywało bogactwom kopalni San Tomé. Każdy transport, przesuwający się pod balkonami *Casy Gould*, był dla nich obojga nowem zwycięstwem w walce o pokój Sulaca.

Niepodobna zaprzeczyć, iż początkowej działalności Charles'a Goulda sprzyjał zrazu okres względnego pokoju, który właśnie podówczas nastąpił i sprzyjało również powszechne złagodzenie obyczajów, zwłaszcza w porównaniu z epoką wojen domowych, z których wyłoniła się żelazna tyranja straszliwego Guzmana Benty. W zatargach, co wynikły pod koniec jego rządów (dzięki którym przez całych piętnaście lat panował w kraju spokój), więcej było tępej głupoty, rozpętanego okrucieństwa i udręki, lecz nierównie mniej ślepej zaciekłości i dzikiego fanatyzmu politycznego, co znamionował dawniejsze czasy. Wszystko stało się ohydniejszem, nikczemniejszem, godniejszem pogardy i nieskończenie pobłażliwszem dla nieskrywanego cynizmu pobudek. Uwidoczniła się jaskrawiej

bezczelna łapczywość, czyhająca na zmniejszającą się nieustannie ilość łupów. Wszelką przedsiębiorczość w najgłupszy sposób wytępiono w kraju. I oto doszło do tego, że prowincja Sulaco, co była ongi ogniskiem mściwych walk partyjnych, stała się jedną z najcenniejszych zdobyczy karjerowiczów politycznych. Stanowiska w dawniejszem Państwie Zachodniem zachowywali wielkorządcy ze Santa Marta dla swych najbliższych i najmilszych: dla braci, bratanków, mężów ukochanych sióstr, serdecznych przyjaciół wiernych swych popleczników — lub wybitnych popleczników osobistości, których się obawiano. Była to błogosławiona ziemia wszelkich możliwości i szczodrych łapówek; bowiem kopalnia San Tomé miała swą nieurzędową listę płac, której szczegóły i cyfry, ustalone przez Charles'a Goulda i *Seniora* Avellanosa, znane były znakomitemu *businessmanowi* ze Stanów Zjednoczonych, który każdego miesiąca poświęcał jakichś dwadzieścia minut wyłącznie sprawom Sulaca. Równocześnie przedsiębiorstwa, zawiązywane przy pomocy kopalni San Tomé, spokojnie porastały w pierze w tej części Rzeczypospolitej. O ile, naprzykład, w politycznych sferach stolicy powszechnie było wiadomo, że przez Urząd Cłowy w Sulaco prowadzi droga do Ministerjum Skarbu i że prowadzi ona także przez wszystkie inne urzędy tamtejsze, o tyle zrozpaczone sfery przemysłowe i handlowe Rzeczypospolitej jęły uważać Prowincję Zachodnią za obiecaną krainę bezpieczeństwa, zwłaszcza jeżeli komuś powiodło się wejść w porozumienie z administracją kopalni. „Charles Gould to zacny człowiek! Bezwarunkowo trzeba upewnić się co do niego, zanim cokolwiek się przedsięweźmie.

Niech pan postara się o list polecający od Moragi — wie pan, tego agenta króla ze Sulaca!".

Nic też nie było w tem dziwnego, iż Sir John, przyjechawszy z Europy, by utorować drogę dla swej kolei, spotykał się na każdym kroku z nazwiskiem (a nawet przezwiskiem) Charles'a Goulda. Agent kopalni San Tomé w Santa Marta (który okazał się przyzwoitym i obeznanym znakomicie ze stosunkami dżentelmanem), przyczynił się w takiej mierze do wyjazdu prezydenta, iż Sir John jął się zastanawiać, czy też jakieś źdźbło prawdy nie kryje się w głuchych pogłoskach o niezmiernych, acz tajonych, wpływach przedsiębiorstwa Gouldów. Mianowicie szeptano sobie na ucho, iż administracja kopalni San Tomé zasiliła, przynajmniej w części, zasobami pieniężnemi ostatnią rewolucję. Dzięki jej, dyktatorem na okres pięcioletni został Don Vincente Ribiera, człowiek światły i nieskazitelny, któremu najuczciwsze sfery społeczeństwa poruczyły zadanie naprawy Rzeczypospolitej. Poważny, dobrze ze stosunkami obeznany dżentelman zdawał się w to wierzyć i wyrażał nadzieję, że nastaną lepsze czasy, że praworządność, rzetelność i ład zapanują wreszcie w życiu publicznem. — „No, to tem lepiej" — pomyślał sobie Sir John. Przyzwyczajony był do działalności na wielką skalę. Zamierzano udzielić pożyczki państwu, przystąpić do systematycznej kolonizacji Prowincji Zachodniej i z temi rozległemi planami połączyć budowę Narodowej Kolei Centralnej. Do rozwoju tych wielkich przedsięwzięć konieczna była dobra wiara, ład, rzetelność i spokój. Każdy, kogo obchodziły te rzeczy i kto mógł w nich dopomóc, wielkie miał znaczenie dla Sira Johna. Nie zawiódł się na „królu ze Sulaca". Przeszkody miej-

scowe, jak to inżynier naczelny przepowiedział, dały się usunąć przy pomocy Charles'a Goulda. Był wspaniale podejmowany w Sulaco, niemal tak samo jak prezydent-dyktator, co stało się przyczyną złego humoru generała Montera podczas *lunchu*, wydanego na pokładzie *Junony*, która wnet potem odpłynęła, zabierając ze Sulaca prezydenta-dyktatora oraz dostojnych gości cudzoziemskich.

Excellentissimo („nadzieja uczciwych ludzi", jak wyraził się Don José, przemawiając publicznie imieniem sejmiku prowincjonalnego ze Sulaca) zajął pierwsze miejsce przy długim stole. Kapitan Mitschell, osłupiały i purpurowy na twarzy od przejęcia się tym „wypadkiem historycznym", zasiadł na ostatniem, jako przedstawiciel T. O. Ż. P. na Sulaco. Obok niego usiedli goście podrzędniejsi oraz kapitan okrętu i niżsi urzędnicy lądowi. Ci pogodni, śniadzi panowie rzucali jowjalne spojrzenia na butelki z szampanem, co jęły już strzelać w rękach *stewardów* okrętowych. Bursztynowe wino perliło się w kieliszkach.

Charles'owi Gouldowi dostało się miejsce obok przedstawiciela obcego państwa, który obojętnym, przyciszonym głosem gawędził o myślistwie i polowaniach. Przy tej spasłej, bladej twarzy z monoklem i obwisłemi, żółtawemi wąsami *Senior Administrador* wydawał się jeszcze więcej opalonym, jeszcze płomieniściej czerwonym, jeszcze mocniej i skryciej żywotnym. Don José Avellanos sąsiadował z innym cudzoziemskim dyplomatą, o śniadej cerze i spokojnem, bacznem, powściągliwem usposobieniu. Nie przestrzegano zbytnio prawideł etykiety; jedynie generał Montero pojawił się w galowym mundurze, tak suto haftowanym od przodu, iż wyglądał on na jego szerokich piersiach

jak złoty pancerz. Sir John zaraz z początku opuścił honorowe miejsce, które mu wyznaczono, by usiąść obok Mrs. Gould.

Wielki finansista ujmował właśnie w słowa swą wdzięczność za jej gościnność i zapewniał o swem uznaniu dla jej męża, który „posiada ogromne stosunki w tej połaci kraju", kiedy mu przerwała przyciszonem: „Pst!" Prezydent miał wygłosić przemówienie nieoficjalne.

Excellentissimo podniósł się już z miejsca. Powiedział zaledwie kilka słów, widocznie głęboko odczutych i zwróconych, jak się zdaje, głównie do starego druha, Avellanosa. Zwracał uwagę na konieczność niesłabnących wysiłków dla zabezpieczenia trwałego dobrobytu krajowi, dla którego po okresie przewlekłych walk miał obecnie nastać okres wytchnienia i pomyślności.

Mrs. Gould, słuchając mdłego i nieco przygnębionego głosu, patrzyła na jego krągłą, śniadą, przytłoczoną okularami twarz i krępy tułów, otyły aż do chorobliwości. Przyszło jej na myśl, że ten człowiek o subtelnym i melancholijnym umyśle, ten połowiczny kaleka, co na wezwanie swych przyjaciół rzucił się z domowego zacisza w odmęt niebezpiecznych zatargów, miał prawo zaznaczyć z naciskiem swe poświęcenie. A jednak było jej jakoś nieswojo. Raczej patetycznym niż obiecującym wydał się jej ten pierwszy prezydent cywilny Rzeczypospolitej Costaguańskiej, który z kieliszkiem w ręce nawoływał prostemi słowy do uczciwości, pokoju, poszanowania prawa, dobrej wiary w stosunkach politycznych wewnętrznych i zewnętrznych — tych rękojmiach honoru narodowego.

Usiadł. Podczas pochwalnego szmeru, co rozległ się po tem przemówieniu, generał Montero podniósł swe

ciężkie, ospałe powieki i z wyrazem jakgdyby urażonej tępoty wodził oczyma po twarzach. Nieokrzesany bohater wojskowy stronnictwa poddawał się wprawdzie w głębi duszy potędze wrażeń, jaką mu przyniosła nagła nowość i dostojeństwo jego stanowiska (nie był przedtem nigdy na pokładzie okrętu, a morze widywał tylko zdaleka), ale instynktownie wyczuwał korzyści, jakie mu zapewniała prostacka, pewna siebie postawa dzikiego wojownika śród tych wytwornych arystokratów. Lecz co to znaczyło, że nikt nie patrzał na niego? Dziwił się. Dziwił się i gniewał. Toć umiał czytać i wiedział z dzienników, że dokonał „największego czynu wojennego nowszych czasów“.

— Mój mąż potrzebuje kolei — rzekła Mrs. Gould do Sira Johna śród rozgwaru, rozmów, co jęły się zawiązywać na nowo. — Wszystko to przybliża lepszą przyszłość, tak pożądaną dla kraju, który jej oczekiwał w smutku od Bóg wie, kiedy. Ale wyznaję, iż doznałam niemiłego uczucia, ujrzawszy podczas onegdajszej, popołudniowej przejażdżki chłopaka indyjskiego, który wypadł nagle na koniu z lasu, trzymając w ręce czerwoną chorągiewkę, używaną przy robotach mierniczych. Przyszłość wymaga zmiany, zupełnej zmiany. A jednak nawet tutaj istnieją rzeczy, proste i malownicze, które pragnęłoby się zachować.

Sir John słuchał z uśmiechem. Ale teraz na niego przyszła kolej uciszenia Mrs. Gould.

— Generał Montero zabiera głos — szepnął i niemal niezwłocznie dodał z komicznem przerażeniem: — O, nieba, zdaje się, iż zamierza wznieść toast na moją cześć!

Generał Montero podniósł się, szczękając stalową pochwą i błyskając pozłotą swej wygalonowanej piersi.

Rękojeść potężnego szabliska wyjrzała z pod stołu u jego boku. W swym wspaniałym mundurze, ze swym byczym karkiem, haczykowatym, przypłaszczonym na końcu nosem i obwisłemi wąsami wyglądał jak przebrany, złowrogi *vaquero*. Gromki jego głos miał dziwne szorstkie i bezduszne brzmienie. Wybąkał ponuro kilka zdawkowych frazesów, poczem podźwignął nagle swój wielki łeb i huknął opryskliwie na cały głos:

— Honor ojczyzny spoczywa w rękach armji. Zapewniam panów, iż dochowam mu wiary. — Zatrzymał się i jął wodzić oczyma, aż wreszcie utkwił swe ponure, gnuśne spojrzenie w twarzy Sira Johna. Przypomniały mu się niedawne rokowania o pożyczkę. Podniósł kieliszek wgórę.

— Piję za zdrowie człowieka, ktory przywozi nam półtora miljona funtów.

Przełknął szampan i zwalił się znów ciężko na swe krzesło, wodząc napoły zdumionym, napoły zaczepnym wzrokiem po otaczających go twarzach śród głębokiego, jakgdyby stropionego milczenia, co zaległo po tym fortunnym toaście. Sir John nie poruszył się.

— Nie zdaje mi się, żeby wypadało mi wstać — szepnął do Mrs. Gould. — Tego rodzaju rzeczy mówią same za siebie. — Wszelako Don José Avellanos przyszedł z pomocą krótkiem przemówieniem, w którem położył nacisk na dobrą wolę, jaką Anglja okazuje Costaguanie. — O tej dobrej woli — mówił dalej znacząco — wiem coś z doświadczenia, gdyż w swoim czasie byłem ministrem pełnomocnym przy dworze St. James'a.

Dopiero wówczas uznał Sir John za właściwe zabrać głos. Odpowiadał z wdziękiem, lecz lichą francuszczyzną,

a przemówienie jego przerywała wrzawa oklasków i nawoływania: „Słuchajcie, słuchajcie!“ kapitana Mitschella, który rozumiał niektóre słowa. Ukończywszy mowę, zwrócił się finansista kolejowy do Mrs. Gould.

— Miała pani zamiar prosić mnie o coś — przypomniał uprzejmie. — O co to chodzi? Proszę mi wierzyć, iż każdą prośbę pani będę uważał dla siebie za łaskę.

Podziękowała mu wdzięcznym uśmiechem. Wszyscy podnieśli się od stołu.

— Chodźmy na pokład — rzekła. — Tam będę mogła powiedzieć, o co chciałabym prosić.

Olbrzymia flaga narodowa Costaguany, na której skośnie łączyły się barwy żółta i czerwona, a pośrodku widniały dwie zielone palmy, kołysała się gnuśnie u szczytu głównego masztu *Junony*. Mnóstwo ogni sztucznych, które puszczano na wybrzeżu ku czci prezydenta, zapalało się z zagadkowym trzaskiem. Od czasu do czasu jakaś rakieta, wzbijająca się wgórę niedostrzegalnie, pękała nad głowami, pozostawiając na świetlistem niebie wyprysk dymu. Pod pękami różnobarwnych chorągwi, wiejących na wysokich słupach, czerniły się tłumy ludu między bramami miejskiemi a przystanią. Dolatywały słabo dźwięki muzyki wojskowej i z oddali rozlegały się okrzyki. U skraju pomostu garstka obdartych murzynów strzelała raz po razu z małego, żelaznego moździerza. Nikły obłoczek dymu szarzał nieruchomo w blaskach słońca.

Pod oponą rozpostartą nad pokładem, Don Vincente Ribiera postąpił kilka kroków, wspierając się na ramieniu Seniora Avellanosa. Dokoła niego utworzyło się wielkie koło, śród którego zwracał się w tę i ową stronę przygasły uśmiech jego ciemnych warg i ślep-

nący połysk jego okularów. Zebranie nieoficjalne, które urządzono na pokładzie *Junony*, żeby dać prezydentowi-dyktatorowi sposobność do poufnego porozumienia się ze swymi najwybitniejszymi stronnikami w Sulaco, dobiegało do końca. Generał Montero, przykrywszy swą łysą głowę kapeluszem z podwiniętą kresą, przystrojonym piórami, siedział nieruchomo, oparłszy swe potężne dłonie, przyodziane w ogromne rękawice, na rękojeści szabli, sterczącej prostopadle między jego kolanami. Biały pióropusz, miedziane zabarwienie szerokiej twarzy, błękitnawa czerń wąsów pod zakrzywionym dziobem, mnóstwo pozłoty na piersi i rękawach, wysokie, połyskliwe buty z olbrzymiemi ostrogami, rozdęte nozdrza, idjotyczny i zarazem władczy wyraz oczu u tego przesławnego zwycięzcy z nad *Rio Seco:* wszystko to raziło czemś złowieszczem i niewiarogodnem. Była w nim przesada okrutnej jakiejś karykatury, niedorzeczność uroczystej maskarady, krwiożercza groteskowość wojennego bożyszcza Azteków, co pomyślane i przystrojone po europejsku, oczekuje czołobitności swych czcicieli. Don José podszedł dyplomatycznie do tego złowrogiego i nieodgadnionego zwiastuna, zaś Mrs. Gould odwróciła od niego swe zapatrzone oczy.

Charles Gould, który zbliżył się, by pożegnać się z Sirem Johnem, słyszał, jak tenże powiedział, pochylając się ku ręce jego żony:

— Napewno. Przecież to chodzi o kogoś, co posiada poparcie pani! Niema najmniejszej trudności. Będzie załatwione!

Don José Avellanos, powracając z Gouldami do brzegu w tej samej łodzi, był bardzo milczący. Dość długo również nie otwierał ust, siedząc w powozie

Gouldów. Wolno dreptały muły śród wyciągniętych rąk żebraków, który tego dnia opuścili gromadnie przedsionki kościołów. Charles Gould zajął miejsce na tylnem siedzeniu i rozglądał się po równinie. Z zielonych gałęzi, z trzciny, z obrzynków drzewnych, pokrytych płachtami zgrzebnego płótna, pobudowano mnóstwo bud, w których sprzedawano *dulces* [1]), owoce i cygara. Kobiety indyjskie, przykucnąwszy na matach, warzyły nad żarem strawę w czarnych glinianych garnkach lub gotowały wodę na *maté* [2]), którą zalecały włościanom miękkiemi, pieściwemi głosami. Urządzono wyścigi dla *vaquerów*. Gęsto tłoczyła się ciżba dokoła ogromnego, skleconego naprędce budynku, co wyglądał jak namiot cyrkowy, przykryty stożkowatą, słomianą strzechą. Dolatywały z niego przenikliwe dźwięki strun harfianych i ostre brzęczenie gitar, pomieszane z posępnem dudnieniem indyjskiego *gombo*, tętniącego rytmicznie śród przeraźliwych pokrzykiwań tancerzy.

Charles Gould przemówił:

— Cały ten spłacheć należy obecnie do Towarzystwa Kolejowego. Nie będą tu już odbywały się zabawy ludowe.

Mrs. Gould myślała o tem z przykrością. Opowiedziała przy tej sposobności, jak co tylko udało się jej otrzymać przyrzeczenie od Sira Johna, że dom, zajmowany przez Giorgia Violę, pozostanie nienaruszony. Nie mogła nigdy pojąć, dlaczego inżynier mierniczy wciąż napomykał o potrzebie zburzenia tego starego domostwa. Przecież nie stało ono na drodze zamierzonego odgałęzienia linji kolejowej.

---

[1]) Słodycze. [2]) Roślina południowo-amerykańska, naparzana podobnie jak herbata.

Kazała zatrzymać powóz przed drzwiami, by uspokoić odrazu starego genueńczyka, który wyszedł z domu, nie nakrywszy głowy, i stanął u stopnia powozu. Mówiła do niego po włosku, on zaś dziękował ze spokojną godnością. Stary *garibaldino* był jej serdecznie wdzięczny za ocalenie dachu nad głową jego żony i dzieci. Był już za stary, by znów zaczynać tułaczkę.

— A czy to na zawsze, *signoro?* — zapytał.

— Na tak długo, jak panu się podoba.

— *Bene.* Trzeba zatem będzie pomyśleć o nazwaniu tej gospody. Dotychczas nie było warto.

Zaśmiał się szorstko, a zmarszczki zbiegły się mu dokoła oczu.

— Zabiorę się jutro do namalowania napisu.

— A jakże będzie on brzmiał, Giorgio?

— *Albergo d'Italia Una* — odparł stary *garibaldino*, odwracając na chwilę oczy. — Raczej na pamiątkę tych, co już nie żyją — dodał — niż kraju, ukradzionego podstępnie nam, żołnierzom wolności, przez przeklęty, piemoncki pomiot królów i ministrów.

Mrs. Gould uśmiechnęła się zlekka i, wychyliwszy się nieco, jęła go wypytywać o żonę i dzieci. Wysłał je tego dnia do miasta. *Padrona* była zdrowsza; dziękuje bardzo *signorze* za pamięć.

Mijali ich ludzie dwójkami, trójkami i całemi gromadami; szli mężczyźni i kobiety w otoczeniu hasających dzieci. Jeździec na siwej klaczy, uchyliwszy kapelusza w stronę powozu, skąd odpowiedziano mu uśmiechami i przyjaznemi skinieniami, przystanął spokojnie w cieniu domu. Stary Viola, widocznie bardzo zadowolony z zasłyszanych przed chwilą nowin, przerwał rozmowę z gośćmi, by powiedzieć mu pośpiesznie,

iż dzięki łaskawości angielskiej *signory* dom jego jest zabezpieczony na tak długo, jak mu to będzie dogadzało. Jeździec słuchał go uważnie, ale nie rzekł ani słowa.

Gdy powóz ruszał z miejsca, zdjął znowu kapelusz, szary *sombrero*, ozdobiony srebrnym sznurem i takiemiż kwastami. Ogromne srebrne guzy przy suto wyszywanym, skórzanym kaftanie, rzędy drobnych, srebrnych guziczków wzdłuż szwów spodni, śnieżna bielizna, jedwabny pas z haftowanemi końcami, srebrne blaszki na siodle i uprzęży: wszystko to świadczyło o nieskazitelnym stylu słynnego *Capataza de Cargadores* — marynarza ze Śródziemnego morza — który przyćmiewał swym przepychem wszystkich dziarskich, młodych *rancherów z Campa*, wystrojonych od wielkiego święta.

— To wielka rzecz dla mnie — mruknął stary Giorgio, wciąż jeszcze myśląc o domu, bowiem uprzykrzyła się mu już włóczęga. — *Signora* mówiła o mnie z Anglikiem.

— Z tym starym, co ma tyle pieniędzy, że może zapłacić za kolej? Za godzinę już go tu nie będzie — wtrącił Nostromo niedbale. — No, *buon viaggio*. Pilnowałem ja jego kości od przełęczy *Entrada* aż do równiny i aż do Sulaca, jakgdyby był moim ojcem.

Stary Giorgio tylko potrząsnął głową z roztargnieniem. Nostromo wskazał palcem na powóz Gouldów, co zbliżał się już do porośniętej trawą bramy w starożytnym murze miejskim; wyglądał on, jakby go obwieszono barwnemi matami.

— A nocami siadywałem z rewolwerem w magazynie Towarzystwa, strzegąc stosów srebra tego drugiego Anglika, jakgdyby było moje.

Viola nie wychodził z zadumy. — To wielka rzecz dla mnie — zamamrotał znów jakby do siebie.

— Jużcić — potwierdził wspaniały *Capataz de Cargadores*. — Słuchaj-no, *Vecchio* — idź do domu i przynieś mi cygaro. Ale nie szukaj go w mojej izbie, bo tam nic nie znajdziesz.

Viola poszedł do kawiarni, skąd powrócił natychmiast, wciąż jeszcze pogrążony w myślach. Podał mu cygaro i mruknął pod wąsem:

— Dzieci rosną — a dziewczęta także! Dziewczęta! — Westchnął i umilkł.

— Co, tylko jedno? — odezwał się Nostromo, spoglądając na niedomyślnego starca z wyrazem komicznej wymówki. — Niechże będzie — dodał niedbale — trzeba poprzestać na jednem, gdy niema drugiego.

Zapalił cygaro i upuścił bezwiednie zapałkę z palców. Giorgio Viola podniósł oczy wgórę i rzekł znagła:

— Gdyby mój syn żył, byłby już takim przystojnym młodzieńcem, jak ty, Gian' Battisto.

— Co? Twój syn? Masz rację, ojcze. Byłby mężczyzną, co się zowie, gdyby był podobny do mnie.

Nawrócił zwolna konia i poczłapał między budy, zatrzymując swą klaczkę co chwila bądźto śród dzieci, bądź też śród gromadek ludu z dalekiego *Campa*, co spoglądał za nim z uwielbieniem. Robotnicy portowi Towarzystwa pozdrawiali go zdaleka. Śród pochwalnych szmerów i niskich ukłonów podążał ścigany zazdrosnemi spojrzeniami *Capataz de Cargadores* ku wielkiemu budynkowi, co miał wygląd cyrku. Ścisk zwiększał się; donośniej brząkały gitary. Inny jeździec siedział nieruchomo na koniu, smoktając spokojnie cygaro nad głowami tłumu. Wirował i tłoczył się on

przed budynkiem o stożkowatym dachu, skąd dolatywały szurgania i przytupywania nóg w takt muzyki tanecznej, co skwierczała i tętniła jakimś udręczonym rytmem, przytłaczanym przeciągłym, straszliwym, czczym porykiem *gomba*. Barbarzyński i gromki huk tego wielkiego bębna, co przyprawia tłumy o szaleństwo i którego nawet Europejczyk nie może słuchać bez dziwnego jakiegoś wrażenia, zdawał się wabić Nostroma ku swemu źródłu, gdy wtem ów człowiek, odziany w wyszarzałe i podarte *poncho*, zeskoczył ze strzemion i, rozpychając tłum łokciami na prawo i na lewo, jął usilnie prosić „jego wielmożność" o zajęcie w porcie. Skomlał, ofiarując *Seniorowi Capatazowi* połowę swej dziennej płacy za dopuszczenie go do buńczucznego bractwa *Cargadorów*. Zapewniał, że gotów jest poprzestać na drugiej. Ale prawa ręka kapitana Mitschella — „nieoceniony w naszej pracy i bezwarunkowo nieprzekupny chłopak" — spojrzał krytycznie na obszarpanego *moza* i potrząsnął przecząco głową, nie wyrzekłszy ani słowa śród wzmagającego się zgiełku.

Mozo zeszedł mu z drogi, lecz, oddaliwszy się nieco od Nostroma, jął go przedrzeźniać. Z drzwi sali tanecznej wychodzili mężczyźni i kobiety, zataczając się, ociekając potem, drżąc na całem ciele. Zdyszani, z osłupiałemi oczyma i rozchylonemi ustami, opierali się o ściany budynku, w którym śród nieustannych rozhuków gromu rzępoliły z szaleńczem uniesieniem harfy i gitary. Klaskały setki rąk; słychać było piski, co przycichały naraz i rozlegał się zgodnym chórem śpiewany *refrain* pieśni miłosnej o tęsknej nucie. Czerwony kwiat, rzucony celnie przez kogoś z tłumu, musnął policzek świetnego *Capataza*.

Zręcznym ruchem uchwycił go w locie, lecz przez jakiś czas nie odwracał głowy. Kiedy wreszcie raczył się obejrzeć, zobaczył, iż tłum rozstępuje się przed ładną *Morenitą* [1]), co miała włosy spięte małym, złotym grzebykiem. Szła ku niemu wolnem przejściem. Jej szyja i ramiona wynurzały się, nagie i krzepkie, z śnieżnej bluzki. Niebieska, wełniana spódnica, suta od przodu, wąska na biodrach i obcisła od tyłu, uwydatniała wyzywające jej ruchy. Podeszła i położyła rękę na karku klaczy, rzucając zukosa lękliwe i zalotne spojrzenie.

— *Querido* [2]) — zaszczebiotała pieszczotliwie — dlaczego udajesz, że mnie nie widzisz, kiedy cię spotykam na ulicy?

— Bo cię już nie kocham — odparł Nostromo spokojnie po chwili namysłu.

Dłoń, spoczywająca na karku klaczy, drgnęła nagle. *Morenita* pochyliła głowę pod spojrzeniami tłumu, co otaczał wielkiem kołem wielkodusznego, straszliwego, płochego *Capataza de Cargadores* i jego dziewczynę. Nostromo zerknął wdół i zobaczył, że łzy zaczynają ściekać po jej twarzy.

— A więc to tak, mój najmilszy! — szepnęła. — Czy to prawda?

— Nie — rzekł Nostromo, rozglądając się niedbale. — To kłamstwo. Kocham ciebie tak samo, jak dawniej.

— A czy to prawda? — zaszczebiotała radośnie, mając jeszcze policzki, wilgotne od łez.

— Prawda!

— Prawda, jak ci życie miłe?

---

[1]) Brunetka. [2]) Ukochany.

— Tak jest; ale nie zmuszaj mnie, abym przysięgał przed Madonną, co stoi w twoim pokoju. — I *Capataz* uśmiechnął się zlekka, odpowiadając na skrzeczenie tłumu.

Jęła przymilać się — bardzo ładna — nieco niespokojna.

— Nie, nie będę cię zmuszała. Poznam po twoich oczach, czy mnie kochasz. — Położyła mu rękę na kolanie. — Dlaczego tak drżysz? Czy z kochania? — Mówiła dalej śród rozlegających się nieustannie, gromowych rozhuków *gomba*. — Ale jeżeli tak ją kochasz, to powinieneś dać swej Paquicie oprawny w złoto różaniec, żeby go zawiesiła na szyi swej Madonny.

— Nie — odparł Nostromo, spoglądając w jej podniesione, proszące oczy, co nagle osłupiały ze zdumienia.

— Nie? Cóż więc raczy mi dać wielmożny pan przy dzisiejszej *fieście*, abym nie potrzebowała wstydzić się przed ludźmi? — zapytała gniewnie.

— Nie potrzebujesz się wstydzić, iż raz nie dostałaś nic od swego kochanka.

— Prawda! To wstyd dla wielmożnego pana — mojego biednego kochanka — sarknęła zjadliwie.

Śmiano się z jej gniewu, jej przygryzek. Co to za zuchwała żmijka! Świadkowie tego widowiska przywoływali śpiesznie innych. Zacieśniał się zwolna krąg dokoła siwej klaczy.

Dziewczyna odstąpiła na krok, urągając szyderczym spojrzeniom, poczem przypadła znów do strzemienia i wspięła się na palcach, zwracając do Nostroma wzburzoną twarz i pałające oczy.

— Juanie, — syknęła, — mogłabym cię pchnąć nożem w serce!

Straszliwy *Capataz de Cargadores*, któremu wielkoduszna niedbałość nie pozwalała ukrywać się ze swemi miłostkami, objął ją ramieniem za szyję i ucałował jej rozedrgane usta. Wionął szmer dokoła.

— Noża! — huknął w tłum, trzymając ją mocno za ramię.

Dokoła niego błysnęło naraz ze dwadzieścia ostrzy. Jakiś młodzieniec w odświętnym stroju podbiegł ku niemu, podał mu nóż i odskoczył znowu w tłum, wielce zadowolony ze siebie. Nostromo nawet nie spojrzał na niego.

— Stań na mojej nodze! — rozkazał dziewczynie, która nagle poskromiona, wskoczyła lekko. Kiedy zaś miał ją już przy sobie, objął ją wpół i, przybliżywszy jej twarz do swojej, wcisnął nóż w jej drobną rękę.

— Nie, *Morenito*, nie zawstydzisz mnie! — przemówił. — Dostaniesz podarek ode mnie! I żeby wszyscy wiedzieli, kto jest dziś twoim kochankiem, pozwalam ci poodcinać wszystkie srebrne guziki od mojego kaftana.

Dowcipny ten pomysł przyjęto burzą śmiechów i oklasków. Migało ostrze noża w rękach dziewczyny, a jeździec podzwaniał niedbale srebrnemi guzami, co spadały do jego dłoni. Z pełnemi garściami ześlizgnęła się wreszcie przy jego pomocy na ziemię. Poszeptała z nim jeszcze namiętnie, poczem znikła śród ciżby.

Tłum się rozpierzchł, zaś dostojny *Capataz de Cargadores*, nieoceniony człowiek, wypróbowany i wierny Nostromo, marynarz ze Śródziemnego morza, co zabłąkał się na ląd, by szukać szczęścia w Costaguanie, poczłapał zwolna ku przystani. *Junona* dokonywała właśnie obrotu. Kiedy zaś Nostromo osadzał konia,

by jeszcze raz spojrzeć za nią, podciągnięto chorągiew na zaimprowizowanym maszcie, który ustawiono na szczycie starożytnego, opuszczonego już fortu u wrót przystani. Wysłano tam pośpiesznie z koszar sulackich pół baterji dział polowych, żeby przepisową salwą pożegnały prezydenta-dyktatora i ministra spraw wojskowych. Gdy parowiec mijał cieśninę, dano znać, zaiste, bardzo nie wporę, iż pierwsze oficjalne odwiedziny Dona Vincentego Ribiery już ukończone. Dla kapitana Mitschella był to koniec nowego, „dziejowego zdarzenia“. Ponowne odwiedziny, które „nadzieję uczciwych ludzi“ sprowadziły w półtora roku później znów do Sulaca, nie miały już charakteru urzędowego. Tułając się po wertepach górskich, uciekał prezydent po przegranej bitwie na kulawym mule i byłby zginął haniebną śmiercią z rąk motłochu, gdyby go nie ocalił Nostromo. Było to nader odmienne zdarzenie, o którem kapitan Mitschell powiadał:

— Ależ to historja, panie! Co to za historja! A mój Nostromo — zna go pan! — był bez zarzutu. Ten człowiek tworzy historję, panie!

Wszelako po tym wypadku, tak chlubnym dla Nostroma, nastąpił bezpośrednio inny, który wedle frazeologji kapitana Mitschella nie mógł być zaliczony ani do „historji“ ani też do „pomyłek“. To też znalazł na jego określenie inne słowo:

— Panie, — mawiał później, — to nie była pomyłka. To była fatalność. Poprostu nieszczęście! A mój biedny chłopak był w porządku — w zupełnym porządku! Jeżeli jednak była to fatalność, to mojem zdaniem nie wyszedł on z niej tym samym człowiekiem.

CZĘŚĆ DRUGA

I Z A B E L E

ROZDZIAŁ I.

Śród dobrych i złych kolei zmiennego losu walk, które Don José określił zwrotem: „Los uczciwości narodowej waży się na szali“, „koncesja Gouldów“, *Imperium in Imperio*, nie ustawała w swej pracy; z grań górskich staczały się w dalszym ciągu po drewnianych stoczniach skarby do niestrudzonych bateryj stęp; noc po nocy rozwidniała kopalnia San Tomé migotaniem swych świateł, głębokie, bezbrzeżne mroki *Campa;* co trzy miesiące odstawiała eskorta transport srebra do przystani, jakgdyby ani wojna, ani jej następstwa nie wywierały wpływu na starodawne Państwo Zachodnie, ukryte za wysokiemi zaworami Kordyljerów. Walki toczyły się po drugiej stronie potężnego muru, utworzonego ze szczerbatych szczytów, śród których królował biały tum Higueroty. Muru tego nie przewierciła dotychczas kolej, z której wykonano tylko pierwszą, łatwiejszą część, przebiegającą śród równinnego *Campa* od Sulaca do doliny Ivie, znajdującej się u podnóża przełęczy. Nie przekraczała również gór linja telegraficzna; słupy jej, sterczące niby cienkie tyki miernicze śród płaszczyzny, wnikały do lesistego rąbka regli, przeciętych głębokim wądołem drogi jezdnej; zaś druty jej kończyły się nagle na

białej powierzchni stołu, dźwigającego aparat Morse'a i umieszczonego w podłużnej chacie, skleconej z dranic i przykrytej dachem z falistej blachy. Olbrzymie cedry ocieniały tę chatę co była zarazem mieszkaniem inżyniera, kierującego dalszemi robotami i wznosiła się pośrodku robotniczego obozowiska.

Port również był czynny, gdyż dowożono materjały kolejowe i odbywały się ruchy wojsk wzdłuż wybrzeża. Flota T. O. Ż. P. pracowała bez wytchnienia. Costaguana nie miała marynarki i prócz kilku *cutterów*, co pełniły służbę strażniczą wzdłuż wybrzeża, państwo to posiadało zaledwie parę starych parowców handlowych, używanych do przewozu.

Kapitan Mitschell, który coraz silniej utwierdzał się w przeświadczeniu, iż przenika do ośrodka dziejów, zawsze znajdował czas, by zajść po południu na godzinkę do salonu *Casy Gould*, gdzie ze szczególniejszą nieznajomością sił, co istotnie działały dokoła niego, wyrażał swą błogość, iż może odetchnąć od zamętu spraw. Oświadczał, iż nie wiedziałby, co począć bez nieocenionego Nostroma. Zwierzał się Mrs. Gould, iż zawikłane stosunki polityczne Costaguany dawały mu więcej do czynienia, niżeli przypuszczał.

Don José Avellanos oddał na usługi zagrożonego rządu Ribiery swą działalność organizacyjną i swą wymowę, której echa dotarły nawet do Europy. Odkąd bowiem rząd Ribiery zaciągnął nową pożyczkę, Europa jęła zajmować się Costaguaną. Sala Sejmiku Prowincjonalnego (w ratuszu miasta Sulaca), ozdobiona portretami wyzwolicieli oraz starożytną chorągwią Corteza, przechowywaną za szkłem nad krzesłem prezydenta, rozbrzmiewała od tych mów. Najwcześniejsza z nich zawierała namiętne oświadczenie, że „milita

ryzm jest wrogiem“; w drugiej, wygłoszonej z powodu głosowania nad utworzeniem drugiego rządu w Sulaco dla obrony rządu naczelnego — rządu reform, padły słynne słowa o „wahającej się szali“. Kiedy prowincje rozwinęły znów swe dawne sztandary (prześladowane za czasów Guzmana Benty), miała znów miejsce wielka mowa, w której Don José składał hołd tym prastarym godłom wojny o niepodległość, podźwigniętym znów w imię nowych ideałów. Dawna idea federalizmu zanikła. Zapewniał, iż nie zamierza wskrzeszać starych doktryn politycznych. Były przemijające. Zamarły. Ale zasada rzetelności politycznej jest nieśmiertelna. Drugi rząd Sulaca, któremu wskazywał na ten sztandar, dowiedzie swej mocy w obronie porządku, pokoju, postępu. Niechaj dziełem jego będzie utrwalenie godności narodowej, bez której — jak oświadczał z naciskiem — „jesteśmy tylko hańbą i zakałą śród mocarstw świata“.

Don José kochał swą ojczyznę. Pełniąc służbę dyplomatyczną, nie szczędził dla niej swego mienia, zaś słuchaczom jego dobrze znane były dzieje jego uwięzienia i barbarzyńskiej poniewierki, jakiej doznał za czasów Guzmana Benty. Było to istnym cudem, iż nie padł ofiarą krwiożerczych i doraźnych sądów, które znamionowały tę tyranję. Bowiem Guzman rządził krajem z posępną tępotą fanatyzmu politycznego. Władza najwyższa stała się dla jego ograniczonego umysłu przedmiotem osobliwszego bałwochwalstwa, jakgdyby była jakiemś okrutnem bóstwem. Ucieleśniała się w nim samym, zaś jego przeciwnicy, federaliści, byli najgorszymi grzesznikami, przedmiotami nienawiści, odrazy i lęku, podobnie jak dla zaciekłego inkwizytora bywali heretycy. Przez długie lata wo-

dził za swemi wojskami po całym kraju niewolny tłum takich okrutnych zbrodniarzy, którzy uważali się za najnieszczęśliwszych, iż nie wytracono ich doraźnie. Była to wciąż zmniejszająca się gromada niemal nagich szkieletów, obarczonych kajdanami, okrytych brudem, robactwem i niewygojonemi ranami, a należeli do niej ludzie wybitni, wykształceni i bogaci, którzy nauczyli się walczyć między sobą o ochłapy mięsiwa, rzucane im przez żołnierzy, lub potrafili żałośnie błagać kucharza murzyna o łyk mętnej wody. Podzwaniając śród innych swemi łańcuchami, Don José Avellanos zdawał się istnieć jeno poto, by dowieść, ile głodu, męki, poniżenia i okrutnych tortur może znieść ciało ludzkie, a mimo to nie wyzionąć ducha. Niekiedy poddawano ich śledztwu, przy pomocy bardzo prymitywnych tortur, zarządzanych przez komisje oficerskie. Zbierały się one naprędce w chatach z chróstu i gałęzi i były nieubłagane, gdyż członkowie ich drżeli o własne życie. Zdarzało się, iż jednego lub dwu szczęśliwców z pośród tego widmowego grona więźniów odprowadzano chwiejących się za pobliskie krzaki i oddawano do rozstrzelania żołnierzom.

Zawsze towarzyszył im kapelan wojskowy — nieogolony brudas z szablą u boku i małym krzyżykiem, wyhaftowanym białą bawełną po lewej stronie oficerskiej bluzy. Szedł za nimi z papierosem w ustach i drewnianym stołeczkiem w ręce, by wysłuchać spowiedzi i dać rozgrzeszenie. Bowiem obywatel, zbawca ojczyzny (jak urzędowo tytułowano Guzmana Bentę w zanoszonych do niego prośbach) nie był przeciwnikiem racjonalnej łaskawości. Rozlegał się nieregularny łoskot wystrzałów, po których niekiedy następował

jeszcze pojedynczy strzał ostateczny. Wzbijał się błękitnawy obłoczek dymu nad zielonemi chaszczami i armja uśmierzenia wyruszała w dalszy pochód przez bory i *savanny*, przeprawiając się przez rzeki, napadając sielskie *pueblos*, pustosząc *haciendas* znienawidzonych arystokratów, zalewając w poczuciu patrjotycznego posłannictwa ustronne miasta i pozostawiając za sobą kraj zjednoczony, w którym poprzez dymy palących się domów i wyziewy rozlanęj krwi niepodobna już było dostrzec zgubnej zmazy federalizmu.

Don José Avellanos przetrwał te czasy.

Być może, iż wydając pogardliwie rozkaz, aby go uwolniono, obywatel, zbawca ojczyzny, miał przeświadczenie, iż ten zatracony arystokrata nazbyt jest już złamany na duchu, ciele i mieniu, żeby mógł być niebezpiecznym. A może był to tylko zwykły kaprys. Guzman Bento, zazwyczaj pełen urojonych obaw i nurtujących podejrzeń, miewał nagłe przystępy nieuzasadnionej niczem wiary w siebie, kiedy mu się zdawało, iż stanął u szczytu potęgi i bezpieczeństwa, gdzie go już nie mogły dosięgnąć zamachy śmiertelnych spiskowców. W takich chwilach popędliwie nakazywał uroczyste msze dziękczynne, które w kościele katedralnym Santy Marty odprawiał śród śpiewów i z wielką okazałością, drżący przed nim arcybiskup, który był jego powolnem narzędziem. Słuchał ich siedząc w pozłocistym fotelu przed wielkim ołtarzem, śród orszaku cywilnych i wojskowych dostojników swego rządu. Świat nieurzędowy Santy Marty napływał do katedry, gdyż dla osób wybitniejszych nie było zgoła rzeczą bezpieczną trzymać się zdala od tych objawów bogobojności prezydenckiej. Oddawszy w ten sposób hołd jedynej mocy, którą uważał za wyższą od swojej,

nie szczędził aktów łaski, co miały charakter rozpasanej złośliwie łaskawości. Chcąc dopełnić miary swojej potęgi, zapragnął zobaczyć, jak jego zmiażdżeni przeciwnicy będą wypełzali bezsilnie na światło dzienne z mroku ohydnych cel więziennych w *Collegio*. Rozkoszowała się ich bezwładem jego nienasycona próżność, a zawsze było można uwięzić ich ponownie. Było zasadą, iż wszystkie kobiety z ich rodzin musiały później składać podziękowania na osobnych posłuchaniach. Uosobienie dziwnego bóstwa, zwanego *El Gobierno Supremo*, przyjmowało je, stojąc. Na głowie jego widniał kapelusz z podwiniętą kresą. Groźnym bełkotem nawoływał je do wdzięczności; niechaj jej dowiodą, wychowując swą dziatwę w wierności dla demokratycznych form rządu, „które ja zaprowadziłem dla dobra naszej ojczyzny". Miał wymowę niewyraźną i bełkotliwą, gdyż utracił przednie zęby w jakimś wypadku, kiedy był jeszcze pastuchem. Zapewniał, iż sam tylko pracuje dla Costaguany śród przeciwności i zdrady. Ale niechaj to wreszcie ustanie, bo wkońcu znudzi się mu przebaczać!

Don José Avellanos doświadczył na sobie tego przebaczenia.

Zdrowie jego i mienie było dostatecznie nadwątlone, by rozradować oczy najwyższego naczelnika ustroju demokratycznego. Usunął się do Sulaca. Jego żona miała majątek ziemski w tej prowincji i rozniecił a w nim znów iskrę życia, gdy powrócił z domu śmierci i niewoli. Kiedy umarła, jedyna ich córka była już w tym wieku, że mogła zaopiekować się „biednym tatusiem".

Panna Avellanos urodziła się w Europie i poczęści wychowała się w Anglji. Była to dziewczyna smukła i poważna, o powściągliwem usposobieniu. Miała sze-

rokie, białe czoło, ogromnie szczodre, ciemne włosy i błękitne oczy.

Inne młode panny z Sulaco korzyły się z czcią przed jej charakterem i wytwornością. Uchodziła za niezmiernie wykształconą i stateczną. Duma była u niej właściwością dziedziczną, wiedziano bowiem powszechnie, iż wszyscy Corbelànowie byli dumni, a matka jej pochodziła z tego rodu. Don José Avellanos miał bezgraniczną ufność do przywiązania swej ukochanej Antonji. Przyjmował je z zamroczeniem ludzi, co aczkolwiek stworzeni na podobieństwo Boskie, stają się bezdusznemi, kamiennemi bożyszczami, gdy poczują dymy pewnych całopaleń. Był zniszczony pod każdym względem, ale człowiek, opanowany przez namiętność, nie jest jeszcze bankrutem życiowym. Don José Avellanos pożądał dla swej ojczyzny pokoju, pomyślności i (jak się wyraził w zakończeniu swej przedmowy do *Pięćdziesięciu lat nierządu*) „zaszczytnego miejsca w gronie cywilizowanych narodów". W tym ostatnim zwrocie przejawia się bez osłonek patrjotyzm ministra pełnomocnego, upokarzanego haniebnie nierzetelnością swego rządu w stosunku do zobowiązań, zaciąganych u cudzoziemców.

Niedorzeczne swary żarłocznych klik, co nastąpiły po tyranji Guzmana Benty, zdawały się jego pragnieniom otwierać wrota sposobności. Był za stary, by wstąpić osobiście na arenę w Santa Marta. Ale ludzie, którzy tam działali, zasięgali jego wskazówek na każdym kroku. Sam był zdania, iż najpożyteczniejszym będzie mógł być z odległości, z Sulaca. Jego nazwisko, jego stosunki, jego dawniejsze stanowisko, jego doświadczenie nakazywały poszanowanie ludziom z jego obozu. Do zwiększenia jego wpływów przyczyniło się odkrycie, iż ten człowiek,

znoszący z godnością ubóstwo w domu, co ongi był miejską siedzibą Corbelánów (naprzeciwko *Casy Gould*), może rozporządzać środkami materjalnemi dla poparcia słusznej sprawy. Jego list otwarty rozstrzygnął o kandydaturze Dona Vincentego Ribiery na prezydenta. Inny z tych nieformalnych dokumentów państwowych, skreślonych przez Dona Josego (tym razem w formie adresu od Prowincji Zachodniej), skłonił tego skrupulatnego stróża konstytucji do przyjęcia pełnomocnictw nadzwyczajnych, których na przeciąg pięciu lat udzielono mu przygniatającą większością głosów na posiedzeniu kongresu w Santa Marta. Było to upoważnienie wyjątkowe, celem utrwalenia pomyślności narodowej na zasadzie trwałego pokoju w kraju oraz odzyskania ufności zagranicą, do czego miało posłużyć zaspokojenie wszystkich słusznych jej żądań.

Wiadomości o tem głosowaniu dotarły do Sulaca pewnego popołudnia zwykłą drogą okrężną przez Caytę, skąd następnie przywiózł je parowiec. Don José, który oczekiwał poczty w salonie Gouldów, zerwał się z fotela na biegunach, przyczem spadł na ziemię kapelusz, co leżał na jego kolanach. Oniemiały z radości, jął trzeć obiema dłońmi swą srebrzystą, krótką czuprynę.

— Emiljo, moja duszyczko — parsknął wkońcu — pozwól, że cię uściskam! Pozwól mi...

Kapitan Mitschell, gdyby był przy tem obecny, byłby niewątpliwie wporę napomknął o brzasku nowej ery, ale Dona Josego zawiodła tym razem jego wymowa, jeżeli nawet przyszło mu na myśl coś podobnego. Pod duchowym sprawcą odrodzenia stronnictwa *blanców* ugięły się nogi. Mrs. Gould podbiegła ku niemu śpiesznie i, podając z uśmiechem policzek swemu staremu przy-

jacielowi, udzieliła mu zarazem przezornie pomocy swego ramienia, której istotnie potrzebował.

Don José odzyskał zrazu panowanie nad sobą, ale przez jakiś czas nie mógł zdobyć się na nic innego, prócz niewyraźnie bełkotanych słów: — Oh, wy patrjoci, moi patrjoci! — przyczem wodził kolejno wzrokiem po obojgu. Niejasne pomysły nowego dzieła historycznego, które zbożnej pamięci przyszłych pokoleń przekazałoby cały ogrom ofiar, poniesionych dla odrodzenia umiłowanej ojczyzny, zaświtały mu w mózgu. Był historykiem, który miał dość wzniosłości ducha, by napisać o Guzmanie Bencie: „Jednak ten potwór, zbluzgany krwią swych ziomków, nie zasługuje na bezwzględne potępienie potomności. Zdaje się, iż naprawdę kochał swą ojczyznę. Dał jej dwanaście lat spokoju. Żył i umarł w ubóstwie, aczkolwiek był samowładnym panem życia i mienia swych współobywateli. Być może, iż najgorszą jego wadą nie była dzikość, lecz niewiedza“. Otóż człowiek, który w ten sposób wyraził się o swym okrutnym prześladowcy (ustęp ten znajduje się w „Historji nierządu“), zapałał w przededniu swego powodzenia bezmierną niemal czułością do tych dwojga swoich pomocników, do tej młodej pary z za morza.

Podobnie jak przed laty Henry Gould stanął spokojnie do boju z bronią w ręce, przeświadczony o konieczności praktycznej, silniejszej od wszelkich abstrakcyjnych doktryn politycznych — tak samo obecnie, kiedy czasy się zmieniły, Charles Gould rzucił srebro kopalni San Tomé na szale walki. *Inglez* ze Sulaco, „Anglik costaguański“ w trzeciem pokoleniu, równie był daleki od matactw politycznych, jak jego wuj od kuglarstwa rewolucyjnego. Czyny ich były wyrozu-

mowane, a wynikały z instynktownej prawości ich natur. Nadarzyła się sposobność, więc ujęli broń w ręce.

Stanowisko Charles'a Goulda — stanowisko kierownicze w głębi tych wysiłków, zmierzających do zapewnienia pokoju i rozbudzenia ufności do Rzeczypospolitej — było jasno określone. Musiał przystosowywać się zrazu do istniejącego stanu zepsucia, tak naiwnie bezczelnego, iż mogło rozbroić nienawiść człowieka, dość odważnego, by nie lękać się jego nieodpowiedzialnej mocy, zdolnej przyprawić o zgubę wszystko, co się z nią zetknęło. Wydawało się mu zbyt nikczemnem, żeby mogło zasługiwać bodaj na odruch gorętszego uniesienia. Posługiwał się niem z chłodną, nieulęknioną wzgardą, co objawiała się raczej niż ukrywała pod formami zakamieniałej poprawności, umniejszającej wielce hańbę położenia. Być może, iż cierpiał z tego powodu w głębi duszy, gdyż był niezdolny do tchórzliwych urojeń, ale nie chciał wdawać się ze swą żoną w rozmowy o poglądach etycznych. Ufał, iż aczkolwiek nieco rozczarowana, zdobędzie się przecież na tyle inteligencji, iż pojmie, że jego charakter stanowi niemniejszą, a nawet większą ich istnień rękojmię od jego obrotności. Nadzwyczajny rozwój kopalni dał mu wielką potęgę w ręce. Poczucie, iż ta pomyślność będzie zawsze zdana na łaskę głupiej łapczywości, napełniało go gniewem. Dla Mrs. Gould było ono upokorzeniem. W każdym jednak razie groziło niebezpieczeństwem. W korespondencji poufnej, wymienianej między Charles'em Gouldem, królem Sulaca, a naczelnym kierownikiem wielkich przedsiębiorstw srebrnych i stalowych, działającym w dalekiej Kalifornji, coraz wyraźniej zaznaczało się przeświadczenie, iż wszelkie wysiłki, podejmowane przez ludzi światłych i prawych,

winny być popierane potajemnie. „Proszę powiedzieć swemu przyjacielowi, Avellanosowi, że takie jest moje zdanie“. Mr. Holroyd napisał te słowa we właściwej chwili ze swego nietykalnego przybytku w jedenastopiętrowym warsztacie wielkich interesów. Wnet potem, przy pomocy kredytu, otwartego w *Third Southern Bank* [1]) (do którego wchodziło się obok, ale temi samemi drzwiami, co do gmachu Holroyda), stronnictwo ribierzystów w Costaguanie przybrało kształt praktyczny pod nadzorem zawiadowcy kopalni San Tomé. To też Don José, dziedziczny przyjaciel rodu Gouldów, mógł powiedzieć: — „Być może, mój drogi Carlosie, iż wiara moja nie poszła na marne“.

---

[1]) Trzeci Bank Południowy.

ROZDZIAŁ II.

Po długiej rozprawie zbrojnej, rozstrzygniętej zwycięstwem Montera nad Rio Seco, a stanowiącej nowy rozdział w opowieści o wojnie domowej, „ludzie uczciwi“, jak ich nazywał Don José, mogli wreszcie, po raz pierwszy od lat pięćdziesięciu, odetchnąć swobodnie. Ustawa o pełnomocnictwie pięcioletniem była podstawą tego odrodzenia, co dzięki namiętnemu upragnieniu i oczekiwaniu stało się jakby eliksirem wiekuistej młodości dla Dona Joségo Avellanosa. Kiedy zaś nagle, acz bynajmniej nie znienacka, targnął się na nie „nikczemny Montero“, płomienne oburzenie było tą nową karmią, co podsycała jego życie. Już za pobytu prezydenta-dyktatora w Sulaco, Moraga nadesłał ze Santa Marta natarczywe ostrzeżenie przed ministrem wojny. Montero i jego brat stanowili przedmiot bardzo poważnych rozmów między dyktatorem-prezydentem a sędziwym przewódcą duchowym stronnictwa. Ale Don Vincente, doktór filozofji Uniwersytetu w Kordowie zdawał się mieć wygórowane poszanowanie dla uzdolnień wojskowych, których zagadkowość, napozór zupełnie niezależna od intelektu, oddziaływała na jego wyobraźnię. Zwycięzca z nad Rio Seco był bohaterem popularnym. Zasługi jego były tak niedawne, iż pre-

zydent-dyktator wzdragał się przed nieuniknionem zadaniem politycznej niewdzięczności. Zapoczątkowano odrodzenie wielkiemi dziełami: świeżą pożyczką, nową linją kolejową, szeroko pomyślanym planem kolonizacji. Należało unikać wszystkiego, co mogłoby wzburzyć opinję publiczną stolicy. Don José przyznał słuszność tym argumentom i starał się zatrzeć w swym umyśle wspomnienie złowieszczego zwiastuna przy szabli, w butach i ze złotemi galonami, pocieszając się nadzieją, iż postradał on już wszelkie znaczenie w nowym porządku rzeczy.

W niespełna sześć miesięcy po odwiedzinach prezydenta-dyktatora, Sulaco dowiedziało się z osłupieniem o buncie wojskowym, podniesionym w imię honoru narodowego. Minister wojny w koszarowem przemówieniu do oficerów pułku artylerji, której odbywał przegląd, oświadczył, iż honor narodowy zaprzedano cudzoziemcom. Dyktator skutkiem swej niedołężnej uległości wobec żądań mocarstw europejskich, które domagały się uregulowania zaległych oddawna zobowiązań pieniężnych, okazał się niezdolnym do rządzenia. List Moragi wyjaśnił później, iż pomysł a nawet treść tego podburzającego przemówienia były w rzeczywistości dziełem drugiego Montera, byłego *guerillera*[1]), *Commandanta de Plaza*[2]). Energiczne zabiegi dra Monyghama, po którego posłano pośpiesznie „w góry“ i który, pędząc na koniu cwałem, ujechał trzy mile śród głębokich ciemności, ocaliły Dona Joségo od niebezpiecznej żółtaczki.

Przyszedłszy do siebie po tym wstrząsie, Don José nie chciał się uznać za pokonanego. Jakoż nadchodziły

---

[1]) Partyzant. [2]) Komendant placu.

zrazu lepsze wieści. Bunt w stolicy zdławiono po całonocnej walce ulicznej. Na nieszczęście, obaj Monterowie zdołali umknąć na południe, do swej rodzinnej prowincji, Entre-Montes. Bohatera pochodu śród borów, zwycięzcę z nad Rio Seco przyjęto z rozpętanym entuzjazmem w Nicoyi, która była stolicą tej prowincji. Wojska, stojące tam załogą, przeszły wszystkie na jego stronę. Bracia organizowali armję, gromadzili niezadowolonych, wysyłali emisarjaszów, mydlili patrjotycznemi łgarstwami oczy ludowi, a obietnicą łupów zjednywali sobie dzikich *Llanerów*. Powstała nawet prasa monterystowska, napomykająca zagadkowo o tajnych obietnicach, które pozwalały mieć nadzieję, iż „wielka, siostrzana rzeczpospolita z północy" pośpieszy z pomocą przeciwko złowrogim, niszczycielskim zamiarom mocarstw europejskich, i wyklinająca na wszelkie sposoby „nikczemnego Ribierę", który uknuł spisek, by spętaną ojczyznę wydać na pastwę obcym spekulantom.

Senne, sielskie Sulaco wraz ze swem bujnem *Campo* i bogatą kopalnią srebra przysłuchiwało się kapryśnie szczękowi broni ze swego szczęsnego odosobnienia. Nie zaniedbywało wprawdzie stanąć w czołowych szeregach obrońców, dostarczając ludzi i pieniędzy. Wszelkie pogłoski docierały tam drogą okrężną — nawet za pośrednictwem zagranicy, tak dalece było odcięte od reszty Rzeczypopolitej nietylko skutkiem przeszkód naturalnych, lecz także z powodu zamętu, wywołanego przez wojnę. *Monteristos* oblegali Caytę, ważny węzeł pocztowy. Przestali gońce przedzierać się przez góry i wkońcu żaden mulnik nie chciał podjąć się tej wyprawy. Nawet Bonifacio nie powrócił pewnego razu ze Santa Marta i niewiadomo było, czy nie śmiał stamtąd wyjechać, czy też wpadł w ręce nieprzyjaciela, którego

oddziały uganiały się po kraju między stolicą a Kordyljerami. Jednakże odezwy monterystowskie torowały sobie w jakiś tajemniczy sposób drogę do tej prowincji i jawili się emisarjusze monterystowscy, głoszący śmierć arystokratom w siołach i miasteczkach *Campa*. Bardzo wcześnie, bo już w pierwszych dniach rozruchów, bandyta Hernandez (za pośrednictwem pewnego starego proboszcza z zapadłej wioski) oświadczył gotowość wydania dwu takich emisarjuszy w ręce władz ribierystowskich w Tonaro. Przyszli oni do niego, ofiarując mu imieniem generała Montera amnestję i stopień pułkownika, o ile zgodzi się połączyć swą rozbójniczą szajkę z wojskami buntowniczemi. Nie zwrócono zrazu na to oświadczenie uwagi. Jako dowód dobrej woli było ono dołączone do prośby, z którą bandyta zwracał się do sejmiku w Sulaco, ażeby było mu wolno wstąpić wraz ze swymi towarzyszami do szeregów armji, którą miano werbować w Sulaco na obronę pięcioletniego mandatu odrodzenia. Prośba ta, podobnie zresztą jak wszystkie inne, dotarła do rąk Dona Jo sego. Pokazał on Mrs. Gould te zabrudzone kartki szarawego, szorstkiego papieru, zrabowanego prawdopodobnie w jakimś wiejskim sklepiku i pokrytego niewprawnemi, żmudnemi gryzmołami starego *padra*, którego porwano z jego chaty, przytulonej do lepianki kościelnej, aby służył za sekretarza straszliwemu *Salteadorowi*. W świetle lampy, co rozwidniała salon Gouldów, pochylili się oboje nad tym dokumentem, zawierającym dumny i zarazem pokorny odzew tego człowieka przeciwko ślepemu i tępemu barbarzyństwu, co uczciwego *ranchera* przedzierzgnęło w bandytę.

Przypisek księdza stwierdzał, że pozbawiono go wprawdzie na dziesięć dni wolności, ale że obcho-

dzono się z nim po ludzku i z czcią, należną jego świętemu powołaniu. Ze słów jego wynikało, iż wysłuchał spowiedzi i udzielił rozgrzeszenia hersztowi oraz większości jego szajki i że ręczy za szczerość ich dobrej woli. Skazał ich na surową pokutę, polegającą zapewne na postach i litanjach, i dowiódł, jak na dłoni, że niepodobna będzie im pojednać się na stałe z Bogiem, jeżeli przedtem nie pojednają się z ludźmi.

Nigdy może nie był Hernandez równie bezpieczny, jak kiedy prosił pokornie o pozwolenie zmazania z bronią w ręku win swoich i szajki swych zbiegłych z wojska towarzyszy. Mógł broić bez przeszkody na rozległej połaci kraju, otaczającej jego kryjówki, gdyż w całej prowincji nie było wojska. Załoga Sulaca wyruszyła na wojnę wraz ze swą janczarską kapelą, co przygrywała marsz Bolivara na pokładzie jednego z parowców Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Wysokie, powleczone skórą siedzenia wielkich pojazdów familijnych, ustawionych wzdłuż wybrzeża przystani, uginały się pod ciężarem rozentuzjazmowanych *senior* i *seniorit*, co stawały na nich, by powiewać swemi koronkowemi chusteczkami, kiedy zapełnione żołnierzami statki przewozowe jęły odpływać kolejno od krańca pomostu.

Nostromo kierował załadowaniem pod nadzorem kapitana Mitschella, rozczerwienionego od słońca, odróżniającego się swą białą kamizelką, przedstawiającego zjednoczone i troskliwe orędownictwo wszystkich spraw materjalnych cywilizacji. Generał Barrios, który dowodził wojskami, zapewnił przy pożegnaniu Dona Josego, iż za trzy tygodnie Montero będzie siedział w klatce drewnianej, do której zaprzęgnie się trzy

pary wołów, żeby go obwozić po wszystkich miastach Rzeczypospolitej.

— A wówczas, *seniora*, — mówił dalej, pochylając swą kędzierzawą głowę ku Mrs. Gould, siedzącej w powozie — wówczas, *senioro*, przekujemy nasze miecze na lemiesze i będziemy się bogacili. Nawet ja, skoro tylko załatwię się z tą bagatelą, założę *fundację*[1]) na kawałku ziemi, którą mam śród *Llanów*[2]), i zacznę spokojnie dorabiać się pieniędzy. *Seniora* wie i wie cała Costaguana — co mówię? — cała Ameryka Południowa, iż Pablo Barrios okrył się chwałą na polu walki.

Charles Gould nie był obecny przy tem żałosnem i patrjotycznem pożegnaniu. Nie jego rzeczą było przyglądać się, jak żołnierze wsiadali na okręt. Nie było to ani jego rzeczą, ani jego upodobaniem, ani jego powinnością. Jego rzeczy, jego upodobania i jego powinności jednoczyły się w wysiłku, by płynął nieprzerwanie strumień skarbów, co tylko za jego sprawą trysnął z blizny, otwartej na nowo w zboczu górskiem. Gdy kopalnia jęła się rozrastać, przybrał sobie ku pomocy kilku krajowców. Byli śród nich przodownicy, majstrowie i urzędnicy biurowi, zaś *gobernadorem* całej ludności górniczej był Don Pépé. Poza tem tylko na jego barkach spoczywało całe brzemię tego *Imperium in Imperio*, wielkiej koncesji Gouldów, której sam cień wystarczał, by złamać życie jego ojca.

Mrs. Gould nie potrzebowała troszczyć się o kopalnię. W całokształcie gospodarki kopalnianej przedstawicielami jej byli ksiądz i lekarz, ale jej kobieca skłonność do podniet znajdowała karm w wypadkach, któ-

---

[1]) Gospodarstwo [2]) Równiny.

rych znaczenie uzyskiwało swą czystość w ogniu jej wyobraźniowych zamierzeń. Tego dnia zabrała ze sobą do przystani oboje Avellanosów, ojca i córkę.

Między innemi zajęciami, do których zniewoliły go te burzliwe czasy, Don José stanął na czele Komitetu Patrjotycznego, który znaczną część wojsk z okręgu Sulaca zaopatrzył w broń palną ulepszonego systemu. Wyzbywało się jej wówczas pewne wielkie mocarstwo europejskie, zaprowadzając u siebie jeszcze doskonalsze, śmiercionośne narzędzia. Jaką część ceny targowej za tę broń, nabytą z drugiej ręki, udało się pokryć z dobrowolnych składek najznakomitszych rodów i ile w ten sposób zebrano pieniędzy, które Don José zdołał wysłać zagranicę, to było tajemnicą, znaną tylko jemu samemu. To pewna, iż *Ricos*, jak ich nazywało pospólstwo, nie szczędzili grosza pod naciskiem wymowy swego Nestora. Niektóre, bardziej entuzjastyczne panie składały w ofierze nawet swe klejnoty do rąk człowieka, co był duszą i życiem swego stronnictwa.

Bywały chwile, iż zarówno jego życie jak jego dusza zdawały się uginać pod brzemieniem tylu lat niezachwianej wiary w odrodzenie. Wyglądał jak nieżywy, gdy siedział wyprostowany w powozie, obok Mrs. Gould. Jego rasowa, zgrzybiała, starannie ogolona twarz miała zabarwienie jednostajne, jakgdyby ją wyrzeźbiono z żółtego wosku. Miękki kapelusz pilśniowy ocieniał jego ciemne, nieruchome oczy. Antonja, piękna Antonja, jak ją nazywano w Sulaco, siedziała naprzeciwko. W lekkiem mżeniu promieni słonecznych jej bujne kształty i surowy owal jej twarzy o pełnych, czerwonych ustach, czyniły ją dojrzalszą od ruchliwej, drobnej, silnej postaci Mrs. Gould.

Antonja nie odstępowała niemal swego ojca. Nieza-

przeczona jej czułość łagodziła nieco gorszące wrażenie, jakie wywoływało jej lekceważenie nieubłaganych prawideł, regulujących życie dziewcząt południowo-amerykańskich. Jakoż nie była już dziewczątkiem. Powiadano o niej, iż niejednokrotnie pisywała dokumenta państwowe pod dyktandem swego ojca i że zdążyła przeczytać wszystkie książki z jego bibljoteki. Podczas przyjęć — kiedy pozory ratowała obecność zgrzybiałej staruszki (kuzynki Corbelànów), co głucha jak pień, siedziała nieruchomo w fotelu — Antonja dotrzymywała pola w dyskusji z dwoma lub trzema mężczyznami równocześnie. Jużcić nie była dziewczyną w tem znaczeniu, by zadawalniać się oczkowaniem przez zakratowane okno z otuloną w płaszcz postacią wielbiciela, kryjącego się w bramie przeciwległego domu — a na tem polega poprawność zalecanek costaguańskich. Utrzymywano powszechnie, iż ze swem cudzoziemskiem wychowaniem i cudzoziemskiemi pojęciami wykształcona i dumna Antonja nigdy nie wyjdzie zamąż — chyba że poślubi jakiego cudzoziemca z Europy lub Ameryki Północnej, co było rzeczą możliwą, gdyż zanosiło się, iż Sulaco zaleją wkrótce przybysze z całego świata.

ROZDZIAŁ III.

Gdy generał Barrios zakończył swe przemówienie do Mrs. Gould, Antonja podniosła niedbale rękę, trzymającą rozpostarty wachlarz, jakgdyby chciała osłonić przed słońcem swą głowę, otuloną lekkim, koronkowym szalem. Jasne płomię jej błękitnych oczu, wyzierających z pod czarnego rąbka rzęs, zatrzymało się chwilowo na rysach jej ojca, a potem podążyło dalej ku młodemu człowiekowi, co mógł mieć lat około trzydziestu, był krępy z podstawy i miał na sobie jasne ubranie. Wspierając niedomkniętą dłoń na gałce gibkiej laski trzcinowej, przyglądał się zdaleka; skoro jednak spostrzegł, iż zwrócono na niego uwagę, podszedł spokojnie i oparł łokieć na drzwiczkach powozu. Kołnierz od koszuli, obejmujący nisko szyję, bujny węzeł jego krawata, krój jego ubrania, krągły kapelusz i lakierowane obuwie: wszystko to wywoływało wrażenie francuskiej elegancji. Ale poza tem był to typowy okaz przystojnego, hiszpańskiego kreola. Bujny wąs i krótka, kędzierzawa, płowa broda nie zakrywały w zupełności jego ust, różowych, świeżych i niemal mizdrzących się w swym wyrazie. Jego pełna, krągła twarz miała tę ciepłą, zdrową białość kreolów, co nie ciemnieje nigdy pod promieniami ich ojczystego słońca.

Martin Decoud nieczęsto doświadczał na sobie działania costaguańskiego słońca, pod którem się urodził. Rodzina jego przebywała długo w Paryżu, gdzie studjował prawo, zabawiał się literaturą, a w chwilach zapału spodziewał się niekiedy zostać poetą na podobieństwo innego cudzoziemca hiszpańskiego pochodzenia, Josego Marji Herédii. W innych jednak chwilach raczył pisywać artykuły o sprawach europejskich do *Semenaria*, głównego dziennika w Santa Marta, który je zamieszczał pod nagłówkiem: „Od naszego specjalnego korespondenta", aczkolwiek powszechnie było wiadomo, kto był ich autorem. Cała Costaguana, gdzie wieści o ziomkach, przebywających w Europie, są przyjmowane niechętnie, wiedziała, że był nim „syn Decouda", o którym przypuszczano, iż ma dostęp do wyższych sfer towarzyskich. W rzeczywistości był to płytki *boulevardier*, utrzymujący stosunki z kilkoma zjadliwymi dziennikarzami, których niezbyt ceniono w redakcjach, ale zato chętnie widywano w przybytkach, gdzie zwykli zabawiać się przedstawiciele prasy. To życie, którego czczą powierzchowność powleka pokost uniwersalnej blagi, podobnie jak głupie błazeństwa arlekina pokrywa błyskotliwość pstrego kostjumu, napoiło go nibyto francuskim, a w rzeczywistości najzupełniej niefrancuskim kosmopolityzmem, który w istocie swej był tylko jałową obojętnością, przybierającą pozy wyższości intelektualnej.

O swej ojczyźnie tak zwykł był mawiać do swych francuskich towarzyszy:

— „Proszę sobie wyobrazić atmosferę *opery-bouffe*, w której wszystkie komiczne czynności teatralnych mężów stanu, bandytów i t. d., wszystkie ich komiczne złodziejstwa, intrygi i morderstwa odbywają się ze

śmiertelną powagą. Jest to do rozpuku zabawne, krew leje się przez cały czas, a aktorom zdaje się, że oddziaływają na losy wszechświata. Juźcić, że każdy rząd, gdziekolwiekby był, jest rzeczą nadzwyczaj komiczną dla krytycznego umysłu; ale my, południowi Amerykanie przebraliśmy, zaprawdę, wszelką miarę. Nawet człowiek o bardzo miernej inteligencji nie może wziąć udziału w tej *farce macabre*. Trzeba przyznać, iż ci ribierzyści, o których słyszy się obecnie tak wiele, starają się uczynić we właściwy sobie, komiczny sposób ten kraj mieszkalnym, a nawet chcieliby spłacić nieco długów. Moi przyjaciele, zrobicie lepiej, jeżeli będziecie pisali o *seniorze* Ribierze w ten sposób, jakby to chodziło o dobro waszych sojuszników. Jeśli to, co mi w listach donoszą, jest prawdą, to mogą mieć oni niejaką nadzieję".

I drwiąco tłumaczył im, o co chodzi Donowi Vincentemu Ribierze, temu żałosnemu człowieczkowi, uginającemu się pod brzemieniem swych dobrych chęci. Wyjaśniał im znaczenie wygranych bitew, opowiadał, kim jest Montero *(un grotesque vaniteux et féroce)*, oraz w jaki sposób przy pomocy nowej pożyczki ujęto w jeden wielki, finansowy schemat rozbudowę kolei i kolonizację rozległych połaci kraju.

Jego francuscy przyjaciele nabrali przeświadczenia, iż ten urwis, Decoud, *connaissait la question à fond*. Pewien wybitny miesięcznik paryski zamówił u niego artykuł o tej sprawie. Był on w tonie poważny, ale w treści płochy. Napisawszy go, zapytywał później swych znajomych:

— Czytaliście moją rozprawę o odrodzeniu Costaguany — *une bonne blague, hein?*

Uważał się za paryżanina od czuba do pięty. Ale

nie będąc nim, podlegał niebezpieczeństwu, iż pozostanie przez całe życie czemś w rodzaju nieopisywanego jeszcze dyletanta. Kpiny ze wszystkiego posunął tak daleko, iż wkońcu przestał zdawać sobie sprawę z właściwych popędów swej własnej natury. Kiedy zaś wybrano go nagle na wykonawczego członka Komitetu Patrjotycznego zbiórki broni, wydało się mu, iż stanął oto u szczytu niespodzianki, że nastąpił jeden z tych fantastycznych odruchów, do których tylko jego „drodzy ziomkowie“ byli zdolni.

— Spadło to jak cegła na moją głowę. Ja — ja — członkiem wykonawczym! Po raz pierwszy zdarza się mi słyszeć o czemś podobnem! Jakież ja mam pojęcie o karabinach wojskowych? *C'est funambulesque !* — wykrzykiwał do siostry, którą lubił bardzo. A trzeba nadmienić, iż rodzina Decoudów, prócz staruszka ojca i matki, mówiła między sobą po francusku. — Gdybyś przeczytała poufny list z wyjaśnieniami! Ośm bitych stron — mówię ci!

List ten był pisany ręką Antonji, a podpisany przez Dona Joségo. Odwoływał się on do „młodego i uzdolnionego *Costaguanera*“ w sprawie publicznej, prywatnie zaś otwierał serce przed swym utalentowanym chrześniakiem, człowiekiem bogatym i wytwornym, posiadającym rozległe stosunki, zasługującym dzięki swemu wychowaniu i swym powinowactwom na zupełne zaufanie.

— Co znaczy, — tłumaczył Martin cynicznie swej siostrze, — iż nie wyglądam na człowieka, który sprzeniewierzyłby fundusze lub wypaplał o wszystkiem przed naszym *Chargé d'Affaires.*

Rzecz tę przeprowadzano poza plecami ministra wojny, Montera, któremu w rządzie Ribiery nie ufano,

ale którego trudno było odrazu się pozbyć. Nie wiedział on o niczem aż do chwili, kiedy wojska, pozostające pod wodzą Barriosa, miały nową broń w ręku. Jedynie prezydenta-dyktatora, którego stanowisko było bardzo trudne, dopuszczono do tej tajemnicy.

— Jakież to zabawne! — mówił dalej Martin do swej siostry i powiernicy tonem najczystszej, paryskiej błagi. — To przecież niesłychane! Pomyśleć sobie, iż naczelnik państwa przy pomocy prywatnych obywateli kopie dołki pod swym własnym, niezbędnym ministrem wojny! Zaiste, jesteśmy niezrównani! — I śmiał się, jak opętany.

Wszelako później zadziwiła jego siostrę rzetelność i zręczność, z jaką wywiązywał się ze swego zadania, zwłaszcza że okoliczności bynajmniej mu nie sprzyjały i miał do pokonania przeszkody, wynikające z nieznajomości rzeczy. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej widzieć, żeby Martin zajmował się czemś z taką gorliwością.

— Bawi mnie to — odpowiadał jej krótko. — Osaczyła mnie zgraja oszustów, którzyby chcieli sprzedać mi broń wybrakowaną. Są przerozkoszni! Zapraszają mnie na sute śniadania. Pozwalam im się łudzić. Jest to nadzwyczaj zabawne! Tymczasem pocichu załatwiam sprawę gdzie indziej.

Kiedy zaś dobił targu, oświadczył nagle, iż ma zamiar czuwać, żeby ten cenny ładunek odstawiono w całości do Sulaca. Zdaniem jego, było warto tę groteskową historję doprowadzić do końca. Skubał swą złotą brodę i tłumaczył się wykrętnie przed przenikliwą, młodą kobietą, która, ochłonąwszy z pierwszego osłupienia, przymrużyła oczy i przemówiła zwolna:

— Mnie się zdaje, że masz ochotę zobaczyć Antonję.

— Jaką Antonję? — zapytał costaguański bulwarowiec podrażnionym i pogardliwym tonem. Ruszył ramionami i wykręcił się na pięcie. Siostra zawołała za nim ze śmiechem:

— Tę Antonję, którą znałeś, gdy jeszcze spadały jej na plecy włosy, splecione w dwa warkocze.

Poznał ją przed jakiemiś ośmiu laty, na krótko przed wyjazdem Avellanosa z Europy. Była wówczas szesnastoletnią smukłą dziewczyną, jeszcze młodzieńczo cierpką, ale o tak ustalonym charakterze, iż śmiała lekceważyć jego pozory rozczarowanej mądrości. Pewnego razu, kiedy przebrała się miarka jej cierpliwości, jęła wyrzucać mu czczość jego życia i płochość jego poglądów. Miał wtedy lat dwadzieścia, był jedynakiem, psutym przez rodzinę, która go uwielbiała. Ta nauczka zmieszała go tak bardzo, iż zachwiał się w poczuciu swej próżniaczej wyższości wobec tego niepozornego podlotka w mundurku pensjonarki. Zaś wrażenie, które mu pozostało, było tak silne, iż wszystkie przyjaciółki jego siostry przypominały mu odtąd Antonję Avellanos bądźto z powodu niejakiego do niej podobieństwa, bądź też z powodu zupełnej z nią sprzeczności. Była to, zdaniem jego, jakaś śmieszna fatalność. W listach, które Decoudowie otrzymywali regularnie z Costaguany, nazwisko ich przyjaciół, Avellanosów, powtarzało się często; donoszono o uwięzieniu i okrutnej poniewierce byłego ministra, o niebezpieczeństwach i prześladowaniach tej rodziny, o jej zubożeniu i wyjeździe do Sulaca, o śmierci matki.

Pronunciamento [1]) monterystów wybuchło, zanim

[1]) Rewolucja.

Martin Decoud zdołał dotrzeć do Costaguany. Popłynął drogą okrężną, przez Cieśninę Magellana, posługując się linją główną oraz zachodniem jej odgałęzieniem, gdzie pełniły służbę statki Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Cenny jego ładunek przybył wporę, zamieniając początkowe uczucie przygnębienia w odruch ufnej nadziei. *Familias principales* nie szczędziły mu publicznie swego uznania. Ze łzami w oczach uściskał go prywatnie Don José, wciąż jeszcze wyczerpany i słaby.

— Przeszedłeś samego siebie! Ale należało spodziewać się tego po potomku Decoudów. Niestety, najgorsze nasze obawy się sprawdziły — wyskarżał się żałośnie. I znów tulił do siebie swego chrześniaka. Zaiste, nastał czas, żeby wszyscy ludzie prawi i inteligentni stanęli murem dokoła zagrożonej sprawy.

Stało się tedy, iż Martin Decoud, przybrany syn zachodniej Europy, dostał się nagle w zupełnie odmienną atmosferę. Poddał się uściskom i przemówieniom, nie odzywając się ani słowem. Mimowolnie wzruszył go ten akcent namiętności i smutku, obcy wytworniejszym arenom polityki europejskiej. Kiedy zaś w pomroce wielkiej, pustej sali domu Avellanosów podeszła ku niemu lekkim krokiem smukła Antonja, kiedy (we właściwy sobie, wyemancypowany sposób) podała mu rękę i rzekła: „Cieszę się, że pana tu widzę“ — uczuł, że będzie dla niego niepodobieństwem powiedzieć tym dwojgu ludziom, iż zamierzał odjechać parowcem pocztowym, który odpływał za miesiąc do Europy. Don José tymczasem nie ustawał w swych pochwałach. Każde przystąpienie krzepiło ducha w społeczeństwie. A przytem jakiż przykład dawał młodzieży, przebywającej w kraju, ten świetny

obrońca odrodzenia ojczyzny, ten godny głosiciel politycznego programu stronnictwa wobec całego świata! Wszyscy czytali wspaniały jego artykuł w powszechnie znanym Przeglądzie Paryskim. Świat teraz wiedział, co myśleć; zaś przyjazd jego autora w tej chwili był jakby publicznem wyznaniem wiary. Młody Decoud uczuł, że go ogarnia niecierpliwe zakłopotanie. Zamiarem jego było wracać przez Stany Zjednoczone, zwiedzić Kalifornję, *Yellow-Stone Park*, zobaczyć Chicago, Niagarę, zajrzeć do Kanady, zatrzymać się przejazdem w New Yorku, spędzić czas jakiś w Newport, zrobić użytek ze swych listów polecających. Uścisk dłoni Antonji był tak szczery, w dziwnie niezmienionym jej głosie brzmiało tyle gorącej pochwały, iż po głębokim ukłonie zdobył się zaledwie na słowa:

— Jestem bardzo wdzięczny za powitanie; ale czyż należy dziękować człowiekowi, który wraca do swej rodzinnej ziemi? Jestem przekonany, iż *Donia* Antonja tak nie myśli.

— Zapewne, że nie — odparła z najzupełniejszym spokojem otwartości, która znamionowała wszystkie jej słowa. — Jeżeli jednak ktoś tak wraca, jak pan to czyni, to możemy być zadowoleni — oboje.

Martin Decoud nie wspominał nic o swych zamiarach. Nie wydał się z niemi przed nikim ani słowem, ale w jakieś dwa tygodnie później zapytał panią *Casy Gould* (gdzie go oczywiście odrazu dopuszczono), pochylając się w krześle z wyrazem poprawnej poufności, czy nie zauważyła w nim tego dnia wyraźnej zmiany — jakby dojrzalszej powagi. Na te słowa Mrs. Gould zwróciła się do niego twarzą i spojrzała z wyrazem niemej badawczości w lekko rozszerzonych źrenicach, a po jej rysach przemknął właściwy jej, nader

nikły cień uśmiechu, co czarował mężczyzn jakowemś subtelnem oddaniem, wytwornem zaparciem się siebie, znamionującem raźną gotowość jej uwagi. Bowiem — mówił dalej niezmieszany Decoud o sobie — nie czuje się on już próżniaczym zjadaczem chleba, gdyż oto ma ona przed sobą publicystę ze Sulaca. Mrs. Gould zerknęła nagle ku Antonji, która siedziała wyprostowana w rogu wysokiej, hiszpańskiej kanapy, pochylając zlekka wielki, czarny wachlarz ku falistym linjom swych szlachetnych kształtów. Końce skrzyżowanych stóp wyzierały nieco z pod rąbka jej czarnej sukni. Oczy Decouda zatrzymały się na niej i przyciszonym głosem dorzucił, iż panna Avellanos wie dobrze o jego nowem i nieoczekiwanem powołaniu, które w Costaguanie było naogół specjalnością niedouczonych murzynów i zubożałych doszczętnie adwokatów. Poczem, spoglądając z wyrazem jakowejś uprzejmej bezczelności w zapatrzone na niego życzliwie oczy Mrs. Gould, wyszeptał słowa: — *Pro Patria!*

Wszystko to polegało na tem, iż uległ nagle natarczywym prośbom Dona Joségo i podjął się redagowania dziennika, który miał być „wyrazem dążeń całej prowincji“. Był to dawny i ulubiony pomysł Dona Joségo. Potrzebne do niego przybory oraz wielki zapas papieru nadesłano niedawno z Ameryki; nie było tylko odpowiedniego człowieka. Nie mógł go znaleźć nawet *senior* Moraga ze Santy Marty, a rzecz stała się niezmiernie pilną. Koniecznie potrzeba było jakiegoś pisma, któreby zwalczało kłamstwa, rozsiewane przez prasę monterystowską; miotała ona najhaniebniejsze potwarze, nawoływała lud, by powstał i z nożami w garści uporał się wreszcie ze wszystkimi *blancos*, z temi gotyckiemi szczętami, z temi złowrogiemi

mumjami, z tymi bezsilnymi paralitykami, co knują spiski z cudzoziemcami na zgubę kraju i ujarzmienie ludu.

Wrzaskliwość tego murzyńskiego liberalizmu przerażała *Seniora* Avellanosa. Dziennik był jedynym na niego środkiem. To też kiedy w Decoudzie znaleziono wreszcie odpowiedniego człowieka, natychmiast ukazały się wielkie, czarne głoski napisu, umieszczonego między oknami, powyżej sklepionej sieni pewnego domu przy *Plazy*. Stał on wpobliżu ogromnego składu Anzaniego, gdzie nabywano obuwie, jedwabie, żelaziwo, muśliny, zabawki drewniane, drobne, lane ze srebra nogi, głowy i serca (przeznaczone na *vota*), różańce, szampan, patentowane środki lecznicze, a czasem nawet zakurzone książki w papierowych okładkach i przeważnie we francuskim języku. Wielkie, czarne głoski napisu tworzyły słowa: „Zakłady wydawnicze *Porvenira*".[1] Z tych to zakładów wychodził trzy razy na tydzień złożony we dwoje plon pracy publicystycznej Martina. Zaś uprzejmy, żółty Anzani, paradujący w przepychu coraz to innych, czarnych i dywanowych pantofli przed licznemi podwojami swego sklepu, pozdrawiał nisko skośnem pochyleniem ciałapublicystę ze Sulaca, który mijał go często, załatwiając sprawy swego dostojnego zawodu.

---

[1]) Przyszłość.

ROZDZIAŁ IV.

Być może, iż tylko pod przymusem obowiązkowości zawodowej przyszedł, by zobaczyć odjazd wojsk. Najbliższy numer *Porvenira* niewątpliwie miał zamieścić wzmiankę o tem zdarzeniu, ale jego redaktor stał teraz oparty o drzwiczki powozu i zdawał się nie zważać na nic. Przedni szereg kompanji pieszej, zamykającej w trzy rzędy dostęp na pomost od strony lądu, gdy go zaczęto naciskać zbyt zbliska, pochylił z groźnym chrzęstem do ataku swe bagnety; tłum widzów targnął się wstecz, pierzchając aż po nozdrza wielkich, białych mułów. Mimo gęstej ciżby słychać tylko przyciszone, głuche szmery. Kurz zawisł w brunatnych oparach. Gdzie niegdzie jeźdźcy, wtłoczeni w tłum, unosili się w biodrach, zwracając ponad głowami ludzkiemi spojrzenia w jednym kierunku. Niemal każdy z nich miał za sobą przyjaciela, który obiema rękami czepiał się od tyłu jego ramion; zaś stykające się kresy ich kapeluszy tworzyły jakby jeden krąg, podtrzymujący stożki dwu śpiczastych wypukłości o podwójnym podkładzie. Niekiedy rozlegał się ochrypły głos jakiegoś *moza*, co nawoływał znajomych śród szeregów, lub zabrzmiał nagle okrzyk kobiecy: „*Adios!*“, po którym następowało jeszcze imię męskie.

Generał Barrios, w wyszarzanej, niebieskiej bluzie i białych szarawarach, spadających na osobliwe, czerwone buty, miał głowę odkrytą i pochylał się zlekka, wspierając się na grubej lasce. Nie! Chwała, którą się okrył, mogła zaspokoić każdego człowieka — zapewniał Mrs. Gould — usiłując nadać swemu zachowaniu pozory galanterji. Kruczo, czarne włoski zwisały skąpo z jego górnej wargi, miał wystający nos, cienką, długą szczękę, a na jednem oku płatek czarnego jedwabiu. Drugie, małe i głęboko osadzone, zerkało na wszystkie strony błędnie, z bezcelową dobrotliwością. Nieliczni widzowie europejscy, skupiający się oczywiście dokoła powozu Gouldów, dawali do zrozumienia surowym wyrazem swych twarzy, iż generał wypił snadź za dużo ponczu (szwedzkiego ponczu, importowanego w butelkach przez Anzaniego), w *Klubie Amarilli*, zanim ze swym sztabem ruszył, co koń wyskoczy, do przystani. Ale Mrs. Gould, pochyliwszy się nieco i nie tracąc panowania nad sobą, dała wyraz przeświadczeniu, iż jeszcze większa chwała oczekuje wodza w najbliższej przyszłości.

— *Senioro!* — przeczył z ogromnem uniesieniem. — Proszę zważyć, na miłość boską: Jakąż chwałę może odnieść mej miary człowiek z pokonania takiego łysego *embustera* [1]) o oklapłych wąsach?

Pablo Ignacio Barrios, syn *alcada* wiejskiego, generał dywizji, komendant zachodniego okręgu wojskowego, nie miał zwyczaju bywać w wytworniejszych towarzystwach. Wolał niekrępujące zebrania męskie, gdzie mógł opowiadać o polowaniach na jaguary, chełpić się swą zręcznością we władaniu *lassem*, którem doko-

---

1) Łgarz (samozwaniec).

nywał podobno nadzwyczaj trudnych rzutów, „niemożliwych dla ludzi żonatych“, jak zwykli powiadać *Llanerosowie.*

Gawędził o nadzwyczajnych wyprawach nocnych, spotkaniach z dzikiemi bykami, walkach z krokodylami, przygodach w dziewiczach lasach, przeprawach przez wezbrane rzeki. I nie z samej tylko chełpliwości wynikały wspomnienia generała, ale także z istotnego upodobania do tego dzikiego życia, co było udziałem jego młodości, zanim nie rozstał się raz na zawsze ze słomianą strzechą rodzicielskiej *tolderii*, co stała śród lasów. Powędrował aż do Meksyku, gdzie walczył przeciwko Francuzom po stronie (jak powiadał) Juareza i był jedynym wojskowym z całej Costaguany, który kiedykolwiek zetknął się z Europejczykami na polu walki. Fakt ten otoczył blaskiem chwały jego imię, które przyćmiła dopiero wschodząca gwiazda Montery. Przez całe życie był zapamiętałym graczem. Sam potwierdzał otwarcie to, co opowiadano o nim, mianowicie, iż podczas pewnej kampanji (kiedy był jeszcze komendantem brygady) spędził noc przed bitwą, grając w *monte* [1]) ze swymi pułkownikami. Przegrał swe konie, pistolety, nawet mundur wraz z epoletami. Ostatecznie posłał pod eskortą swą szablę (szablę galową ze złotą rękojeścią) do miasteczka, położonego na tyłach jego linji bojowej z poleceniem, ażeby ją niezwłocznie zastawiono za pięćset *peset* u zaspanego i przerażonego sklepikarza. O świcie, kiedy przegrał do grosza te pieniądze, podniósł się z miejsca spokojnie i rzekł tylko: — A teraz chodźmy walczyć do upadłego. — Od tego czasu przyszedł do przekonania, iż wódz może prowadzić najzupełniej do-

---

1) Gra w karty.

brze swe wojska do boju ze zwykłą laską w ręku. — Stało się to odtąd mojem przyzwyczajeniem — powiadał.

Był zawsze obarczony długami; nawet w okresie świetności swych zmiennych losów generała costaguańskiego, kiedy piastował wysokie dostojeństwa wojskowe, jego haftowane złotem mundury znajdowały się niemal stale w zastawie u lichwiarzy. Wkońcu, chcąc uniknąć nieustannych zatargów o swą odzież z lękliwymi wierzycielami, jął udawać pogardę dla przepychu wojskowego i przyjął ekscentryczny zwyczaj noszenia starych, wyszarzanych bluz, co wkońcu stało się drugą jego naturą. Ale stronnictwo, do którego Barrios się przyłączył, nie potrzebowało się obawiać odstępstwa politycznego. Był zanadto szczerym żołnierzem, by niegodnie frymarczyć kupnem i sprzedażą zwycięstw. Pewien przedstawiciel dyplomacji cudzoziemskiej w Santa Marta tak zawyrokował o nim: — Barrios to człowiek bezwzględnie uczciwy, a nawet nie pozbawiony niejakich zdolności strategicznych, *mais il manque de tenue*. Gdy ribierzyści wzięli górę, otrzymał nader zyskowne stanowisko komendanta okręgu zachodniego, głównie dzięki staraniom swych wierzycieli (kupców z S-ta Marta, którzy wszyscy byli wielkimi politykami). Poruszali oni publicznie w swym własnym interesie niebo i ziemię, zaś prywatnie oblegali *seniora* Moragę, wpływowego agenta kopalni San Tomé, żaląc się przed nim przesadnie, iż „będziemy zrujnowani, jeżeli generał zostanie pominięty“. Przygodna, lecz przychylna o nim wzmianka w przewlekłej korespondencji, którą Mr. Gould, *senior*, utrzymywał ze swym synem, przyczyniła się również nieco do jego mianowania, ale przedewszystkiem zaważyła jego niezawodna

uczciwość polityczna. Nikt nie podawał w wątpliwość osobistej odwagi tego pogromcy tygrysów, jak go nazywała ludność. Utrzymywano wprawdzie, że nie miał szczęścia na polu bitwy — ale było to w przededniu okresu pokojowego. Żołnierze lubili go za jego ludzkość, co niby jakieś dziwne i cenne kwiecie nieoczekiwanie rozkwitła na gorącem podłożu zepsucia rewolucyjnego. Pogardliwa jowjalność, z jaką wodził po tłumach swem jednem okiem, człapiąc zwolna na koniu ulicami podczas wojskowych uroczystości, wydzierała okrzyki z piersi pospólstwa. Zwłaszcza kobiety z ludu ulegały bezwzględnie urokowi jego długiego nosa, wystającej brody, grubej wargi dolnej, czarnego płatka jedwabnego na oku i przepaski, co niedbale wiła się na jego czole. Dzięki swej wysokiej godności znajdował zawsze słuchaczy śród *caballerów*, którym opowiadał swe przygody myśliwskie nader barwnie, z prostotą i szczerem zadowoleniem. Towarzystwa kobiecego nie lubił z powodu ograniczeń, jakie nakładało, nie dając wzamian, jego zdaniem, niczego. Bodaj nie więcej niż trzy razy rozmawiał z Mrs. Gould od chwili, kiedy objął w okręgu swe naczelne stanowisko; ale przyglądał się jej nieraz, gdy jechała konno z *seniorem administradorem*, i wyraził się nawet, iż w swej drobnej ręce, dzierżącej wodze, ma więcej rozumu niż wszystkie głowy kobiece w Sulaco. Odjeżdżając, pragnął okazać się bardzo ugrzecznionym wobec kobiety, co umiała trzymać się na siodle, a przytem była żoną człowieka, który miał wielkie znaczenie dla jego pustej kieszeni. Uprzejmość swoją posunął tak daleko, iż na jego rozkaz *aide-de-camp* (krępy, przysadkowaty kapitan o tatarskiej twarzy) ustawił przed powozem kaprala z kilkoma żołnierzami, aby cofająca się ciżba „nie niepokoiła

mułów *seniory*". Poczem zwróciwszy się do gromadki Europejczyków, którzy przyglądali się zpobliska, odezwał się protekcjonalnie:

— *Seniores*, nie miejcie strachu! Budujcie spokojnie swój *Ferro Carril* [1]) — swe koleje, swe telegrafy, swe... Dość jest bogata Costaguana, by zapłacić za wszystko — gdyż inaczej wasby tu nie było. Ha, ha! Nie zwracajcie uwagi na tę małą *picardię* [2]) mojego przyjaciela, Montera. Wkrótce ujrzycie jego oklapnięte wąsy za kratami mocnej, drewnianej klatki. *Si seniores!* Nie lękajcie się niczego, pracujcie nad rozwojem kraju — pracujcie, pracujcie!

Garstka inżynierów przyjęła te upomnienia bez słowa odpowiedzi. Skinąwszy ku nim wyniośle ręką, zwrócił sią znowu do Mrs. Gould:

— Oto co powinniśmy czynić, jak powiada Don José. Być przedsiębiorczymi! Pracować! Wzbogacać się! Wsadzić Montera do klatki jest mojem zadaniem; ale kiedy z tą drobnostką się załatwimy, powinniśmy, jak chce Don José, wzbogacić się wszyscy i każdy zosobna, na podobieństwo tych Anglików, gdyż zbawieniem dla kraju są pieniądze i...

Wtem jakiś młody oficer, w nowym jak z igły mundurze, nadbiegł od strony pomostu i przerwał mu dalszy wykład poglądów *seniora* Avellanosa. Generał drgnął niecierpliwie; ale przybysz jął na niego nalegać, nie szczędząc mu zresztą oznak uszanowania. Konie sztabowe już załadowano; łódź okrętowa oczekiwała generała u podnóża pomostu. Barrios, spojrzawszy nań srogo swem jednem okiem, począł się żegnać. Don José silił się na zwroty, odpowiadające powadze chwili,

---

[1]) Kolej żelazna. [2]) Łotrostwo.

i wygłaszał je mechanicznie. Mówiła przez niego straszliwa rozterka obawy i nadziei i zdawało się, że szczędzi ostatnich skier swego żaru na te wysiłki krasomówcze, co rozlegały się, budząc echa nawet w dalekiej Europie. Antonja, zacisnąwszy różowe usta, kryła odwróconą głowę za wachlarzem; zaś młody Decoud, aczkolwiek czuł na sobie oczy dziewczyny, wspierał się na łokciu i patrzał wdal uparcie z wyrazem zupełnego i pogardliwego odosobnienia. Mrs. Gould bohatersko skrywała swój niesmak, jaki w niej rozbudzał widok ludzi i zdarzeń, najzupełniej obcych pojęciom jej rasy; niesmak ten był tak głęboki, iż nie dawał się zawrzeć w słowa nawet w stosunku do jej męża. Rozumiała teraz lepiej jego milczącą powściągliwość. Ich poufne obcowanie zawodziło nie na osobności, lecz właśnie śród ludzi, kiedy szybkie skrzyżowanie się ich spojrzeń bywało wyjaśnieniem jakiejś zmiany w biegu wypadków. Stała się jego uczennicą w jedynie możliwej sztuce nieprzejednanego milczenia, odkąd z wieloma rzeczami, które wydawały się jej niewłaściwemi, kuglarskiemi lub groteskowemi w wykonaniu ich zamiarów, trzeba było pogodzić się w tym kraju jako z czemś normalnem. Dostojna Antonja była stanowczo dojrzalszą i nieskończenie spokojniejszą, ale też nigdy nie przychodziło jej na myśl, jak pogodzić nagłe opady swego ducha z ujmującą ruchliwością wyrazu.

Mrs. Gould uśmiechnęła się na pożegnanie do Barriosa, skinęła w stronę Europejczyków (którzy równocześnie zdjęli kapelusze) z powabnem zaproszeniem: — Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła powitać wszystkich panów u siebie — poczem rzekła nerwowo do Decouda: — Proszę wsiadać, Donie Martinie. — Słyszała, jak otwierając drzwiczki powozu, mruknął do

siebie po francusku: — *Le sort en est jete.* — Słowa te przejęły ją niemal rozpaczą. Nikt lepiej od niej nie wiedział, iż pierwszy rzut kości w tej zatraconej grze nastąpił już dawno. Zaskrzeczały dalekie okrzyki i słowa komendy, grzmot bębnów na pomoście pozdrawiał odjeżdżającego generała. Owładnęła nią jakby lekka niemoc i, patrząc czczym wzrokiem na spokojną twarz Antonji, zastanawiała się, coby się stało z Charleyem, gdyby ten cudak zawiódł. — *A la casa, Ignacio* — zawołała ku nieruchomym, szerokim plecom stangreta, który ujął bez pośpiechu lejce, mrucząc pod nosem: — *Si, la casa. Si, si ninia* [1]).

Powóz potoczył się bez szmeru po gładkiej drodze; długie cienie słaniały się po zapylonej, niewielkiej równinie, usianej ciemnemi chaszczami, stożkami odwalonej ziemi, blaszanemi dachami niskich zabudowań drewnianych, stanowiących własność Towarzystwa Kolejowego. Rozwlekły rząd słupów telegraficznych wymykał się bokiem z miasta, niosąc w głąb otworzystego *Campa* pojedynczy i niemal niewidoczny drut — niby nikłą, drgającą mackę postępu, czekającego chwili pokoju, żeby przeniknąć i owinąć się dokoła udręczonego serca tego kraju.

Okna kawiarni w *Albergo d'Italia Una* zapełniały ogorzałe, brodate twarze kolejarzy. Natomiast u drugiego końca domu, gdzie się zbierali *signori Inglesi*, stał przed drzwiami pośrodku swych córek stary Giorgio z nienakrytą głową, białą niby śniegi Higueroty. Mrs. Gould kazała zatrzymać się stangretowi. Rzadko mijała swego protegowanego, nie zamieniwszy z nim kilku słów, zaś w tej chwili odczuwała jeszcze pragnienie,

---

[1]) Panienka.

wywołane podnieceniem, upałem i kurzem. Poprosiła o szklankę wody. Giorgio kazał pójść po nią dzieciom, sam zaś podszedł ku niej z widoczną radością na zbróżdżonej twarzy. Nieczęsto widywał swą dobrodziejkę, która była ponadto Angielką — co było jeszcze jednym powodem jego względów. Przepraszał za swą żonę. Czuje się dzisiaj niedobrze; ma dolegliwości — tu dotknął ręką swej szerokiej piersi. Nie może się ruszyć z fotelu.

Decoud, wciśnięty w róg powozu, spoglądał posępnie na starego rewolucjonistę, poczem zapytał wręcz:

— No, a co pan myśli o tem wszystkiem, *garibaldino?*

Stary Giorgio zerknął na niego z niejaką ciekawością i odparł grzecznie, iż wojska podczas marszu przedstawiały się bardzo dobrze. Jednooki Barrios i jego oficerowie dokazali z tymi rekrutami w krótkim czasie cudu. Ci *Indios*, pojmani na kilka dni przedtem, kroczyli w rączem, zdwojonem tempie, jak bersaljerzy; wyglądali na dobrze odżywionych i mieli na sobie całe mundury.

— „Mundury!“ — powtórzył z bolesnym półuśmiechem. Gorzkie widzenie przeszłości mignęło w jego przenikliwych, niewzruszonych oczach. Inaczej to bywało za jego czasów, kiedy walczono przeciw tyranji w borach brazylijskich i na płaszczyznach Urugwaju nawpół nago, kiedy jedynem pożywieniem bywała napoły surowa wołowina bez soli, a jedyną nieraz bronią nóż, przytwierdzony do kija.

— A jednak braliśmy górę nad ciemiężycielami — dokończył z dumą.

Podniecenie jego przygasło; lekkim ruchem ręki dał wyraz swemu zniechęcaniu. Nadmienił jednak, iż prosił

jednego z sierżantów, żeby mu pokazał nowy karabin. Nie było takiej broni za jego żołnierskich czasów i jeżeli Barrios nie zdoła...

— Jużcić, jużcić — przerwał Don José, drżąc niemal z rozgoryczenia. — Jesteśmy dobrze zaopatrzeni. Zacny *senior* Viola zna się na rzeczy. Śmiertelnie groźna — czyż nie tak? Przedziwnie wywiązałeś się ze swego zadania, mój drogi Martinie!

Decoud obejrzał się opryskliwie, zapatrzony na starego Violę.

— No, tak! Zna się na rzeczy... Ale po czyjej jest pan stronie w głębi duszy?

Mrs. Gould wychyliła się z powozu ku dzieciom. Linda przyniosła z domu na tacy szklankę wody z ogromną starannością. Gizela podała ją wraz z wiązanką kwiatów, zerwanych naprędce.

— Po stronie ludu — odparł stary Viola twardo.

— W zasadzie my wszyscy jesteśmy po stronie ludu.

— Jużcić — zamamrotał stary Viola srogo. — Ale oni walczą za was. Ślepi! *Esclavos!*

W tej chwili młody Scarfe, zaliczający się do sztabu kolejowego, wynurzył się z drzwi, co prowadziły do części domu, zajmowanej przez *signori Inglesi*. Przyjechał z gór do kwatery głównej na lokomotywie i zaledwie zdążył wykąpać się i zmienić ubranie. Był to miły chłopak. Mrs. Gould powitała go serdecznie.

— Jakaż to rozkoszna niespodzianka, że widzę panią, Mrs. Gould! Powróciłem co tylko z gór. Nie mam szczęścia. Ominęło mnie znowu niejedno. Przegląd wojsk już się odbył i słyszałem, że ubiegłego wieczora u Dona Justego Lopeza tańczono nazabój. Czy to prawda?

— Młodzi patrycjusze — odezwał się Decoud nagle

poprawną angielszczyzną — tańczyli istotnie, zanim wyruszyli na wojnę z wielkim Pompejuszem.

Młody Scarfe wpatrzył się w niego zdumiony. — Panowie jeszcze się nie znają — wtrąciła Mrs. Gould — Mr. Decoud — Mr. Scarfe.

— No, ale my nie wyruszamy pod Farsalę — żachnął się Don José z nerwowym pośpiechem, również po angielsku. — Nie godzi się żartować w ten sposób, Martinie.

Pierś Antonji falowała od głębszego oddechu. Młody inżynier był jak tabaka w rogu. — Jaki wielki? — bąknął niepewnym głosem.

— Na szczęście Montero nie jest Cezarem — mówił Decoud dalej. — Nawet obaj Monterowie nie utworzyliby znośnej parodji Cezara. Skrzyżował ręce na piersiach, spoglądając na *seniora* Avellanosa, który pogrążył się znów w nieruchomości: — To pan tylko jest naprawdę starym Rzymianinem — *vir Romanus* — wymownym i nieugiętym.

Usłyszawszy nazwisko Montera, młody Scarfe pośpieszył dać wyraz swym prostym uczuciom. Donośnym i młodzieńczym głosem oświadczył, iż ma nadzieję, że ten Montero zostanie pobity i raz na zawsze usunięty z drogi. Niewiadomo, coby się stało z koleją, gdyby rewolucja wzięła górę. Możeby trzeba było zaprzestać jej budowy. Nie pierwsza byłaby to kolej, którą zmarnowano w Costaguanie. — Państwo wiedzą, to jedna z ich, tak zwanych spraw narodowych — zapędził się, krzywiąc nosem, jakgdyby to słowo miało podejrzaną woń dla jego głębokiej znajomości stosunków południowo-amerykańskich. — A trzeba wiedzieć — paplał z ożywieniem — iż było to dla niego ogromnem szczęściem, że w tak młodym wieku dostał się do

sztabu „takiego wielkiego przedsiębiorstwa“. Idąc dalej z tym rozpędem, mógłby pokonać przeszkody całego życia — oświadczał. — Zatem — precz z Monterem, Mrs. Gould! — Jego nieoględna gadanina zanikała zwolna wobec zgodnej surowości twarzy, co zwracały się ku niemu z powozu. Jedynie ten „stary piernik“, Don José o nieruchomym, woskowym profilu, patrzał prosto przed siebie jakby głuchy. Scarfe nie znał bliżej Avellanosów. Nie wydawali balów, a Antonja nie stawała nigdy w parterowem oknie, jak to czyniły niektóre panny, co pod opieką starszych dam mizdrzyły się do konnych *caballeros* na *calle* [1]). Spojrzenia tych kreolów nie obchodziły go zbytnio, ale co u licha, stało się Mrs. Gould? Rzekła: — Jedźmy, Ignacio! — i skinęła ku niemu lekko głową. Usłyszał krótki śmiech tego sfrancuziałego lalusia o krągłej twarzy. Zaczerwienił się aż po białka oczu i popatrzył na Giorgia Violę, który wraz z dziećmi odsunął się nieco, trzymając kapelusz w ręce.

— Potrzebuję zaraz konia — odezwał się z niejaką cierpkością do starca.

— *Si, senior*. Koni jest poddostatkiem — mruknął *garibaldino*, głaskając bezwiednie swemi brunatnemi rękami główki swych córek — jedną ciemną o bronzowych poświatach i drugą jasną, co mieniła się miedzianemi połyskami. Powrotna fala widzów wzbijała wielki kurz na drodze. Jeźdźcy górowali nad tłumem.

— Idźcie do matki — rzekł. — Podrastają, a ja się starzeję i niema nikogo...

Spojrzał na młodego inżyniera i urwał, jakgdyby obudzony ze snu. Poczem skrzyżował ramiona na pier-

---

[1]) Ulica.

siach i przybrał swą zwykłą postawę, oparłszy się o odźwierek i utkwiwszy oczy w białym ogromie dalekiej Higueroty.

W powozie Martin Decoud, zmieniając pozycję, jakby mu było niewygodnie, ruszył się z miejsca i szepnął do Antonji: — Zdaje mi się, że pani mnie nienawidzi — poczem głośno jął gratulować Donowi Josému, iż wszyscy inżynierowie są z przekonania ribierzystami. — Słyszał pan, co mówił jeden z nich. Zabawna była ta jego przychylność. Miło jest przecież nabrać przeświadczenia, iż pomyślność Costaguany nie jest bez korzyści dla całego świata.

— Jest bardzo młody — zauważyła Mrs. Gould spokojnie.

— A taki mądry na swój wiek — odparł Decoud. — Usłyszeliśmy bowiem z ust tego dzieciaka prawdę bez obsłonek. Pan ma słuszność, Donie José! Bogactwa naturalne Costaguany nie są bez znaczenia dla postępowej Europy, której przedstawicielem jest ten młodzian — podobnie jak przed trzystu laty skarby naszych praojców hiszpańskich były rzeczą nader ważną dla reszty Europy, reprezentowanej przez zuchwałych korsarzy. Przekleństwo nijakości ciąży na naszym charakterze; Don Quixote i Sancho Panza, rycerskość i materjalizm, szczytnie brzmiące uczucia i ospała moralność, potężne wzloty ku idei i gnuśne zastyganie we wszystkich formach zepsucia. Wstrząsnęliśmy całym kontynentem, by odzyskać niepodległość, a staliśmy się bierną pastwą demokratycznej parodji, bezwolnemi ofiarami łotrów i rzezimieszków; nasze instytucje są błazeństwem, nasze prawa kpinami — a naszym władcą Guzman Bento! Upadliśmy tak nisko, iż kiedy taki człowiek, jak pan, obudził w nas sumienie, głupi bar-

barzyniec w rodzaju Montera — mój Boże, takiego Montera! — staje się groźnem niebezpieczeństwem, a ciemny samochwał, *Indio*, Barrios, jest naszym obrońcą.

Wszelako Don José, pomijając całość oskarżeń, jakgdyby nie słyszał z nich ani słowa, wziął w obronę Barriosa. Człowiek ten mógł sprostać specjalnemu zadaniu, jakie mu poruczono w planie kampanji. Polegało ono na tem, iż przyjmując Caytę za podstawę swych działań, miał on uderzyć na skrzydło wojsk rewolucyjnych, zmierzających od południa ku stolicy, osłanianej przez drugą armję z prezydentem-dyktatorem pośrodku. Don José jął rozprawiać z wielkiem ożywieniem, pochylając się niespokojnie naprzód pod bacznem spojrzeniem swej córki. Decoud, jakgdyby przyniewolony do milczenia tym jego zapałem, nie odzywał się ani słowem. Dzwony miejskie nawoływały do modlitwy, gdy powóz wjechał pod sklepienie starożytnej bramy, wznoszącej się naprzeciwko przystani niby jakiś bezkształtny pomnik, spiętrzony z liści i kamieni. W turkot kół, huczących pod arkadą, wnikały dziwne, przeraźliwe okrzyki. Decoud, któremu dostało się miejsce na przedniem siedzeniu, widział lud, wlokący się drogą hen, za powozem. Wszystkie głowy w *sombrerach i rebozach* [1]) zwracały się ku lokomotywie, co przemknęła rączo i zniknęła za domem Giorgia Violi w białej oponie pary, jakgdyby roztapiającej się w zdyszanych, histerycznie przeciągłych wrzaskach wojowniczego triumfu.

I była to niby zwiewna zjawa, ten hałaśliwy zwid parowozu kolejowego, mijającego pierzchliwie sklepione

---

[1]) Stroik na głowę.

łuki bramy śród poruszenia ludu, co wracał gromadnie z widowiska wojskowego i brodził cichemi stopami w kurzu drożnym. Był to pociąg ciężarowy, wracający z *Campa* do otoczonej ostrokołem remizy. Puste wozy toczyły się lekko po jedynym szlaku szyn; nie dudniły koła i nie drgała ziemia. Maszynista, który, mijając *Casę Viola*, podniósł ramię na znak pozdrowienia, zwolnił nieco biegu, zanim wjechał do remizy. Kiedy zaś ucichł ogłuszający wrzask gwizdawki parowej, szeregowi twardych zderzeń, pomieszanych ze szczękiem łańcuchów, zawtórował rozhuk ciosów i targanie kajdanów pod sklepieniami bramy.

ROZDZIAŁ V.

Powóz Gouldów pierwszy wracał z przystani do wyludnionego miasta. Po starożytnym, wzorzystym bruku, pełnym dziur i wybojów, stateczny Ignacio, dbały o resory sprowadzonego z Paryża powozu, jechał noga za nogą. Decoud ze swego kąta jął przyglądać się chmurnie wnętrzu bramy. Graniaste, uwieńczone wieżyczkami narożniki zawierały między sobą ogrom murów, porośniętych zwierzchu kępami trawy. U szczytu arkady widniała szara, ciężko rzeźbiona tarcza kamienna z herbami Hiszpanji, co niemal już się zatarły, jakgdyby w oczekiwaniu jakiegoś nowego godła, znamionującego zbliżanie się postępu.

Twarde łomoty wagonów kolejowych zdawały się wzmagać rozdrażnienie Decouda. Zamamrotał coś do siebie, poczem urywanemi, zjadliwemi uwagami jął narzucać się milczeniu obu kobiet. Don José, którego przejrzyste, woskowe oblicze ocieniał miękki, szary kapelusz, kiwał się zlekka, podrzucany przez powóz, obok Mrs. Gould.

— Ten zgiełk jest niby nowem ostrzem, przyłożonem do starej prawdy.

Decoud mówił po francusku, może dlatego, iż nad nim na koźle siedział Ignacio. Stary woźnica, którego

szerokie plecy wypełniały krótką, haftowaną srebrem kurtkę, miał wielkie uszy, odstające mocno na skrajach od jego spłaszczonej głowy.

— Jużcić, zgiełk ten, rozlegający się za murami miasta, jest nowy, ale zasada jest stara.

Przeżuwał czas jakiś swe niezadowolenie, poczem zaczął na nowo, zerknąwszy zukosa na Antonję:

— A gdyby tak właśnie teraz wyobrazić sobie naszych praojców w hełmach i pancerzach, jak stoją w szeregu przed tą bramą, mając przeciwko sobie zastęp awanturników, którzy co tylko wylądowali w przystani! Naturalnie, złodzieje. No, i spekulanci. Każda z ich wypraw była spekulacją statecznych i czcigodnych osób w Anglji. Tak wygląda historja, jak zawsze zwykł powiadać ten kiep, Mitschell.

— Załadowaniem wojska pokierował Mitschell znakomicie — zawołał Don José.

— To... to było w rzeczywistości zasługą tego jakiegoś marynarza genueńskiego! Lecz wróćmy do tego, co mówiłem o zgiełku. Dawnemi czasy rozlegało się przed tą bramą granie surm bojowych! Jestem pewien, że były to surmy. Czytałem gdzieś, iż Drake, największy z tych ludzi, zwykł był ucztować w swej kabinie, na pokładzie okrętu, przy dźwięku surm. Podówczas miasto to było ogromnie bogate. Ci ludzie przyjeżdżali, by zagarnąć te bogactwa. Obecnie cały kraj jest jakby jednym skarbcem, a ci ludzie włamują się do niego, gdyż my wodzimy się za łby. Jedyna rzecz, która ich trzyma jeszcze zdala, jest zazdrość wzajemna. Ale zczasem pogodzą się oni — i kiedy przyjdzie chwila, że zaprzestaniemy swych swarów, nabierzemy stateczności i rzetelności, nic już dla nas nie zostanie. Zawsze bywało tak samo. Je-

steśmy przedziwnym ludem, ale taki już nasz los, że zawsze nas — nie powiedział: „rabowano“, lecz dodał po chwili: „wyzyskiwano“.

Mrs. Gould obruszyła się: — Oh, to niesłuszne! — Ale Antonja wtrąciła: — Nie odpowiadaj, Emiljo! To przymówka do mnie.

— Chyba pani nie przypuszcza, że miałem na myśli Dona Carlosa? — odezwał się Decoud.

Powóz zatrzymał się wreszcie przed bramą *Casy Gould*. Młodzieniec podał rękę damom. Wysiadły pierwsze. Za niemi podążał Don José w towarzystwie Decouda. Podagryczny, stary odźwierny dreptał na końcu, niosąc lekkie okrycia.

Don José ujął pod ramię publicystę z Sulaca.

—*Porvenir* powinien zamieścić długi, podniosły artykuł o Barriosie i o potędzie jego armji z Cayty. Trzeba dodać otuchy krajowi. W odpowiednich streszczeniach należałoby go rozesłać kablem do Europy i Stanów Zjednoczonych dla podtrzymania przychylnej opinji zagranicą.

Decoud mruknął: — O, tak — trzeba pocieszać naszych przyjaciół, spekulantów!

Długi, otwarty krużganek wraz z nieruchomem kwieciem roślin, umieszczonych w doniczkach wzdłuż balustrady, nurzał się w cieniu. Wszystkie drzwi oszklone, prowadzące do salonów, stały otworem. Dźwięk ostróg zamierał gdzieś, w drugim końcu.

Basilio, stojący opodal pod ścianą, rzekł miękkim głosem do przechodzących pań: — *Senior Administrador* powrócił co tylko z gór.

W wielkiej sali, gdzie staroświeckie, hiszpańskie i nowoczesne, europejskie meble stanowiły niby dwa różne ośrodki pod wyniosłością białego sklepienia, ja-

rzyło się śród kęp karłowatych foteli srebro i porcelana zastawy stołowej, tworząc jakgdyby buduar kobiecy, pełen niewieściej, pieściwej delikatności.

Don José usiadł w fotelu na biegunach i umieścił kapelusz na kolanach. Decoud przechadzał się wzdłuż salonu, krążąc śród stołów, zastawionych cackami i niewidocznych niemal za wysokiemi oparciami wysłanych skórą kanap. Myślał o gniewnej twarzy Antonji; miał nadzieję, iż uda mu się z nią pojednać. Nie poto pozostał w Sulaco, by zrażać do siebie Antonję.

Martin Decoud był zły na siebie. Wszystko, co widział i słyszał dokoła siebie, pozostawało w rozpaczliwej sprzeczności z ustalonemi oddawna pojęciami jego europejskiej cywilizacji. Przedstawiało się to zupełnie inaczej, aniżeli wówczas, kiedy rozmyślał o rewolucjach z oddali bulwarów paryskich. Tu, na miejscu, niepodobna było zbyć tej tragikomedji słowami: *Quelle farce!*

Rzeczywistość zdarzeń politycznych w całej swej nagości stała się bliższą i dolegała mu tem dotkliwiej, iż Antonja wierzyła w tę sprawę. Cierpkość tej wiary raziła jego uczucia. Dziwił się swemu przeczuleniu.

— Zdaje mi się, że jestem więcej *Costaguanerem*, aniżeli przypuszczałem — myślał.

Niechęć jego wzmagała się w miarę, jak potężniał odpór jego sceptycyzmu przeciwko działalności, do której zniewoliła go zapamiętała miłość do Antonji. Starał się uspokoić, wmawiając w siebie, że nie był patrjotą, lecz człowiekiem zakochanym.

Panie powróciły, zdjąwszy kapelusze. Mrs. Gould obsunęła się na krzesło przed małym stolikiem z zastawą do herbaty. Antonja zajęła swe zwykłe podczas

przyjęć miejsce — róg wysłanej skórą kanapy; z wachlarzem w ręce, przybrała postawę, pełną surowego wdzięku. Decoud zboczył z linji prostej swego pochodu i przyszedł oprzeć się o wysoką poręcz jej siedzenia.

Przez jakiś czas mówił jej do ucha łagodnie, z półuśmiechem i wyrazem powściąganej poufałości. Wachlarz, nawpół złożony, leżał na jej kolanach. Nie obejrzała się ani razu na niego. Śpieszne jego słowa stawały się coraz natarczywszemi i pieszczotliwszemi. Wkońcu parsknął zlekka śmiechem.

— Nie, naprawdę! Niech mi pani przebaczy. Niekiedy zdarza się być każdemu poważnym. — Zamilkł. Odwróciła nieco głowę. Jej błękitne oczy podążyły zwolna ku niemu, nieco słodsze i pytające.

— Czyż pani sądzi, że jestem poważny, gdy co drugi dzień nazywam w *Porvenirze* Montera *gran' bestia?* To nie jest poważne zajęcie. Żadne zajęcie nie jest poważne, nawet gdy ktoś okupuje swój błąd strzałem w serce.

Jej dłoń zacisnęła się mocno dokoła wachlarza.

— Jedyną rzeczą poniekąd rozumną, jedynem, co ma jaki taki sens, jest pogrążyć się w myślach; to jakby błysk prawdy. Mówię o prawdzie istotnej, dla której niema miejsca w polityce i dziennikarstwie. Zdarzyło się mi powiedzieć, co myślałem. A pani się pogniewała! Jeśli pani uczyni mi tę łaskę i zastanowi się nieco, to przekona się pani, że mówiłem jak patrjota.

Po raz pierwszy rozchyliła nieco łaskawiej swe kraśne usta:

— Zapewne, lecz pan nigdy nie ma przed oczyma celu. Trzeba posługiwać się ludźmi takimi, jakimi są.

Zdaje mi się, iż nikt nie jest naprawdę bezinteresowny, prócz może pana, Donie Martinie.

— Broń Boże! Pragnąłbym, by ta wiara we mnie znajdowała się u pani na ostatniem miejscu — odezwał się swobodnie i zamilkł.

Jęła poruszać lekko wachlarzem, nie podnosząc ręki. Po chwili szepnął namiętnie:

— Antonjo!

Uśmiechnęła się i angielskim zwyczajem wyciągnęła rękę do Charles'a Goulda, który składał jej ukłon. Decoud, opierając się łokciem o poręcz kanapy, spuścił oczy i bąknął: — *Bonjour*.

Senior Administrador kopalni San Tomé pochylił się na chwilę nad swą żoną. Zamienili kilka słów, z których zabrzmiały głośniej tylko wyrazy: „największy entuzjazm", wyrzeczone przez Mrs. Guld.

— No, tak, — zaczął znów półgłosem Decoud — nawet on!

— To istna potwarz — rzekła Antonja niezbyt surowo.

— Niechże go pani poprosi, by rzucił swą kopalnię w tygiel wielkiej sprawy — szepnął Decoud.

Don José zabrał głos. Zacierał ręce zadowolony. Doskonała postawa wojsk oraz wielka ilość nowych, śmiercionośnych karabinów na ramionach tych dzielnych żołnierzy napełniała go jakąś ekstatyczną otuchą. Charles Gould stał wysoki i szczupły przed swem krzesłem i słuchał, ale niczego nie można było dojrzeć na jego twarzy, prócz uwagi, uprzejmej i pełnej poszanowania.

Tymczasem Antonja powstała z miejsca i podeszła ku jednemu z trzech wielkich okien, wychodzących na ulicę. Decoud podążył za nią. Okno było otwarte.

Oparł się o ścianę w jego zagłębieniu. Długie fałdy adamaszkowej portjery, zwisającej od szerokiego, mosiężnego gzemsu, zakrywały go poczęści od strony salonu. Skrzyżował ramiona na piersiach i patrzył uparcie na profil Antonji.

Ciżba, wracająca z przystani, roiła się na chodnikach; szmer sandałów i głuchy rozgwar głosów wzbijał się ku oknu. Od czasu do czasu przejechał zwolna pojazd po zrujnowanych brukach *Calle de la Constitucion*. Powozów prywatnych niewiele było w Sulaco - w najruchliwszej porze dnia można było policzyć je na *Alamedzie* od jednego rzutu oka. Wielkie landary familijne o wysokich, wyścielanych skórą siedzeniach pełne były ładnych, upudrowanych twarzyczek, z których wyzierały oczy, czarne i ogniste. Pierwszy przejechał Don Juste Lopez, prezydent sejmiku prowincjonalnego, w otoczeniu swych trzech, uroczych córek. W czarnym fraku i sztywnym, białym krawacie wyglądał tak uroczyście, jakby przewodniczył obradom z wysokiej trybuny. Podnieśli wprawdzie wszyscy ku balkonowi oczy, ale Antonja nie powitała ich zwykłem skinieniem ręki, więc udawali, że nie widzą dwojga młodych osób, tych *Costaguanerów* z europejskiemi nawyczkami, nad których niezwykłością rozprawiano za kratami okien najznamienitszych domów w Sulaco. Druga zkolei minęła ich niebrzydka i pełna godności wdowa, *seniora* Gavilaso de Valdes, w swej wielkiej landarze, w której miała zwyczaj jeździć do swego dworu na wsi pod strażą zbrojnego orszaku w skórzanej odzieży i wielkich *sombrerach* z karabinami, przytwierdzonemi do łęków siodeł. Była to kobieta najznakomitszego rodu, dumna, bogata i dobrotliwa. Drugi jej syn, Jaime, wyruszył na wojnę

ze sztabem Barriosa. Najstarszy, nicpoń o nierównem usposobieniu, napełniał Sulaco rozgłosem swych hulanek i grywał grubo w klubie. Dwaj jej najmłodsi synowie siedzieli na przedniem siedzeniu, z żółtemi kokardami ribierystowskiemi u czapek. Udawała również, iż nie widzi, jak *senior* Decoud rozmawia publicznie z Antonją wbrew przyjętym obyczajom. A nie był on nawet jej *novio* [1]), przynajmniej o ile było wiadomo! Ale nawet i w tym razie byłaby to rzecz zdrożna. Wszalako ta czcigodna pani, podziwiana i szanowana w towarzystwach arystokratycznych, czułaby się niewątpliwie jeszcze więcej zgorszoną, gdyby usłyszała słowa, które zamieniali między sobą:

— Powiedziała pani, że straciłem cel z oczu? Mam tylko jeden cel w życiu.

Uczyniła niemal niedostrzegalny ruch przeczący głową, wciąż zapatrzona na dom Avellanosów, szary, naznaczony piętnem ruiny, z żelaznemi kratami na podobieństwo więzienia.

— A tak łatwo możnaby go osiągnąć! — mówił dalej. — Cel ten, wiednie lub bezwiednie, miałem zawsze w sercu — zwłaszcza do owej chwili, kiedy tak dotkliwą nauczkę dała mi pani w Paryżu. Pamięta pani?

Jakby lekkim uśmiechem drgnęła jedna strona jej ust.

— Straszna była z pani osoba! Niby Charlotte Corday w mundurku pensjonarki. Zapamiętała patrjotka. Byłaby pani pchnęła nożem Guzmana Bentę — nieprawdaż?

Przerwała mu: — Za wiele dla mnie zaszczytu!

— Bądź co bądź — odparł, przybierając nagle ton

---

[1]) Narzeczony.

cierpkiej lekkomyślności — bez wyrzutu sumienia byłaby mnie wysłała pani, żebym go zasztyletował.

— Ah, *par exemple!* — rzekła, z urazą w głosie.

— A teraz — upierał się nieszczerze — każe mi pani pisywać śmiertelne niedorzeczności. Zabójcze dla mnie! Zabiły już we mnie godność własną. Proszę sobie wyobrazić — mówił dalej głosem, w którym drgnął akcent lekkiej żartobliwości — iż Montero, gdyby mu się powiodło, postąpiłby ze mną w jedyny sposób, w jaki postąpić może zwierzę, takie zwierzę z człowiekiem inteligentnym, który trzy razy w tygodniu raczy go nazywać *gran' bestia.* Spotkała mnie śmierć intelektualna; ale jeszcze inna czyha w głębi na dziennikarza mojego pokroju.

— Gdyby mu się powiodło! — rzekła Antonja zamyślona.

— Zdawało mi się, że pani jest zadowolona, iż życie moje wisi na włosku — odparł Decoud z przykrym uśmiechem. — Co się zaś tyczy drugiego Montera, „czcigodnego brata“ z proklamacyj, *guerillera* — to czyż nie pisałem o nim, iż za czasów Rojasa, w chwilach, wolnych od szpiegowania naszych emigrantów, zdejmował płaszcze gościom i zmieniał talerze w naszem poselstwie paryskiem? Tę fatalną prawdę postara się on utopić we krwi. W mojej krwi! Dlaczego spogląda pani z takiem zaniepokojeniem? To poprostu szczegół z życiorysu jednego z naszych wielkich ludzi. A co on ze mną zrobi — jak pani się zdaje? Na rogu *Plazy* wznoszą się mury pewnego klasztoru. Pani wie? Naprzeciw drzwi z napisem: *Intrada de la Sombra* [1]). Odpowiedni, nieprawdaż? To miejsce, gdzie stryj

---

[1]) Wejście do przytułku; *sombra* oznacza także: cień, widmo; do tego znaczenia, nawiązuje się następne zdanie. (*Przyp. tłum.*).

naszego gospodarza wyzionął swego anglo-południowo-amerykańskiego ducha. A proszę zważyć, że mógł drapnąć. Człowiek, który walczył z bronią w ręku, ma prawo drapnąć. Gdyby pani dbała o mnie, to byłaby mi pani pozwoliła pójść z Barriosem. Byłbym stanął z największą radością w jednym szeregu z biednymi *peonami* i *Indiosami*, którzy nie mają pojęcia o zasadach i o polityce, i byłbym dźwignął jeden z tych karabinów, w których taką ufność pokłada Don José. Najzatraceńsza placówka w najzatraceńszej armji na świecie jest bezpieczniejsza od tego, dlaczego kazała pani mi tu zostać. Gdy się jest w boju, można się cofnąć, ale niepodobna myśleć u ucieczce, gdy zużywa się swój czas na zachęcanie biednej, ciemnej tłuszczy, by zabijała i dawała się zabijać.

Głos jego nie postradał lekkości. Jakby nie wiedząc o nim, stała nieruchoma, ze splecionemi lekko dłońmi, a wachlarz zwisał z jej zachodzących na siebie palców. Poczekał chwilę, poczem:

— Pójdę pod mur — odezwał się z jakąś żartobliwą rozpaczą.

Ale nawet po tych słowach nie spojrzała na niego. Nie poruszyła głową, zapatrzona na dom Avellanosów, którego obłupane kolumny i obłamane narożniki skryły już swe pohańbione dostojeństwo w gęstniejących zmierzchach ulicznych. Z całej jej postaci tylko usta drgnęły słowami:

— Czy pan chce, żebym się rozpłakała?

Milczał przez chwilę osłupiały, jakgdyby pod brzemieniem jakiejś zalęknionej szczęśliwości. Drwiący uśmiech zastygł na jego ustach i w wyrazie niedowierzającego zdumienia znieruchomiały jego oczy. Wartość słów zależy od osoby, która je wypowiada, gdyż

niczego nowego nie może powiedzieć ani kobieta, ani mężczyzna. Otóż w mniemaniu jego były to słowa, które tylko w ostateczności mogły być wyrzeczone przez Antonję. Nigdy jeszcze nie miał nad nią tak zupełnej przewagi w drobnych, słownych utarczkach. I zanim zdążyła zwrócić się ku niemu, co uczyniła z oziębłym wdziękiem, jął nalegać:

— Moja siostra tylko czeka, żeby panią uścisnąć. Mój ojciec będzie uszczęśliwiony. A czyż mam mówić o mej matce? Nasze matki będą jak dwie siostry. Pocztowiec odpływa ku południowi za tydzień — jedźmy! Ten Moraga, to warjat! Człowieka takiego, jak Montera, można było przekupić. To zwyczaj tego kraju. To jego tradycja polityczna. Niechaj pani zajrzy do „Pięćdziesięciu lat nierządu".

— Proszę nie powoływać się na mego ojca! On wierzy...

— Myślę z największą tkliwością o ojcu pani — mówił namiętnie. — Ale ja panią kocham, Antonjo! Moraga haniebnie popsuł całą tę sprawę. Być może, iż przyczynił się także do tego ojciec pani — nie wiem. Montero dałby się przekupić. Trzeba mu było dać odczepne z tej sławetnej pożyczki, zaciągniętej na cele pomyślności narodowej. Czemuż ci głupcy ze Santa Marta nie wysłali go w jakiej misji do Europy, lub nie obmyślili dlań czegoś podobnego? Byłby wziął wynagrodzenie za pięć lat zgóry i pojechałby trwonić je w Paryżu, ten głupi, dziki *Indio!*

— Człowiek ten — rzekła zamyślona, odpowiadając spokojnie na jego porywcze słowa — dał się opętać próżności. Mieliśmy jak najdokładniejsze wiadomości nietylko od Moragi — także od innych. Przytem jego brat również wziął udział w intrygach.

— No, tak! — przemówił. — Pani wie o tem. Pani wie wszystko. Czytuje pani całą korespondencję, pisuje wszystkie dokumenty. Wszystkie dokumenty państwowe powstają tutaj, w tym salonie, natchnione przez ślepą uległość względem teorji czystości zasad politycznych. Czyż nie ma pani przed oczyma Charles'a Goulda? *Rey de Sulaco!* On i jego kopalnia są praktycznym pokazem tego, co dałoby się zrobić.

Czyż pani sądzi, że może mieć powodzenie, wierząc w swą teorję cnoty? A wszyscy ci inżynierowie kolejowi, ludzie uczciwej pracy! Bo trzeba przyznać, że pracują uczciwie. Ale czyż można pracować uczciwie, dopóki nie zaspokoi się złodziei? Czyż nie mógł powiedzieć ten dżentelman temu jakiemuś Sirowi Johnowi, czy jak tam on się nazywa, że trzeba przedewszystkiem przekupić Montera — jego i tych murzyńskich liberałów, uwieszonych przy jego haftowanych złotem rękawach? Sprzedałby siebie, swą tępą istność na wagę złota; sprzedałby wraz z sobą buty, szablę, ostrogi, kapelusz z kogucim pióropuszem — słowem wszystko. Proszę mi wierzyć.

Potrząsnęła głową zlekka. — To było niemożliwe — rzekła cicho.

— Chciałże zagarnąć wszystko? Co?

Zwróciła się teraz twarzą do niego w głębokiej framudze okiennej. Stała bliska i nieruchoma. Tylko jej usta poruszały się szybko. Decoud, oparłszy się plecami o ścianę, słuchał z założonemi rękami i przymkniętemi nieco powiekami. Poił się brzmieniem jej miarowego głosu i śledził ruchliwą żywość, z jaką fale wrażeń zdawały się wynikać z jej serca i przepływać skroś jej krtani ulatującym w powietrze szmerem jej rozumnych słów. On także nie był bez dążeń; pragnął

wyrwać ją z tej zabójczej czczości reform i *pronunciamentów*. Wszystko to było chybione — zupełnie chybione. Pozostawał pod jej zaklęciem; ale chwilami nieodparta słuszność jakiegoś powiedzenia przełamywała ten czar, nagle pierzchało zaklęcie pod niemiłym naporem zainteresowania. Czasem kobieta staje jakgdyby na progu genjuszu — myślał. Poco im wiedzieć, zastanawiać się, rozumieć? Namiętność starczyła za wszystko i gotów był uwierzyć, że to lub owo zdumiewająco głębokie spostrzeżenie, ocena czyjegoś charakteru lub sąd o jakiem zdarzeniu poprostu graniczą z cudownością. W dojrzałej Antonji dostrzegał ze szczególniejszą wyrazistością surową pensjonarkę z lat ubiegłych. Umiała przykuć jego uwagę; niekiedy nie mógł się powstrzymać, by jej nie przyznać słuszności; to znów całkiem poważnie czynił zastrzeżenia. Stopniowo jęli rozprawiać; portjera zasłaniała ich poczęści przed oczyma osób, zebranych w sali.

Na dworze zapadła ciemność. Z głębokich smug cienia między domami, majaczącemi w migotaniu lamp ulicznych, roztaczała się skroś Sulaca cisza wieczorna — cisza miasta, gdzie jest mało powózek, gdzie koni się nie kuje, a ludzie noszą miękkie sandały. Okna *Casy Gould* rzucały świetlne prostokąty na ściany domu Avellanosów. Od czasu do czasu przeszedł ktoś cichym krokiem i błysnął roziskrzony żar papierosa hen, u podnóża ściany. Powietrze, jakby ochłodzone śniegami Higueroty, muskało świeżością ich twarze.

— My, ludzie zachodni — mówił Martin Decoud, używając określenia, którem posługiwali się zazwyczaj mieszkańcy prowincji Sulaco, gdy mówili o sobie, — byliśmy zawsze odsunięci i oddaleni. Jak długo mamy Caytę w rękach, nic nas dosięgnąć nie może. Nie zda-

rzyło się jeszcze podczas naszych zaburzeń, żeby jaka armja przekroczyła te góry. Rewolucja w prowincjach zachodnich odrazu nas odosabnia. Proszę tylko zważyć, jak to odosobnienie jest teraz zupełne! Wiadomości o ruchach Barriosa będą przesyłane kablem do Stanów Zjednoczonych i dopiero z przeciwległego wybrzeża morskiego będą docierały do Santa Marta. Posiadamy największe bogactwa, najżyźniejsze ziemie, najczystszą krew w naszych wielkich rodach, najpracowitszą ludność. Prowincja Zachodnia winna być samodzielną. Federalizm przeszłości nie był dla nas niekorzystny! Nastąpiło po nim zjednoczenie, któremu opierał się Don Henrique Gould. Utorowało ono drogę do tyranji. Odtąd reszta Costaguany wisi jak kamień młyński u naszej szyi. Prowincja Zachodnia jest dość wielka, żeby dla nas wszystkich była ojczyzną. Niech pani spojrzy na góry. Przyroda nawet zdaje się nawoływać nas do samodzielności.

Zaprzeczyła energicznym gestem. Nastało milczenie.

— Wiem, jest to przeciwne zasadom, wyłuszczonym w „Dziejach pięćdziesięciu lat nierządu“. Chciałem tylko dowieść, iż potrafię być rozsądnym. Ale mój rozsądek zawsze dotyka panią. Czy bardzo przeraziły panią te, najzupełniej rozumne dążenia?

Potrząsnęła głową. Nie, nie była przerażona, ale pomysł ten pozostawał w sprzeczności z jej przekonaniami. Jej patrjotyzm sięgał dalej. Nie zastanawiała się nigdy nad tą możliwością.

— A jednak jest to jedyny sposób, by ocalić poczęści przekonania pani — rzekł proroczo.

Nie odpowiedziała. Wydawała się znużoną. Stojąc obok siebie, opierali się oboje po przyjacielsku o kratę niewielkiego balkonu. Zakończyli rozmowę o polityce

i pogrążyli się w milczącem poczuciu wzajemnej bliskości, w tem głębokiem mgnieniu, co tętni rytmem namiętności. Hen, w głębi *Plazy*, u wylotu ulicy, jarzyły się skrawo węgle, żarzące się w *brazerach* przekupek, które gotowały dla siebie wieczerzę. Jakiś człowiek przemknął bez szmeru, mignąwszy w świetle lampy ulicznej barwistym, odwróconym trójkątem swego bramowanego *poncha*, zarzuconego na barczyste ramiona i sięgającego poniżej kolan. Od strony przystani jakiś jeździec człapał ulicą na koniu, co, mijając lampy, mglił się srebrzyście pod ciemnemi kształtami postaci ludzkiej.

— Czy widzi pani dostojnego *Capataza de Cargadores?* — spytał Decoud miękko. — Ukończył pracę i nadjeżdża oto w pełnej swej okazałości. Po Donie Carlosie Gouldzie jest to największy człowiek w Sulaco. Dobry z natury, więc z nim się zaprzyjaźniłem.

— Naprawdę? — zagadnęła Antonja. — W jakiż sposób pan z nim się zaprzyjaźnił?

— Dziennikarz powinien wyczuwać tętno ludu, a ten człowiek jest jednym z przewódców pospólstwa. Dziennikarz powinien znać ludzi niezwykłych, a ten człowiek jest na swój sposób niezwykły.

— Zapewne — rzekła Antonja w zamyśleniu. — Wiadomo powszechnie, iż ten Włoch wywiera wielki wpływ.

Jeździec ich minął i mignęły w mgławej poświacie połyskliwe blachy uprzęży, wielkie, błyszczące strzemiona, oraz długie, srebrne ostrogi. Ale przelotne muśnięcie żółtawego światła ześliznęło się bezsilnie po tajemniczości ciemnej, otulonej w płaszcz postaci, której oblicze nikło zupełnie pod wielkim *sombrerem.*

Decoud i Antonja stali wciąż jeszcze oparci o poręcz balkonu, tak blisko siebie, iż dotykali się niemal

łokciami. Pochylone ich głowy nurzały się w ciemności ulicznej, a za nimi jarzyła się oświecona jasna sala. To *tête á tête* było w najwyższym stopniu zdrożne i na całym obszarze Rzeczypospolitej zdolna była do niego tylko ta niezwykła Antonja — biedna, osierocona dziewczyna, którą nikt się nie opiekował, której nieoględny ojciec dbał tylko o wykształcenie. Nawet Decoud doznawał wrażenia, iż osiągnął więcej, aniżeli mógł się spodziewać przed... ukończeniem rewolucji, kiedy wreszcie będzie mógł zabrać ją ze sobą do Europy, wyrwać ją z tego nieskończonego zamętu wojen domowych, których niedorzeczność była bodaj przykrzejsza od hańby. Oto po Monterze pojawi się na pewno inny, jemu podobny; śród ludności najprzeróżniejszego pochodzenia i zabarwienia skóry będzie dalej szalało bezprawie, barbarzyństwo i nieunikniona tyranja. Wielki wyzwoliciel, Bolivar, słusznie rzekł z głębi swej rozgoryczonej duszy: „Ameryką rządzić niepodobna. Ci, co pracowali dla jej niepodległości, orali morze". Zaś on sam oświadczał bez ogródek, iż nie dba o ojczyznę. Przy każdej sposobności powiadał Antonji otwarcie, iż nie jest patrjotą, aczkolwiek powiodło się jej uczynić z niego dziennikarza, który oddał swe pióro na usługi białych. Przedewszystkiem samo pojęcie patrjotyzmu nie ma sensu dla umysłów światłych, dla których cieśń wszelkich wierzeń jest nie do zniesienia; po wtóre pojęcie to sponiewierano beznadziejnie śród nieustannych zamieszek w tym nieszczęsnym kraju. Stało się ono hasłem ciemnego barbarzyństwa, stekiem bezprawia, zbrodni, grabieży i pospolitego złodziejstwa.

Dziwiła go płomienność własnej wymowy. Nie potrzebował przyciszać głosu, gdyż przez cały czas mówił

cicho, szeptem, zatracającym się śród milczenia mrocznych domów, których okiennice zamyka się wcześnie w Sulaco z obawy przed wyziewami nocnemi. Jedynie sala *Casy Gould* urągała im jasnością swych czterech okien, otwartych naścieżaj, rzucając snopy światła w głuche zmierzchy ulicy. Po krótkiej chwili rozległ się znowu na małym balkonie szmer głosów.

— Pracujemy, żeby to zmienić — przeczyła mu Antonja. — To jest naszem pragnieniem. To jest naszem zadaniem. Na tem polega wielkość sprawy. Zaś w owem pojęciu, którem pan pomiata, zawarł się ogrom poświęcenia, męstwa, stałości, cierpienia. Mój ojciec, który...

— Orze tonie morskie — przerwał Decoud, spoglądając wdół.

Zadudniły pod nimi śpieszne, zamaszyste kroki.

— Wuj pani, wielki wikary katedralny, wszedł właśnie do sieni — objaśnił Decoud. — Odprawił mszę dla wojska na *Plazy* dziś rano. Czy wie pani, że zbudowano dlań ołtarz z bębnów? I że wyniesiono z kościoła wszystkie pomalowane drewna, żeby się przewietrzyły? Wszyscy drewniani święci stali jak żołnierze w szeregu u podnóża wielkich schodów. Wyglądali niby wspaniały orszak, towarzyszący wielkiemu wikarjuszowi. Przyglądałem się temu uroczystemu obrzędowi z okien *Porvenira*. Przed wujem pani, ostatnim z Corbelánów, poprostu się truchleje. Skrzył się w swym ornacie, na którym od tyłu widniał krzyż ze szkarłatnego welwetu. Tymczasem nasz zbawca, Barrios, siedział w *Klubie Amarilli* przy otwartem oknie i popijał poncz. To *esprit fort* — ten nasz Barrios. Oczekiwałem, iż wuj pani ciśnie lada chwila klątwą w to przysłonięte czarnym płatkiem oko, co wyzierało z okna

po drugiej stronie *Plazy*. Ale nie. Ostatecznie wojska odeszły. Barrios raczył wreszcie zejść nadół z kilkoma oficerami i, rozmawiając, stał na skraju chodnika w porozpinanym mundurze. Nagle u drzwi katedry ukazał się wuj pani, już nie w skrzących szatach, lecz w czerni. Jak zwykle, wyglądał groźnie, niby jakiś duch pomsty. Spojrzał — podszedł wielkiemi krokami ku oficerom i uprowadził generała, wziąwszy go pod ramię. Wodził go z jaki kwadrans w cieniu kościoła. Ani na chwilę nie puszczał go od siebie, mówiąc bez przerwy gorączkowo i gestykulując swem długiem, czarnem ramieniem. Było to ciekawe widowisko. Oficerowie wyglądali, jakby osłupieli ze zdumienia. Niezwykły to człowiek, ten wuj misjonarz. Nienawidzi więcej heretyka, niż niewiernego, a stokroć woli poganina, niż niewiernego. Czy pani wie, iż raczy niekiedy nazywać mnie poganinem?

Antonja słuchała, przełożywszy ręce przez balustradę. Dłonie jej otwierały i zamykały zwolna wachlarz. Decoud mówił nieco nerwowo, jakgdyby się obawiał, iż odejdzie od niego, jeśli mówić przestanie. Ich częściowe odosobnienie, tkliwe poczucie zbliżenia, lekkie zetknięcie ich ramion napawały go błogością. W ironicznym jego szepcie odzywała się niekiedy słodycz czułości.

— Umiem cenić nawet najniklejszą oznakę łaskawości u krewnych pani. A przytem może on mnie rozumie. Bo ja znam *Padra Corbelana*. Godność polityczna, sprawiedliwość, uczciwość polega w jego pojęciu na zwrocie dóbr, zabranych kościołowi. Nic innego nie zdołałoby skłonić go do powrotu z puszcz, gdzie nawracał zapamiętale dzikich Indjan! Ta zawodna nadzieja zniewoliła go do pracy dla dobra

ribierzystów. Gdyby znalazł zwolenników, to dla tej sprawy sam byłby gotów wywołać *pronunciamento* przeciw każdemu rządowi. Co też myśli o tem Don Carlos Gould? Ale któż odgadnie jego myśli za tą nieprzeniknioną skrytością angielską? Najprawdopodobniej nie obchodzi go nic poza jego kopalnią, jego *Imperium in Imperio*. Jeżeli zaś chodzi o Mrs. Gould, to myśli ona o swych szkołach, o swych szpitalach, o matkach z drobnemi dziećmi i o wszystkich cho rych starcach w trzech wioskach górniczych. Gdyby pani odwróciła teraz głowę, to na pewno zobaczyłaby pani, iż albo odbiera raport od tego zakazanego doktora w kraciastej koszuli — jakże on się nazywa? Ah, prawda, Monygham — albo wypytuje Dona Pépego albo też słucha *Padra* Romàna. Wszyscy oni są dziś tutaj — zeszli się wszyscy ministrowie jej państwa. Uczuciowa z niej kobieta, a Don Carlos jest może uczuciowym mężczyzną. Jest to jedna z właściwości rzetelnego, angielskiego rozsądku, by nie myśleć za wiele i dbać tylko o to, co można praktycznie zużytkować w danej chwili. Lud ten niepodobny jest do nas. Nie mamy zasad politycznych; miewamy tylko polityczne namiętności — niekiedy. Czemże jest przekonanie? Właściwym sobie wyrazem naszych korzyści osobistych, bądźto praktycznych bądź też uczuciowych. Nie jest się zadarmo patrjotą. Na tem słowie nieźle się wychodzi. Ale ja patrzę jasno i nie mam prawa go używać, mówiąc do pani. Nie mam złudzeń patrjotycznych. Mam tylko najwyższe złudzenie człowieka zakochanego.

Zamilkł, poczem szepnął niemal bezgłośnie: — Które może zaprowadzić bardzo daleko.

Wzmagający się za ich plecami rozgwar głosów

był oznaką, iż nastała chwila przypływu politycznego, co raz na dwadzieścia cztery godzin zwykł był przelewać się wzdętą falą przez salon Gouldów. Napływali goście pojedynczo, dwójkami, trójkami: wyżsi urzędnicy prowincjonalni i ogorzali inżynierowie kolejowi. Śród ich młodych, czerstwych twarzy widniała szpakowata głowa ich zwierzchnika, co uśmiechał się z lekko żartobliwą pobłażliwością. Scarfe, lubownik *fandanga*, wymknął się już, poszukując, gdzieby można zatańczyć, chociażby mu wypadło iść na krańce miasta. Don Juste Lopez, odwiózłszy córki do domu, wszedł uroczyście, mając na sobie czarny, fałdzisty surdut, pozapinany aż pod bujną, ciemną brodę. Nieliczni członkowie sejmiku prowincjonalnego skupili się zaraz dokoła swego prezydenta i jęli omawiać nowiny z pola walki oraz najnowszą proklamację buntowniczego Montera, nikczemnego Montera, który imieniem „płonącej słusznem oburzeniem demokracji" wzywał wszystkie sejmiki prowincjonalne Rzeczypospolitej, by zaprzestały posiedzeń aż do chwili, kiedy jego miecz zapewni spokój i będzie można zasięgnąć zdania ludu. Praktycznie było to wezwanie do rozwiązania sejmików. Co za niesłychane zuchwalstwo tego podłego szaleńca!

Zakipiała oburzeniem garstka posłów, stojących za Josém Avellanosem. Don José podniósł głos i zawołał do nich przez wysokie oparcie swego fotelu: — Sulaco dało odpowiedź, wysyłając dziś armję, która uderzy na niego od skrzydła. Gdyby wszystkie inne prowincje dowiodły bodaj w części patrjotyzmu, który ożywia nas, obywateli z Zachodu...

Burza okrzyków zagłuszyła rozedrgany głos człowieka, który był życiem i duszą swego stronnictwa. —

Tak jest! To prawda! To wielka prawda! Sulaco stanęło na czele, jak zawsze! — zahuczał pochwalny zgiełk; wiekopomny ten dzień rozbudził otuchę śród tych *caballerów* z *Campa*, co troskali się o swe łany, o swe trzody, o bezpieczeństwo swych rodzin. Wszystko rzucono na szalę...

— Nie! To niepodobna, żeby Montero zwyciężył! Ten zbrodniarz, ten bezwstydny *Indio!* — Wrzawa nie przycichała. Wszystkie spojrzenia zwróciły się ku gromadce, śród której Don Juste przybrał wyraz tak bezstronny i uroczysty, jakgdyby przewodniczył na posiedzeniu sejmiku prowincjonalnego. Decoud odwrócił się i oparłszy się plecami o balustradę, wrzasnął na cały głos do wnętrza sali: — *Gran bestia!*

Pod wpływem tego nieoczekiwanego okrzyku zgiełk ucichł. W oczach, co podążyły za nim w stronę okna, błysnęło przychylne oczekiwanie. Ale Decoud zdążył już odwrócić się od salonu i stał znów pochylony nad cichą ulicą.

— Oto najistotniejsza treść mojej działalności publicznej. Oto najdosadniejszy jej argument! — przemówił do Antonji. — Wynalazłem to określenie, to hasło wielkiej sprawy. Ale nie jestem patrjotą. Nie jestem nim tak samo, jak *Capataz de Cargadores*, ten genueńczyk, co tak wiele uczynił dla przystani i stał się czynnym pracownikiem w dziedzinie materjalnej naszego rozwoju. Słyszała pani, jak kapitan Mitschell nieustannie się zwierza, iż odkąd znalazł tego człowieka, sam nie wie, jak długo trwa wyładowanie okrętu? To jest ze szkodą dla postępu. Widziała go pani, jak mijał nas po pracowicie spędzonym dniu na swej słynnej klaczy. Pojechał bałamucić dziewczęta w salonach, gdzie tańczy się na ubitej ziemi. Szczę-

śliwy z niego człowiek! Jego praca polega na oddziaływaniu potężnej indywidualności, jego zabawa na przyjmowaniu oznak bezgranicznego uwielbienia. A lubi on je! Czyż można być szczęśliwszym? Być przedmiotem lęku i podziwu, jest...

— Czy to szczyt pańskich dążeń? — przerwała Antonja.

— Mówiłem o człowieku tego pokroju — odparł Decoud krótko. — Bohaterów podziwiano i lękano się. Czegoż mu więcej trzeba?

Decoud czuł nieraz, iż właściwy mu nawyk ironicznego myślenia kruszy się, rozbity o powagę Antonji. Gniewało go, jakgdyby i ona uległa tej niepojętej, kobiecej tępocie, co tak często bywa przeszkodą między mężczyzną a kobietą pospolitej miary. Ale wnet powściągnął swe rozdrażnienie. Nie przychodziło mu na myśl, by uważać Antonję za naturę pospolitą, aczkolwiek jego sceptycyzm nawet o nim samym wydał takie orzeczenie. Z drżeniem przejmującej czułości w głosie zapewnił, iż jedynem jego dążeniem jest szczęście tak bezmierne, iż wydaje się niemal niemożliwem do osiągnięcia na tej ziemi.

Pokraśniała niedostrzeżenie i ogarnęło ją płomię, którego niezdolne już były przytłumić powiewy *Sierry*, jakgdyby postradały swe chłodzące moce w nagłem topnieniu śniegów. Nie było to następstwem jego szeptu, aczkolwiek w głosie jego było tyle żaru, iż roztajałoby nawet serce z lodu. Antonja odwróciła się nagle, jakgdyby chciała szmer jego zaklęć unieść w głąb salonu, pełnego świateł i rozgwaru głosów.

Przypływ rozważań politycznych wezbrał wysoko śród czterech ścian wielkiej sali, jakgdyby wzdęty nad miarę potężnym podmuchem nadziei. Roztacza-

jąca się nakształt wachlarza broda Dona Justego wciąż jeszcze była ośrodkiem głośnych, ożywionych rozmów. Ufność we własne siły rozbrzmiewała ze wszystkich głosów. Nawet nieliczni Europejczycy, zebrani dokoła Charles'a Goulda — jeden Duńczyk, dwu Francuzów oraz rozsądny, gruby Niemiec, co uśmiechał się, nie podnosząc oczu — nawet wszyscy ci przedstawiciele interesów materjalnych, zapuszczających korzenie w Sulaco pod możną opieką kopalni San Tomé, wnieśli do swej czołobitności odrobinę dobrego humoru. Charles Gould, któremu starali się przypodobać, był widomym symbolem stałości, jaką można osiągnąć na grząskim gruncie rewolucji. Jęli znów patrzeć z otuchą na swe różnorodne przedsiębiorstwa. Jeden z Francuzów, drobny, czarny, o skrzących oczach, zaprzepaszczonych w ogromnej gęstwie kudłatej brody, wymachiwał chuderlawemi, śniademi rękami o wątłych przegubach. Pracował w głębi kraju dla pewnego syndykatu kapitalistów europejskich. Jego wymuszone *Monsieur l'Administrateur* przenikliwie rozlegało się co chwila śród nieustającego rozgwaru. Opowiadał o swych odkryciach. Był wniebowzięty. Charles Gould spoglądał na niego uprzejmie.

W pewnych chwilach takich obowiązkowych przyjęć Mrs. Gould miała zwyczaj usuwać się do przeznaczonego wyłącznie dla siebie saloniku, co znajdował się tuż obok wielkiej sali. Powstała właśnie i czekając Antonji, słuchała z wyrazem nieco roztargnionego wdzięku naczelnego inżyniera kolejowego, który pochyliwszy się nad nią, opowiadał zwolna i bez najlżejszego gestu coś, co zapewne miało być zabawnem, gdyż mrugał przytem jowjalnie oczyma. Antonja, za-

nim weszła do salonu, by przyłączyć się do Mrs. Gould, na jedno mgnienie odwróciła przez ramię głowę ku Decoudowi.

— Dlaczegożby ktoś z nas miał sądzić, że jego dążenia nie dadzą się urzeczywistnić? — spytała pośpiesznie.

— Nie wyrzeknę się też moich do ostatka, Antonjo! — odpowiedział przez zaciśnięte zęby, poczem skłonił się nisko i nieco zdaleka.

Inżynier naczelny nie zdążył ukończyć jeszcze swej zabawnej opowieści. Komizm budowania kolei w Ameryce Południowej przemawiał do jego bystrego osądu głupstwa, to też przykłady ciemnych uprzedzeń i ciemnej przebiegłości wybierał bardzo trafnie. Nie opuścił pań, kiedy wychodziły z salonu, stąpając obok Mrs. Gould, która jęła go słuchać z niepodzielną uwagą. Ostatecznie wyszli we trójkę niepostrzeżenie przez oszklone drzwi korytarza. Jedynie rosły duchowny, który kroczył w milczeniu śród wrzawy salonu, zerknął ukradkiem za nimi. Ojciec Corbelàn, którego Decoud zauważył z balkonu, kiedy wchodził do sieni *Casy Gould*, nie przemówił jeszcze do nikogo. Długa, suta sutanna uwydatniała smukłość jego postaci. Idąc, podawał się swą potężną piersią naprzód. Prosta, czarna smuga jego zrośniętych brwi, zadzierzyste kontury kościstej twarzy i biała blizna na sinym, wygolonym policzku (świadcząca o jego apostolskiej gorliwości śród zgrai nienawróconych jeszcze Indjan) sprawiały wrażenie, jakgdyby coś zdrożnego kryło się pod powłoką jego kapłaństwa. Wyglądał niby jakiś kapelan bandytów.

Rozdzielił swe kościste, żylaste ręce, założone dotychczas wtył, by skinąć palcem na Martina.

Po odejściu Antonji Decoud powrócił również do

salonu. Ale nie poszedł w głąb. Zatrzymał się przy portjerze z wyrazem niezupełnie szczerej powagi, z jaką ludzie dorośli zwykli brać udział w zabawach dziecinnych. Spojrzał spokojnie na groźnie podniesiony palec.

— Widziałem, jak wasza wielebność nawoływała do skruchy generała Barriosa — rzekł, nie ruszając się z miejsca.

— Co za niemądre gadanie! — Potężny głos ojca Corbelàna rozległ się tak gromko po całej sali, iż wszyscy odwrócili głowy. — To pijak! *Seniores*, bóstwem waszego generała jest butelka.

Pogardliwe jego słowa wywołały niemiłe milczenie, jakby z grona obecnych pierzchła naraz otucha. Ale nikt go nie skarcił za to odezwanie.

Wiedziano, iż ojciec Corbelàn wrócił z puszczy, by bronić uświęconych praw Kościoła z tą samą fanatyczną nieustraszonością, z jaką głosił słowo Boże śród dzikich, krwiożerczych plemion, próżen pobłażania ludzkiego oraz wszelkich innych względów. Wprost legendarnie brzmiały opowiadania o powodzeniu, jakie osiągał w swej działalności misjonarskiej, zdala od oczu chrześcijańskiego społeczeństwa. Zdołał ochrzcić całe plemiona indyjskie, żyjąc śród nich jak dziki. Opowiadano, iż *Padre* miał zwyczaj uganiać nawpół nagi wraz z swymi Indjanami na koniu, dzierżąc tarczę z bawolej skóry, no, i zapewne długą włócznię. Zaszyty w skóry, miał podobno wałęsać się, hen, na pograniczu śniegów w Kordyljerach, szukając prozelitów. Nie słyszano jednak nigdy, żeby *Padre* Corbelàn o tych przygodach sam opowiadał. Nie czynił natomiast tajemnicy ze swego przeświadczenia, iż politycy z Santa Marta mają twardsze serca i nikczemniejsze dusze, aniżeli poganie, którym głosił Ewangelję. Nie-

rozważna żarliwość, z jaką stawał w obronie doczesnych dóbr Kościoła, szkodziła sprawie ribierzystów. Utrzymywano powszechnie, iż nie chciał przyjąć godności biskupa tytularnego diecezji zachodniej, zanim pokrzywdzony Kościół nie otrzyma zadośćuczynienia. *Géfe* polityczny ze Sulaca (ten sam dygnitarz, którego kapitan Mitschell ocalił później z rąk tłumu) dawał do zrozumienia z naiwnym cynizmem, iż panowie ministrowie zapewne dlatego wysłali przez góry *Padra* do Sulaca w najgorszej porze roku, ażeby zamarzł na śmierć w lodowatych zawiejach *paramów*[1]) górskich. Nie było roku, ażeby kilku zuchwałych mulników — ludzi, nawykłych do takich wypraw — nie ginęło w ten sposób. No, i co pan na to? Ekscelencje nie osiągnęły swego celu — taki twardy z niego człowiek. Tymczasem śród ciemnych tłumów wszczęło się szemranie, iż reformy ribierystowskie zmierzają poprostu do odebrania ludowi ziemi. Część jej mieli otrzymać cudzoziemcy, którzy budowali kolej, zaś resztę mieli zagarnąć *padres*.

Takie były owoce gorliwości wielkiego wikarjusza. Nawet w krótkiem przemówieniu do wojsk na *Plazy* (słyszały je zresztą tylko przednie szeregi) nie zaniedbał wspomnieć o zelżeniu Kościoła, który oczekuje, iż ojczyzna pokutą zmaże swe winy. *Géfe* polityczny wpadł w rozpacz. Ale szwagra Dona Joségo nie śmiał wtrącić do więzienia *Cabildo*. Dostojnik ten, przystępny i ludzki służbista, miał zwyczaj zachodzić o zmierzchu z *Intendencji* do *Casy Gould*, dokąd udawał się sam, odpowiadając z jednako uprzejmą godnością na pozdrowienia możnych i pospólstwa. Tego wieczora

1) *Paramo* — pustkowie.

podszedł prosto do Charles'a Goulda i syknął mu do ucha, że miałby ochotę wywieźć wielkiego wikarjusza ze Sulaca na jakąś odludną wyspę, naprzykład, na którąś z Izabel. — A gdyby tam nie było wody, to tem lepiej — nieprawdaż, Donie Carlosie? — dodał żartobliwie, lecz z poważną miną. Ten nieobliczalny kapłan, co nie chciał zamieszkać w pałacu biskupim i wolał zawieszać swój dziurawy hamak śród brudu i pajęczyn zagarniętego przez władze świeckie klasztoru dominikańskiego, uwziął się, by uzyskać zupełną amnestję dla rozbójnika, Hernandeza! I niedość na tem; wszedł bowiem, jak się zdaje, w porozumienie z tym najzuchwalszym przestępcą, jakiego kiedykolwiek nosiła ta ziemia. Policja ze Sulaca wiedziała oczywiście, co się święci. *Padre* Corbelàn opętał tego lekkomyślnego Włocha, *Capataza de Cargadores*, jedynego do takich zleceń, i wyprawił go z poselstwem. Ojciec Corbelàn kształcił się w Rzymie i mówił po włosku. Dowiedziano się, iż tenże *Capataz* bywał nocą w starym klasztorze dominikańskim. Staruszce, która usługiwała wielkiemu wikarjuszowi, obiło się o uszy nazwisko Hernandeza, zaś ubiegłej soboty widziano *Capataza*, jak cwałem wyjeżdżał z miasta. Nie było go przez dwa dni. Policja mogła jużcić podążyć za tropem Włocha, ale obawiała się *Cargadorów*, ludzi bardzo burzliwych, którzy mogli wywołać rozruchy. W obecnych czasach niełatwo jest rządzić Sulaciem. Jęły napływać tu szumowiny, zwabione pieniędzmi w kieszeniach robotników kolejowych. Przemówienia ojca Corbelàna wywołują śród ludności wrzenie. I urzędnik naczelny jął tłumaczyć Charles'owi Gouldowi, iż odkąd prowincja jest ogołocona z wojska, władze w razie zaburzeń anarchistycznych nie wiedziałyby, co począć.

Poczem, zasępiwszy się, usiadł w fotelu, paląc długie, cienkie cygaro i pochylając się od czasu do czasu, by zamienić kilka słów z Donem Josém, który siedział opodal. Nie wiedział, iż ksiądz również jest obecny, i kiedy głos ojca Corbelàna rozległ się za jego plecami, ruszył ramionami niecierpliwie.

Ojciec Corbelàn stał przez chwilę nieruchomo, ale z tej jego nieruchomości przemawiała jakaś mściwość, która znamionowała całe jego postępowanie. Posępny żar surowych przekonań nadawał szczególniejszego wyrazu tej czarnej postaci. Ale ta srogość złagodniała, gdy *Padre*, utkwiwszy oczy w Decoudzie, podniósł zwolna i jakby z naciskiem swe długie, czarne ramię:

— A pan... pan jest zupełnym poganinem — odezwał się przytłumionym, głębokim głosem.

Postąpił krok naprzód i dotknął wskazującym palcem piersi młodzieńca. Decoud, bardzo spokojny, uczuł, iż poprzez portjerę dotyka ściany tyłem swej głowy. Poczem uśmiechnął się, wysuwając brodę.

— Tak jest — potwierdził z lekko znużoną niedbałością człowieka, który przywykł do podobnych wystąpień. — Ale coś mi się zdaje, że ksiądz jeszcze nie zna bóstwa mojej wiary? Łatwiej to poszło z naszym Barriosem!

Kapłan powściągnął gest zniechęcenia. — Nie wierzy pan w nic — przemówił.

— Nawet w butelkę — dodał Decoud wyzywająco. — Ale nie wierzy w nią także drugi ulubieniec waszej wielebności. Mam na myśli *Capataza de Cargadores*. Nie pije. Znajomość mojej natury przynosi zaszczyt przenikliwości księdza dobrodzieja. Ale dla czego nazywa mnie ksiądz poganinem?

— To prawda, — warknął kapłan, — pan jest stokroć gorszy. Nawet cud nie nawróciłby pana.

— To pewna, że nie wierzę w cuda — rzekł Decoud spokojnie. — Ojciec Corbelàn wzruszył powątpiewająco swemi potężnemi ramionami.

— Ot, taki Francuz — bezbożnik — materjalista — powiedział zwolna, jakgdyby ważąc określenia starannej analizy. — Ani to dziecię własnego, ani cudzego kraju — mówił dalej w zadumie.

— Istotnie, tylko ludzkie — tłumaczył mu Decoud z głową, opartą o ścianę i oczyma, utkwionemi w suficie.

— Ofiara tej niewierzącej epoki — zakończył ojciec Corbelàn głębokim, lecz przytłumionym głosem.

— Ale poniekąd przydatny jako publicysta. — Decoud zmienił postawę i jął mówić z większem ożywieniem. — Ale czy czytała wasza wielebność ostatni numer *Porvenira?* Zapewniam, iż nie różni się niczem od poprzednich. W dziale polityki ogólnej nazywa dalej Montera *gran'bestia* i piętnuje jego brata, *guerillera*, jako szpiega i lokaja. Czyż może być coś dosadniejszego? W dziale kroniki miejscowej zwraca się z wezwaniem do władz prowincjonalnych, aby wcieliły do armji narodowej szajkę rozbójnika Hernandeza, który, jak się zdaje, cieszy się opieką Kościoła — lub przynajmniej wielkiego wikarjusza. Nie jestże to wskazanie właściwe?

Ksiądz skinął i wykręcił się na szerokich obcasach trzewików, opatrzonych wielkiemi, stalowemi sprzączkami. Założywszy znów ręce wtył, jął się przechadzać, stawiając mocno nogi. Kiedy się obracał, poły jego sutanny zawijały się zlekka od nagłości jego ruchów.

Wielka sala opróżniała się zwolna. Gdy *Géfé Politico* powstał, by również odejść, wszyscy, jeszcze obecni, podnieśli się ze swych miejsc na znak uszanowania, a Don José Avellanos zatrzymał swój rozbujany fotel. Ale dobrotliwy dostojnik poprosił gestem, by się nie ruszali, pożegnał skinieniem ręki Charles'a Goulda i wymknął się chyłkiem.

Wśród względnej ciszy salonu skrzeczące *Monsieur l'Administrateur* chuderlawego, włochatego Francuza rozlegało się z przeraźliwą nienaturalnością. Wysłannik syndykatu kapitalistycznego nie opamiętał się jeszcze ze swego entuzjazmu. Dziesięć miljonów dolarów gotówką w perspektywie, *Monsieur l'Administrateur!* Dziesięć miljonów w perspektywie! I będzie kolej — kolej! Nie będą wierzyli moim doniesieniom. *C'est trop beau.* I śród kiwających poważnie głów popadł w stan skrzeczącej ekstazy przed niewzruszonym spokojem Charles'a Goulda.

A ksiądz przechadzał się dalej, zawijając połami swej sutanny przy każdym obrocie. Decoud mruknął do niego ironicznie: — Ci panowie mówią o swych bogach.

Ojciec Corbelàn przystanął na chwilę, spojrzał twardo na publicystę ze Sulaca, ruszył lekko ramionami i podjął znowu swą wędrówkę z zaciekłością niestrudzonego piechura.

Jeden po drugim jęli odłączać się Europejczycy od koła, które utworzyło się wkrąg Charles'a Goulda, aż wkońcu administrator wielkiej kopalni srebra ukazał się w całej okazałości swej szczupłej postaci, pozostawiony przez odpływ swych gości na wielkim spłachciu dywana, co niby barwna ławica kwiatów i arabesek roztaczał się pod czarnem jego obuwiem.

Ojciec Corbelàn zbliżył się do fotelu na biegunach, w którym siedział Don José Avellanos.

— Pójdźmy, bracie — odezwał się łaskawą opryskliwością i odcieniem niecierpliwej ulgi, jakiej zwykło się doznawać pod koniec najzupełniej zbytecznej ceremonji. — *A la casa! A la casa!* Tu już powiedziano wszystko, co można było powiedzieć. Chodźmy teraz myśleć i modlić się o łaskę niebios.

Podniósł swe czarne oczy wgórę. Obok tego wątłego dyplomaty, który był duszą i życiem swego stronnictwa, wydawał się olbrzymem, z ogniem fanatyzmu w źrenicach. Ale głos tegoż stronnictwa a raczej jego trąba, „syn Decouda" z Paryża, co dla oczu Antonji został dziennikarzem, wiedział, że tak nie było, że był on tylko gorliwym kapłanem, opętanym przez jedną ideę, istnym postrachem dla kobiet, przeklinanym przez mężczyzn z ludu. Martin Decoud, dyletant życiowy wyobrażał sobie, iż dozna rozkoszy artystycznej, śledząc malowniczą krańcowość kołowacizny, w jaką rzetelność, a nawet świątobliwość przekonań może wtrącić jednostkę ludzką. To coś jak obłęd. Musi nim być, gdyż dąży do własnego unicestwienia — nieraz powtarzał sobie Decoud. Zdawało się mu, że każde przeświadczenie, skoro tylko wyjdzie ze stanu bierności, przedzierzga się w szaleństwo, którem bogowie karzą ofiary swego gniewu. Rozkoszował się cierpkim urokiem tego przykładu z lubością znawcy, który obrał sobie pewną dziedzinę sztuki. Obaj ci ludzie lgnęli do siebie, jakgdyby czuli w pewnej mierze, iż zarówno niepowściągliwość przekonań, jak rozpętanie sceptycyzmu mogą zaprowadzić człowieka na bezdroża w działalności politycznej.

Don José był powolny dotknięciu wielkiej, kosma-

tej ręki. Decoud podążył za nimi. W obszernej, pustej sali pozostał jeszcze jeden tylko gość, który wyglądał jakby uwędzony na niebiesko w tytoniowym dymie, miał wyłupiaste oczy, krągłe policzki i obwisłe wąsy. Był to handlarz skór z Esmeraldy, który przedostał się lądem do Sulaca, jadąc konno z kilku *peonami* wzdłuż wybrzeża. Był ogromnie przejęty swą podróżą, którą podjął, by zobaczyć się z *Seniorem Administradorem* i prosić go o poparcie swego przedsiębiorstwa wywozu skór. Miał nadzieję znacznie je powiększyć, skoro tylko kraj się uspokoi. A zanosi się na to, że się uspokoi, powtórzył kilka razy, pospolitując jakiemś dziwacznem, niespokojnem skomleniem dźwięczność hiszpańskiego języka, którym paplał śpiesznie, jakgdyby to był jakiś obleśny żargon. Porządny kupiec może teraz robić interesa w tym kraju, a nawet spokojnie myśleć o ich powiększeniu. Czyżby nie? Wyglądał, jakby błagał Charles'a Goulda, by potwierdził jego słowa, by mruknął coś na pociechę lub skinął bodaj głową.

Nie doczekał się niczego. Zaniepokojenie jego wzrastało i łypał od czasu do czasu oczyma, poczem odbiegał niechętnie od przedmiotu rozmowy i poczynał wyskarżać się na niebezpieczeństwa swej podróży. Bezczelny Hernandez, opuściwszy swe zwykłe kryjówki, przekroczył *Campo* podmiejskie i zaczaił się, jak utrzymywano, w wąwozach nadbrzeżnych. Niedalej jak wczoraj ten handlarz skór i jego towarzysze widzieli, jak zaledwie o parę godzin drogi od Sulaca na gościńcu zatrzymało się jakichś podejrzanych trzech ludzi, a ich konie tuliły łby do siebie. Dwu z nich odjechało natychmiast cwałem i przepadli w płytkim jarze, co odchylał się na lewo. — Zatrzymaliśmy się — opowiadał

dalej kupiec z Esmeraldy — a ja starałem się ukryć za krzakami. Żaden z moich *mozów* nie chciał się ruszyć, by dowiedzieć się, co się święci, a ów trzeci jeździec wyglądał, jakby czekał, żebyśmy podjechali bliżej. Było to dziwne. Lecz już nas zobaczył. Ruszyliśmy więc zwolna naprzód, drżąc na całem ciele. Człowiek ten na siwym koniu i z wciśniętym na oczy kapeluszem pozwolił nam przejechać obok siebie, nie pozdrawiając nas ani słowem. Ale wnet potem usłyszeliśmy, iż pędzi za nami cwałem. Obejrzeliśmy się, nie zatrwożył się tem jednak wcale. Przypadł jak wicher i, szturchnąwszy mnie w nogę końcem swego buta, poprosił o cygaro z uśmiechem, od którego krew zastygła w mych żyłach. Pozornie nie miał przy sobie broni, ale gdy sięgnął wtył ręką po zapałki, ujrzałem olbrzymi rewolwer u jego pasa. Struchlałem. Miał okrutne bokobrody, a ponieważ nie powiedział nam, że możemy jęchać dalej, więc nie śmieliśmy ruszyć się z miejsca. Wkońcu, puszczając dym z mego cygara przez nos, odezwał się: — *Senior*, byłoby może lepiej dla was, gdybym pojechał za wami. Ale jesteś już niedaleko od Sulaca. Jedźcież tedy z Bogiem. — No, co pan na to? Ruszyliśmy. Niepodobna było mu się opierać. To mógł być sam Hernandez, chociaż mój służący, który nieraz jeździł do Sulaca morzem, zapewniał, iż poznał go i wie na pewno, że jest to *Capataz Cargadorów* portowych. Później, już wieczorem, widziałem tego samego człowieka na rogu *Plazy*, jak rozmawiał z jakąś *morenitą*, ktora stała u jego strzemion i trzymała rękę na grzywie siwka.

— Zapewniam pana, *Senior* Hirsch — bąknął Charles Gould — iż tym razem nie był pan narażony na żadne niebezpieczeństwo.

— Być może, *senior*, chociaż wciąż truchleję jeszcze. Wygląda na bardzo srogiego człowieka. I co to znaczy, żeby urzędnik Towarzystwa Żeglugi Parowej rozmawiał ze *salteadorami* — bo ci inni jeźdźcy, to byli *salteadores* — na odludnem miejscu i sam zachowywał się jak rozbójnik. Cygaro, to nic, ale ktoby mu zabronił zażądać ode mnie sakiewki?

— Nie, nie, *senior* Hirsch — rzekł Charles Gould, odwracając z niejakiem roztargnieniem oczy od krągłej twarzy z haczykowatym nosem, po której błąkał się jeszcze wyraz dziecinnego niemal wyrzutu. — Jeżeli pan istotnie spotkał *Capataza de Cargadores*, a to nie ulega wątpliwości, to był pan najzupełniej bezpieczny.

— Dziękuję panu. Pan bardzo dobry. Ale to srogi człowiek. Zażądał ode mnie cygara, jakbyśmy się znali oddawna. A gdybym nie miał cygara przy sobie, to co byłoby się stało? Jeszcze mi straszno. Co on ma w tem za interes, iż rozmawia z rozbójnikiem na odludnem miejscu?

Ale Charles Gould, widocznie zajęty jakąś myślą, nie rzekł na to nic, nie uczynił nawet znaku. Nieprzeniknioność tego przedstawiciela koncesji Gouldów miała swe zewnętrzne odcienie. Niemota jest tylko fatalną ułomnością; ale król Sulaca dostatecznie władał słowem, aby otoczyć się tajemniczym urokiem milczącej potęgi. Milczenia jego, poparte siłą wysłowienia, posiadały w swych odcieniach tyle znaczeń, ile ich zawrzeć mogą słowa, oznaczające zgodę, wątpienie, przeczenie — lub bodaj zwykłe spostrzeżenie. Jedne zdawały się mówić wyraźnie: „Zastanów się nad tem!“ inne dawały niedwuznacznie do zrozumienia: „Idź na złamanie karku!“ Proste, ciche: „dobrze“, poparte

twierdzącem skinieniem na zakończenie cierpliwego, półgodzinnego posłuchania, stanowiło równoważnik umowy słownej, której ludzie nawykli ufać bezwzględnie, ile że stała za nią kopalnia San Tomé, co jako środek interesów materjalnych była tak potężna, iż nie zależała od niczyjej dobrej woli na całym obszarze Prowincji Zachodniej — mianowicie od takiej dobrej woli, którejby nie mogła kupić za pieniądze. Ale dla krzywonosego człowieczka z Esmeraldy, który myślał tylko o wywozie skór, milczenie Charles'a Goulda było zwiastunem niepowodzenia. Widocznie nie był to czas, sprzyjający rozwojowi kupieckich interesów. Przemknęło mu przez mózg przekleństwo, obejmujące cały ten kraj wraz z jego mieszkańcami bez względu na to, czy stali po stronie Ribiery czy Montera; i jego niemy gniew jął wzbierać łzami na myśl o niezliczoności wolich skór, co zmarnują się na sennych obszarach *Campa*, gdzie śród zakola widnokręgu sterczą samotne palmy niby okręty na morzu, znacząc się nieruchomością potężnych swych brył, podobnych do wysp, okrytych listowiem, nad pierzchliwością rozfalowanych traw. Tam gniły skóry bez niczyjej korzyści — gniły, porzucone przez ludzi, którzy poszli czynić zadość pilnym koniecznościom rewolucyj politycznych. Praktyczna, kupiecka dusza *seniora* Hirscha wzdrygała się przed temi szaleństwami, gdy pełen czci ale i niepokoju, żegnał się z wielmożnością i majestatem kopalni San Tomé w osobie Charles'a Goulda. Nie mógł powściągnąć rozdzierającego bełkotu, co wydarł się z jego boleściwego serca:

— To wszystko jest bardzo, bardzo niemądre. Ceny skór w Hamburgu idą ciągle wgórę. Oczywiście rząd

Ribiery będzie chciał z tego korzystać — gdy się ustali. Tymczasem...

Westchnął.

— Tak, tymczasem — powtórzył Charles Gould zagadkowo.

Kupiec ruszył ramionami. Ale odejść jeszcze nie zamierzał. Prosił, ażeby mu było wolno wspomnieć o pewnej, drobnej sprawie. Miał dobrych przyjaciół w Hamburgu (tu wymienił ich firmę), którzyby bardzo chętnie podjęli się dostawy dynamitu. Kontrakt na dostawę dynamitu dla kopalni San Tomé, a potem może dla innych kopalń, które na pewno... Człowieczyna z Esmeraldy chciał rozwodzić się dalej, ale Charles mu przerwał. Cierpliwość *seniora-Administradora* jęła się wyczerpywać.

— *Senior* Hirsch — odezwał się — mam taki zapas dynamitu w górach, że mógłbym w pył obrócić dolinę — głos jego zabrzmiał nieco mocniej — że mógłbym wysadzić w powietrze pół Sulaca, gdyby mi się podobało.

Charles Gould parsknął uśmiechem i spojrzał znacząco na handlarza skór, który zabełkotał śpiesznie: — To co innego. To co innego. — Odszedł wreszcie. Niepodobna było handlować materjałami wybuchowemi z tym *Administrador*em, który był tak dobrze w nie zaopatrzony, a przytem tak zniechęcał. Nadaremnie znosił męki piekielne na siodle i narażał się na okrucieństwa bandyty Hernandeza. Nie udało się ani ze skórami, ani z dynamitem — i ramiona przedsiębiorczego żydowina drgnęły od przygnębienia. W drzwiach pokłonił się nisko inżynierowi naczelnemu. Ale u podnóża schodów, na *patio*, przystanął

i położył brudną rękę na ustach z wyrazem zamyślonego zdziwienia.

— Poco on nagromadził tyle dynamitu? — mruknął do siebie. — I dlaczego mi o tem powiedział?

Inżynier naczelny, zajrzawszy przez drzwi do pustej sali, skąd przypływ polityczny wyciekł już aż do ostatniej, marnej kropli, powitał poufałem skinieniem głowy pana domu, który na podobieństwo tyki sterczał śród opustoszałego zbiorowiska sprzętów.

— Dobranoc. Odjeżdżam. Manatki już mam na dole. Kolej chciałaby wiedzieć, dokąd zwrócić się po dynamit, gdyby nam go zabrakło. Dotychczas rąbaliśmy i kopaliśmy. Teraz zaczniemy rozsadzać skały, by utorować sobie drogę.

— Nie do mnie — odparł Charles Gould z najzupełniejszym spokojem. Nie mogę odstąpić ani szczypty — ani szczypty. Nie odstąpiłbym nawet własnemu bratu, gdybym miał brata i gdyby on był inżynierem naczelnym kolei, rokującej najświetniejsze nadzieje na całym świecie.

— Co to? — zapytał inżynier naczelny pogodnie. — Niełaska?

— Nie! — odparł Charles Gould nieoględnie. — Przezorność..

— Radykalna, mojem zdaniem — zauważył inżynier naczelny, stojąc we drzwiach.

— Czy to słuszne określenie? — rzekł Charles Gould ze środka salonu.

— Chciałem powiedzieć, sięgające do rdzenia — tłumaczył mu inżynier żartobliwie.

— No, tak — przemówił Charles zwolna. — Koncesja Gouldów sięgnęła ze swej gardzieli górskiej tak do rdzenia tego kraju i tej prowincji, iż chcąc ją wy-

korzenić, trzeba użyć dynamitu. Tak postanowiłem. To moja ostatnia karta.

Inżynier naczelny gwizdnął zcicha. — Ładna gra! — rzekł z odcieniem dyskrecji. — A czy powiedział pan Holroydowi o tym osobliwym atucie, który ma pan w ręku?

— To karta, której użyć można tylko pod koniec gry. Tymczasem może pan ją nazywać...

— Bronią — poddał mu kolejowiec.

— Nie właściwiej możnaby ją nazwać argumentem — sprostował uprzejmie Charles Gould. — I w ten sposób przedstawiłem tę sprawę Mr. Holroydowi.

— A cóż on na to powiedział? — zapytał inżynier z nieukrywanem zaciekawieniem.

— On — rzekł Charles Gould po chwili namysłu — mówił coś tam o wytrwaniu do samej śmierci i o ufności w Bogu. Zdaje mi się, iż poprostu się przeraził. Ale — mówił dalej *Administrador* kopalni San Tomé — jest on, jak pan wie, bardzo daleko, a Bóg — jak powiadają w tym kraju — bardzo wysoko.

Potakujący śmiech inżyniera zamarł na schodach, gdzie w płytkiej wnęce stała Madonna z Dzieciątkiem i zdawała się spoglądać na jego barczystą, rozkołysaną postać.

ROZDZIAŁ VI.

Głębokie milczenie panowało w *Casie Gould*. Pan domu, minąwszy korytarz, otworzył drzwi od swego pokoju i ujrzał swą żonę, zagłębioną w wielkim fotelu, w którym siadywał zazwyczaj, paląc cygaro. Spoglądała w zamyśleniu na swe małe buciki. Kiedy wszedł, nie podniosła nawet oczu.

— Zmęczonaś? — spytał Charles Gould.

— Trochę — odparła Mrs. Gould i wciąż jeszcze nie patrząc na niego, dodała ze smutkiem: — Ma jakieś straszliwe znaczenie nierzeczywistość tego wszystkiego.

Charles Gould, stojąc przed długim stołem, zawalonym papierami, na których leżała szpicruta myśliwska i para ostróg, spojrzał na żonę. — Skwar i duszność musiały być przykre od strony morza dzisiejszego popołudnia — przemówił ze współczuciem. — Migotanie wody musiało być poprostu nieznośne.

— Można zamknąć oczy na migotanie wody — rzekła Mrs. Gould. — Ale moj drogi Charley, niepodobna ich zamknąć na nasze położenie, na ten okropny...

Podniosła oczy i spojrzała na twarz swego męża, z której znikł wyraz współczucia oraz wszelkich innych

uczuć. — Czemu nie powiesz mi wszystkiego? — zakwiliła niemal.

— Zdawało się mi, iż pojęłaś mnie dokładnie od samego początku — odezwał się Charles Gould zwolna. — Myślałem, iż powiedzieliśmy sobie już oddawna wszystko, co powiedzieć należało. Teraz nie mam nic do powiedzenia. Były różne rzeczy do zrobienia. Zrobiliśmy je, lub zabraliśmy się do pracy nad niemi. Cofnąć się teraz niepodobna. I zdaje się mi, że od samego początku o cofnięciu się nie mogło być mowy. Co więcej, nie możemy nawet zatrzymać się na miejscu.

— Ach, gdybyż przynajmniej wiedzieć było można, jak daleko pójść zamierzasz! — rzekła jego żona, niemal żartobliwie, acz zadrżała w duszy.

— Do samego ostatka — brzmiała odpowiedź w tonie tak rzeczowym, iż Mrs. Gould znów powściągnęła drżenie.

Powstała, uśmiechnęła się z wdziękiem, a jej drobna postać wydała się jeszcze mniejszą od szczodrej bujności jej włosów i powłóczystości jej długiej sukni.

— Ale, pomyślnego — rzekła przekonywająco.

Charles Gould objął ją stalowobłękitnem spojrzeniem swych bacznych oczu i odparł bez wahania:

— Oh, niema dwu zdań.

Głos jego zabrzmiał ogromem pewności. Nic więcej natomiast nie zawarł w słowach, niżeli mu sumienie pozwoliło powiedzieć.

Uśmiech Mrs. Gould zbyt długim zamglił się cieniem na jej ustach. Odezwała się cicho:

— Opuszczę ciebie. Boli mnie trochę głowa. Pył i skwar były istotnie... Czy jeszcze przed świtem masz zamiar pojechać do kopalni?

— Po północy. Przywieziemy jutro srebro. Potem pozostanę z tobą w mieście przez całe trzy dni.

— Ach, więc jedziesz na spotkanie eskorty? Będę o piątej rano na balkonie, by zobaczyć, jak będziecie przejeżdżali. Tymczasem do widzenia!

Charles Gould przeszedł nagle na drugą stronę stołu, ujął jej ręce i, pochyliwszy się nad niemi, przycisnął obie do swych ust. Wyzwoliła z dłoni jego jedną, zanim zdążył znów się wyprostować, i musnęła twarz jego lekkiem dotknięciem, jakgdyby był małym chłopcem.

— Połóż się na kilka godzin — szepnęła, spoglądając na hamak, rozpięty w kącie pokoju. Długa jej suknia zaszeleściła miękko po czerwonych płytkach posadzki. Obejrzała się u drzwi.

Dwie wielkie lampy o kloszach z niepolerowanego szkła zatapiały przestwór pokoju łagodnem i obfitem światłem. Widniała oszklona szafa z bronią, mosiężna rękojeść kawaleryjskiej szabli Henryka Goulda, zawieszonej na skrawku welwetu, i akwaforta, przedstawiająca wąwóz San Tomé. Mrs. Gould, spoglądając na nią westchnęła:

— Ach, gdybyśmy byli nie tykali go wcale, Charley!

— Nie — odparł Charles Gould chmurnie. — Niepodobieństwem było go nie tykać.

— Być może, iż było to niepodobieństwem — przyznała Mrs. Gould po namyśle. Jej usta drgnęły zlekka, lecz uśmiechnęła się z wyrazem wymuszonej zucho watości. — Dokuczyliśmy niejednemu wężowi w tym raju; prawda, Charley?

— Ach, tak, pamiętam — rzekł Charles Gould — to *Don* Pépé nazwał ten wąwóz rajem wężów. Zapewne, że dokuczyliśmy niejednemu z nich. Pomyśl

jednakże, kochanie, iż nie jest on już tem, czem był, gdy malowałaś swój szkic. — Skinął ręką ku akwareli, co w czarnych ramach wisiała samotnie na wielkiej, pustej ścianie. — Przestał być rajem wężów. Wnieśliśmy do niego człowieczeństwo, więc nie można go porzucać i zaczynać nowego życia gdzie indziej.

Wpił w żonę mocne, skupione spojrzenie, na które Mrs. Gould odpowiedziała z odpowiednim gestem nieustraszonego męstwa, zanim wyszła z pokoju i zamknęła cicho drzwi za sobą.

W odróżnieniu od roziskrzonej bieli pokoju, przyćmiony korytarz posiadał zaciszną tajemniczość leśnej lewady, a wrażenie to potęgowały jeszcze łodygi oraz ulistwienie roślin, ustawionych rzędem wzdłuż poręczy od strony *patia.* W smugach światła, padającego przez otwarte drzwi salonu, białe, czerwone i blado liljowe kwiecie jarzyło się świetnością kwiatów,. pałających w pełni słonecznego blasku; zaś przechodząca obok nich Mrs. Gould zaznaczała się z wyrazistością postaci widzianej w jasnych plamach słońca, sączącego się przez zamierzchy lewad leśnych. Kamienie w pierścionkach, zdobiących jej rękę, przyciśniętą do czoła, migotały w poświetli, napływającej przez podwoje sali.

— Kto tam? — spytała wzburzonym głosem. — Czy to ty, Basilio? — Przyjrzała się dokładniej i zobaczyła Martina Decouda, który chodził między krzesłami i stołami, jakgdyby czegoś szukał.

— Antonja zapomniała tu wachlarza, — odezwał sit Decoud z jakiemś dziwnem roztargnieniem — wstąpiłem więc, by go poszukuć.

Jednakże mówiąc to, zaprzestał równocześnie swych poszukiwań i jął iść ku Mrs. Gould, która patrzyła na niego z wyrazem zdumionej niepewności.

— *Seniora* — zaczął przyciszonym głosem.

— Co się stało, *Donie* Martinie — spytała Mrs. Gould. Poczem dodała, śmiejąc się zlekka: — Jestem dziś bardzo rozstrojona — jakby chciała usprawiedliwić szorstkość pytania.

— Nic, coby groziło bezpośrednio — odrzekł Decoud, nie mogąc już ukryć swego wzburzenia. — Proszę się nie niepokoić. Naprawdę, niech pani się nie niepokoi.

Mrs. Gould, rozwarłszy szeroko swe słodkie oczy i złożywszy do uśmiechu usta, zapanowała nad sobą i oparła o odźwierek swą drobną, ozdobioną nielicznemi klejnotami, rękę.

— Może pan nie wie, jak niepokojące jest to nieoczekiwane ukazanie się pańskie...

— Czyżby niepokojące? — zaperzył się, szczerze zdziwiony i urażony. — Zapewniam panią, iż bynajmniej nie czuję się zaniepokojonym. Przepadł gdzieś wachlarz; no i chciałbym go odszukać. Ale nie zdaje się mi, żeby tu był. Poprostu szukam wachlarza. Nie pojmuję, jak Antonja mogła... Mniejsza o to! Czy znalazłeś go, *amigo?*

— Nie, *senior* — odezwał się za plecami Mrs. Gould łagodny głos Basilia, starszego służącego *Casy*. — Nie zdaje się mi, żeby *seniorita* zapomniała go w tym domu.

— Idź i poszukaj go jeszcze na *patio*. Idź, mój kochany! Szukaj na schodach, pod bramą i obejrzyj każdy kamień. Szukaj, aż zejdę nadół... Nie ma obuwia na nogach — odezwał się po angielsku do Mrs. Gould — i niewiadomo kiedy jawi się za plecami. Kazałem mu szukać tego wachlarza, skoro tylko przyszedłem, by usprawiedliwić mój powrót, moje ponowne przybycie.

Zamilkł, a Mrs. Gould rzekła uprzejmie: — Jest pan zawsze mile widziany. — Umilkła również na jedno mgnienie. — Chciałabym jednakże dowiedzieć się, co pana sprowadziło zpowrotem?

Decoud przybrał nagle ton krańcowej niedbałości.

— Nie lubię, żeby mnie szpiegowano. Ale pani pyta o przyczynę? No, tak, jest przyczyna! Przepadło jeszcze coś innego prócz ulubionego wachlarza Antonji. Odprowadziłem *Dona* Joségo i Antonję i wracałem już do domu, gdy przemówił do mnie *Capataz de Cargadores*, który jechał konno ulicą.

— Czy stało się co u Violów? — zapytała Mrs. Gould.

— U Violów? Pani zapewne ma na myśli starego hotelarza, *garibaldina*, u którego mieszkają inżynierowie? Nie, nic tam się nie stało. Przynajmniej *Capataz* nic nie mówił o nich. Powiedział mi tylko, iż urzędnik Towarzystwa Kablu Podmorskiego chodzi bez kapelusza po *Plazy* i mnie szuka. Nadeszły wiadomości z głębi kraju, Mrs. Gould. Powinienem był powiedzieć raczej pogłoski, niż wiadomości.

— Czy dobre nowiny? — rzekła Mrs. Gould przyciszonym głosem.

— Mojem zdaniem, takie sobie. Ale gdybym musiał je określić, to nazwałbym je złemi. Streszczają się one w słowach, że wpobliżu Santa Marta stoczono dwudniowa bitwę i że ribierzyści zostali pobici. Stało się to zapewne przed kilku dniami — może przed tygodniem. Pogłoski dotarły już do Cayty i urzędnik tamtejszej stacji kablowej zawiadomił telegraficznie o nich swego tutejszego kolegę. Można już było zatrzymać Barriosa w Sulaco.

— Cóż teraz począć? — szepnęła Mrs. Gould.

— Nic. Jest teraz z wojskiem na morzu. Za kilka dni będzie w Caycie i dowie się o wszystkiem. Czyż to można powiedzieć, co wówczas pocznie? Czy będzie trzymał Caytę? Czy podda się Monterowi? Czy wreszcie rozpuści swą armję? To ostatnie jest najprawdopodobniejsze. Sam zaś wsiądzie na jeden ze statków T. O. Ż. P. i popłynie na północ lub na południe — do San Francisco lub Valparaiso, wszystko jedno, dokąd. Nasz Barrios ma wiele doświadczenia w wygnaniach i powrotach do ojczyzny, które są niby punktami zwrotnemi w grze politycznej.

Decoud, nie spuszczając oczu z Mrs. Gould, dodał, jakgdyby chcąc ją wystawić na próbę:

— A jednak, gdybyśmy mieli tu Barriosa z dwoma tysiącami ulepszonych karabinów, to możnaby coś począć.

— Montero zwyciężył, zupełnie zwyciężył! — szepnęła Mrs. Gould z niedowierzaniem.

— Może to kaczka. Lęgną się one obficie w takich czasach, jak dzisiejsze. Ale nawet gdyby to było prawdą? No, przypuśćmy najgorsze, przyjmijmy, że jest to prawdą.

— To wszystko stracone — odezwała się Mrs. Gould ze spokojem rozpaczy.

Wtem, jakby nagły domysł błysnął w jej mózgu i wydało się jej, że pod wymuszoną niedbałością Decouda dostrzega straszliwe podniecenie. Jakoż istotnie zaznaczało się ono w śmiałem i czujnem spojrzeniu jego oczu, w napoły beztroskiem, a napoły pogardliwem skrzywieniu jego ust. I zwrot francuski rozległ się z nich, jakby dla tego bulwarowego *Costaguanera* był to jedynie dobitny język:

— *Non, Madame. Rien n'est perdu.*

Niby wstrząs elektryczny obudziły Mrs. Gould te słowa z odrętwienia i spytała żywo:

— Cóż pan zamierza uczynić?

Ale w powściąganem podnieceniu Decouda drgnął już lekki odruch szyderstwa.

— A czegóż mogłaby się pani spodziewać po rdzennym *Costaguanerze?* Oczywiście, nowej rewolucji. Daję pani słowo honoru, Mrs. Gould, iż uważam siebie za rodowitego *hijo del pays*, prawego syna tego kraju, chociaż ojciec Corbelàn ma inne o mnie wyobrażenie. I nie jestem do tego stopnia niewierzącym, abym nie dowierzał swym własnym pomysłom, swym własnym środkom, swym własnym pragnieniom.

— Czyżby? — rzekła Mrs. Gould z powątpiewaniem.

— Zdaje mi się, że nie zdołałem przekonać pani — podjął znów Decoud po francusku. — Powiedzmy zatem: swym namiętnościom.

Mrs. Gould przyjęła ten dodatek bez skarcenia. By go zrozumieć, nie potrzebowała bynajmniej dalszych zapewnień, które wyrzekł półgłosem:

— Niema rzeczy, której nie uczyniłbym dla Antonji. Gotów jestem podjąć się wszystkiego. Gotów jestem narazić się na wszystko.

Decoud zdawał się czerpać świeże zuchwalstwo z tego odzewu swoich myśli. — Nie wierzyłaby mi pani, gdybym powiedział, że to z miłości ojczyzny...

Zaprzeczyła zniechęconym gestem ramienia, jakby chciała powiedzieć, iż podobnej pobudki nie spodziewa się po nikim.

— Sulaco winno wszcząć rewolucję — mówił dalej Decoud wytężonym półgłosem. — Wielkiej sprawie można służyć tu, gdzie się zaczęła, gdzie jest jej miejsce urodzenia.

Zagryzając w zamyśleniu dolną wargę, odstąpiła na krok od drzwi.

— Czyżby pani zamierzała pomówić z mężem? — zatrzymał ją Decoud strwożony.

— Czyż pan nie będzie potrzebował jego pomocy?

— Niewątpliwie — przyznał Decoud bez wahania. — Wszystko zależy od kopalni San Tomé, ale wolałbym, aby narazie nic nie wiedział o moich... moich nadziejach.

Wyraz zakłopotania pojawił się na twarzy Mrs. Gould. Decoud podszedł ku niej i rzekł, jakby się zwierzał:

— Bo widzi pani, on jest idealistą.

Mrs. Gould pokraśniała zlekka, a oczy jej pociemniały.

— Charley idealistą! — odezwała się, jakby do siebie samej, ze zdziwieniem. — Co pan chce przez to powiedzieć?

— Tak jest — upierał się Decoud. — Brzmi to dziwnie, gdy ma się przed oczyma kopalnię San Tomé, największe bodaj dzieło w całej Południowej Ameryce. Lecz niechaj pani spojrzy na nie, a zobaczy pani, że wyidealizował je do tego stopnia... — Zatrzymał się. — Czy pani chce wiedzieć, do jakiego stopnia wyidealizował on byt, wartość i znaczenie kopalni San Tomé? Czy widzi to pani?

Widocznie wiedział, o czem mówi. Wywołał wrażenie, o które mu chodziło. Płomię, co wrzało w duszy Mrs. Gould, przygasło nagle w nikłym, głuchym okrzyku, podobnym do załkania.

— Cóż pan powie? — spytała słabym głosem.

— Nic! — odparł Decoud stanowczo. — Ale czyż pani nie zdaje sobie sprawy, że jest Anglikiem?

— Cóż stąd? — zagadnęła Mrs. Gould.

— Poprostu nie może żyć, ni działać, nie idealizując każdego najzwyczajniejszego uczucia, pragnienia lub czynu. Niezdolny jest wierzyć w swe pobudki, zanim nie przedzierzgnie ich w okruch jakiejś czarodziejskiej baśni. Coś mi się zdaje, iż ziemia mu nie wystarcza. Czy pani nie ma mi za złe mej otwartości? Zresztą, bez względu na to, czy pani mi wybacza lub nie, jest to cząstka tej rzeczowej prawdy, która razi — jakby to powiedzieć? — wrażliwość anglosaską, zaś w obecniej chwili nie wiem, czy byłbym zdolny liczyć się poważnie czyto z jego sposobem pojmowania rzeczy, czy chociażby nawet — niechaj mi będzie wolno powiedzieć — ze sposobem pojmowania ich przez panią.

Mrs. Gould nie okazała niczem, jakoby czuła się obrażoną.

— Sądzę, iż Antonja rozumie pana w zupełności?

— Rozumie? Zapewne. Ale nie jestem pewien, czy pochwala. Zresztę na jedno to wychodzi. Jestem dość uczciwy, by wypowiedzić to pani, Mrs. Gould.

— Pan dąży do oderwania? — zagadnęła.

— Naturalnie — oświadczył Martin. — Do oderwania całej Prowincji Zachodniej od reszty niespokojnego państwa. Ale istotnem mem dążeniem, o które jedynie mi chodzi, jest uniknąć rozłąki z Antonją.

— I to wszystko? — spytała Mrs. Gould, nie okazując surowości.

— Bezwarunkowo. Nie zwykłem mydlić sobie oczu co do swych pobudek. Nie chce opuścić Sulaca dla mnie, przeto Sulaco musi opuścić resztę Rzeczypospolitej i stać się samodzielnem. Jest to jasne jak słońce. Lubię jasno określone sytuacje. Nie mogę wyjechać w towarzystwie Antonji, przeto jedna i niepodzielna

Rzeczpospolita Costaguana musi postradać swą prowincję zachodnią. Na szczęście, pozostaje to w zgodzie także ze zdrowym rozsądkiem. Najbogatszą, najżyzniejszą połać tego kraju będzie można ocalić od anarchji. Osobiście bardzo mało mnie to obchodzi; ale to pewna, iż kiedy Montero dojdzie do władzy, śmierć moja jest nieunikniona. We wszystkich proklamacjach, zapowiadających powszechną amnestję, moje nazwisko wraz z wielu innemi jest wyraźnie wyłączone. Wie pani bardzo dobrze, iż obaj bracia mnie nienawidzą. I oto szerzy się pogłoska, że wygrali bitwę. Powie pani zapewne, iż jeśli te wieści się sprawdzą, to będę miał jeszcze dość czasu, by ratować się ucieczką.

Przerwała mu na chwilę lekkim odruchem protestu. Spojrzał na nią z posępną stanowczością.

— Ach, umknąłbym, Mrs. Gould, uciekłbym, gdyby to mogło wyjść na dobre temu, co jest obecnie jedynem mem pragnieniem. Mam dość odwagi, by to powiedzieć, a nawet, by to zrobić. Ale kobiety, nawet nasze kobiety, bywają idealistkami. To Antonja nie chce uciekać. Nowy rodzaj próżności.

— I pan nazywa to próżnością! — rzekła Mrs. Gould z urazą w głosie.

— Niech więc będzie dumą, o której ojciec Corbelàn powiedziałby pani, że jest śmiertelnym grzechem! Ale ja nie jestem dumny. Jestem poprostu za bardzo zakochany, żeby uciec. A przytem chcę żyć. Po śmierci już się nie kocha. Dlatego jest rzeczą konieczną, żeby Sulaco nie uznało władzy zwycięskiego Montera.

— I pan sądzi, że mój mąż udzieli panu poparcia?

— Sądzę, iż może być w tę sprawę wciągnięty, jak to bywa ze wszystkimi idealistami, gdy znajdą

podstawę uczciwą dla swej działalności. Ale nie chciałbym z nim mówić. Same tylko fakta nie przemówiłyby do jego uczucia. Będzie zatem dla niego lepiej, gdy dojdzie do tego przekonania swą własną drogą. Wyznaję szczerze, iż może nie byłbym obecnie zdolny do należytego uszanowania jego pobudek, a może nawet pobudek pani.

Było widocznem, iż Mrs. Gould postanowiła nie obrażać się wcale. Uśmiechnęła się niejasno, jakby zastanawiała się nad tem, co zaszło. O ile mogła sądzić z dziewczęcych półzwierzeń, Antonja zdawała sobie sprawę z tego młodzieńca. Niepodobna było zaprzeczyć, iż w jego planie, a raczej jego pomyśle istniała zapowiedź bezpieczeństwa. Było również rzeczą najzupełniej możliwą, iż owa pogłoska była nieprawdziwa.

— Czy ma pan już plan? — zagadnęła.

— Niezmiernie prosty. Barrios wyruszył, niechże więc jedzie; będzie bronił Cayty, która jest drzwiami szlaku morskiego do Sulaca. Przez góry nie będą mogli wysłać sił dostatecznych. Nie; nawet gdyby chodziło tylko o poskromienie szajki Hernandeza. Tymczasem zorganizujemy tu odpór. Przyda się nam do niego tenże Hernandez. Jako bandyta nieraz gromił wojsko; dokona zapewne tego samego, gdy go się mianuje pułkownikiem lub nawet generałem. Zna pani ten kraj już dość dobrze, by nie raziły pani moje słowa. Słyszałem, jak utrzymywała pani, iż ten biedny bandyta jest widomym przykładem okrucieństwa, niesprawiedliwości, ucisku i głupoty, co niszczy w tym kraju mienie i dusze ludzkie. Będzie to więc jakby poetyczny odwet, gdy temu człowiekowi da się możność zmiażdżenia zła, co popchnęło do zbrodni uczciwego *ranchera*. Subtelna idea odwetu nieprawdaż?

Decoud przerzucił się z łatwością do angielszczyzny, którą mówił biegle i bardzo poprawnie, nadużywając jednakowoż dźwięku *z*.

— Proszę nie zapominać również o swym szpitalu, o swej szkole, o boleściwych matkach i cierpiących starcach — słowem o całej tej ludności, którą sprowadziliście państwo do skalistego wertepu, San Tomé. Czyż nie jest pani odpowiedzialna przed swem sumieniem za tych ludzi? Czyż nie lepiej zdobyć się na ponowny wysiłek, który bynajmniej nie jest tak rozpaczliwy, jak się wydaje, niż...

Decoud dokończył swej myśli poderwaniem ramienia wgórę, co miało oznaczać unicestwienie. Mrs. Gould odwróciła głowę ze zgrozą.

— Czemuż pan nie chce powiedzieć tego wszystkiego mojemu mężowi? — spytała, nie patrząc na Decouda, który śledził, jakie wrażenie wywołają jego słowa.

— Ależ Don Carlos jest tak bardzo Anglikiem... — zaczął, lecz przerwała mu Mrs. Gould:

— Proszę pozostawić go w spokoju, *Donie* Martinie! Jest tak samo *Costaguanerem*... Nie! Jest więcej *Costaguanerem* od pana.

— Sentymentalny, sentymentalny! — gruchał niemal Decoud tonem uprzejmej i słodkiej wyrozumiałości. — Zdumiewająco sentymentalny, jak cały wasz naród. Przyglądam się królowi Sulaca, odkąd przybyłem tu z tą niedorzeczną posyłką, wiedziony zapewne podstępną ręką losu, co czai się pod nieobliczalnemi kolejami życia ludzkiego, Ale nie dbam o to, nie jestem sentymentalny. Nie umiem przystrajać swych osobistych pragnień w złotogłowie i klejnoty. Życie nie jest dla mnie powiastką moralną, co snuje

się z tradycji pięknych, czarodziejskich bajek. Nie, Mrs. Gould! Jestem człowiekiem praktycznym. Nie lękam się swych pobudek. Ale proszę mi wybaczyć; dałem się unieść za daleko. Chciałem jedynie powiedzieć, że obserwowałem. Może jednak lepiej nie mówić, co odkryłem...

— Nie, to niepotrzebne — szepnęła Mrs. Gould, odwracając ponownie głowę.

— Niechże tak będzie! Wspomnę tylko o tym drobnym szczególe, że mąż pani mnie nie lubi. Jest to drobiazg, który w obecnych okolicznościach nabiera wprost śmiesznego znaczenia. Śmiesznego i ogromnego, gdyż mój plan wymaga pieniędzy — rozumował. Poczem dodał znacząco: — A tu trzeba będzie mieć do czynienia aż z dwoma ludźmi sentymentalnymi.

— Zdaje mi się, iż nie rozumiem pana, *Donie* Martinie — rzekła Mrs. Gould oschle, nie zmieniając przyciszonego tonu rozmowy. — Ale gdybym rozumiała, to kimże byłby ów drugi?

— Oczywiście, wielki Holroyd ze San Francisco — szepnął Decoud swobodnie. — Sądzę, iż rozumie mnie pani doskonale. Kobiety są idealistkami, ale przytem są bardzo przenikliwe.

Mrs. Gould zdawała się nie zwracać uwagi na to spostrzeżenie, ubliżające i razem pochlebne. Nazwisko Holroyda było nowem zarzewiem jej zaniepokojenia.

— Jutro rano będą wieźli srebro do portu, plon półrocznej pracy! — zawołała z trwogą.

— To dobrze; niech je przywiozą! — szepnął jej Decoud niemal do ucha.

— Ale jeżeli o tej pogłosce dowie się ludność, a zwłaszcza, jeśli okaże się ona prawdziwą, to mogą wybuchnąć rozruchy w mieście — zauważyła Mrs. Gould.

Decoud przyznał, że jest to możliwe. Znał dobrze pospólstwo ze Sulaca; było złośliwe, złodziejskie, mściwe i krwiożercze, mimo wielkich zalet, jakie okazywali jego krewniacy z równiny. Ale chodziło o owego drugiego człowieka sentymentalnego, który faktom rzeczywistym nadawał dziwnie idealne znaczenie. Ten strumień srebra musiał popłynąć na północ, jeśli miał powrócić potem pod postacią finansowego poparcia z wielkiej firmy Holroyda. W potężnych skarbcach kopalni te sztaby srebrne mniejszą posiadały wartość dla jego zamierzeń od zwykłego ołowiu, z którego było można przynajmniej lać kule. Niechże je przywiozą i przygotują do ładowania.

Zabierze je najbliższy statek, płynący na północ, i będzie ono zbawieniem kopalni San Tomé, co wydała tyle skarbów. Przytem pogłoska ta jest zapewne nieprawdziwa — dorzucił przekonywająco porywczym głosem.

— Zresztą, *seniora* — mówił dalej Decoud — można się postarać, żeby nieprędko doszła do wiadomości publicznej. Mówiłem z urzędnikiem telegraficznym na samym środku *Plazy Mayor;* jestem więc pewien, że nikt nie mógł nas podsłuchać. Nie było wpobliżu nas nikogo, nawet ptaka w powietrzu. Niechaj ponadto będzie mi wolno powiedzieć jeszcze coś więcej. Zaprzyjaźniłem się z owym *Capatazem*, co to go nazywają Nostromem. Mówiłem z nim tegoż samego wieczora, idąc pieszo obok jego konia. Wyjeżdżał właśnie z miasta. Przyrzekł mi, że gdyby wybuchły rozruchy z jakiegokolwiek bądź powodu — chociażby z powodów wyłącznie politycznych — jego *Cargadorzy*, którzy, jak pani wiadomo, stanowią znaczną część ludności, staną po stronie Europejczyków.

— Obiecał to panu? — zagadnęła Mrs. Gould z zajęciem. — Cóż go skłoniło, iż dał panu tę obietnicę?

— Doprawdy, nie wiem, — oświadczył Decoud nieco zdziwionym tonem. — Wiem, że przyrzekł mi, ale nie umiem odpowiedzieć, dla jakich uczynił to powodów. Mówił ze zwykłą niedbałością, którą, gdyby był czemś innem niż podrzędnym marynarzem, nazwałbym pozą lub udaniem.

Decoud przerwał i spojrzał z ciekawością na Mrs. Gould.

— Naogół przypuszczam — mówił dalej — iż oczekuje stąd jakiejś dla siebie korzyści. Nie można zapominać, iż nadzwyczajna władza, jaką posiada nad pospólstwem, połączona jest z niejednem niebezpieczeństwem i wielką hojnością w wydawaniu pieniędzy. Za tak cenną rzecz, jak potęga indywidualności, trzeba zapłacić w ten lub ów sposób. Zaprzyjaźniliśmy się podczas zabawy tanecznej, w pewnej *Posadzie* [1]) zamiejskiej, której gospodarzem jest jakiś Meksykanin. Powiedział mi iż przyjechał tutaj, by dorobić się majątku. Widocznie uważa swe wpływy za źródło dochodu.

— A może też ceni je dla nich samych — rzekła Mrs. Gould takim tonem, jakgdyby chciała odeprzeć niezasłużone oszczerstwo. — *Garibaldino*, Viola, który zna go zbliska od kilku lat, nazywa go nieprzekupnym.

— Ach, więc należy on do tych, których pani proteguje w przystani? *Muy bien.* Kapitan Mitschell nazywa go przedziwnym. Nasłuchałem się już nieskończonych opowiadań o jego sile, odwadze i wierności. Całe mnóstwo pięknych rzeczy! Hm, nieprze-

---

[1]) Gospoda.

kupny! To istotnie chlubne miano dla *Capatazo Cargadorów* sulackich. Nieprzekupny! Piękne to, ale nieścisłe. Mimo to przypuszczam, iż jest również sprytny. Przemawiałem do niego, wychodząc z tego zdrowego i praktycznego założenia.

— Ja zaś wolę wyobrażać sobie, że jest bezinteresowny, i że właśnie dlatego zasługuje na zaufanie — rzekła Mrs. Gould ze zwięzłością, z jaką miała zwyczaj formułować swe przypuszczenia.

— No, jeżeli tak, to srebro jest tem pewniejsze. Niechaj je państwo sprowadzą, *senioro!* Trzeba je sprowadzić i wysłać na północ, żeby powróciło pod postacią kredytu.

Mrs. Gould rzuciła okiem w głąb korytarza, ku drzwiom pokoju swego męża. Decoud, który patrzył na nią, jakgdyby miała los jego w swych ręku, zauważył, iż niemal niedostrzegalnie skinęła głową na znak zgody. Ukłonił się z uśmiechem i, włożywszy rękę do bocznej kieszeni swego żakietu, wyjął wachlarz z jasnych piór, osadzonych na pomalowanych listewkach ze sandałowego drzewa. — Włożyłem go do kieszeni, — mruknął z triumfem — żeby mieć namacalny dowód. — Dobranoc, *senioro.*

Mrs. Gould jęła przechadzać się po korytarzu zdala od pokoju swego męża. Przeznaczenie kopalni San Tomé zwaliło się ciężko na jej serce. Poczęła go się lękać już oddawna. Kiedyś było ideą. Śledziła z niedowierzaniem, jak zamieniało się w fetysza, a teraz ten fetysz stał się potwornem i miażdżącem brzemieniem. Zdawało się jej, jakgdyby natchnienie jej lat dziewczęcych pierzchło z jej serca i zamieniło się w mur ze srebrnych cegieł, który w milczeniu zbudowały złe duchy między nią a jej mężem. Zamie-

szkał sam w warowni z drogocennego kruszcu, pozostawiając ją samą za tym murem z jej szkołą, z jej szpitalem, z choremi matkami i niedołężnymi starcami, temi nic nie znaczącemi pozostałościami pierwotnego natchnienia. — Biedni ludzie! — szepnęła do siebie.

Z dołu doleciał głos Martina Decouda, który odezwał się głośno na *patio*:

— Basilio, znalazłem wachlarz *Donii* Antonji! Mam go — widzisz?

ROZDZIAŁ VII.

W skład tego, co Decoud nazywał swym zdrowym materjalizmem, wchodziła również niewiara w możliwość przyjaźni między kobietą a mężczyzną.

Jedyny wyjątek, który uznawał, potwierdzał, zdaniem jego, tę bezwzględną regułę. Przyjaźń była możliwa między bratem a siostrą, o ile przez przyjaźń rozumiało się, podobnie jak w stosunku do innych ludzi, swobodną otwartość myśli i odczuwań. Była to nieskrępowana i konieczna szczerość, z jaką najwnętrzniejsze życie jednej istoty ludzkiej dąży do oddziałania na głębokie przywiązanie drugiej, podobnej istoty.

Ulubiona siostra, ładny, nieco samowolny i rezolutny aniołek, co rządził swym ojcem i matką we frontowem mieszkaniu bardzo wytwornej, paryskiej kamienicy, była odbiorczynią zwierzeń Martina Decouda, powiernicą jego myśli, czynów, zachceń, wątpliwości, nawet pośliźnięć...

„Przygotuj nasze kółko paryskie na narodziny nowej Rzeczypospolitej Południowo-amerykańskiej. Jedna mniej, czy jedna więcej — cóż to szkodzi? Wyłaniają się one na świat jak złowrogie kwiaty, pleniące się na podścielisku przegniłych instytucyj. Ale zawiązek tej, o której mówię, począł się w mózgu twego brata,

co powinno jej zapewnić twą życzliwą przychylność. Piszę do ciebie przy jednej świeczce, w nibyto hoteliku, położonym wpobliżu przystani, a będącym własnością pewnego Włocha, niejakiego Violi, protegowanego przez Mrs. Gould. Zbudował go podobno, o ile mi wiadomo, pewien *Conquistador*, który przed trzystu laty zajmował się połowem pereł. W obecnej chwili spowija go głęboka cisza. Cisza zalega także równinę między miastem a przystanią. Jest na niej cicho, ale nie tak ciemno jak w tym domu, gdyż placówki robotników włoskich, strzegących kolei, porozpalały małe ogniska wzdłuż toru.

Wczoraj nie było tu tak cicho. Mieliśmy groźne rozruchy — nagły bunt ludności, który udało się ostatecznie uśmierzyć dopiero dziś po południu. Miał on, bezwątpienia, na celu grabież, której zapobieżono, o czem już wiesz zapewne z kablotelegramu, wysłanego przez San Francisco i Nowy Jork ubiegłego wieczora, kiedy kable były jeszcze czynne. Musiałaś już czytać także o tem, iż energiczna postawa Europejczyków, zajętych przy budowie kolei, ocaliła miasto od zniszczenia. Możesz tej wiadomości wierzyć. Sam redagowałem ten kablotelegram. Nie mamy tu korespondentów Agencji Reutera. Strzelałem również do tłumu z okien klubu wraz z innymi młodszymi panami z towarzystwa. Trzeba było przez *Calle de la Constitution* utorować drogę kobietom i dzieciom, które schroniły się na pokład kilku statków przewozowych, stojących obecnie w przystani. Było to wczoraj. Z kablotelegramu dowiedziałeś się niewątpliwie i o tym szczególe, iż zaginiony prezydent Ribiera, który znikł po bitwie pod Santa Marta, dzięki osobliwszemu zbiegowi okoliczności, co wydaje się poprostu nieprawdo-

podobnem, dotarł do Sulaca i jadąc na kulawym mule, dostał się w odmęt walki ulicznej. Okazało się, iż uciekał przez góry w towarzystwie pewnego mulnika, niejakiego Bonifacia, i z obawy przed Monterem wpadł w ramiona rozwścieczonego motłochu.

Capataz de Cargadores, ów marynarz włoski, o którym w mych listach już wspomniałem, ocalił go od haniebnej śmierci. Ten człowiek z dziwną jakąś zdolnością umie zawsze znaleźć się tam, gdzie jest coś niezwykłego do zrobienia.

O czwartej rano był u mnie w redakcji *Porveniru*, dokąd wstąpił tak wcześnie, by mnie ostrzec przed zbliżającemi się rozruchami i zapewnić, iż wraz ze swymi *Cargadorami* stanie po stronie ładu. Gdy dzień zaświtał, wyglądaliśmy obaj przez okna na tłumy piesze i konne, co zalegały *Plazę* i rzucały kamieniami w okna *Intendencii*. Nostromo (gdyż tak go tutaj nazywają) pokazywał mi swych *Cargadorów*, rozsianych śród tłuszczy.

Słońce ukazuje się późno w Sulaco, gdyż musi pierwej wzbić się ponad góry. W świetle poranku, jaśniejszem od brzasku, Nostromo dostrzegł za rozległą *Plazą*, u wylotu jednej z ulic obok katedry, jakiegoś jeźdźca, osaczonego przez gromadę wyjących *leperów*. Zaraz rzekł do mnie: — To ktoś obcy. Czego chcą oni od niego? — Wyjął srebrną gwizdawkę, której zwykł używać w porcie (ten człowiek nie raczy widocznie używać kruszców, mniej cennych od srebra), i gwizdnął dwa razy, co było zapewne umówionym znakiem dla jego *Cargadorów*. Uczyniwszy to, wybiegł niezwłocznie, a oni skupili się dokoła niego. Wybiegłem również, lecz za późno, by zdążyć za nimi i być pomocnym przy oswobodzeniu nieznajomego, którego

muł powalił na się ziemię. Rzucono się odrazu na mnie jako na znienawidzonego arystokratę i byłem bardzo zadowolony, gdy powiodło mi się dotrzeć do klubu, gdzie *Don* Jaime Berges (pamiętasz zapewne, iż bywał u nas w Paryżu przed jakiemiś trzema laty) wcisnął mi w rękę strzelbę myśliwską. Strzelano już z okien. Na rozłożonych stolikach od kart, leżały małe kupki naboi. Pamiętam kilka przewróconych krzeseł i parę butelek, taczających się śród rozsypanych kart, co spadły, gdy *caballeros* zerwali się od stolików, by wszcząć ogień do motłochu. Większość młodzieży spędziła tę noc w klubie, przypuszczając, iż dojdzie do rozruchów W dwu kandelabrach, co stały na konsolach, dopalały się świece. Gdy wszedłem, wielki odłam żelaza, skradziony prawdopodobnie z warsztatów kolejowych, wpadł z ulicy do sali i roztrzaskał duże lustro, zawieszone na ścianie. Zauważyłem również, iż jeden ze służących klubowych leżał w kącie, mając ręce i nogi związane sznurami od portjer. Majaczy mi się coś, iż Don Jaime oświadczył mi pośpiesznie, że tego draba przyłapano, gdy zaprawiał trucizną potrawy, które miano podać do stołu. Pamiętam jednak dokładnie, iż wrzeszczał bez przestanku, błagajac o litość, ale do tego stopnia nie zwracano na niego uwagi, iż nikt nie zadał sobie trudu, by zatkać mu usta. Wrzask jego był tak nieprzyjemny, iż omal nie uczyniłem tego sam. Ale nie można było marnować czasu na takie drobnostki. Stanąłem przy jednem z okien i zacząłem strzelać.

Dopiero pod wieczór dowiedziałem się, kim był ów nieznajomy, którego Nostromo przy pomocy swych *Cargadorów* oraz kilku robotników włoskich ocalił z rąk pijanej hołoty. Ten człowiek okazuje szczegól-

niejsze zdolności, gdy trzeba czegoś dokonać, co przemawia do wyobraźni. Powiedziałem mu to później, gdyśmy się spotkali po przywróceniu jakiego takiego ładu w mieście, zaś odpowiedź jego zdziwiła mnie nieco. Powiedział wprost opryskliwie: — I co będę miał za to, *senior?* — Później zaświtało mi w mózgu, iż próżność tego człowieka zapewne szuka zaspokojenia w pochlebstwach pospólstwa i zaufaniu przełożonych".

Decoud zatrzymał się, by zapalić papierosa, poczem, nie podnosząc głowy, wydmuchnął kłąb dymu, co zdawał się pełzać po papierze. Wziął znowu ołówek w rękę.

„Było to ubiegłego wieczora na *Plazy*. Siedział na stopniach katedry, z rękoma, opuszczonemi między kolana, dzierżąc lejce swej słynnej, siwej klaczy. Przez cały dzień dowodził świetnie swym zastępem *Cargadorów*. Wydawał się znużonym. Nie wiem, jak wyglądałem. Prawdopodobnie byłem bardzo brudny. Ale zdaje mi się, że musiałem przytem wyglądać na człowieka uradowanego. Odkąd zbiegłemu prezydentowi powiodło się przedostać na pokład *Minerwy*, powodzenie odwróciło się przeciw motłochowi. Wyparty z przystani i główniejszych ulic miejskich, musiał pierzchać do swych kryjówek w ruinach. Trzeba ci wiedzieć, iż te rozruchy, co zrazu niewątpliwie miały na celu tylko opanowanie srebra z kopalni San Tomé, nagromadzonego w piwnicach Urzędu Cłowego (obok grabieży *Riców*), nabrały zabarwienia politycznego, gdy dwu posłów do sejmiku prowincjonalnego z Bolsonu stanęło na ich czele. *Seniores* Gamacho i Fuentes uczynili to, coprawda, dopiero pod wieczór, gdy motłoch, zawiedziony w swych nadziejach łupu, stłoczył

się w wąskich ulicach i jął wrzeszczeć: *Viva la Libertad!* Precz z feudalizmem! (Chciałbym wiedzieć, jak oni wyobrażają sobie ten feudalizm.) Precz z Gotami i paralitykami! — Przypuszczam, iż *seniores* Gamacho i Fuentes wiedzą, co czynią. Są to sprytni ludzie. W sejmiku chcieli uchodzić za umiarkowanych i sprzeciwiali się wszelkim energicznym zarządzeniom z filantropijną wyrozumiałością. Gdy zaczęto przebąkiwać o zwycięstwie Montera, jęli okazywać subtelną zmianę w swem wyrozumiałem usposobieniu i dogryzać biednemu *Donowi* Justemu Lopezowi z taką bezczelnością, iż nie pozostawało mu nic innego, jak głaskać machinalnie swą brodę i potrząsać prezydjalnym dzwonkiem. Kiedy zaś już nie było ani cienia wątpliwości, iż sprawa ribierzystów poniosła klęskę, przedzierzgnęli się w zapamiętałych liberałów i, działając zawsze razem niby dwaj bracia sjamscy, wysunęli się ostatecznie na czoło rozruchów pod hasłem zasad monterystowskich.

Najnowszy ich czyn polega na tem, iż dzisiejszego wieczora zawiązali komitet monterystowski, który obraduje, o ile mi wiadomo, w *posadzie* pewnego, byłego *toreadora* meksykańskiego. Jest on wielkim politykiem, ale nazwiska jego zapomniałem. Z tej swojej siedziby wystosowali do nas, do Gotów i paralityków z *Klubu Amarilli* (gdzie znajduje się nasz komitet) odezwę, w której upraszają nas, abyśmy nawiązali z nimi doraźne rokowania co do rozejmu broni, gdyż — jak bezczelnie się wyrażają — nie godzi się, żeby dostojną sprawę wolności „miały zbezcześcić zbrodnicze porywy samolubstwa konserwatywnego“. Kiedy wychodziłem, by usiąść wraz z Nostromem na stopniach katedry, klub nasz rozprawiał gorąco nad odpowiedzią na to pismo

w sali głównej, usianej łuskwinami nabojów, odłamkami szkła, lichtarzami, oraz innemi szczętami, ubroczonemi krwią. Ale wszystko to jest niedorzecznością. Nikt w świecie nie ma rzeczywistej władzy prócz inżynierów kolejowych, którzy obsadzili swymi ludźmi opustoszałe domy, nabyte przez Towarzystwo Kolejowe celem utworzenia stacji miejskiej po jednej stronie *Plazy*, oraz Nostroma, którego *Cargadorowie* ułożyli się do snu pokotem pod arkadami, wzdłuż frontowych okien sklepu Anzaniego. Na *Plazy* paliły się pozłociste meble, wyrzucone ze salonów *Intendencii*, a ogromny płomień buchał wprost na posąg Karola IV. U jego podnóża leżały zwłoki jakiegoś człowieka; ramiona miał szeroko rozrzucone i twarz, zakrytą *sombrerem* — ktoś wyświadczył mu widocznie tę przyjacielską przysługę. Łuna płomieni sięgała listowia pierwszych drzew *Alamedy* i pląsała u wylotu pobliskiego zaułka, zawalonego wozami i nieżywemi wołami. Jakiś, otulony w płaszcz *lepero* siedział na jednym z zewłoków i smoktał papierosa. Jak zapewne się domyślasz, był to rozejm. Na *Plazy* jedyną, żywą prócz nas istotą był jakiś *Cargador*, który z długim, nagim nożem w ręce, przechadzał się przed arkadami, czuwając nad bezpieczeństwem swych uśpionych towarzyszy. Zaś drugiem śród mroków miejskich miejscem świetlnem były oświecone okna klubu na rogu ulicy".

Nakreśliwszy te słowa, *Don* Martin Decoud, egzotyczny *dandy* z bulwarów paryskich, powstał i jął przechadzać się po posypanej piaskiem podłodze kawiarni, co zajmowała jeden kraniec *Gospody pod Zjednoczoną Italją*, będącej własnością Giorgia Violi, dawnego towarzysza Garibaldidgo. W nikłym blasku jedynej świeczki jaskrawo zabarwiona litografja wiernego

bohatera zdawała się spoglądać chmurnie na człowieka, który wierzył tylko w prawdę swych własnych odczuwań. Wyjrzawszy z okna, spotkał się Decoud z taką nieprzeniknioną ciemnością, iż nie był zdolny rozróżnić ani gór, ani miasta, ani budynków u przystani. I taka zalegała głusza, jakgdyby przeraźliwe mroki Zatoki Cichej, rozpostarłszy się z toni morskiej na ląd, nietylko go oślepiły, ale i oniemiły.

Nagle uczuł Decoud, iż podłoga drży mu zlekka pod stopami, i równocześnie doleciał go daleki szczęk żelaziwa. Hen, w oćmie ukazało się jasne, białe światło i powiększało się śród gromowego rozhuku. Tabor kolejowy, który zazwyczaj stał na bocznicy w Rincon, wracał ze względu na bezpieczeństwo do remiz kolejowych. Niby tajemniczy kłąb ciemności, skrywającej się za latarnią lokomotywy, przemknął pociąg w odmęcie czczego łoskotu, mijając kraniec domu, co zadrgał cały w odpowiedzi. I nic nie było dokładniej widać, prócz nagiego po pas murzyna, który stał w białych spodniach na ostatnim, płaskim wagonie i wywijał nieustannie gorejącą pochodnią, zataczając krąg swem nagiem ramieniem. Decoud stał bez ruchu.

Za nim, na poręczy krzesła, z którego się podniósł, wisiało jego eleganckie okrycie paryskie o perłowoszarej, jedwabnej podszewce. Kiedy jednak odwrócił się, by podejść do stołu, padło światło świecy na jego twarz, posępną i pokiereszowaną. Różowe jego usta poczerniały od gorączki i dymu prochowego. Brud i kopeć zgasiły połysk jego krótkiej brody. Kołnierz u koszuli i mankiety miał pomięte, błękitna, jedwabna wstęga zwisała z jego piersi na podobieństwo łachmana; na białem czole widniała ciemna smuga. Przez jakieś czterdzieści godzin nie mył się i nie zdejmo-

wał z siebie ubrania, a pragnienie swe zaspakajał przełkniętym naprędce łykiem wody. Owładnął nim bolesny niepokój, napiętnował go wszystkiemi znamionami rozpaczliwego oporu, zamglił suchem, bezsennem szkliwem jego oczy. Mruknął do siebie ochrypłym głosem: — Ciekaw jestem, czy nie możnaby tu dostać chleba — rozejrzał się błędnie dokoła siebie, poczem obsunął się na krzesło i ujął znów ołówek w rękę. Uświadomił sobie, iż już oddawna nie miał nic w ustach.

Doznawał wrażenia, iż nikt inny nie zdoła go tak dobrze zrozumieć, jak jego siostra. Kiedy życie waży się na szali, w najbardziej sceptycznych duszach odzywa się pragnienie, by pozostawić po sobie dokładny obraz swych odczuwań, co są jakby światłem, przy którem ukażą się czyny, gdy człowiek odejdzie, odejdzie tam, gdzie żaden badawczy promień nie dosięgnie prawdy, znikającej wraz z śmiercią ze świata. Dlatego zamiast szukać pożywienia lub zdrzemnąć się na chwilę, Decoud wypełniał karty wielkiego notatnika listem do swej siostry.

Serdeczna szczerość tych zwierzeń nie pozwoliła mu ukryć swego wyczerpania, swego ogromnego znużenia, przykrej dolegliwości swych fizycznych odczuwań. Zaczął znów, jakgdyby mówił do niej. Poddając się niemal złudzeniu jej obecności, napisał słowa: „Jestem bardzo głodny“.

„Doznaję uczucia wielkiego osamotnienia“ pisał dalej. „Pochodzi to może stąd, iż śród powszechnego rozprzężenia, śród zaniku wszelkich zamierzeń i nadziei jestem jedynym człowiekiem z określoną myślą w mózgu. Mimo to moja samotność jest również bardzo rzeczywista. Wszyscy inżynierowie się rozjechali

na dwa dni, by zaopiekować się mieniem Narodowej Kolei Centralnej, tego wielkiego przedsiębiorstwa costaguańskiego, co wzbogaca Anglików, Francuzów, Amerykanów, Niemców i Bóg wie, jeszcze kogo. Cisza dokoła mnie jest poprostu złowieszcza. Pośrodku domu, w którym przebywam, jest jakby przedsionek z wąskiemi okienkami, co za dawnych czasów oddawały zapewne usługi przy obronie przeciw przewlekłemu barbarzyństwu naszego ojczystego lądu, kiedy dzicz nie przyodziewała się jeszcze w czarne stroje polityków, lecz uderzała, wyjąc, nawpół naga, z łukami i strzałami w ręku. Gospodyni tego domu dogorywa i, jak mi się zdaje, niema przy niej nikogo prócz jej starego męża. Klatka schodowa jest tu wąska i tak zbudowana, że jeden człowiek może z łatwością bronić się przeciwko motłochowi, który chciałby wedrzeć się na piętro. Przed chwilą słyszałem przez grubą ścianę, jak starzec schodził po coś do kuchni. Był to niby chrobot, jaki czyni mysz pod tynkiem muru. Wszystka służba rozbiegła się wczoraj i jeszcze nie powróciła, a niewiadomo, czy wogóle kiedykolwiek powróci. Pozostały tylko dzieci, dwie dziewczynki. Ojciec kazał im zejść nadół, więc wśliznęły się do tej kawiarni, może dlatego, że ja tu jestem. Przykucnęły w kącie, tuląc się wzajem do siebie. Zauważyłem je dopiero przed kilku minutami i czuję się jeszcze samotniejszym, niż poprzednio".

Decoud odwrócił się na krześle i zapytał:

— Czy nie możnaby dostać chleba?

Linda potrząsnęła przecząco swą ciemną główką, pochylając się nad jasnemi włosami swej siostry, która przylgnęła do jej piersi.

— Czy nie mogłybyście mi dać trochę chleba?—

nalegał Decoud. Dziewczynka się nie poruszyła. Czuł na sobie spojrzenie jej dużych oczu, wyzierających głęboką czernią z kąta. — Boicie się mnie? — zapytał.

— Nie, — rzekła Linda — nie boimy się pana. Pan przyszedł tu z Gianem Battistą.

— Czy mówisz o Nostromie? — zagadnął Decoud.

— Tak nazywają go Anglicy, ale nie jest to imię ani ludzkie, ani zwierzęce — odparła dziewczynka, muskając łagodnie dłonią włosy swej siostry.

— Ale on pozwala, żeby go tak nazywano — zauważył Decoud.

— Nie w tym domu — zaprzeczyło dziecko.

— No, to będę go nazywał *Capatazem*.

Decoud umilkł i pisał czas jakiś bez przerwy, poczem odwrócił się znowu.

— Kiedy go się spodziewacie? — zapytał.

— Przyprowadziwszy tu pana, pojechał, by przywieźć z miasta do mamy *seniora* doktora. Powróci lada chwila.

— Będzie miał szczęście, jeśli go nie zastrzelą po drodze — mruknął Decoud do siebie głośno, na co Linda odparła swym przenikliwym głosikiem:

— Nikt nie odważy się strzelić do Giana Battisty.

— Wierzysz w to, — zapytał Decoud — wierzysz naprawdę?

— Wiem to — odparła dziewczynka z przekonaniem. — Niema w tem mieście nikogo, coby śmiał zaczepić Giana Battistę.

— Nie trzeba zbyt wielkiej odwagi, by z za krzaka spuścić kurek — mamrotał Decoud do siebie. — Na szczęście, noc jest ciemna, gdyż inaczej niełatwo dałoby się ocalić srebro kopalni.

Odwrócił się do swego notatnika, przejrzał jego kartki i znów sięgnął po ołówek.

„Tak przedstawiał się stan rzeczy wczoraj, kiedy *Minerwa* ze zbiegłym prezydentem na pokładzie opuściła przystań, a czerń udało się wyprzeć w boczne zaułki miejskie. Siedziałem na stopniach katedry z Nostromem, wysławszy poprzednio kablotelegram, dający znać o wszystkiem mniej lub więcej bacznemu światu. Rzecz dziwna, iż jakkolwiek biura Towarzystwa Kablu Podmorskiego znajdują się w tym samym domu, co *Porvenir*, motłoch, który wyrzucił me tłocznie drukarskie z okna i porozsypywał czcionki po całej *Plazy*, wstrzymał się od naruszenia przyrządów, umieszczonych po drugiej stronie dziedzińca. Kiedym siedział, rozmawiając z Nostromem, wyszedł z pod arkad telegrafista, Bernhardt, z jakimś papierem w ręce. Mały ten człowieczek przypasał się do ogromnego miecza i obwiesił się rewolwerami. Mimo swej śmieszności jest najprzyzwoitszym Niemcem, jaki kiedykolwiek miał do czynienia z aparatem Morse'a. Otrzymał telegram z Cayty, donoszący, iż statki z wojskami Barriosa wpłynęły właśnie do portu. Telegram kończył się słowami: „Panuje ogromny entuzjazm". Poszedłem, by napić się wody z fontanny i byłem ostrzeliwany przez kogoś, co krył się za drzewem. Ale napiłem się i nie zważałem na nic. Skoro Barrios jest w Caycie, a od zwycięskiej armji Montera dzieli nas ogrom Kordyljerów, mam nowe państwo w garści mimo wysiłku panów Gamacha i Fuentesa. Chciałem się przespać, ale kiedy zaszedłem do *Casy Gould*, zastałem *patio* zapełnione rannymi, którzy leżeli na słomie. Paliły się światła, a nad zamkniętym dziedzińcem unosiły się w skwarnem powietrzu nocnem mdłe wyziewy

krwi i chloroformu. Na jednym końcu dr. Monygham, lekarz górniczy, zakładał opatrunki; na drugim, wpobliżu schodów, klęczał ojciec Corbelán, słuchając spowiedzi konającego *Cargadora.* Mrs. Gould chodziła po tej rzeźni z wielką butelką w jednej ręce i z paczką waty w drugiej. Spojrzała na mnie, ale nawet nie skinęła głową. Podążała za nią jej *camerista,* która również dzierżyła butelkę i szlochała zcicha.

Nosiłem przez jakiś czas wodę z cysterny dla rannych. Potem wszedłem na górę i ujrzałem tam wiele znakomitych pań ze Sulaca. Nigdy jeszcze nie były takie blade i miały opatrunki na ramionach. Nie wszystkie zdążyły uciec na okręty. Wiele z nich schroniło się za dnia w *Casie Gould.* Na zakręcie schodów jakaś dziewczyna z rozpuszczonemi do połowy włosami klęczała pod ścianą przed wnęką, gdzie stoi Madonna w błękitnych szatach i ze złotą koroną na głowie. Zdaje mi się, że była to najstarsza panna Lopez; nie widziałem jej twarzy, ale pamiętam, że spojrzałem na wysoki, francuski korek jej małego trzewiczka. Nie odzywała się, nie poruszała, nie łkała i zachowywała się najzupełniej spokojnie, cała czarna na tle białej ściany niby milczące upostaciowanie żarliwej modlitwy. Jestem pewien, że nie była więcej przerażona od innych. Jedna z nich siedziała na najwyższym stopniu schodów i pośpiesznie darła kawał płótna na pasy. Była to młoda żona tutejszego, leciwego już bogacza. Przerwała, by odpowiedzieć skinieniem ręki na mój ukłon, jakgdyby siedziała w swym powozie na *Alamedzie.* Warto jest widzieć nasze kobiety podczas rewolucji. Opada z nich róż i perłowy puder wraz z biernością w stosunku do zewnętrznego świata, biernością, którą od najwcześniejszego dziecin-

stwa narzuca im wychowanie, tradycja i obyczaj. Myślałem o twej twarzy, co od najmłodszych lat nosiła znamię inteligencji zamiast owego cierpliwego i zrezygnowanego wyrazu, który ukazuje się, gdy jakiś polityczny przewrót zedrze powłokę kosmetyków i nawyków.

W wielkiej sali na piętrze odbywało się posiedzenie jakby *Junty* szlacheckiej, szczętu rozpierzchłego sejmiku prowincjonalnego. *Don* Juste Lopez miał brodę, do połowy osmaloną od wystrzału dwururki, nabitej siekańcami, które cudownym jakimś sposobem wszystkie go chybiły. I kiedy odwracał głowę w jedną to drugą stronę, wydawało się, jakgdyby w jego fraku mieściło się dwu ludzi: jeden uroczysty i dostojnie brodaty, drugi niechlujny i zeszpecony.

Kiedy wszedłem, zawołali: — Decoud! Don Martin! — Zapytałem ich: — Nad czem panowie obradujecie? — Nie było śród nich, jak się zdaje, przewodniczącego, aczkolwiek *Don* José Avellanos zajmował naczelne miejsce przy stole. Odpowiedzieli wszyscy chórem: — Nad zachowaniem życia i mienia! — Do chwili, kiedy przybędą nowi urzędnicy — tłumaczył mi *Don* Juste, zwracając się ku mnie dostojną połowicą swej twarzy. Był to jakby strumień wody, wylany na gorejącą we mnie ideę nowego państwa. Zasyczało mi w uszach i zamgliła się sala, jakgdyby nagle napełniły ją wyziewy.

Podszedłem naoślep do stołu, jakgdybym był pijany. — Zamierzacie panowie zdać się na łaskę i niełaskę — rzekłem. Wszyscy siedzieli cicho, pochyliwszy swe nosy nad arkuszami papieru, co leżały przed nimi, Bóg wie, poco. Jedynie *Don* José ukrył twarz w dłoniach, bełkocąc: — Nigdy, nigdy! — Kiedy jednak

spojrzałem na niego, wydało się mi, iż mógłbym go zdmuchnąć swym oddechem, taki był nikły, zgrzybiały i słaby. Nie będzie on żył, bez względu na to, co nastąpi. Zbyt wielki jest to zawód, jak na człowieka w jego wieku. I czyż nie widział, jak kartki „Pięćdziesięciu lat nierządu“, które zaczęliśmy już składać w drukarni *Porvenira*, walały się po *Plazy*, wpadały do rynsztoków, paliły się jako zatyczki petard, nabitych czcionkami, rozpraszały się na wietrze, były wdeptywane w błoto? Widziałem na własne oczy, jak niektóre pływały nawet na wodach przystani. Byłoby niedorzecznością przypuszczać, iż przeżyje to wszystko. Zbyt byłoby to okrutne.

— Czy panowie zdajecie sobie sprawę, — zawołałem — co oznacza poddanie się dla was samych, dla waszych żon, dzieci i waszego mienia?

Grzmiałem przez jakieś pięć minut bez wytchnienia, wykazując sprzyjające nam okoliczności i powołując się na dzikość Montera, którego przedstawiłem jako skończone bydlę, nie wątpiąc zresztą, iż niem się okaże, jeżeli tylko będzie miał dość inteligencji, by zaprowadzić systematyczne rządy teroru. Następnie przez drugich pięć minut, lub może nawet dłużej, przemawiałem płomiennie do ich męskości i odwagi z całą namiętnością mej miłości do Antonji. Bo jeżeli kiedykolwiek się zdarzy komuś mówić dobrze, to wynika to zawsze z uczuć osobistych, bez względu na to, czy chodzi o potępienie wroga, czy o bezpieczeństwo własne, czy wreszcie o obronę czegoś, co jest nam droższe nad życie. Spiorunowałem ich poprostu, droga ty moja! Zdawało mi się, iż głos mój rozsadzi ściany, a kiedy umilkłem, zauważyłem, iż przerażone ich oczy spoglądają na mnie z niedowierzaniem. I to było

wszystko, co osiągnąłem. Jedynie głowa *Dona* Joségo pochylała się coraz niżej i niżej na piersi. Przybliżyłem ucho do jego zwiędłych ust i usłyszałem szept, co brzmiał jakby: — W imię Boże, do dzieła, Martinie, mój synu! — Nie wiem jednak, czy słyszałem dokładnie. Atoli pewien jestem, że wspomniał coś o Bogu. Doznałem wrażenia, iż pochwyciłem ostatnie jego tchnienie — duszy, pierzchającej z jego ust.

Wprawdzie żyje on jeszcze. Widziałem go potem, lecz było to tylko zgrzybiałe ciało, leżące na grzbiecie, zakryte aż pod brodę i tak ciche, iż można było mniemać, że już nie oddycha. Obok jego łoża klęczała Antonja. Pozostawiłem go w tym stanie, zanim przyszedłem do tej włoskiej *posady*, gdzie również czai się wszechobecna śmierć. Wiem jednakże, iż *Don* José umarł tam, w tej *Casie Gould*, wzywając mnie szeptem do podjęcia dzieła, przed którem niewątpliwie musiała się wzdrygać jego dusza, spowita w nietykalność umów dyplomatycznych i uroczystych oświadczeń. Zawołałem na cały głos: — Nie może być Boga w kraju, gdzie ludzie nie chcą pomagać sobie samym!

Na to *Don* Juste rozpoczął stateczną przemowę, której uroczysty ton chybił skutkiem komicznego zeszpecenia jego brody. Zwróciłem na nie uwagę niezwłocznie. Chciał nibyto uzasadnić, iż zamierzenia Montera (nazywał go generałem) nie są może tak złe, aczkolwiek nadmienił, że ten „znakomity mąż (jeszcze przed tygodniem nie nazywał go inaczej, niż *gran' bestia*) jest zapewne w błędzie co do wyboru właściwych środków“. Domyślisz się jużcić, iż nie chciałem słuchać dalszego ciągu. Znałem zamierzenia brata Motnera, Pedrita, *guerillera*, którego przed kilku laty ośmieszyłem w kawiarni paryskiej, uczęszczanej przez

studentów południowo-amerykańskich, gdzie chciał uchodzić za sekretarza poselstwa. Zachodził tam i gadał całemi godzinami, miętosząc pilśniowy kapelusz w swych kosmatych łapach, a jego ambicją było zostać czemś w rodzaju *Duca* de Morny przy jakimś Napoleonie. Już wówczas wyrażał się o swym bracie nader pompatycznie. Czuł się najzupełniej bezpiecznym, ponieważ ci studenci zaliczali się wszyscy do *blanców* i, jak łatwo się domyślisz, nie bywali w poselstwie. Jedynie Decoud, ten człowiek bez czci i wiary, uczęszczał tam niekiedy dla rozrywki, jakby to była siedziba tresowanych małp. Znam ja jego zamiary. Widziałem, jak zmieniał talerze przy stole. Niechaj inni żyją sobie w ucisku, mnie nie pozostaje nic innego, jak śmierć.

Nie, nie pozostałem, by słuchać do końca, jak *Don* Juste Lopez starał się z krasomówczą powagą przekonać samego siebie o łaskawości, sprawiedliwości, uczciwości i czystości braci Monterów. Wyszedłem natychmiast, by poszukać Antonji. Ujrzałem ją na korytarzu. Gdy otworzyłem drzwi, wyciągnęła ku mnie załamane ręce.

— Co oni tam robią? — spytała.

— Gadają — rzekłem, patrząc jej w oczy.

— No, tak, ale...

— Czcze gadaniny — przerwałem. — Kryją swój strach za głupiemi nadziejami. To sami wielcy parlamentarzyści, jak pani wie! — Byłem tak podniecony, iż ledwo mogłem mówić. Drgnęła ruchem rozpaczy.

Przez drzwi, które pozostawiłem nieco uchylone, słyszeliśmy, jak *Don* Juste ględził monotonnie, miarowo, przechodząc od okresu do okresu, niby opętany przez jakieś czcigodne, namaszczone szaleństwo.

„Być może, iż dążności demokratyczne nie są pozbawione podstaw prawnych. Drogi ludzkiego postępu są niezbadane i skoro los kraju jest w rękach Montera, to powinniśmy...“

Przy tych słowach zatrzasnąłem drzwi; miałem dosyć; było tego za dużo. Nigdy może na niczyjej pięknej twarzy nie objawiło się tyle grozy i rozpaczy, co na twarzy Antonji. Nie mogłem znieść tego i uchwyciłem ją za ręce.

— Czy ci panowie nie zabili mojego ojca? — spytała.

Oczy jej roziskrzyły się oburzeniem, lecz gdy spojrzałem w nie oczarowany, przygasły.

— Chcą się poddać — rzekłem. I pamiętam, że potrząsałem jej dłońmi, trzymając je w rękach. — Lecz jest coś więcej, niż ich słowa! Ojciec pani polecił mi przystąpić w imię Boże do dzieła.

Moja ty droga, jest coś w Antonji, co każe mi wierzyć w możliwość wszystkiego. Dość jest mi spojrzeć w jej twarz, a mózg mój zajmuje się płomieniem. A jednak kocham ją, jakby kochał każdy inny człowiek — sercem, i tylko sercem. Jest dla mnie czemś więcej, niż Kościół dla ojca Corbelàna. (Wielki wikarjusz znikł ubiegłej nocy z miasta; być może, iż przyłączył się do opryszków Hernandeza.) Jest dla mnie czemś więcej, niż drogocenna kopalnia dla tego sentymentalnego Anglika. Wolę nie wspominać o jego żonie. Okazała się już raz sentymentalną. Kopalnia San Tomé znajduje się obecnie między tymi dwojgiem ludźmi.

— Własny ojciec pani, Antonjo — powtórzyłem — ojciec pani — czy pani rozumie? — polecił mi przystąpić do dzieła!

Odwróciła twarz i zawołała bolesnym głosem:

— Tak powiedział? Jeżeli tak powiedział, to obawiam się, że już nigdy więcej nie przemówi.

Uwolniła ręce z mojego uścisku i jęła łkać, przysłaniając usta chusteczką. Nie dbałem o jej mękę; wolałem widzieć ją zrozpaczoną, niż nie widzieć jej wcale, nie ujrzeć jej nigdy; gdyż zarówno gdybym uciekł jak gdybym zginął na miejscu, nie mogliśmy już być razem, nie było już dla nas przyszłości. Ponieważ tak było, znęcałem się bezlitośnie nad bezmiarem jej bólu. Posłałem zapłakaną, by przyprowadziła *Donię* Emilję i *Dona* Carlosa. Ich uczuciowość była mi potrzebna, by tchnąć życie w mój plan. Jest to sentymentalizm ludzi, którzy nigdy nie uczynią niczego dla urzeczywistnienia swych najgorętszych pragnień, o ile nie objawiają się im one w uroczej osłonce idei.

Późną nocą utworzyliśmy małą *juntę*, złożoną z czterech osób: z dwu kobiet, *Dona* Carlosa i mnie. Zebraliśmy się w biało-błękitnym buduarze Mrs. Gould.

El Rey de Sulaco uważa siebie bezwątpienia za bardzo prawego człowieka. I okazałby się nim zapewne, gdyby można było zajrzeć poza jego małomówność. Być może, iż zdaje mu się, że dzięki jej uczciwość jego jest bez plamy. Ci Anglicy żywią się złudzeniami, które w ten lub ów sposób pozwalają im ujmować mocno istotę rzeczy. Jeżeli odzywa się, to tylko poto, by zrzadka powiedzieć „tak“ lub „nie“, które brzmią nieosobiście, jak słowa wyroczni. Ale nie wyprowadza on mnie w pole swą niemą powściągliwością. Wiem, co ma w głowie; swą kopalnię ma w głowie. Zaś jego żona ma w głowie tylko jego drogocenną osobę, którą powiązał z koncesją Gouldów i uwiesił na jej szyi niewieściej. Mniejsza o to. Sztuka polegała na tem, żeby zechciał przedstawić całą tę

sprawę Holroydowi (królowi stali i srebra) i wyjednać jego pieniężne poparcie. W tym czasie, to znaczy przed dwudziestu czteroma godzinami, mniemaliśmy, iż srebro kopalni będzie spoczywało bezpiecznie pod sklepieniami Urzędu Cłowego, aż do chwili, kiedy zabierze je parowiec, płynący na północ. Jak długo zaś te skarby odpływałyby bez przerwy na północ, tak długo krańcowy idealista, Holroyd, nie wyrzekłby się myśli zaszczepienia na tych zatraconych lądach nietylko sprawiedliwości, przemysłu i pokoju, lecz także swego ulubionego marzenia, przejawiającego się pod postacią „czystszych form chrześcijaństwa". Wnet potem nadjechał konno od strony przystani najwybitniejszy z Europejczyków, przebywający w Sulaco naczelny inżynier kolejowy, i został dopuszczony do naszych obrad. Tymczasem w wielkiej sali rozprawiała wciąż jeszcze *junta* szlachecka. Któryś z nich wybiegł na korytarz i zapytał służącego, czy nie mógłby im przynieść czegoś do jedzenia. Pierwsze słowa, które wyrzekł inżynier naczelny, wchodząc do buduaru, brzmiały: — Czemże jest dom pani, Mrs. Gould? Na dole szpital polowy, a na górze. jak się zdaje, restauracja. Widziałem, jak do sali wnoszono kopiaste półmiski ze smakołykami. — Tu zaś, w tym buduarze — rzekłem — widzi pan tajny gabinet przyszłej Rzeczypospolitej Zachodniej.

Był tak roztargniony, iż nie uśmiechnął się na te słowa; nie wydawał się nawet zdziwionym.

Jął nam opowiadać, iż kiedy był w remizach kolejowych, gdzie wydawał polecenia, mające na celu ochronę własności kolejowej, wezwano go do kolejowego biura telegraficznego. Inżynier węzła kolejowego u podnóża gór chciał z nim porozumieć się z drugiego końca linji telegraficznej. W biurze prócz niego

był tylko urzędnik telegrafu kolejowego, który odczytywał głośno szyfry w miarę, jak wstęga papierowa obsuwała się na podłogę. Szyfry te, wystukiwane nerwowo z drewnianej kletki w głębi borów, zawiadamiały przełożonego, że prezydent Ribiera był lub jest bodaj jeszcze ścigany przez swych wrogów. Było to zaiste, zupełną nowością dla nas wszystkich w Sulaco. Sam Ribiera, gdyśmy go tu ocalili, ocucili i uspokoili, był skłonny przypuszczać, że pościgu za nim nie wysłano.

Ribiera uległ natarczywym naleganiom swych przyjaciół i opuścił kwaterę główną swej rozgromionej armji sam, a przewodnikiem jego był mulnik, Bonifacio, który podjął się tej niebezpiecznej odpowiedzialności. Wyjechał o świcie trzeciego dnia. Resztki jego wojska stopniały w nocy. Bonifacio i on pędzili konno ku Kordyljerom; po drodze dostali muły, wjechali w wąwozy i zdołali minąć *Paramo Ivie*, zanim lodowata wichura zadęła nad tym skalistym płaskowyżem i pogrzebała w zawiei śnieżnej małe, murowane schronisko, w którem spędzili noc. Następnie biedny Ribiera doznał wielu przygód, rozłączył się ze swym przewodnikiem, postradał swego człapaka, przedostał się pieszo z gór na *Campo* i gdyby nie był zdał się na łaskę jakiegoś *ranchera*, byłby zginął zdala od Sulaca. Ów człowiek, który niezawodnie poznał go odrazu, dał mu świeżego muła, co padł pod ciężkim i niezgrabnym zbiegiem. I było to prawdą, że ścigał go oddział, dowodzony nie przez byle kogo, bo przez samego Pedra Montera, brata generała. Na szczęście mroźna wichura *Parama* dopadła prześladowców na szczycie przełęczy. Kilku ludzi i wszystkie zwierzęta zginęły w lodowatej zawiei. Zdławiła śmierć straż

przednią, ale główny oddział nie ustał w pościgu. Znaleźli biednego Bonifacia, dogorywającego u podnóża pokrytej śniegiem krzesanicy i szlachetnym obyczajem wojen domowych zakłuli go natychmiast bagnetami. Byliby pojmali również Ribierę, gdyby z jakiegoś powodu nie byli zboczyli ze szlaku dawnej *Camino Real* i nie zabłąkali się w lasach u podnóża niżnich turni. Najzupełniej niespodziewanie napotkali obozowisko robotników, budujących tor kolejowy. Inżynier węzła kolejowego doniósł zwierzchnikowi swemu telegraficznie, iż Pedro Montero był przy tej czynności w biurze i przysłuchiwał się stukaniu aparatu. Miał zamiar zająć Sulaco w imieniu demokracji. Zachowywał się jak samowładca. Jego ludzie zarznęli kilka sztuk bydła, należącego do Towarzystwa Kolejowego, nie zapytawszy nikogo o pozwolenie, i jęli piec mięsiwo na ogniu. Pedrito wypytywał się szczegółowo o kopalnię i chciał wiedzieć, co się stało ze srebrem, wydobytem w ostatnich sześciu miesiącach. Oświadczył rozkazująco:

— Proszę zapytać o to swego przełożonego telegraficznie! Będzie zapewne wiedział. Proszę mu powiedzieć, iż *Don* Pedro Montero, gubernator *Campa* i minister spraw wewnętrznych nowego rządu pragnie być szczegółowo o wszystkiem powiadomiony.

Miał nogę, owiniętą w zakrwawione łachmany, twarz wychudłą i zdziczałą, brodę i włosy w nieładzie. Przy chodzeniu utykał, wspierając się na kuli, sporządzonej z rozwidlonej gałęzi. Jego towarzysze byli bodaj w jeszcze gorszym stanie, ale nie porzucili broni i nie postradali wszystkiej swej amunicji. Ich zapadłe twarze wypełniły drzwi i okna chaty, w której mieściło się biuro telegraficzne. A ponieważ stanowiła ona zarazem sypialnię inżyniera służbowego, więc Montero

rzucił się na czystą pościel i, leżąc, dyktowal polecenia, które miały być telegraficznie przekazane do Sulaca. Domagał się, żeby przysłano zaraz pociąg, któryby zabrał jego ludzi.

— Odpowiedziałem na to z mojego końca — opowiadał nam dalej inżynier naczelny — iż nie odważyłbym się wysłać taboru kolejowego w głąb kraju, gdyż niejednokrotnie usiłowano uszkodzić pociągi, krążące po linji kolejowej. Uczyniłem to dla pana, Mr. Gould — mówił inżynier naczelny. — Odpowiedź mojego podwładnego zamykała się w słowach: „Plugawe bydlę, co leży na mojem łóżku, powiedziało: „A coby to było, gdybym kazał pana rozstrzelać?“ Na to mój podwładny, który, jak się zdaje, sam pełnił czynności telegrafisty, zauważył, że pociągu to nie sprowadzi. Wówczas Pedrito, ziewając, miał się odezwać: „Mniejsza o to, nie brak koni śród *Campa*“ i, odwróciwszy się, zasnął na łóżku Harrisa.

Oto dlaczego, moje ty kochanie, uciekam już dzisiejszego wieczora. Ostatni telegram z węzła kolejowego donosi, iż Pedro Montero i jego ludzie wyruszyli dziś rano po całonocnem objadaniu się pieczonem mięsiwem. Podobno zabrali wszystkie konie i spodziewali się dostać ich więcej po drodze. Będą tu w niespełna trzydzieści godzin, Sulaco nie jest zatem odpowiedniem miejscem ani dla mnie, ani dla wielkich zapasów srebra, należącego do koncesji Gouldów.

Ale nie jest to jeszcze najgorsze. Załoga Esmeraldy przeszła na stronę zwycięzców. Dowiedzieliśmy się o tem od telegrafisty Towarzystwa Kablu Podmorskiego, który przyszedł wczesnym rankiem z tą nowiną do *Casy Gould*. Było tak wcześnie, iż zaledwo miało się ku świtaniu w Sulaco. Kolega jego z Esmeraldy kazał

mu powiedzieć, iż załoga, wystrzelawszy niektórych swych oficerów, opanowała parowiec rządowy, stojący w porcie. Jest to istotnie ciężki cios dla mnie. Sądziłem, iż można polegać na wszystkich ludziach w tej prowincji. Było to błędne. Wybuchła w Esmeraldzie rewolucja monterystowska, podobna do tej, jaką wszczęto w Sulaco, z tą tylko różnicą, iż ta ostatnia się nie udała. Telegrafista donosił o wszystkiem Bernhardtowi przez cały czas, a ostatnie jego, przekazane telegraficznie, słowa brzmiały: „Dobijają się do drzwi i obejmują w swe posiadanie Urząd Kablowy. Jesteście odcięci. Nic więcej zrobić nie mogę“.

Mimo to udało się mu jeszcze zmylić na chwilę czujność swych siepaczy, którzy starali się zapobiec porozumieniu z zewnętrznym światem. Dokazał tego. W jaki sposób, tego nie umiem powiedzieć. Dość, że w kilka godzin później przesłał znów do Sulaca słowa następujące: „Zbuntowane wojska opanowały statek rządowy, stojący w przystani. Żołnierze wsiadają na ten okręt, by dostać się wzdłuż wybrzeża do Sulaca. Miejcie się zatem na baczności. Mają zamiar odpłynąć za kilka godzin i napaść na was przed wschodem słońca“.

Oto wszystko, co zdołał powiedzieć. Widocznie usunięto go tym razem na dobre od aparatu, gdyż Bernhardt wielokrotnie starał się nawiązać połączenie z Esmeraldą, ale nie otrzymał odpowiedzi“.

Nakreśliwszy te słowa w notatniku, który zapełniał dla wiadomości swej siostry, Decoud podniósł głowę i jął nadsłuchiwać. Ale nic słychać nie było ani w izbie, ani w domu prócz szmeru wody, co kapała z filtru do ogromnego, glinianego dzbana, umieszczonego pod drewnianą podstawą. Zaś zewnątrz domu zalegała

ogromna cisza. Decoud pochylił znów głowę nad notatnikiem.

„Pojmujesz zapewne, iż nie dopuszczam się zbiegostwa“ — jął pisać. — „Usuwam się poprostu wraz z tem drogocennem srebrem, które należy ocalić za wszelką cenę. Pedro Montero od strony *Campa* i zbuntowana załoga Esmeraldy od strony morza podążają, by je zagarnąć. Atoli znalazło się ono na ich drodze tylko przypadkiem. Właściwym ich celem, jak z łatwością się domyślisz, jest sama kopalnia San Tomé. W przeciwnym razie pozostawionoby bezwątpienia Prowincję Zachodnią w spokoju przez długie tygodnie, by dopiero przy nadarzającej się sposobności zagarnąć ją w posiadanie zwycięskiego stronnictwa. Don Carlos Gould będzie miał niemało do czynienia, jeśli zechce ocalić swą kopalnię wraz z jej urządzeniami i górnikami. Jest to *Imperium in Imperio* ta wytwórnia bogactw, z którą jego sentymentalizm kojarzy osobliwą ideę sprawiedliwości. Przywiązał się do niej, jak inni ludzie przywiązują się do idei odwetu lub miłości. Sądzę, iż się nie mylę co do tego człowieka, przypuszczając, iż albo ta kopalnia pozostanie nietknięta, albo ją zburzy odruch jego własnej woli. Namiętność wtargnęła w jego chłodne, idealistyczne życie. Namiętność, z której zdolny jestem zdać sobie sprawę tylko intelektualnie. Niepodobna jest ona do namiętności, które my znamy, my, ludzie innej krwi. Mimo to niemniej jest niebezpieczna od naszych.

Jego żona zrozumiała to również. Oto dlaczego idzie ze mną ręka w rękę. Sprzyja wszystkim mym zamierzeniom, mając niezawodne poczucie, iż ostatecznie wyjdą one na dobre koncesji Gouldów. Zaś on ulega jej może nietyle dlatego, że jej ufa, lecz żeby ją nie-

jako wynagrodzić za jakąś subtelną krzywdę, za owo sentymentalne wiarołomstwo, co rzuca na pastwę jej szczęście i jej życie opętaniu przez ideę. Mała ta kobietka domyśliła się, iż żyje on raczej dla kopalni, niż dla niej samej. Niechże im się stanie wedle ich woli. Każdy ma swe przeznaczenie, ukształtowane przez namiętność lub uczucie. Najważniejszą rzeczą jest, iż przeparła mój pomysł, aby zaraz wywieźć srebro z miasta i z kraju, chociażby to miało pociągnąć za sobą nieobliczalne następstwa. Zadaniem *Dona* Carlosa będzie ustrzec od zmazy dobre imię jego kopalni; Mrs. Gould będzie chroniła go przed następstwami tej chłodnej i przemożnej namiętności, której lęka się więcej od zaślepienia w innej kobiecie. Wreszcie Nostromo będzie miał za zadanie ocalić srebro. Zamierzamy umieścić je na największym przewozowcu Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej i przewieźć przez zatokę do małego portu, leżącego już poza obrębem Costaguany, po drugiej stronie Azuery. Stamtąd ma je zabrać parowiec, który pierwszy popłynie na północ. Morze jest tu spokojne, pogrążymy się w ciemnościach zatoki, zanim buntownicy przybędą z Esmeraldy. Kiedy zaś dzień zaświta nad oceanem, będziemy już niewidzialni, ukryci za Azuerą, co wygląda z tutejszego wybrzeża niby nikły, błękitny obłok na widnokręgu.

Niesprzedajny *Capataz de Cargadores* jest jakby stworzony do tego zadania; zaś ja, człowiek z namiętnością, acz bez zadania, popłynę z nim, by powrócić, odegrać w tej krotochwili swą rolę do końca i gdyby wypadła pomyślnie, otrzymać nagrodę, której nikt inny dać mi nie może prócz Antonji.

Nie będę już jej widział przed odjazdem. Pozostawiłem ją, jak poprzednio wspomniałem, przy łożu *Dona* Josego. Na ulicy było ciemno i domy pozamykane, gdy szedłem z miasta w głąb nocy. Od dwu dni nie zapalono ani jednej latarni na ulicach. Łuk bramy wjazdowej wyglądał niby kłąb ciemności, co przybrał niewyraźne kształty wieży. Dolatywały z niej głuche, smutne westchnienia, które wydawały się mi odpowiedzią na szmer męskiego głosu.

Dosłyszałem w jego tonie jakgdyby beztroskę i niedbałość. Znamionuje ona owego marynarza genueńskiego, co podobnie jak ja, dostał się tutaj w odmęt wypadków, do których zarówno jego jak mój sceptycyzm odnosi się jakgdyby z bierną pogardą. O ile zdołałem wymiarkować, jedyną rzeczą, o którą mu chodzi, jest, by mówiono o nim dobrze. Ambicja bywa rysem dusz szlachetnych, ale może być także wodą na młyn wyjątkowo inteligentnych łotrów. No, tak. Wyraził się najdosłowniej: „Chciałbym, żeby mówiono o mnie dobrze. *Si, Senior*". Nie zdaje mi się, żeby czynił różnicę między mówieniem a myśleniem. Ciekaw też jestem, czy jest to istotna naiwność lub praktyczny punkt widzenia. Indywidualności wyjątkowe są zawsze dla mnie zajmujące, gdyż pozostają w zgodzie z formułą ogólną, wyrażającą stan moralny ludzkości.

Nie zatrzymując się, minąłem ich pod ciemnem sklepieniem bramy, lecz wnet dopędził mnie na drodze, wiodącej ku przystani. Rozmawiał z jakąś zasmuconą kobietą. Szedł obok mnie, lecz nie odzywałem się zrazu przez dyskrecję. Po chwili sam jął opowiadać. Chodziło o coś innego, niż przypuszczałem. Była to tylko babina, stara koronczarka. Przepadł jej syn, jeden z zamiataczy ulic, wynajmowanych przez ma-

gistrat. Przyjaciele przyszli przed świtem i wywołali go przez drzwi z lepianki. Poszedł z nimi i odtąd już go nie widziała. Pozostawiła strawę, napoły zaledwie uwarzoną w stygnącym popiele i podreptała aż do przystani, bo słyszała, iż podczas rozruchów zabito tam rano kilku miejskich *mozów*. Któryś z *Cargadorów*, stojących na straży Urzędu Cłowego, wyniósł latarnię i pomógł jej obejrzeć nieliczne trupy, co leżały wpobliżu. Zawiedziona w swych poszukiwaniach, polazła biedaczka zpowrotem. Zastał ją siedzącą na kamieniu pod arkadą. Stękała z nadmiernego znużenia. *Capataz* zagadnął ją i wysłuchawszy urywkowej, płaczliwej opowieści, poradził jej, żeby poszła rozejrzeć się śród rannych, co leżeli na *patio Casy Gould*. Dał jej ponadto ćwierć dolara, o czem napomknął niedbale.

— Pocóż pan to zrobił? — spytałem. — Czy pan ją zna?

— Nie, *senior!* Nie widziałem jej przedtem na oczy, bo widzieć nie mogłem. Zapewne już od lat całych nie wychodziła na ulicę. To jedna z tych staruszek, które siedzą w tym kraju gdzieś, w głębi chat, przykucnięte przy ognisku i mają przy sobie kij na ziemi, ale są za słabe, żeby odpędzić bodaj bezpańskiego psa od swych garnków. *Caramba!* Słuchając jej głosu, ma się wrażenie, iż śmierć o niej zapomniała. Ale stare czy młode, wszystkie lubią pieniądze i dobrze mówią o człowieku, co je im daje.

Głos jego drgnął śmiechem. — *Senior*, uczułem ja na ręce jej szpony, gdy wetknąłem jej do garści tych kilka groszy! — Zatrzymał się. — Ostatnie, które miałem.

Nic mu nie odpowiedziałem. Znany jest ze swej hojności, nie ma przytem szczęścia do gry w *monte*. Zgrywa się i jest tak samo ubogi, jak był przedtem.

— Myślę, *Donie* Martinie, — zaczął jakgdyby w zadumie — iż *Senior Administrador* kopalni San Tomé odwdzięczy mi się kiedyś, gdy mu ocalę to srebro.

Odrzekłem, że nie ulega to wątpliwości, że jest to rzeczą pewną. Szedł dalej, mamrocząc do siebie:

— *Si, si,* na pewno, na pewno! I widzi pan, co to znaczy, gdy o kimś ludzie dobrze mówią! O nikim innym nie pomyślanoby nawet, gdyby chodziło o taką sprawę. Dostanie mi się kiedyś nie byle co za to! Daj Boże, żeby rychło! — gwarzył. — Czas mija w tym kraju równie prędko, jak gdzie indziej na świecie.

Oto, *soeur cherie*, mój towarzysz w wielkiej ucieczce dla wielkiej sprawy. Jest on więcej naiwny niż przebiegły, więcej władczy niż zręczny, szczodrobliwszy w szafowaniu swą indywidualnością od ludzi, którzy posługują się nim za swe pieniądze. Zapatruje się też w ten sposób na siebie, raczej z dumą niż z uczuciem. Rad jestem, że się z nim zaprzyjaźniłem. Jako towarzysz nabywa nierównie większego znaczenia, niżeli je kiedykolwiek posiadał w roli podrzędnego służbisty — niezwykłego marynarza włoskiego, któremu wolno było wstępować na godzinkę i gawędzić poufale z redaktorem *Porvenira*, gdy dziennik był już na maszynie. Ciekawą, zaiste, jest rzeczą spotkać człowieka, dla którego wartość życia polega na uroku osobistym.

Obecnie czekam tu na niego. Gdyśmy przyszli do *posady* Violi, dzieci były same na dole, zaś stary genueńczyk krzyknął na swego rodaka, by sprowadził doktora. Gdyby nie to, bylibyśmy poszli na pomost portowy, gdzie kapitan Mitschell wraz z kilku chętnymi Europejczykami i paru gorliwymi *Cargadorami* ładuje na statek przewozowy srebro, które trzeba ocalić ze szponów Montery, żeby posłużyło do jego po-

gromu. Nostromo cwałem popędził do miasta. Pojechał już dawno. Dzięki temu miałem dość czasu, by napisać do ciebie. Niejedno jeszcze zdarzy się do chwili, kiedy ten notatnik znajdzie się w twoich rękach. Ale obecnie nastąpiła przerwa pod rozwahanemi skrzydłami śmierci w tym głuchym domu, pogrążonym śród mroków nocnych, gdzie umiera kobieta, gdzie dwoje dzieci tuli się w milczeniu do siebie, zaś przez gruby mur, niby chrobot myszy, słychać stąpanie starca, który chodzi po schodach, zlekka powłócząc nogami. Jestem tu jedyną prócz nich osobą i nie wiem doprawdy, czy więcej liczyć się należy z życiem czy ze śmiercią. *Quien sabe?* jak ma zwyczaj odpowiadać lud tutejszy na każde pytanie. Ale nie! Uczucie dla ciebie na pewno nie umarło i to wszystko, ten dom, ta ciemna noc, te milczące dzieci w tej mrocznej izbie, nawet moja tu obecność jest życiem, musi być życiem, bowiem jest tak bardzo podobna do snu".

Kreśląc te ostatnie słowa, doznał Decoud uczucia nagłej i zupełnej nieprzytomności. Jął słaniać się nad stołem, niby ugodzony kulą. Lecz wnet opamiętał się zmieszany, gdyż usłyszał, że jego ołówek potoczył się na podłogę. Niskie drzwi kawiarni stały otworem. Wypełniała je poświetl pochodni; widniała przy niej połowa konia, chłoszczącego ogonem nogę jeźdźca, co miał długie, żelazne ostrogi, przytwierdzone do nagich stóp. Dziewczynki odeszły; pośrodku izby stał Nostromo, spoglądając na niego z pod krągłej kresy *sombrera*, wciśniętego głęboko na oczy.

— Przywiozłem tego angielskiego doktora z kwaśną gębą powozem *Seniory* Gould — odezwał się Nostromo. — Wątpię, czy tym razem zdoła swą wiedzą ocalić *Padronę*. Posłali po dzieci. Zły to znak.

Usiadł na skraju ławy. — Zapewne chce je pobło gosławić.

Decoud, nawpół jeszcze nieprzytomny, odezwał się, iż zdaje się mu, że się zdrzemnął, na co Nostromo odpowiedział z nieokreślonym uśmiechem, iż zajrzał przez okno i widział go, leżącego na stole z ramionami pod głową.

Angielska *seniora* przyjechała również powozem i poszła odrazu na górę z doktorem. Poleciła mu, żeby jeszcze nie budził *Dona* Martina; ale kiedy posłano po dzieci, wszedł do kawiarni.

Połówka konia z połówką siedzącego na nim jeźdźca majaczyła wyraźnie przed drzwiami. Pochodnia z pakuł i smoły, umieszczona w żelaznym koszu, co sterczał na kiju u łęku siodła, rozjaśniła naraz swą drgającą poświatą całą izbę. W tej chwili weszła śpiesznie Mrs. Gould. Twarz miała bardzo bladą i znużoną. Kaptur granatowego płaszcza obsunął się jej z głowy. Obaj mężczyźni powstali.

— Teresa chciałaby zobaczyć się z panem, Nostromo — rzekła.

Capataz nie poruszył się. Decoud, oparty o stół, jął zapinać na sobie płaszcz.

— Srebro, Mrs. Gould, srebro! — mruknął po angielsku. — Proszę nie zapominać, że załoga Esmeraldy jest w posiadaniu parowca. Mogą lada chwila pojawić się u wylotu przystani.

— Doktór powiada, że niema nadziei — rzekła Mrs. Gould śpiesznie, również po angielsku. — Odwiozę pana do przystani swym powozem, a potem powrócę, by zabrać dziewczęta. — Następnie już po hiszpańsku odezwała się do Nostroma: — Niech pan nie marudzi! Żona starego Giorgia pragnie widzieć się z panem.

— Idę do niej, *senioro* — bąknął *Capataz.*

W tej chwili ukazał się dr. Monygham, który odprowadzał zpowrotem dzieci. Na pytające spojrzenie Mrs. Gould potrząsnął tylko głową i wyszedł zaraz w towarzystwie Nostroma.

Koń człowieka, dzierżącego pochodnię, zwiesił łeb nisko, a jeździec opuścił lejce, by zapalić papierosa. Poświetl pochodni pląsała po frontowej ścianie domu, upstrzonej wielkiemi, czarnemi głoskami napisu, z którego tylko słowo ITALIA widniało w pełnem świetle. Łuna rozmigotanej poświetli sięgała aż do powozu Mrs. Gould, co czekał na drodze. Na koźle drzemał okazały Ignacio o żółtej twarzy. Obok niego Basilio, kościsty i śniady, trzymał przed sobą winchesterowski karabin obiema rękami i spoglądał trwożnie w ciemność. Nostromo dotknął lekko ramienia doktora:

— Czy ona naprawdę umiera, *senior Doctor?*

— Tak jest — odparł doktór z jakimś dziwnym skurczem swej obliźnionej twarzy. — Nie pojmuję, dlaczego pragnie widzieć się z panem.

— Lubiła to także dawniej — poddał mu Nostromo, odwracając oczy.

— No, *Capatazie*, mogę zapewnić pana, że już więcej lubić nie będzie — warknął dr. Monygham. — Może pan pójść do niej lub nie pójść. Poco te rozmowy z umierającymi? Ale słyszałem na własne uszy, jak mówiła do *Donii* Emilji, iż opiekowała się panem jak matka, odkąd pan wylądował na tym brzegu.

— *Si!* I nigdy nie powiedziała o mnie do nikogo bodaj jednego dobrego słowa. Zdawało się doprawdy, iż nie może mi przebaczyć, że żyję i że jestem takim mężczyzną, jakim kiedyś pragnęła widzieć swojego syna.

— Być może — odezwał się jakiś posępny głos obok nich. — Kobiety mają swe własne sposoby udręczania siebie samych.

Giorgio Viola wyszedł z domu. Padał od niego wielki, czarny cień w świetle pochodni; poświetl migotała na jego potężnej twarzy i siwej czuprynie jego wielkiej, włochatej głowy. Podniesionem ramieniem wezwał *Capataza*, by wszedł do wnętrza.

Dr. Monygham, otworzywszy małą skrzynkę z połyskliwego drzewa, co leżała na siedzeniu powozu, odwrócił się do starego Giorgia i wetknął w jego dużą, drżącą rękę flaszeczkę ze szklaną zatyczką.

— Od czasu do czasu proszę jej dawać łyżkę tego lekarstwa — odezwał się. — Będzie miała lżejszą śmierć.

— I nic już jej pomóc nie można? — spytał starzec cierpliwie.

— Nie. Nic już jej nie pomoże! — rzekł doktór i odwróciwszy się od niego, zamknął na zatrzask skrzynkę z lekarstwami.

Nostromo przeszedł zwolna przez wielką kuchnię. Było tam ciemno, lecz pod ogromnym okapem pieca jarzyła się garść węgli, na których w żelaznym garnku bulgotała wrząca woda. Między dwie ściany wąskiej klatki schodowej napływało jasne światło z góry, z pokoju chorej. Dostojny *Capataz de Cargadores*, stąpający bez szmeru w miękkich, skórzanych sandałach, ze swym bujnym zarostem, muskularną szyją i bronzową piersią, wyzierającą z pod rozchełstanej, pstrej koszuli, podobny był do marynarza ze Śródziemnego morza, który tylko co wysiadł na ląd z jakiejś *felucci*, wiozącej wino lub owoce. U szczytu schodów zatrzymał się barczysty, wąski w biodrach i gibki. Oczy

jego zwróciły się ku łożu, co niby jakieś uroczyste posłanie nurzało się w nadmiarze śnieżnej pościeli. Śród niej siedziała *Padrona* o własnych siłach, pochyliwszy swą wdzięczną, czarnobrewą twarz na piersi. Gęstwa kruczych włosów z nielicznemi tylko, srebrnemi smugami okrywała jej ramiona. Jedno grube pasmo, co zwieszało się od przodu, przysłaniało do połowy jej lica. Znieruchomiona w tej postawie, wyrażającej przygnębienie i niepokój, podniosła oczy na Nostroma.

Capataz miał nawinięty dokoła biódr czerwony pas. Wielki, srebrny pierścień połyskiwał na palcu wskazującym ręki, którą podniósł, by podkręcić wąsa.

— Ich rewolucje, ich rewolucje! — dyszała *seniora* Teresa. — Widzisz, Gianie Battisto, zabiły mnie wkońcu one.

Nostromo nie odezwał się; chora wpatrywała się w niego natrętnemi oczami. — Widzisz, to mnie zabiło, a tyś tymczasem bił się jak warjat za sprawę, która cię nic nie obchodzi.

— Poco to gadanie? — mruknął *Capataz* przez zęby. — Czy pani nigdy nie uwierzy w mój zdrowy rozsądek? Chcę być tem, czem jestem; zawsze sobą samym!

— To też nie zmieniasz się wcale! — sarknęła gorzko. — Zawsze myślisz tylko o sobie i łasisz się na słodkie słówka od ludzi, którzy wcale o ciebie nie dbają.

Istniała między nimi zażyłość antagonizmu, na swój sposób niemniej ścisła od zażyłości, jaką wytwarza czułość i zgoda. Drogi, po których chodził, rozmijały się z życzeniami Teresy. Ona to go zachęciła, by porzucił służbę na okręcie, spodziewając się, że się stanie przyjacielem i obrońcą jej dziewcząt. Żona starego Giorgia znała stan swego zdrowia i drżała na myśl

o osamotnieniu sędziwego męża i opuszczeniu dzieci. Chciała pozyskać tego napozór spokojnego i statecznego młodzieńca, miłego i uległego, który, jak sam powiedział, był sierotą od najmłodszych lat i nie miał we Włoszech nikogo prócz wuja, kapitana i właściciela *felucci*. Zbiegł z niej przed ukończeniem czternastego roku życia, tak go ten wuj poniewierał. Wydał się jej odważnym, skrzętnym pracownikiem, który zdoła sobie utorować drogę w świecie. Z wdzięczności i z nawyknienia miał zostać niby przybranym synem jej i Giorgia; a potem, kto wie, gdy Linda dorośnie... Dziesięć lat różnicy między mężem a żoną nie jest zbyt wiele. Jej własny mąż był od niej niemal o dwadzieścia lat starszy. Gian' Battisto był ponadto ujmującym młodzieńcem. Lubili go mężczyźni, lubiły kobiety i dzieci, dzięki głębokiej spokojności jego istoty. Spokojność ta, niby pogodny zmierzch, czyniła tem ponętniejszą zapowiedź jego krzepkiej budowy i stanowczości jego postępowania.

Stary Giorgio, niewtajemniczony w zamierzenia i nadzieje swej małżonki, poważał wielce młodego rodaka. „Mężczyzny nie należy krępować“, mawiał do niej, przytaczając to przysłowie hiszpańskie na obronę świetnego *Capataza*. Jęła stawać się zazdrosną o jego powodzenie. Obawiała się, że jej się wymknie. Była osobą praktyczną, więc uważała go za niedorzecznego marnotrawcę zalet, które czyniły go tak bardzo cennym. Za mało mu one przynosiły. Zdaniem jej, trwonił je na prawo i na lewo, rozpraszając śród zbyt wielu ludzi. Nie zbierał pieniędzy. Szydziła z jego ubóstwa, jego przygód, miłostek i rozgłosu; ale w głębi duszy nie wyrzekała się go nigdy, jakgdyby naprawdę był jej synem.

Pragnęła go jeszcze widzieć nawet w tej chwili, chwili ciężkiej niemocy, kiedy już czuła chłodne, mroczne tchnienie zbliżającego się końca. Było to niby wyciągnięcie drętwiejącej dłoni dla odzyskania zdobyczy. Lecz przeceniła swe siły. Nie mogła już kierować swemi myślami; zmętniały one na podobieństwo jej wzroku. Plątały się słowa na jej ustach i jedynie przemożna troska oraz utęsknienie jej życia zdawały się jeszcze brać górę nad śmiercią.

Capataz odezwał się: — Słyszałem już to nieraz. Jest pani niesprawiedliwa, ale to mnie nie boli. No, lecz teraz nie ma pani zbyt wiele sił, żeby mówić, a ja znowu nazbyt mało mam czasu, żeby słuchać. Jestem zajęty sprawą ogromnego znaczenia.

Zapytała go z wysiłkiem, czy to prawda, iż znalazł czas, by sprowadzić do niej lekarza. Nostromo skinął potakująco.

Ucieszyła się; ulżyła jej myśl, iż oto ten człowiek zdołał uczynić tak wiele dla kogoś, co istotnie potrzebował jego pomocy. Był to dowód jego przyjaźni. Głos jej stał się mocniejszym.

— Trzeba mi raczej księdza niż doktora — rzekła patetycznie. Nie poruszała głową, tylko jej oczy drgały w kącikach, śledząc *Capataza*, który stał obok jej łoża. — Czy zechcesz teraz sprowadzić mi księdza? Pomyśl tylko! Prosi cię o to konająca kobieta!

Nostromo potrząsnął głową stanowczo. Nie wierzył w kapłańskie posłannictwo księży. Lekarz mógł coś zdziałać; ale ksiądz jako taki nie był zdolny uczynić ani nic dobrego ani nic złego. Nostromo nawet nie wzdrygał się na widok księży, jak to czynił stary Giorgio. W przeświadczeniu jego powołanie ich było najzupełniej nieużyteczne.

— *Padrona* lubiła to już przedtem — odparł — i będzie mogła dogodzić sobie znów za kilka dni. Poświęciłem pani ostatnie chwile, jakiemi rozporządzam. — Niechaj *seniora* Gould przyśle ci księdza.

Zrobiło się mu jakoś nieswojo na myśl o bezbożności tej odmowy. *Padrona* wierzyła w księży i spowiadała się przed nimi. Ale czyniły to wszystkie kobiety. Jużcić nie mogło to mieć żadnego znaczenia. A jednak przykro mu było, gdy pomyślał, czem mogła być dla niej spowiedź, jeżeli wierzyła w nią bodaj odrobinę. Lecz mniejsza o to; było najzupełniejszą prawdą, iż poświęcił jej ostatnie chwile, jakiemi jeszcze rozporządzał.

— Odmawiasz mi? — stęknęła. — Ach, ty zawsze jesteś sobą!

— Niechże *Padrona* weźmie na rozum! — rzekł. — Polecono mi ocalić srebro kopalni. Czy pani słyszy? To większy skarb niżeli te, których podobno strzegą duchy i djabły na Azuerze. To prawda. Podjąłem się tego dzieła, bodaj najzapamiętalszego w całem mojem życiu.

Owładnęło nią rozpaczliwe oburzenie. Próba ostateczna zawiodła. Stojąc nad nią, Nostromo nie widział udręczonych rysów jej twarzy, udręczonych bólem i gniewem. Jęła drżeć na całem ciele. Zatrzęsła się pochylona jej głowa. Szerokie jej barki zadygotały.

— No, to może Bóg zmiłuje się nade mną! Ale baczże, człowieku, żebyś miał coś z tego prócz zgryzot, co cię kiedyś nie miną. — Uśmiechnęła się blado. — Zdobądźże wkońcu bogactwa odrazu, ty niezastąpiony, ty podziwiany Gianie Battisto, dla którego spokój konającej kobiety mniej znaczy od pochwały ludzi, który wzamian za twoje ciało i duszę nic ci nie dali prócz głupiego przezwiska.

Capataz de Cargadores zaklął zcicha pod wąsem.

— Niechaj *Padrona* zostawi mą duszę w spokoju, a sam będę wiedział, jak dbać o swoje ciało. Czemże to tak skrzywdzili mnie ludzie, którym jestem potrzebny? Z czegoż to ja ograbiłem panią i dzieci, że mi tak pani zazdrości? Ci ludzie, którymi pani świechta mi oczy, więcej uczynili dla starego Giorgia, niżeli kiedykolwiek mieli zamiar uczynić dla mnie.

Uderzył się otwartą dłonią w piersi; nie podniósł głosu, jakkolwiek mówił dobitnie. Podkręcił wąsy kolejno, a jego oczy jęły zlekka błądzić po pokoju.

— Czy to moja wina, że tylko ja jestem im przydatny? Co za głupstwa gadacie, matko? Czyżbyście woleli, żebym był nierozgarnięty i tchórzliwy, sprzedawał melony na targu lub woził łodzią podróżnych po zatoce niby cacany jakiś neapolitańczyk, który nie ma męstwa i nie dba o swe imię? Czybyście chcieli, żebym zamłodu żył jak mnich? Nie wierzę temu. Chcecież mnicha dla swej starszej córki? Niech tylko dorośnie. Czego się lękacie? Już od lat gniewacie się na mnie za wszystko, co czynię. Od tej chwili, kiedy po raz pierwszy mówiliście mi w tajemnicy przed starym Giorgiem o swej Lindzie. Miałem być mężem dla jednej, a bratem dla drugiej; czy nie tak? Czemużby nie? Lubię te małe, a trzeba będzie kiedyś się ożenić. Lecz właśnie od tego czasu jęliście mnie umniejszać przed ludźmi. Dlaczego? Czy wam się zdawało, że będziecie mogli włożyć mi obrożę i łańcuch, niby któremuś z psów, co warują przy remizach kolejowych? Wiedzcież, *Padrono*, że jestem tym samym człowiekiem, co wylądował pewnego wieczora, siedział pod słomianą strzechą chaty, w której mieszkaliście wówczas po drugiej stronie miasta i opowiadał wszystko

o sobie. Nie byliście wówczas dla mnie niesprawiedliwi. Cóż zaszło od tego czasu? Nie jestem już byle jakim smarkaczem. Dobre imię, jak Giorgio powiada, jest skarbem, *Padrono*.

— Przewrócili ci w głowie pochwałami — sarknęła chora kobieta. — Odpłacili ci się słowami. Twoje szaleństwo pogrąży cię w ubóstwie, nędzy, niedoli. Nawet *leperos* będą się naśmiewali z ciebie — wielki *Capatazie*...

Nostromo stał przez chwilę jak porażony niemotą. Nie spojrzała na niego ani razu. Ufny, pogodny uśmiech pierzchł nagle z jego ust. Skierował się ku wyjściu. Postać jego niepostrzeżenie znikła za drzwiami. Schodził po schodach nadół z nurtującem w duszy poczuciem, iż dał się poniekąd oszołomić lekceważeniu tej kobiety dla uznania, które zdobył i które pragnął zachować.

Na dole, w obszernej kuchni paliła się świeca w zakolu cieni, padających od ścian i pułapu, ale czerwonawa jej poświata nie wypełniała otwartego prostokątu drzwi, co prowadziły nazewnątrz. Powóz z Mrs. Gould i *Donem* Martinem odjechał już ku przystani, a poprzedzał go jeździec, dzierżący pochodnię. Dr. Monygham pozostał i siedział przy stole, niedaleko lichtarza. Pochylił swą wygoloną, poradloną bliznami twarz, skrzyżował ramiona na piersiach, wydął usta i nie odrywał swych wyłupiastych oczu od czarnej, ubitej ziemi. Wpobliżu kuchennego ogniska, na którem wciąż jeszcze wrzała woda, stał stary Giorgio z brodą, ukrytą w dłoni i jedną nogą, wysuniętą naprzód, jakby przykuty do miejsca jakąś nagłą myślą.

— *Adios, viejo!* — rzekł Nostromo, dotykając rękojeści rewolweru, co wisiał u jego pasa, i obluźnia-

jąc nóż w pochwie. Wziął ze stołu niebieskie *poncho* o czerwonej podszewce i przywdział je przez głowę. — *Adios*, zaopiekuj się gratami w moim pokoju, a jeśli słuch zaginie o mnie, to oddaj skrzynkę Paquicie. Niewiele tam jest cennych rzeczy prócz mojej nowej, meksykańskiej *serape* i kilku srebrnych guzów od mojego najlepszego kaftana. Mniejsza o to! Wcale nieźle będą te rzeczy wyglądały na jej przyszłym kochanku, który nie potrzebuje się obawiać, że będę wałęsał się po śmierci niby owi *Gringos*, co straszą na Azuerze.

Dr. Monygham ściągnął usta gorzkim uśmiechem. Kiedy stary Giorgio wszedł na wąskie schody, skinąwszy zaledwie głową i nie mówiąc ani słowa, odezwał się:

— Jakto, *Capatazie?* Myślałem, że panu wszystko się udaje.

Nostromo zerknął pogardliwie na doktora i stanął we drzwiach, kręcąc papierosa. Po chwili zapalił zapałkę i trzymał ją nad głową, aż do chwili, kiedy płomyk jął już niemal muskać jego palce.

— Niema wiatru! — mruknął do siebie. — Niechno *senior* spojrzy. Czy wie pan, czego się podjąłem?

Dr. Monygham skinął głową opryskliwie.

— To tak, jakbym brał przekleństwo na siebie, *senior Doctor*. Człowiek z takim skarbem będzie miał wszędzie na tem wybrzeżu dobyte przeciw sobie noże. Czy wie pan o tem, *senior Doctor?* Mam pływać, jak wyklęty wzdłuż wybrzeża, aż spotkam parowiec Towarzystwa, zdążający na północ. A wtedy o *Capatazie* sulackich *Cargadorów* będzie głośno od jednego krańca Ameryki do drugiego.

Dr. Monygham parsknął krótkim, gardlanym śmiechem. Nostromo odwrócił się we drzwiach.

— Lecz jeżeli pan zdoła znaleźć innego człowieka, przydatnego i chętnego do tej wyprawy, to ja zostanę. Nie przykrzy mi się jeszcze życie, chociaż jestem taki biedak, iż mógłbym całe swe mienie pomieścić na siodle.

— Gra pan za dużo i nigdy nie odmawia pan ładnej twarzyczce, *Capatazie* — rzekł dr. Monygham z przebiegłą prostotą. — W ten sposób nie robi się majątku. Ale nikt z moich znajomych nie przypuszczał, że jest pan ubogi. Sądzę, iż pomyślał pan o hojnem dla siebie wynagrodzeniu na wypadek, gdyby panu powiodło się ujść cało z tych opałów.

— A jakże to wynagrodzenie wyobraża pan sobie? — zapytał Nostromo, wydmuchując dym przez drzwi.

Dr. Monygham posłuchał przez chwilę, czy kogo niema na schodach, poczem odparł, parskając znów krótkim, urywanym śmiechem:

— Gdybym miał wziąć na siebie przekleństwo śmierci, jak pan się wyraża, to musiałoby być ono niemniejsze od tego skarbu, sławetny *Capatazie.*

Nostromo chrząknął niechętnie na te szydercze słowa i znikł za drzwiami. Dr. Monygham usłyszał tętent oddalającego się konia. Nostromo popędził cwałem w ciemność. Zamigotały światła w zabudowaniach Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej, lecz zanim do nich dotarł, spotkał powóz Gouldów. Poprzedzał go jeździec z pochodnią, w której świetle widniały białe muły, okazały Ignacio i Basilio z karabinem w ręku. Z ciemnego wnętrza powozu głos Mrs. Gould zawołał: — Czekają na pana, *Capatazie*! — Wracała zziębnięta i podniecona, wciąż jeszcze trzymając w ręce notatnik Decouda. Prosił ją, żeby odesłała go jego

siostrze. — Może to ostatnie moje do niej słowa — rzekł, ściskając dłoń Mrs. Gould.

Capataz nie zwolnił pędu. U przyczółka pomostu jakieś mgliste postacie z karabinami przypadły do łba jego konia, inne rzuciły się ku niemu. Byli to *Cargadorowie*, którzy z polecenia kapitana Mitschella stali na straży. Dość było jednego słowa, by odskoczyli pokornie, rozpoznawszy jego głos. U drugiego końca pomostu śród ciemnej gromadki z żarzącemi się cygarami ktoś z ulgą w głosie wymienił jego imię. Byli tam niemal wszyscy Europejczycy ze Sulaca. Zgromadzili się dokoła Charles'a Goulda, jakgdyby srebro kopalni było godłem wspólnej sprawy. Załadowali je na przewozowiec własnemi rękami. Nostromo rozpoznał smukłą, szczupłą postać *Dona* Carlosa Goulda. Stał milczący nieco na uboczu. Druga wysoka postać, którą był inżynier naczelny, rzekła głośno: — Jeżeli ma pójść na marne, to stokroć lepiej, że przepadnie na dnie morza.

Martin Decoud zawołał ze statku: — *Au revoir*, panowie, aż do chwili, kiedy znów podamy sobie ręce nad kolebką nowonarodzonej Rzeczypospolitej Zachodniej. — Na jego czysty, dźwięczny głos odpowiedziały tylko przytłumione szmery. Poczem wydało się mu, iż pomost roztapia się śród nocy. Było to dziełem Nostroma, który już odbijał od pomostu, zaparłszy się ciężkiem wiosłem o pal. Decoud się nie poruszył; doznał wrażenia człowieka, pchniętego w bezmiar. Po kilku pluśnięciach słychać było tylko szmer stóp Nostroma, który krzątał się po łodzi. Podciągnął wielki żagiel. Powiew wiatru musnął policzek Decouda. Wszystko zanikło prócz światła latarni, którą kapitan

Mitschell kazał zawiesić u końca pomostu na wysokim słupie, by wskazywała drogę z portu do zatoki.

Obaj mężczyźni nie widzieli siebie wzajem i nie odzywali się ani słowem, gdy statek pod naporem zmiennych powiewów mknął między niedostrzegalnemi niemal przylądkami, by zanurzyć się w jeszcze głębszą ciemność zatoki. Przez jakiś czas latarnia rzucała za nimi światło z pomostu. Wiatr przycichł, poczem jął powiewać znowu, ale tak słabo, iż wielka, do połowy kryta łódź ślizgała się bez szmeru, jakgdyby zawieszona w powietrzu.

— Przedostaliśmy się wreszcie do zatoki — zabrzmiał spokojny głos Nostroma. Po chwili dodał: — *Senior* Mitschell kazał spuścić latarnię.

— Tak jest, — rzekł Decoud — nikt już nas teraz nie znajdzie.

Wielka nawałność ciemności ogarnęła łódź. Toń w zatoce była niemniej czarna od chmur na niebie. Nostromo napróżno zapalał zapałki, by rzucić okiem na kompas, znajdujący się na pokładzie, i jął wkońcu sterować wedle wiatru, co muskał mu policzek.

Niezwykłą nowością dla Decouda była ta tajemniczość wielkich wód, tak dziwnie rozokolonych i cichych, jakgdyby ich niepokój uległ pod naciskiem tej nieprzeniknionej nocy. *Placido* spał głęboko pod swem czarnem *poncho*.

Główne zadanie, co miało rozstrzygnąć o powodzeniu, polegało obecnie na tem, by oddalić się od wybrzeża i jeszcze przed świtem dotrzeć do środka zatoki. Izabele znajdowały się gdzieś wpobliżu. — Przed panem na lewo, *senior* — rzekł nagle Nostromo. Gdy głos jego przebrzmiał, ogromna cisza, próżna światła i szmeru, jęła oddziaływać na zmysły Decouda niby

jakiś mocny narkotyk. Chwilami nie zdawał sobie nawet sprawy, czy jest we śnie, czy też na jawie. Na podobieństwo człowieka, uśpionego głęboko, nic nie widział. Dla oczu jego nie istniała nawet ręka, podniesiona do twarzy. Przeciwieństwo do niepokojów, namiętności i niebezpieczeństw, do szmerów i głosów, rozlegających się na lądzie, było tak zupełne, iż nie różniłoby się niczem od śmierci, gdyby nie pozostała żywotność jego myśli. W tem przedzmroczu wiekuistego spokoju przemykały one rączo i świetliście niby nieziemsko jasne sny o ziemskich rzeczach, co czarują zapewne dusze, wyzwolone przez śmierć z mglistej atmosfery nadziei i żalu. Decoud otrząsnął się i wzdrygnął nieco, chociaż ciepłe było powietrze, które go otaczało. Doznał niezmiernie dziwnego uczucia, jakoby dusza jego powróciła znów w ciało z rozokolonej ciemności, w której ląd, morze, niebo, góry i skały były jakby nieistniejące.

Od steru rozległ się głos Nostroma, co również zdawał się nie istnieć.

— Czy pan spał, *Donie* Martinie? *Caramba*! Gdy by to było możliwe, przypuszczałbym, że ja również się zdrzemnąłem. Miałem dziwne wrażenie, jakgdyby mi się śnił szmer, podobny do głosu stękającego czy bolejącego człowieka, gdzieś wpobliżu tej łodzi. Było to coś pośredniego pomiędzy wzdychaniem a szlochaniem.

— To dziwnie! — mruknął Decoud, leżąc na stosie skrzyń ze srebrem, przykrytych smołowanemi płachtami. — Czy też niema w zatoce obok nas jakiejś innej łodzi? Pan wie, że nie mogliśmy jej dostrzec.

Nostromo parsknął śmiechem z niedorzeczności tego

pomysłu. Nie mieścił się mu w głowie. Osamotnienie było niemal dotykalne. Gdy wiatr ustał, ciemność przywaliła Decouda jak kamień.

— Jakie to przepotężne! — bąknął — Czy my wogóle płyniemy, *Capatazie?*

— Mniej więcej jak pełzający chrząszcz, co uwiązł w trawie — odrzekł Nostromo, a jego głos zdawał się obumierać za gęstą zasłoną ciemności, co spowijała ich, ciepła i beznadziejna. Nieraz na długo milknął zupełnie i nie było go widać ni słychać, jakgdyby tajemniczo przepadł gdzieś ze statku.

Śród tej bezpostaciowej nocy Nostromo nie był nawet pewny, jaką drogą jął podążać statek, gdy wiatr przycichł zupełnie. Wypatrywał wysp. Nie było ich ani śladu, jakgdyby zapadły się na dno morza. Wkońcu rzucił się jak długi obok Decouda i szepnął mu do ucha, iż gdyby wiatr zawiódł zupełnie i świt zastał ich wpobliżu Sulaca, to byłoby jeszcze rzeczą możliwą ukryć statek za wiszarem, co sterczał u wyżniego krańca Wielkiej Izabeli. Decouda zdziwiła żarliwość jego niepokoju. Dla niego usunięcie skarbu miało znaczenie polityczne. Było wiele powodów, dla których nie powinien był wpaść w ręce Montera, lecz oto był człowiek, który inaczej zapatrywał się na tę sprawę. *Caballeros* z wybrzeża nie mieli nawet najlżejszego pojęcia o tem, co polecili mu uczynić. Jakgdyby pod wpływem otaczającego mroku, Nostromo wydawał się nerwowo przeczulonym. Decoud był zdumiony. *Capataz*, nie dbając o niebezpieczeństwa, co zarysowały się wyraziście w wyobraźni jego towarzysza, oświadczył mu, iż pogardliwą jakąś goryczą przejmuje go śmiertelna fatalność skarbu, który najprościej w świecie powierzono jego dłoniom. Jest to dużo nie-

bezpieczniejsze, mówił Nostromo, klnąc i śmiejąc się, niż posłać kogoś po skarby, których duchy i djabły strzegą ponoć w głębokich czeluściach Azuery. — *Senior* — powiedział — musimy przychwycić parowiec na morzu. Musimy pływać po pełnem morzu i wypatrywać go aż do chwili, kiedy zjemy i wypijemy wszystko, co zabraliśmy na pokład. Gdybyśmy zaś przeoczyli go przypadkiem, to musimy dalej trzymać się zdala od brzegu i pochorujemy się, powarjujemy może, pomrzemy i będziemy błąkali się martwi, aż inny parowiec *Companii* [1]) napotka łódź z dwoma nieżywymi ludźmi, co ocalili te skarby. Oto jedyny sposób, by je ocalić, bo chyba pan rozumie, że przybić gdzieś do brzegu z tem srebrem, nie odpłynąwszy bodaj na jakie sto mil, jest to samo, co rzucić się nagą piersią na ostrze noża. Rozebrało to mnie niby jakaś śmiertelna choroba. Bo coby to było, gdyby ludzie dostrzegli, że jestem trupem, no, i pan także, jako że jest pan ze mną? Tego srebra jest tyle, że możnaby niem wzbogacić całą prowincję. Czyż więc można zatrzymać się z niem w przybrzeżnem *pueblo*, zamieszkanem przez złodziei i włóczęgów? *Senior*, toćby oni myśleli, że samo niebo zsyła im te bogactwa, i pozarzynaliby nas w okamgnieniu jak barany. Nie dowierzałbym ja pięknym słówkom najlepszych nawet ludzi, co mieszkają dokoła tej dzikiej zatoki. Co to mówić? Gdybyśmy nawet oddali te skarby na pierwsze wezwanie, to mimo tego nie zdołalibyśmy ujść cało. Czy pan to pojmuje, lub może jaśniej to panu wytłumaczyć?

— Nie, nie potrzebuje już pan tłumaczyć — rzekł

---

[1]) T. O. Ż. P.

Decoud z lekką urazą. — Ja sam pojmuję, że posiadanie tego skarbu jest jakby śmiertelną chorobą dla ludzi w naszem położeniu. Ale trzeba było usunąć go z Sulaca, a pan jakby był stworzony do tego dzieła.

— Jużcić, ale nie chce mi się wierzyć, — rzekł Nostromo — ażeby jego strata zubożyła bardzo *Dona* Carlosa Goulda. Jest jeszcze więcej tych bogactw w górach. Ukończywszy pracę w porcie, jeździłem nieraz konno do pewnej dziewczyny w Rincon i słyszałem, jak dudniły śród ciszy nocnej po stoczniach. Całemi latami staczały się bogate głazy z hukiem gromu, a górnicy powiadają, że w rdzeniu gór jest ich aż nadto, by grzmiały tak jeszcze przez długie czasy. A jednak walczyliśmy onegdaj, by obronić ten skarb przed motłochem, a dzisiaj wysłano mnie w tę ciemność i ciszę morską, żebym go wywiózł, jakgdyby to był ostatni łut srebra na ziemi, za który można kupić chleba dla głodnych. Ha, ha! No, chcę, żeby to było najsłynniejszem i najrozpaczliwszem dziełem mego życia — a wszystko mi jedno, czy jest wiatr lub go niema. Małe dzieci porosną, a dorośli się zestarzeją, nim pamięć o niem zaginie. Powiedziałem sobie, że monteryści nie dostaną go bez względu na to, co stanie się z Nostromem, *Capatazem* i powiadam panu, że nie będą go mieli, chyba że znajdą je, przywiązane do szyi Nostroma.

— Widzę to — mruknął Decoud. Widział też zaiste, iż jego towarzysz ma swój własny, osobliwy pogląd na to przedsięwzięcie.

Rozmyślania jego nad sposobami, w jakie zużytkowuje się zalety ludzkie, nie mając pojęcia o ich istocie, przerwał Nostromo zapytaniem, czy nie byłoby dobrze wyciągnąć długich wioseł, by popchnąć statek

w kierunku Izabel. Jeżeli tego nie uczyni się przed świtem, to łatwo mogą dostrzeżone być skarby, pływające zaledwie o jaką milę od ujścia przystani. Chciał popłynąć z podmuchami wiatru, co zazwyczaj bywają tem silniejsze, im ciemność jest głębsza; ale dzisiaj zatoka pod swem *ponchem* z obłoków spoczywała tak głucho, iż wydawała się raczej martwą niż uśpioną.

Delikatne ręce *Dona* Martina cierpiały straszliwie, uwierane przez grubą rękojeść olbrzymiego wiosła. Mimo to władał nią dzielnie, zaciskając zęby. On również umotał się w sieci marzeniowego istnienia i wydało się mu, że ta osobliwsza praca przy popychaniu statku kojarzy się z poczęciem nowego państwa, któremu miłość jego do Antonji nadała idealne znaczenie. Mimo wielkich wysiłków, bardzo obciążony statek ledwo się poruszał. Przy wtórze regularnego plusku wioseł rozlegały się klątwy Nostroma. — Kręcimy się wkółko — mruczał do siebie. — Żebyż to można zobaczyć wyspy!

Don Martin przepracował się skutkiem swej niedorzeczności. Od czasu do czasu jakaś mięśniowa omdlałość przenikła z końców obolałych palców we wszystkie włókna jego ciała i roztapiała się w fali gorąca. Walczył, mówił, cierpiał duchowo i fizycznie, wytężając ducha i ciało przez czterdzieści ośm godzin bez przerwy. Nie odpoczywał, jadł bardzo mało, nie miał wytchnienia w rozterce swych uczuć i myśli. Nawet jego miłość do Antonji, z której czerpał siły i natchnienie, przeszła w stan tragicznego napięcia podczas przelotnej rozmowy u łoża *Dona* Joségo. I oto z odmętu tego wszystkiego wpadł nagle w ciemność zatoki, której głęboki mrok, cichość i zatchnięty spokój pomnażał mękę, co wynikała z konieczności fizycz-

nego trudu. Z drżeniem dziwnej rozkoszy wyobrażał sobie, iż statek idzie na dno.

— Jestem na krawędzi obłędu — myślał. Powściągał rozdygotanie wszystkich swych członków, swej piersi, wewnętrzne drżenie całego ciała, pozbawionego sił nerwowych.

— Możebyśmy spoczęli, *Capatazie?* — zagadnął swobodnym tonem. — Mamy jeszcze długą noc przed sobą.

— To prawda. Zdaje mi się, że nie ujechaliśmy więcej, niż milę. Niechaj wypoczną pańskie ramiona, jeżeli o to panu chodzi. Ręczę, iż nie zazna pan innego odpoczynku, odkąd pan sprzągł się z tym skarbem, którego strata nie uczyniłaby żadnego biedaka biedniejszym. Nie, *senior;* nie wypoczniemy, aż spotkamy parowiec, płynący na północ, lub pomrzemy, leżąc na srebrze Anglika, i znajdzie nas jakiś inny okręt. Lecz lepiej — nie; *por Dios!* Raczej zrąbałbym siekierą pokład do samej wody, niż pozwoliłbym, żeby głód i pragnienie pozbawiły mnie sił. Na wszystkich świętych i djabłów! Wolałbym rzucić ten skarb w morze, niż oddać go w ręce obcego człowieka. Skoro *Caballeros* raczyli mnie wysłać na tę wyprawę, to niechaj się dowiedzą, że jestem człowiekiem, jakiego potrzebowali.

Decoud leżał zdyszany na skrzyniach ze srebrem. Wszystkie wrażenia i uczucia, co powodowały nim, odkąd tylko mógł pamięcią zasięgnąć, wydawały się mu szaleństwem sennem. Nawet jego namiętna czułość dla Antonji, do której wzniósł się z padołów swego sceptycyzmu, postradała wszelkie znamiona rzeczywistości. Na chwilę stał się pastwą niezmiernie omdlałej, lecz bynajmniej nie przykrej obojętności.

— Jestem przekonany, iż nie wyobrażali sobie, by pan tak rozpaczliwie mógł wziąć tę sprawę do serca — powiedział.

— Cóż więc to było? Żart? — zżymał się człowiek, którego wykazy płatnicze Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej w Sulaco określały jako „przodownika portowego", wymieniając obok wysokość jego wynagrodzenia. — Czy to dla żartu zbudzono mnie po dwu dniach ulicznej walki, żebym postawił życie na taką kiepską kartę? Wszyscy wiedzą, iż nie mam szczęścia w grze.

— No, tak, ale wszyscy wiedzą, że ma pan szczęście do kobiet, *Capatazie* — uspokajał Decoud swego towarzysza znużonym, przeciągłym głosem.

— Trzeba panu wiedzieć — mówił dalej Nostromo — że nie sprzeciwiłem się nawet. Kiedy usłyszałem, o co chodzi, zrozumiałem, że będzie to rzecz bardzo niebezpieczna, i pomyślałem sobie, że trzeba będzie w niej się rozpatrzyć. Ważna była każda chwila. Najpierw musiałem czekać na pana. Potem, gdyśmy przybyli do *Italia Una*, stary Giorgio krzyknął na mnie, żebym pojechał po angielskiego doktora. Następnie, jak pan wie, chciała widzieć się ze mną ta biedna, konająca kobieta. Pójść nie miałem ochoty, *senior*. Czułem, że to zatracone srebro cięży mi już na grzbiecie i obawiałem się, iż czując się bliską śmierci, zażąda ode mnie, abym pojechał po księdza. Ale ojciec Corbelán jest daleko, bo schronił się śród szajki Hernandeza, zaś ludność, któraby go poszarpała na ćwierci, jest bardzo wzburzona przeciwko księżom. Żaden opasły *Padre* nie zgodziłby się wytknąć dzisiaj nosa ze swej kryjówki, by zbawić chrześcijańską duszę, chyba że wziąłbym go pod swoją opiekę. Oto czego chciała.

Udawałem, iż nie wierzę w jej konanie. *Senior*, nie chciałem sprowadzić księdza do umierającej kobiety...

Decoud drgnął w ciemności.

— Zrobił pan to! — zawołał. Ton jego się zmienił. — No, wie pan — to było bardzo sprytne.

— Pan nie wierzy w księży, *Donie* Martinie? Ja także. Poco to marnować czas? Ale ona — ona w nich wierzy. Stoi mi to kością w gardle. Może już umarła, a my tu wiercimy się bezradnie, bo niema ani krzty wiatru. Niech djabli wezmą wszystkie zabobony! Pewno umarła, myśląc, że pozbawiłem ją raju. To bodaj najfatalniejsza sprawka w mojem życiu.

Decoud nie budził się z zadumy. Rozstrząsał wrażenia, wywołane tem opowiadaniem. Głos *Capataza* zabrzmiał znowu:

— A teraz, *Donie* Martinie, zabierzmy się do wioseł i szukajmy Izabel. Jeżeli dzień nas tu zastanie, to nie pozostanie nic innego jak zatopić statek. Nie zapominajmy, że może nadpłynąć parowiec z Esmeraldy, wiozący żołnierzy. Popłyniemy teraz wprost przed siebie. Znalazłem kawałek świecy i trzeba będzie zapalić go, bo nie można w drodze obejść się bez kompasu. Wiatr jest taki słaby, że jej nie zgasi. Bodaj licho wzięło tę ciemną zatokę!

Błysnął płomyk i wystrzelił prosto wgórę. Zamajaczyły mocne wiązania i żebrowania zaklęsłej, pustej części przewozowca. Decoud ujrzał Nostroma, który wiosłował, stojąc. Widział go od dołu po czerwony pas na biodrach. Migała biała rękojeść rewolweru i drewniany trzonek długiego noża, co wystawał u jego lewego boku. Decoud rozstrajał się od wytężonego wiosłowania. Wprawdzie wiatr był za słaby, by zgasić świecę, lecz mimo to płomię jej drgało zlekka w takt

powolnych ruchów ciężkiej łodzi. Była tak ciężka, iż mimo największych ich wysiłków posuwała się w przeciągu godziny zaledwie o niecałą milę. Wystarczało to jużcić, by dotrzeć do Izabel przed świtem. Mieli przed sobą jeszcze ze sześć godzin ciemności, a odległość od przystani do Izabeli Wielkiej nie przekraczała dwu mil. Decoud wykonywał tę znojną pracę, ulegając niecierpliwości *Capataza*. Przestawali chwilami i nadsłuchiwali bacznie, czy nie płynie statek z Esmeraldy. Zalegała taka ogromna głusza, iż ruch parowca usłyszeliby zdaleka. Niepodobna natomiast było dostrzec czegokolwiek. Nie widzieli siebie wzajemnie. Nawet rozpięty żagiel statku był niewidzialny. Odpoczywali bardzo często.

— *Caramba!* — odezwał się nagle Nostromo podczas jednej takiej przerwy, gdy dyszeli, oparci bezczynnie o ciężkie trzonki wioseł. — Co to takiego? Czy panu co dolega, *Donie* Martinie?

Decoud zapewnił, że nic mu nie dolega. Nostromo zachowywał się przez czas jakiś bardzo cicho, poczem szeptem wezwał Martina, żeby poszedł ku tyłowi łodzi. Dotykając niemal ustami ucha Decouda, oświadczył mu, że prócz nich musi być jeszcze ktoś na statku, bowiem już dwukrotnie słyszał szmer przytłumionego łkania.

— *Senior*, — szeptał z trwożnem zdumieniem — jestem pewien, że ktoś płacze w tej łodzi.

Decoud nie słyszał nic. Dał wyraz swemu niedowierzaniu. Zresztą nietrudno było to sprawdzić.

— To okropne! — szepnął Nostromo. — Czy nie ukrył się kto pod pokładem, gdy statek stał, bokiem przytykając do pomostu?

— I pan powiada, że było to podobne do łkania? —

zapytał Decoud, przyciszając również głos. — Jeżeli ten ktoś płacze, to nie może być bardzo groźnym.

Przedostawszy się przez drogocenny stos, spiętrzony pośrodku, popełzli chyłkiem ku przodowi masztu i dostali się omackiem pod pokład, co do połowy pokrywał łódź. Wyciągając ręce przed siebie, natknęli się w najciemniejszym zakątku na członki jakiegoś człowieka, który milczał jak grób. Oniemieli z osłupienia wywlekli go stamtąd za ramię i kołnierz od odzieży. Był bezwładny — nieżywy.

Światło ogarka padło na krągłą twarz o haczykowatym nosie, czarnych wąsach i niewielkich bokobrodach. Był ohydnie brudny. Niechlujny zarost brody rozpościerał się na wygolone policzki. Grube wargi rozchyliły się nieco, ale oczy pozostały zamknięte. Ku niezmiernemu swemu zdumieniu poznał Decoud *seniora* Hirscha, handlarza skór z Esmeraldy. Nostromo poznał go również. I patrzyli wzajem na siebie nad tem ciałem, co leżało w niedorzecznem udaniu snu, omdlenia czy śmierci, mając nagie stopy wyżej od głowy.

Dokonawszy tego nadzwyczajnego odkrycia, zapomnieli na chwilę o swych troskach i odczuwaniach. Wrażenia leżącego *seniora* Hirscha graniczyły zapewne z ostateczną grozą. Przez długi czas nie chciał dać znaku życia i dopiero wymyślania Decouda, zaś w większej bodaj mierze niecierpliwa wzmianka Nostroma, że należałoby go wrzucić do morza, gdyż wygląda na nieżywego, skłoniły go, iż podniósł najpierw jedną powiekę, a potem drugą.

Okazało się, że nie mógł znaleźć sprzyjającej okoliczności do wyjazdu ze Sulaca. Mieszkał u Anzaniego, uniwersalnego kramarza, przy *Plaza Mayor*. Lecz gdy wszczęły się rozruchy, czmychnął przed świtem z domu

swego gospodarza tak śpiesznie, iż zapomniał przywdziać obuwie. Wybiegł odruchowo tylko w skarpetkach i z kapeluszem w ręku do ogrodu, co znajdował się przy domu Anzaniego. Trwoga natchnęła go przymusową zręcznością; dzięki jej przeskoczył kilka niskich murów, poczem wpadł naoślep do zarośniętych chaszczami krużganków zrujnowanego klasztoru franciszkańskiego, co wznosił się przy jednym z zaułków. Wcisnął się z nieoględnością rozpaczy w splątane gąszcze i stąd pochodziły zadraśnięcia na jego ciele i dziury w odzieży. Leżał tam ukryty przez cały dzień, a język przysechł mu do podniebienia, tak bardzo dręczyło go pragnienie, wywołane upałem i lękiem. Trzy razy śród przekleństw i krzyków wpadali tam jacyś ludzie, szukając ojca Corbelána. Ku wieczorowi, wciąż jeszcze leżąc w krzakach twarzą do ziemi, uczuł, że skona ze strachu przed otaczającą go ciszą. Niebardzo wiedział, co go skłoniło do opuszczenia tego miejsca, ale jakoś stamtąd wypełzł i wymknął się szczęśliwie z miasta opustoszałemi, bocznemi uliczkami.

Tułał się w ciemnościach opodal kolei tak opętany przerażeniem, iż nie śmiał nawet zbliżyć się do ognisk, pozapalanych przez placówki robotników włoskich, którzy strzegli toru. Błysnęło mu niejasno w głowie, iż znajdzie schronienie w remizach kolejowych, lecz psy rzuciły się na niego, warcząc; ludzie jęli się nawoływać; ktoś dał ognia naoślep. Uciekł tedy od bram. Najzupełniej przypadkowo, jak to się zdarza, podążył w kierunku składów Towarzystwa Oceanicznej Żeglugi Parowej. Dwa razy potykał się na trupach ludzi, zabitych za dnia, lecz oznaki życia przerażały go jeszcze więcej. Łaził, czołgał się, pełzał, skakał,

i wiedziony jakimś zwierzęcym instynktem, unikał świateł i szmeru głosów. Miał zamiar rzucić się do stóp kapitana Mitschella i prosić o schronienie w biurach Towarzystwa. Było tam ciemno, gdy zbliżył się, czołgając się na czworakach; wtem ktoś, stojący na straży, zawołał głośno: *Quien vive?* Leżało tam więcej zewłoków ludzkich, więc przypłaszczył się obok jakiegoś zimnego trupa. Usłyszał czyjś głos: — To włóczy się pewno któryś z tych rannych łotrów. Czy nie byłoby dobrze pójść i dobić go? — Zaś inny głos ostrzegał, że niebezpiecznie jest iść na taką wędrówkę bez latarni; że może jest to tylko jakiś murzyński liberał, co radby nożem żgnąć w brzuch uczciwego człowieka. Hirsch nie słuchał już dalej, lecz poczołgał się chyłkiem do końca pobrzeża i ukrył się śród stosu pustych beczek. Po chwili nadeszło kilka osób, które rozmawiały, migając żarem papierosów. Nie zastanowił się bynajmniej nad tem, czy wyglądają na ludzi, co mogą mu wyrządzić krzywdę, lecz czmychnął niewstrzymany do końca pomostu, ujrzał tam uwiązany statek i wpadł do niego. Pragnąc się ukryć, wpełzł odrazu pod pokład i leżał, raczej martwy niż żywy, dręczony torturą pragnienia i głodu i niemal nieprzytomny z przestrachu. Wtem rozległy się stąpania i głosy Europejczyków, którzy przyszli tam gromadą, czuwając nad drezyną, pełną skarbów, popychaną po szynach przez kilku *Cargadorów*. Wyrozumiał z rozmowy, na co się zanosi, ale nie wydał się ze swą obecnością, obawiając się, że nie będzie mu wolno pozostać. Jedyną jego podówczas, przemożną i wszechpotężną chęcią było wydostać się z tego straszliwego Sulaca. Teraz żałował tego bardzo. Słyszał rozmowę Nostroma z Decoudem i chciał powrócić na ląd. Nie

miał ochoty mieszać się do rozpaczliwych przedsięwzięć — i znaleźć się w matni, z której nie można drapnąć. Mimowolne biadania jego struchlałej duszy nie uszły baczności bystrego słuchu *Capataza.*

Podźwignęli go i oparli w pozycji siedzącej o ścianę statku. Opowiadał im dalej płaczliwie o swych przygodach, aż głos mu uwiązł i głowa opadła na piersi. — Wody! — szepnął z trudnością. Decoud nachylił konewkę do jego ust. Przyszedł do siebie nadzwyczaj szybko i zerwał się dziko na nogi. Nostromo gniewnym i groźnym głosem kazał mu pójść ku przodowi statku. Hirsch należał do ludzi, których strach chłosta na podobieństwo bicza i miał zapewne straszliwe pojęcie o dzikości *Capataza.* Z niesłychaną rączością rzucił się naprzód i znikł w ciemnościach. Słyszeli, jak przełaził przez smołowane płachty; potem rozległ się łoskot ciężkiego upadku i żałosny jęk. Następnie zaległa cisza w przedniej części statku, jakby się zabił, padając na złamanie karku. Nostromo krzyknął groźnie:

— Leż tam cicho! Nie ruszaj się wcale! Jeśli usłyszę, że oddychasz za głośno, to pójdę tam i strzelę ci w łeb.

Dość jest bodaj biernej obecności tchórza, by w niebezpiecznem położeniu zakiełkował zarodek zdrady. Nerwowa niecierpliwość Nostroma przemieniła się w posępną zadumę. Decoud półgłosem, jakby mówiąc do siebie samego, zauważył, iż ten dziwaczny wypadek nie czyni wielkiej różnicy. Nie pojmował, w czem ten człowiek zaszkodzić może. W ostateczności będzie zawadzał niby bezduszny i nieużyteczny przedmiot — naprzykład kłoda drzewa.

— Namyślałbym się dwa razy, zanimbym się pozbył

kawałka drzewa — rzekł Nostromo spokojnie. — Może się zdarzyć coś nieoczekiwanego i wtedy bywa on niekiedy pożytecznym. Ale w położeniu takiem, jak nasze, takiego człowieka należałoby wrzucić w morze. Jest zbyteczny, nawet gdyby był odważny jak lew. Nie uciekamy dla ratowania życia. *Senior*, niema w tem hańby, gdy dzielny człowiek stara się ocalić mężnie i przemyślnie; ale pan słyszał jego opowiadanie, *Donie* Martinie! Jego obecność tutaj jest cudem trwogi... — Nostromo przerwał. — Niema na tym statku miejsca dla trwogi — dorzucił przez zęby.

Decoud nie miał na to odpowiedzi. Nie było to położenie, w którem godziło się rozumować, powoływać na uczucia lub skrupuły. Na tysiąc różnych sposobów mógł stać się niebezpiecznym ten człowiek, opętany przez trwogę. Było rzeczą oczywistą, że Hirscha nie da się namówić, zakląć ni przekonać, by zachowywał się rozsądnie. Historja jego ucieczki dowodziła tego aż nadto. Decoudowi przyszło na myśl, że była to ogromna szkoda, iż ten nikczemnik nie skonał ze strachu. Przyroda, która uczyniła go tem, czem był, wymiarkowała snadź okrutnie, ile może znieść przeraźliwego lęku i nie wyzionąć przytem ducha. Takiemu przerażeniu godziło się okazać nieco współczucia. Decoud, acz pobudliwy uczuciowo, postanowił nie mieszać się do tego, co Nostromo przedsięweźmie. Ale Nostromo nic nie uczynił. To też los *seniora* Hirscha zawisł w oćmach zatoki, zdany na łaskę wypadków, których nie można było przewidzieć.

Capataz, wyciągnąwszy rękę, zgasił nagle świecę. Wydało się Decoudowi, jakgdyby jego towarzysz unicestwił świat interesów, miłości i rewolucji, w którym jego łaskawa wyższość analizowała bez trwogi wszystkie

pobudki i wszystkie namiętności, nie wyłączając własnych.

Westchnął zlekka. Decoud pozostawał pod wrażeniem nowości swego położenia. Ufny w swą inteligencję, cierpiał, iż oto pozbawiono go jednej broni, której mógł użyć z powodzeniem. Inteligencja nie była zdolna przeniknąć ciemności, co zalegały *Golfo Placido*. Jednej tylko rzeczy był zupełnie pewny, mianowicie zarozumiałej próżności swego towarzysza. Była bezpośrednią, niezłożoną, naiwna i czynna. Decoud, który posługiwał się nim, starał się przeniknąć tego człowieka do głębi. Odkrył zupełną prostolinijność pobudki poza zmiennemi przejawami jednolitego charakteru. To była przyczyna, dla której człowiek ten zachował zdumiewającą prostotę w zazdrosnej wielkości swego wyobrażenia. I oto nastąpiło powikłanie. Był najwidoczniej niezadowolony, iż wdał się w sprawę, która tak mało miała widoków powodzenia. — Ciekaw jestem — myślał Decoud — jakby się zachował, gdyby mnie tu nie było.

Usłyszał, iż Nostromo jął szeptać znowu: — Nie, niema miejsca dla trwogi na tym statku. Zdaje się, że nie wystarczy tu nawet męstwo. Mam dobre oko i mocną rękę, nikt jeszcze nie widział mnie znużonym lub niepewnym. Ale *por Dios*, *Donie* Martinie, wysłano mnie w tę czarną otchłań, gdzie ani dobre oko ani mocna ręka ani zdrowy rozum na nic się nie przydadzą... Wyzionął zcicha całe mnóstwo przekleństw włoskich i hiszpańskich — To istna rozpacz ta cała sprawa!

Słowa te pozostawały w jaskrawej sprzeczności z przemożnym spokojem — z nieprzeniknioną niemal głuszą zatoki. Deszcz mżył, szemrząc z przerwami dokoła łodzi.

Decoud zdjął kapelusz i doznał wielkiej ulgi, gdy zwilgotniało mu czoło. Równy, lekki powiew muskał jego policzki. Statek jął się poruszać, lecz mżenie deszczu wyprzedziło go. Przestały siąpić krople na twarz i na ręce, szemranie zamarło w oddali. Nostromo chrząknął z zadowolenia i, ująwszy ster w dłonie, jął gruchać słodko, jak zwykli czynić marynarze, kiedy chcą zwabić wiatr. W ciągu ostatnich trzech dni nigdy jeszcze Decoud nie odczuwał w mniejszym stopniu niedostatku tego, co *Capataz* nazywał rozpaczą.

— Zdaje mi się, iż słyszę znów gdzieś mżenie deszczu na wodzie — zauważył tonem spokojnego zadowolenia. — Mam nadzieję, że jeszcze nas pokropi.

Odrazu przestał Nostromo gruchać. — Pan słyszy, że znowu gdzieś mży? — rzekł z powątpiewaniem. Ciemność zaczęła jakby się przecierać i Decoud jął dostrzegać zarys postaci swego towarzysza; nawet żagiel wynurzył się z mroków nocnych niby graniasta bryła zbitego śniegu.

Szmer, zasłyszany przez Decouda, słaniał się szorstko po wodzie. Nostromo rozpoznał, że był to szmer, pośredni między sykiem i szczękiem, jaki rozpierzcha się na wszystkie strony od parowca, płynącego cichą nocą po wygładzonej toni. Nie mogło to być nic innego jak tylko transportowiec, wiozący wojsko z Esmeraldy. Dyszenie jego pary wzmagało się z każdą chwilą, ustawało niekiedy, potem odzywało się znagła na nowo nierównie bliżej, jakby ten niewidzialny okręt, którego pozycji niepodobna było dokładnie oznaczyć, zmierzał wprost ku statkowi ze srebrem. Tymczasem tenże żaglował zwolna i cicho, posuwany powiewem tak słabym, iż Decoud dopiero wówczas przekonał się, że łódź wogóle płynie, gdy przełożył ramię przez jej

brzeg i uczuł wodę, ślizgającą się między palcami. Jego senność minęła. Cieszył się, że statek się porusza. Po niezmiernej cichości łoskot parowca pogrążał jakby w odurzeniu i roztargnieniu. Było to istnem czarodziejstwem, iż nie można było go zobaczyć. Nagle wszystko ucichło. Okręt zatrzymał się, ale tak blisko nich, że wydmuchiwana para burczała tuż nad ich głowami.

— Chcą wymiarkować, gdzie się znajdują — szepnął Decoud. Wychylił się znowu i zanurzył palce w wodzie. — Ruszamy się wcale raźnie — zawiadamiał Nostroma.

— Mijamy, jak się zdaje, obłąk ich parowca — rzekł *Capataz* ostrożnie. — Ale jest to ciuciubabka ze śmiercią. Posuwanie łodzi na nic nam się nie przyda. Trzeba, żeby nas nie widziano i nie słyszano.

Szeptał głosem, ochrypłym z podniecenia. Z całej jego twarzy widać było tylko mżenie białek w oczach. Palce jego wpiły się w ramię Decouda. — To jedyny sposób, jeśli chce się ocalić ten skarb przed parowcem, pełnym żołnierzy. Inni zapaliliby światła. Tymczasem, jak pan widzi, na ich pokładzie niema ani płomyka, któryby nam wskazał, gdzie się znajdują.

Decoud stał jak ubezwładniony; tylko jego myśli przewalały się opętańczo. Mignął w jego pamięci beznadziejny wyraz oczu Antonji, gdy odchodził, pozostawiając ją obok łoża jej ojca w mrocznym domu Avellanosów; okiennice były pozamykane, ale wszystkie drzwi stały otworem; służby nie było prócz starego murzyna u bramy. Przypomniał sobie swe ostatnie odwiedziny w *Casie Gould*, swe dowodzenia, tony swego głosu, niedocieczone zachowanie się Charles'a, twarz Mrs. Gould, tak pobladłą od troski i znużenia,

iż jej oczy wyglądały, jakby zmieniły barwę i przez kontrast stały się niemal czarnemi. W umyśle jego przemknęły nawet całe okresy z proklamacji, którą ze swej kwatery głównej miał ogłosić Barrios po wylądowaniu w Caycie. Był to istny zalążek nowego państwa, ta separatystyczna proklamacja. Przed swym odjazdem próbował ją naprędce odczytać *Donowi* Josému, leżącemu w łóżku pod zakrzepłem spojrzeniem córki. Bóg tylko wie, czy sędziwy mąż stanu ją rozumiał; nie mógł mówić, lecz to pewna, że podźwignął ramię z kołdry. Ręka jego poruszyła się, jakgdyby chciała uczynić znak krzyża w powietrzu, gest błogosławieństwa i przyzwolenia. Decoud miał w kieszeni bruljon tej proklamacji, skreślony ołówkiem na kilku luźnych ćwiartkach papieru, opatrzonego okazałym nagłówkiem: „Zarząd Kopalni Srebra San Tomé, Sulaco. Rzeczpospolita Costaguana". Pisał ją zaciekle, porywając arkusz po arkuszu ze stołu Charles'a Goulda. Mrs. Gould zaglądała mu kilka razy przez ramię przy tem pisaniu; ale *senior Administrador*, rozparłszy się na nogach, nie raczył nawet rzucić okiem, gdy proklamacja była gotowa. Odżegnał się od niej stanowczym ruchem. Musiała to być wzgarda a nie przezorność, gdyż nie okazał niezadowolenia, że papieru z nagłówkiem Zarządu użyto na taki kompromitujący dokument. Dowodziło to lekceważenia, iście angielskiego lekceważenia zwyczajnej roztropności, jakgdyby wszystko, co leży poza obrębem angielskich myśli i odczuwań, było niegodne poważnego zastanowienia. Decoud w przeciągu jednej czy dwu sekund zdołał zapamiętać się z gniewu przeciw Charles'owi Gouldowi, a nawet uczuł się urażonym przez Mrs. Gould, której, milcząco, coprawda, powierzył opiekę nad

Antonją. — Stokroć lepiej zginąć niż swe ocalenie zawdzięczać takim ludziom! — zawołał w myśli. Chwyt Nostroma, który nie puszczał jego ramienia, zaciskając uparcie palce, przywołał go do przytomności.

— Ciemność jest naszym sprzymierzeńcem — szeptał mu *Capataz* do ucha. — Mam zamiar spuścić żagiel i zdać naszą ucieczkę na łaskę tej czarnej zatoki. Niczyje oczy nie zdołają nas dostrzec, gdy będziemy zachowywali się cicho, a żagla nie będzie na maszcie. Zrobię to zaraz, zanim ten parowiec zdoła przymknąć jeszcze bliżej do nas. Lekkie trzeszczenie bloku wydałoby nas i skarb ze San Tomé wpadłby w ręce tych złodziei.

Zakrzątnął się przezornie jak kot. Decoud nic nie usłyszał i jedynie po zniknięciu prostokątnej płachty ciemności zdał sobie sprawę, że reja się obsunęła, spuszczona tak starannie jakgdyby była szklanna. W chwilę później usłyszał obok siebie spokojny oddech Nostroma.

— Niech pan lepiej nie rusza się z miejsca — napominał go *Capataz* usilnie. — Mógłby pan się potknąć lub potrącić o coś głośno. Dokoła leżą wiosła i drągi. Niech pan się nie rusza, jeśli panu życie miłe! *Por Dios*, *Donie* Martinie — mówił dalej ostrym, lecz przyjaznym szeptem — jestem tak zrozpaczony, iż gdybym, nie wiedział, że jest pan człowiekiem odważnym, który zdoła zachować się cicho bez względu na to, co się zdarzy, pchnąłbym pana nożem w serce.

Śmiertelna cisza zalegała dokoła statku. Nie chciało się wierzyć, iż wpobliżu znajduje się parowiec, pełen ludzi, i że mnóstwo oczu śledzi z pomostu, czy śród nocy nie zamajaczy gdzie zarys lądu. Przestała ziać para, a okręt stał widocznie tak daleko, że żaden inny poszmer nie dosięgał łodzi.

— Możeby pan pchnął, *Capatazie* — zaczął Decoud szeptem. — Ale niechaj się pan nie kłopocze. Są inne rzeczy, niż obawa przed pańskim nożem, które dodają siły mojemu sercu. Nie zawiedzie ono pana. Zapomniał pan jednak...

— Mówiłem do pana otwarcie jak człowiek zrozpaczony — tłumaczył się *Capataz*. — Musimy ocalić to srebro przed monterystami. Trzy razy mówiłem kapitanowi Mitschellowi, że wolę popłynąć sam. Mówiłem to również *Donowi* Charles'owi Gouldowi. Było to w *Casie Gould*. Posłali po mnie. Były tam panie. Kiedy im tłumaczyłem, dlaczego nie chciałbym zabierać pana ze sobą, przyrzekły mi obie wielkie nagrody za ocalenie pana. Dziwny to sposób mówienia z człowiekiem, którego wysyła się na pewną niemal śmierć. Tacy państwo nie mają, jak się zdaje, dość rozsądku, aby zrozumieć, czego wymagają od drugich. Odpowiedziałem im, że nie mogę nic dla pana uczynić, że byłby pan bezpieczniejszy z bandytą Hernandezem. Było rzeczą możliwą wyjechać konno z miasta, narażając się zaledwie na kulę, co może świsnęłaby w ciemności. Lecz były jak głuche. Musiałem przyrzec, że zaczekam na pana pod bramą u przystani. Zaczekałem. Teraz, kiedy okazał się pan dzielnym człowiekiem, jest pan równie bezpieczny jak srebro. Ani mniej, ani więcej.

W tej chwili, jakby na dopełnienie słów Nostroma, niewidzialny parowiec ruszył naprzód, zachowując ledwie połowę swej chyżości, o czem świadczyły powolne uderzenia koła. Łoskot zmienił swe miejsce wyraźnie, ale się nie przybliżył. Stał się nawet nieco odleglejszym i wnet ucichł.

— Szukają miejsca, skądby mogli zobaczyć Izabelę,—

pomrukiwał Nostromo — żeby stamtąd popłynąć naprost do portu i zagarnąć Urząd Cłowy wraz ze skarbami. Czy pan widział kiedy komendanta Esmeraldy, Sotilla? Przystojny człowiek i ma miły głos. Gdym tu przyjechał, widywałem go na *Calle*, mizdrzącego się do *seniorit* w oknach i szczerzącego nieustannie białe zęby. Ale jeden z moich *Cargadorów*, który służył w wojsku, opowiadał mi, iż pewnego razu kazał odrzeć żywcem ze skóry jakiegoś człowieka gdzieś tam na *Campo*, dokąd go posłano dla przeprowadzenia poboru wojskowego śród ludności *Estancij*. Nie mieściło mu się zapewne w głowie, żeby *Compania* posiadała człowieka, który udaremni jego zamiary.

Przyciszona wielomówność *Capataza* raziła Decouda niby oznaka słabości. A jednak odwaga gadatliwa może być równie szczera jak zawzięte milczenie.

— Nie wywiódł pan jeszcze Sotilla w pole — odezwał się. — Czy nie pamięta pan już o tym nicponiu, który leży hen, na przedzie?

Nostromo zapomniał o *seniorze* Hirschu. Wyrzucał sobie gorzko, iż nie przetrząsnął starannie statku przed opuszczeniem portu. Nie mógł sobie darować, że nie zakłuł nożem i nie wrzucił do morza Hirscha zaraz w pierwszej chwili, nie zaglądając mu nawet w twarz. Byłoby to zgodne z rozpaczliwym charakterem tej wyprawy. Bez względu na to, co nastąpi, Sotillo jest już wywiedziony w pole. Gdyby nawet ten łajdak, który leży teraz cicho jak nieżywy, zdradził czemkolwiek bliskość statku, to jednak Sotillo — jeżeli to on dowodzi wojskiem na statku — nie posiądzie łupu.

— Mam w ręku siekierę, — szepnął Nostromo zaciekle — co trzema cięciami przerąbie ścianę po samą wodę. Ponadto każdy taki statek ma w swem dnie

od tyłu czop. Wiem dokładnie, gdzie on jest. Czuję go pod moją podeszwą.

Decoud rozpoznał brzmienie niekłamanej stanowczości w nerwowych pomrukach i mściwem podnieceniu znakomitego *Capataza.* — Zanim parowiec, wiedziony jednym lub dwoma okrzykami (bo więcej ich być nie może — rzekł Nostromo, zacinając głośno zęby), zdąży odszukać statek, będzie poddostatkiem czasu, by poszedł na dno ten skarb, uwiązany u jego szyi.

Ostatnie słowa wtargnęły z sykiem do ucha Decouda. Nie odezwał się. Był najzupełniej przekonany. Pierzchł zwykły, charakterystyczny spokój tego człowieka. Nie był zgodny z jego pojęciami o położeniu. Coś głębszego, coś, czego nikt nie oczekiwał, wydobyło się na powierzchnię. Decoud ostrożnemi ruchami zdjął ze siebie zwierzchnię odzież i zzuł obuwie; nie uważał za obowiązek swego honoru utonąć wraz z skarbem. Zadaniem jego było przedostać się do Cayty, do Barriosa, o czem *Capataz* dobrze wiedział. On również zamierzał we właściwy sobie sposób tchnąć w ten poryw wszystką rozpacz, do jakiej był zdolny. Nostromo szeptał: — Słusznie, słusznie! Pan jest politykiem, *senior.* Powinien pan przedostać się do armji i wywołać nową rewolucję. — Nadmienił ponadto, iż są w posiadaniu małego czółna, co bywa na każdym przewozowcu i może unieść co najmniej dwu ludzi, jeżeli nie więcej. Ich czółno było przywiązane ztyłu.

Decoud go nie zauważył. Było coprawda na to za ciemno. Dopiero wówczas doznał zupełnej ulgi, gdy Nostromo położył jego rękę na linie, co przytrzymywała czółno i była przytroczona zapomocą zaszczepki, umieszczonej w tylnej części statku. Wstrząsnęła nim myśl, że może znaleźć się we wodzie, że ogłuszony

ciemnością i niezwykłością, będzie pływał, kręcąc się prawdopodobnie na miejscu, aż w końcu z wyczerpania pójdzie na dno. Jałowej i okrutnej czczości takiego końca zlękła się jego nieszczera skłonność do beztroskliwego pesymizmu. W porównaniu z nim, wprost rozkoszą, którą warto było okupić nawet niejaką dla siebie pogardą, wydawało się mu przypuszczenie, że będzie się błąkał po morzu w czółnie, narażony na pragnienie, głód, uwięzienie i stracenie. Nie przyjął rady Nostroma, żeby zaraz wsiadł do czółna. — Może nas coś zaskoczyć nagle — rzekł *Capataz*, obiecując zarazem solennie, iż odczepi łódź, kiedy zajdzie konieczna potrzeba.

Lecz Decoud oświadczył mu swobodnie, że ma zamiar posłużyć się czółnem dopiero w ostatniej chwili i tylko w takim razie, gdy *Capataz* będzie mu towarzyszył. Oćma zatoki nie była już dlań końcem wszechrzeczy. Tworzyła część ożywionego świata, gdyż przeprawiając się przez nią, pozostawało się pod grozą zatraty i śmierci. Była jednak zarazem ochroną. Radował się jej nieprzebitą ciemnością. — Niby mur, niby mur! — mamrotał do siebie.

Jedyną rzeczą, która krępowała jego ufność, była myśl o *seniorze* Hirschu. Że go się nie związało i nie zakneblowało, było to obecnie dla Decouda wprost szczytem nieopatrznego szaleństwa. Nędznik ten mógł wrzasnąć, był więc nieustającem niebezpieczeństwem. Nikczemny jego lęk zakrzepł teraz wprawdzie w milczeniu, ale nie można było przewidzieć, czy nie rozpęta go co w nagłe krzyki. Ten istny szał trwogi, który zarówno Decoud jak Nostromo dostrzegli w błędnych, nieprzytomnych spojrzeniach oraz w ciągłych skurczach jego ust, chronił *seniora* Hirscha przed okrut-

nemi koniecznościami rozpaczliwej wyprawy. Minęła chwila, kiedy było można uciszyć go na wieki. Odpowiadając na ubolewania Decouda, oświadczył Nostromo, że było za późno. Nie można było uczynić tego pocichu, zwłaszcza że nie wiedziało się dokładnie, gdzie się znajduje. Niebezpiecznie było zbliżać się do miejsca, w którem płaszczy się i trzęsie. Jąłby prawdopodobnie skomleć o zmiłowanie. Zachowuje się cicho, więc będzie dużo lepiej pozostawić go w spokoju. Atoli to poleganie na jego milczeniu stawało się z każdą chwilą coraz przykrzejszem dla ustroju duchowego Decouda.

— Wolałbym, *Capatazie*, żeby pan nie był przeoczył stosownej chwili — zamamrotał.

— Co? Żeby go uciszyć raz na zawsze? Chciałem pierwej dowiedzieć się, w jaki sposób tu się dostał. Było to bardzo dziwne. Któż mógł przypuścić, że stało się to tylko przypadkiem? Później, *senior*, kiedy zobaczyłem, że pan podaje mu wodę, nie mogłem już tego uczynić. Widziałem, jak nachylał pan konew do jego ust, jak poił go pan niby rodzonego brata, i już nie mogłem. *Senior*, nad taką koniecznością nie należy namyślać się zbyt długo. A jednak nie byłoby to okrucieństwem, gdyby go się pozbawiło tego nędznego życia. Jest ono ciągłą trwogą. To pańskie współczucie ocaliło go, *Donie* Martinie, a teraz już za późno. Nie można tego zrobić pocichu.

Parowiec stał, pogrążony w głuchem milczeniu i cisza była tak głęboka, iż zdawało się Decoudowi, jakoby nawet najlżejszy, zaledwie pojmowaniu dostępny szmer musiał rozlegać się głośno i bez przeszkody aż po krańce świata. Coby to było, gdyby Hirsch zakaszlał lub kichnął? Czuć się na łasce podobnie idjo-

tycznego wypadku było rzeczą zbyt przykrą, żeby można było zbywać ją ironją. Nostromo również zdawał się niepokoić. Czy to możliwe, — zadawał sobie pytanie — żeby ten parowiec, przyniewolony zbyt ciemną nocą, zamierzał nie ruszyć się z miejsca przed świtem? Jął przypuszczać, iż może stać się to istotnem niebezpieczeństwem. Lękał się, by ciemność, co była jego opiekunką, nie stała się wkońcu przyczyną jego zguby.

Sotillo, jak Nostromo przypuszczał, dowodził istotnie na pokładzie transportowca. Nie wiedział o wypadkach, które zaszły w Sulaco w przeciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin. Nie dowiedział się również, iż telegrafista z Esmeraldy zdołał ostrzec swego kolegę w Sulaco. Podobnie jak wielu innych oficerów, dowodzących załogami, rozmieszczonemi na prowincji, przechylił się na stronę ribierzystów w mniemaniu, iż mają oni na swe usługi niezmierne bogactwa koncesji Gouldów. Należał do tych, którzy bywali *w Casie Gould*, gdzie popisywał się konserwatywnemi przekonaniami i swym zapałem do reform przed *Donem* Josém Avellanosem, rzucając przytem co chwila otwarte, uczciwe spojrzenia w stronę Mrs. Gould i Antonji. Wiedziano, iż pochodził z zacnej rodziny, prześladowanej i zubożonej za tyranji Guzmana Benty. Poglądy, które wygłaszał, wydawały się najzupełnej naturalnemi i godziwemi u człowieka, który miał takich przodków i takie koligacje. Nie okłamywał; był w doskonałej zgodzie ze sobą, dając wyraz górnym uczuciom, gdyż wszystkie jego władze były zaprzątnięte tem, co podówczas wydawało się mu rzetelną i praktyczną myślą — mianowicie, że mąż Antonji Avellanos będzie jużcić pozostawał w zażyłych stosunkach z koncesją

Gouldów. Wyłuszczył to nawet raz Anzaniemu, układając się z nim o szóstą czy siódmą, niewielką pożyczkę w mrocznem i wilgotnem mieszkaniu, co zabezpieczone ogromnemi, żelaznemi wrzeciądzami, znajdowało się na tyłach głównego sklepu pod arkadami. Dał do zrozumienia uniwersalnemu kramarzowi, iż łączą go węzły sympatji z emancypowaną *senioritą*, która jest jakby siostrą Angielki. Wysunął jedną nogę naprzód i wziął się pod boki, nakazując swą postawą podziw Anzaniemu i mierząc go wyniosłem spojrzeniem.

— Spójrz na mnie, nędzny sklepikarzu! Czyż takiemu człowiekowi może się oprzeć która kobieta, jakaś tam samotna, emancypowana panna, która nawykła do gorszącej swobody? — zdawał się mówić.

Zachowanie się jego w *Casie Gould* było jużcić zupełnie odmienne — pozbawione wszelkiego chamstwa i nawet nieco smętne. Podobnie jak wielu jego ziomków, dawał się ponosić brzmieniu pięknych słów, zwłaszcza wypowiedzianych przez niego samego. Nie miał żadnych innych przekonań prócz przeświadczenia o nieodpartej potędze własnej wyższości. Ale było ono tak mocne, iż nie zaniepokoił się nawet pojawieniem się Decouda w Sulaco, jego bliską zażyłością z Gouldami i Avellanosami. Wręcz przeciwnie, starał się zaprzyjaźnić z bogatym *Costaguanerem*, który przyjechał z Europy, spodziewając się, iż wkrótce wyłudzi od niego znaczniejszą sumę. Jedyną pobudką kierowniczą jego życia było zdobyć pieniądze na zaspokojenie swych kosztownych zachcianek, którym hołdował bezwzględnie, nie posiadając panowania nad sobą. Wyobrażał sobie, iż jest mistrzem w intrygach, ale jego zepsucie było tak proste jak instynkt zwierzęcy. Osamotniony, miewał niekiedy chwile dzikości; występo-

wała ona u niego również w pewnych okolicznościach, jak naprzykład, kiedy był sam w pokoju z Anzanim i starał się wydostać od niego pożyczkę.

Narzucił się swem gadaniem na komendanta załogi w Esmeraldzie. Mała ta przystań morska nie była pozbawiona znaczenia jako stacja głównego kablu podmorskiego, łączącego prowincje zachodnie ze światem zewnętrznym, oraz spojenia jego z odgałęzieniem, zaopatrującem Sulaco. Polecił go na to stanowisko *Don* José Avellanos, zaś Barrios z prostaczym i drwiącym śmiechem rzekł: — Niechże będzie Sotillo! To człowiek w sam raz do strzeżenia kabla, a damy z Esmeraldy będą miały z niego pociechę. — Barrios, bezsprzecznie prawy człowiek, nie miał zbyt pochlebnego wyobrażenia o Sotillu.

Tylko dzięki połączeniu kablowemu z Esmeraldą mogła kopalnia San Tomé pozostawać w stałem zetknięciu z wielkim finansistą, którego milczące przyzwolenie stanowiło siłę ruchu ribierystowskiego. Ale ruch ten nawet w Esmeraldzie miał przeciwników. Sotillo rządził tem miastem z bezwzględną surowością aż do chwili, kiedy zmieniony tok wypadków na odległej widowni wojny domowej nasunął mu refleksję, iż wielka kopalnia srebra stanie się niezawodnie łupem zwycięzcy. Ale przezorność była konieczna. Zaczął więc od tego, iż zajął niejasne i zagadkowe stanowisko w stosunku do władz miejskich Esmeraldy, co stały wiernie po stronie Ribiery. Później, kiedy rozeszła się wieść, iż komendant zwołuje nocami oficerów na narady (co przesiąkło w jakiś sposób nazewnątrz), ojcowie miasta zaniedbali zupełnie obowiązków obywatelskich i pozamykali się w swych domach. Nagle pewnego dnia, już bez ogródek, wymówek i osłonek, oddział żołnierzy zabrał z urzędu

pocztowego wszystkie listy, przywiezione przez umyślnego posłańca lądem ze Sulaca. Za pośrednictwem Cayty dowiedział się Sotillo o ostatecznym pogromie Ribiery.

Była to pierwsza oznaka zmiany jego przekonań. Wnet potem osławionych powszechnie demokratów, którzy żyli dotychczas w nieustannej obawie uwięzienia, kajdan i nawet chłosty, zaczęto widywać, jak wchodzili i wychodzili z wielkiej bramy *Commandancii*, gdzie konie ordynansów drzemały pod ciężkiemi siodłami, a żołnierze w podartych mundurach i stożkowatych kapeluszach słomkowych wylegiwali się na ławie, wytknąwszy bose stopy z smugi cienia. U szczytu schodów stał wartownik w dziurawym płaszczu z czerwonej bai i spoglądał wyniośle na pospólstwo, co, przechodząc, zdejmowało przed nim kapelusze.

Poglądy Sotilla nie sięgały ponad osobiste bezpieczeństwo oraz nad możliwość ograbienia na swą korzyść miasta, ale obawiał się, że skutkiem późnego przystąpienia wdzięczność zwycięzców okaże się nader skąpą. Nieco za długo pokładał ufność w potędze kopalni San Tomé. Przejęte listy potwierdziły dawniejsze jego wiadomości o wielkim zasobie brył srebrnych, przechowanych w sulackim Urzędzie Cłowym. Opanowanie tych bogactw byłoby bezsprzecznym czynem monterystowskim, usługą, która zasługiwała na nagrodę. Mając je w ręku, mógłby stawiać warunki w imieniu własnem i swych żołnierzy. Nie wiedział ani o rozruchach ani o ucieczce prezydenta do Sulaca ani o śpiesznym pościgu, zarządzonym przez brata Montera, *guerrillera*. Zdawało się mu, iż gra zależy tylko od niego. Na początek opanował Urząd Kablowy i zagarnął parowiec rządowy, stojący na ko-

twicy w ciasnej zatoce, co jest przystanią Esmeraldy. Zamachu tego dokonała bez trudności kompanja żołnierzy, co rozłożywszy się wzdłuż pobrzeża, wpadła nagle rozsypką na pomosty, łączące pokład z wybrzeżem. Natomiast porucznik, któremu kazano aresztować telegrafistę, zatrzymał się po drodze przed jedyną kawiarnią w Esmeraldzie, z której kazał wynieść wódki dla swych żołnierzy i pokrzepił się nią sam z uszczerbkiem kawiarza, znanego ribierzysty. Cały oddział się upił i podążał dalej ulicą, wrzeszcząc i strzelając naoślep w okna. Krotochwila ta, co mogłaby pociągnąć za sobą niebezpieczne następstwa dla życia telegrafisty, pozwoliła mu ostatecznie wysłać ostrzeżenie do Sulaca. Porucznik, zataczając się, wszedł na schody z dobytą szablą. W nagłym przystępie dobrego humoru, wywołanego pijackiem zamroczeniem, wycałował w oba policzki urzędnika i objął go mocno za szyję, zapewniając, iż wszyscy oficerowie, należący do załogi w Esmeraldzie, mają zostać pułkownikami. Łzy błogości spływały po jego obrzękłych policzkach. Zdarzyło się atoli, iż nadszedł później komendant placu i zastał cały oddział uśpiony na schodach i korytarzach, a telegrafistę (który pogardził sposobnością ucieczki), stukającego pilnie na swym aparacie. Komendant kazał mu związać ręce na plecach i odprowadzić go z odkrytą głową, ale zataił prawdę przed Sotillem, który nie dowiedział się o ostrzeżeniu, wysłanem do Sulaca.

Pułkownik nie był człowiekiem, któryby uwierzył, iż jakaś tam ciemność może stanąć na przeszkodzie obmyślonej niespodzianki. Wydawała się mu niezawodną pewnością i serce jego uwzięło się na ten cel swych marzeń z rozpasaną, dziecinną niecierpliwością. Nawet gdy parowiec okrążał *Punta Mala*, by po-

grążyć się w głębszych mrokach zatoki, nie schodził z pokładu wraz z oficerami, którzy byli niemniej podnieceni od niego samego. Nie mogąc zebrać myśli śród pochlebstw i pogróżek Sotilla i jego sztabu, nieszczęsny komendant parowca dokonywał ruchów z taką przezornością, na jaką mu pozwalano. Niektórzy z nich byli jużcić mocno pijani, ale nadzieja zagrabienia takich ogromnych bogactw czyniła ich do szaleństwa zuchwałymi i równocześnie niezmiernie lękliwymi. Pewien stary major, głupi i podejrzliwy, dowódca bataljonu, który nigdy przedtem nie podróżował okrętem, zgasił nagle lampę, co oświecała kompas. Było to jedyne światło, które z konieczności pozostawiono na pokładzie. Nie pojmował, naco ono może się przydać przy szukaniu drogi. Gdy kapitan okrętu jął energicznie protestować, tupnął nogą i trzasnął dłonią po rękojeści swej szabli. — Aha, zdarłem ci maskę — zawołał triumfalnie. — Wyrywasz sobie włosy z rozpaczy nad moją przenikliwością. Czy to ja dziecko, żebym wierzył, iż światło, umieszczone w mosiężnem pudle, może ci wskazać, gdzie znajduje się przystań? Jestem starym żołnierzem, jak widzisz! Każdego zdrajcę wywącham na milę. Potrzebny ci był ten kaganiec, bo chciałeś zawiadomić swego angielskiego przyjaciela, że się zbliżamy. Taka rzecz może wskazywać ci drogę? Co za nędzne kłamstwo! *Que picardia!* Wy wszyscy ze Sulaca jesteście przekupieni przez cudzoziemców. Wart jesteś, żebym cię przebił szablą! — Zbiegli się inni oficerowie i uśmierzali jego wzburzenie, tłumacząc mu przekonywająco: — Nie, nie! To przyrząd, używany przez marynarzy, majorze! To nie zdrada! — Kapitan transportowca rzucił się jak długi twarzą na pokład i nie chciał się podnieść. — Zróbcież koniec

ze mną! — powtarzał zdławionym głosem. Wkońcu musiał wmieszać się Sotillo.

Zgiełk i zamieszanie na pomoście wzmogły się do tego stopnia, iż sternik uciekł od koła. Schronił się do hali maszyn i zawiadomił o wszystkiem inżynierów, którzy, nie zważając na groźby pilnujących ich żołnierzy, zatrzymali maszyny i oświadczyli, iż wolą zginąć od kuli niż pójść na dno.

Było to podówczas, kiedy Nostromo i Decoud po raz pierwszy usłyszeli, że parowiec się zatrzymał. Gdy porządek przywrócono i lampę u kompasu zapalono, ruszył znów naprzód i, omijając zdaleka przewozowiec, szukał Izabel. Wysp znaleźć nie zdołano; na błagalne zaklęcia kapitana Sotillo pozwolił powtórnie zatrzymać maszyny i czekać na jedno z tych naprzemiennych rozwidnień ciemności, co nastają skutkiem przesunięć w obłokach, rozpostartych nad wodami zatoki.

Sotillo, stojąc na pokładzie, pomrukiwał gniewnie co pewien czas na kapitana. Ten kłaniał się i usprawiedliwiał, błagając *su merced* [1]) pułkownika, by zechciał mieć na uwadze ograniczenia, jakim pod wpływem ciemności nocnych ulegają zmysły ludzkie. Sotillo pienił się z wściekłości i niecierpliwości. Podobna sposobność nie powtarza się dwa razy w życiu.

— Jeżeli twe oczy nie są już na nic przydatne, to każę ci je wyłupić! — wrzasnął.

Kapitan parowca nic nie odpowiedział, gdyż właśnie w tej chwili zamajaczył niejasno po przemijającym deszczu zwał Wielkiej Izabeli i przepadł znowu, jakby spłókany falą głębszej ciemności, co poprzedzała nową ulewę.

---

[1]) Jego wielmożność.

Nie pragnął niczego więcej. Głosem człowieka, co odzyskał życie, oświadczył srogiemu pułkownikowi, iż za godzinę przybije do lądu w Sulaco. Okręt ruszył z wielką chyżością, a na pokładzie wszczął się ruch, gdyż żołnierze przygotowywali się do lądowania.

Zgiełk ten słyszeli wyraźnie Decoud i Nostromo. *Capataz* zdawał sobie sprawę z jego znaczenia. Dostrzegli Izabelę i zdążali teraz prosto do Sulaca. Był zdania, iż przepłyną tuż obok jego przewozowca; ale sądził, iż tenże, stojąc na miejscu ze zwiniętym żaglem, nie może być dostrzeżony. — Nawet gdyby otarli się o nas — szeptał.

Deszcz zaczął znowu padać; zrazu mżył tylko mokrą mgłą, potem jął siąpić raźniej, gęstniejąc w rzęsistą jak z cebra ulewę. Łomot i syk nadpływającego parowca rozległ się niezmiernie blisko. Decoud pochylił głowę, mając oczy zalane wodą, i właśnie zadawał sobie pytanie, kiedy ten okręt wreszcie ich minie, gdy niespodziewanie doznał ciosu. Rozprysk piany wtargnął z szumem do statku od tyłu, zatrzeszczały wiązania i nastąpił chwiejny wstrząs. Miał wrażenie, iż jakaś gniewna ręka porwała przewozowiec i ciągnie go ku zgubie. Przewrócił się od wstrząsu i potoczył w kałużę, co utworzyła się na dnie statku. Zachybotały mocne ściany. Dziwny i straszny głos wrzasnął coś nad nim śród nocy. Usłyszał przeraźliwe skomlenie o pomoc *seniora* Hirscha. Przez cały czas zacinał mocno zęby. Było to zderzenie!

Parowiec najechał statek przewozowy zukosa, przechyliwszy go tak, iż zanurzył się do połowy pod wodę, obłupał poczęści jego szalowania i jednym zamachem wykręcił go przodem równolegle do własnego biegu. Na pokładzie okrętu wstrząs nie dał się prawie uczuć.

Cały rozpęd zderzenia dał się we znaki, jak to zwykle bywa, tylko mniejszemu statkowi. Nawet Nostromo mniemał, iż jest to zapewne koniec jego rozpaczliwej wyprawy. Jego również odrzuciło od długiego steru, co poniósł następstwa ciosu. Parowiec przemknął w okamgnieniu, pozwalając przewozowcowi pójść na dno lub wypłynąć na powierzchnię. Zepchnął go poprostu z swej drogi tak szybko, iż niepodobna było zauważyć kształtu. Ponieważ jednak nurzał się głęboko pod ciężarem zapasów i mnóstwa ludzi, kotwica jego zwisała tak nisko, iż uwikłała się w drucianą linę masztu przewozowca. Lina była nowa i opierała się przez chwilę temu nagłemu targnięciu. To było przyczyną, dla której Decoud doznał wrażenia szarpnięcia, ciągnącego statek ku zgubie. O przyczynie tej oczywiście nie wiedział. Wszystko stało się tak nagle, iż nie miał czasu na myślenie. Ale wszystkie jego wrażenia posiadały pełnię świadomości. Zachował najzupełniejsze panowanie nad sobą; nie bez zadowolenia zdawał sobie sprawę z swego spokoju nawet w tej chwili, kiedy, przewaliwszy się na głowę przez ławę, tarzał się rozciągnięty w kałuży wody. Usłyszał i rozpoznał krzyk *seniora* Hirscha, kiedy zaś podźwignął się na nogi, wciąż jeszcze doznawał tajemniczego wrażenia, iż wlecze ich coś na złamanie karku skroś ciemności. Nie krzyknął, nie odezwał się ani słowem, nie miał czasu, by dojrzeć cokolwiek. Po rozpaczliwym okrzyku o pomoc szarpanie ustało tak nagle, iż zatoczył się przed siebie z rozpostartemi ramionami i upadł na stos skrzynek ze srebrem. Uczepił się ich instynktownie z niejasną obawą, iż może być odrzucony na nowo. Wnet potem usłyszał znów wołanie o pomoc, rozpaczliwe i przeciągłe, jednak nie w swem

pobliżu, ale w jakiejś nieokreślonej odległości, gdzieś zdala od przewozowca, jakgdyby jakiś duch przedrzeźniał śród nocy przerażenie i rozpacz *seniora* Hirscha.

Potem wszystko ucichło — nastała taka cisza, jak kiedy budzi się ktoś na swem łóżku w ciemnym pokoju z dziwacznego i niespokojnego snu. Przewozowiec kołysał się zlekka; deszcz jeszcze padał. Dwoje macających rąk ujęło go od tyłu za potłuczone boki i głos *Capataza* szepnął do jego ucha:

— Cicho, jeśli panu życie miłe! Cicho! Parowiec zatrzymał się.

Decoud nadsłuchiwał. W zatoce zalegała głusza. Uczuł, że woda sięga mu niemal po kolana. — Czy toniemy? — zapytał niemal tchnieniem.

— Nie wiem — szepnął Nostromo od tyłu. — *Senior*, ani pary z ust!

Hirsch, gdy Nostromo kazał mu pójść naprzód, nie wrócił do swej pierwotnej kryjówki. Upadł wpobliżu masztu i nie miał sił, by się podnieść; co więcej, lękał się poruszyć. Udawał nieżywego, lecz bez uzasadnionego powodu. Uległ poprostu okrutnemu i zatrważającemu poczuciu. Mocno zaczynały mu szczękać zęby, ilekroć pomyślał, co się z nim stanie. Był tak pochłonięty ostateczną nędzą swego przestrachu, iż nie zwracał na nic uwagi.

Chociaż dusił się niemal pod żaglem, który Nostromo bezwiednie spuścił wprost na niego, mimo to nie śmiał nawet wychylić głowy aż do chwili, kiedy nastąpiło zderzenie z parowcem. Zerwał się wówczas na równe nogi, przynaglony do nowych cudów krzepkości fizycznej tym nowym rodzajem niebezpieczeństwa. Wtargnięcie wody, wywołane przechyleniem

statku, rozwiązało mu język. Okrzyk jego: — Ratujcie mnie! — był pierwszą, wyraźną oznaką zderzenia dla ludzi, znajdujących się na pokładzie parowca. Wnet potem przerwała się lina druciana i uwolniona kotwica zakołysała się nad przednią częścią przewozowca. W pewnej chwili znalazła się tuż przed piersią *seniora* Hirscha, który, nie wiedząc wcale, co to jest, uchwycił się jej i oplótł ją powyżej krzywizny swemi ramionami i nogami z nieprzemożoną, zapamiętałą uporczywością. Przewozowiec chybnął się mocno, a parowiec w swym pędzie porwał go ze sobą, uczepionego ze wszystkich sił i wrzeszczącego o pomoc. Wkońcu kilku ludzi spłoziło się po obłęku i wyciągnęło go na pokład. Powleczono go odrazu przed Sotilla. Przesłuchanie jego było potwierdzeniem wrażenia, iż najechano na jakiś statek, który zatonął; niepodobna jednak było śród tak ciemnej nocy szukać dowodów pod postacią pływającego gruchotu. Sotillo jeszcze goręcej zapragnął dotrzeć do portu bez straty czasu. Nie chciał pogodzić się z myślą, iż przyprawił o zgubę główny przedmiot swej wyprawy, gdyż myśl ta była nie do zniesienia. Pod wpływem tego uczucia wysłuchana opowieść wydała się mu jeszcze nieprawdopodobniejszą. *Seniora* Hirscha, którego poturbowano nieco, gdyż łgał jak najęty, zamknięto w kajucie służbowej. Ale obito go tylko zlekka. Opowieść jego pozbawiła otuchy sztab Sotilla, chociaż wszyscy powtarzali za swym przełożonym: — Niepodobna, niepodobna! — prócz starego majora, który triumfował posępnie.

— A mówiłem wam, mówiłem wam! — zrzędził.— Każdą zdradę, każdą *diablerię* wywącham zawsze na milę.

Tymczasem parowiec podążał dalej ku Sulaco, gdzie

prawda ostatecznie musiała wyjść najaw. Decoud i Nostromo słyszeli, jak głośne zrazu burczenie przycichało i wkońcu umilkło. Nie tracąc napróżno słów, czynili przygotowania, by popłynąć ku Izabelom. Ostatni deszcz przyniósł ze sobą łagodny, lecz stały powiew. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło i nie było czasu na gadanie. Przewozowiec był podziurawiony jak rzeszoto. Taplali się co krok w wodzie. *Capataz* wetknął w garść Decoudowi rączkę pompy, co znajdowała się u ściany tylnej i odrazu, bez żadnych pytań ni uwag, Decoud jął pompować, zapomniawszy doszczętnie o wszelkich pragnieniach i myśląc tylko o ocaleniu skarbu. Nostromo podciągnął żagiel, pobiegł do steru i szarpnął liną jak szalony. Przelotny rozbłysk zapałki (nie zamokły one w szczelnem, blaszanem pudełku, chociaż ich właściciel był zupełnie mokry), ostry rozblask zapałki ukazał pracującemu Decoudowi cierpkość jego twarzy, pochylonej nad skrzynką z kompasem, oraz baczne spojrzenie jego oczu. Wiedział już gdzie jest i miał nadzieję zapędzić tonący przewozowiec do płytkiej zatoczki, co znajdowała się w tem miejscu, gdzie wysoki, podobny do wiszaru kraniec Wielkiej Izabeli rozszczepia na dwie równe części głęboka i zarośnięta chaszczami rozpadlina.

Decoud pracował bez przerwy. Nostromo sterował, nie zwalniając ani na chwilę wytężenia swych szukających oczu. Zajęci pracą, obaj byli najzupełniej samotni. Nie przyszło im na myśl, by do siebie przemówić. Nie mieli nic wspólnego ze sobą, prócz przeświadczenia, iż skołatany przewozowiec zwolna, lecz niechybnie tonie. Przeświadczenie to, co było niby kamieniem probierczym ich pragnień, uczyniło ich wzajem zupełnie obcymi, jakgdyby już podczas wstrząsu,

wywołanego zderzeniem, uświadomili sobie, iż utrata przewozowca dla każdego z nich będzie miała odmienne znaczenie. Wspólne niebezpieczeństwo wyolbrzymiło niepomiernie w ich najosobistszych odczuwaniach różnice między ich zamiarami, poglądami, charakterami i stanowiskami. Nie łączył ich węzeł przekonań, nie kojarzyła wspólna idea. Byli dwoma awanturnikami, z których każdy szukał swej własnej przygody i los tylko uwikłał ich w tę samą ostateczność śmiertelnego niebezpieczeństwa. Dlatego nie mieli sobie nic do powiedzenia. Ale to niebezpieczeństwo, ta jedynie im pospólna, bezsporna prawda oddziaływała jak natchnienie na ich władze cielesne i duchowe.

Było to, zaiste, niemal cudem, iż *Capataz* zdołał dotrzeć do zatoczki, nie mając innego przewodnika prócz mglistych zarysów wyspy oraz mdłego majaczenia niewielkiej smugi piasku. Przewozowiec przybił do brzegu w miejscu, gdzie rozpadlina zieje między wiszarami i gdzie nikły, płytki ruczaj wije się śród chaszczy, by zatracić się w morzu. Obaj mężczyzni z milczącą, nieuskromioną energją jęli wyładowywać drogocenną zawartość statku, nosząc skroś chaszczy łożyskiem ruczaju skrzynie z wołowej skóry do zagłębienia, co utworzyło się pod korzeniami wielkiego drzewa skutkiem obsunięcia się ziemi. Potężny, gładki pień pochylał się niby waląca się kolumna nad miałką roztoczą wody, co sączyła się śród luźnych kamieni.

Kilka lat temu Nostromo spędził samotnie całą niedzielę, przetrząsając tę wyspę. Opowiedział o tem Decoudowi, gdy ukończyli pracę i siedzieli śmiertelnie znużeni, zwiesiwszy nogi z niewielkiego wzgórka i oparłszy się plecami o drzewo niby para ślepców,

co dostrzegają siebie i swe otoczenie dzięki jakiemuś nieokreślonemu, szóstemu zmysłowi.

— Trzeba panu wiedzieć — powtórzył Nostromo, — iż nie zapominam nigdy miejsca, które raz dokładnie obejrzałem. — Mówił powoli, niemal opieszale, jakgdyby miał przed sobą długie, beztroskie życie, a nie dwie skąpe godziny, co pozostawały jeszcze do świtu. Istnienie skarbu, niewystarczająco ukrytego na tem nieprawdopodobnem miejscu, nakładało brzemię tajemniczości na każdy rozważny krok, na wszelkie zamysły i zamierzenia przyszłego postępowania. Czuł, iż częściowe niepowodzenie jego rozpaczliwej wyprawy pozwalało mu się spodziewać wielkiego rozgłosu, który w wiadomy sobie sposób postanowił wyzyskać. Było to zresztą także częściowe powodzenie. Próżność jego była do połowy zaspokojona. Uśmierzyło się jego nerwowe podrażnienie.

— Nigdy nie można wiedzieć, co może wyjść człowiekowi na dobre — mówił dalej z właściwym sobie spokojem tonu i zachowania się. Spędziłem marnie całą niedzielę, badając ten skrawek lądu.

— Zaiste, mizantropijne zajęcie — bąknął Decoud przebiegle. — Pewno pan nie miał pieniędzy na grę i na uganianie się śród dziewcząt w swych zwykłych przybytkach.

— *E vero!* — zawołał *Capataz*, zdumiony tą przenikliwością, w swym ojczystym języku. — Istotnie, nie miałem. Dlatego nie chciałem pójść między tę hołotę, co nawykła do mej hojności. Wymagano jej od *Capataza Cargadorów*, którzy są bogaczami i mają opinję *Caballerów* śród pospólstwa. Grywam w karty tylko dla zabicia czasu, a co do dziewcząt, które chwalą się, że otwierały drzwi na moje pukanie, niechaj mi pan

wierzy, że na żadną z nich nie zwykłem spojrzeć dwa razy, chyba że mogę dowiedzieć się, co gadają ludzie. Dziwni są ci ludzie ze Sulaca; nieraz dowiadywałem się różnych ważnych rzeczy, słuchając cierpliwie kobiet, o których powszechnie utrzymywano, że są mojemi kochankami. Nie mogła tego nigdy zrozumieć biedna Teresa. Otóż tej właśnie niedzieli dopiekła mi tak, że uciekłem z domu i poprzysiągłem sobie, iż próg jego przestąpię raz jeszcze tylko poto, aby zabrać swój hamak i skrzynkę z odzieżą. *Senior*, niema bodaj niczego gorszego, niż kiedy kobieta, którą się szanuje, kpi w oczy człowiekowi z dobrego jego imienia, a on nie ma ani złamanego grosza w kieszeni. Odwiązałem łódkę i wypłynąłem z portu, mając przy sobie tylko trzy cygara, co miały być na tej wyspie jedynem mojem pokrzepieniem. Ale okazało się, że woda tego potoku, co szemrze pod pańskiemi stopami, jest zimna i słodka i daje się pić zarówno przed paleniem jak po paleniu. — Umilkł na chwilę, poczem dodał zamyślony: — Było to w tydzień potem, jak taszczyłem przez góry tego białobrodego, angielskiego *rica* od *Parama* do przełęczy *Entrady*, i to jeszcze w powozie. Jak świat światem nigdy przedtem nie przejechał powóz przez te góry i dopiero ja przeprowadziłem go, mając do pomocy pięćdziesięciu *peonów*, którzy jak jeden człowiek pracowali linami, oskardami i kołami pod mojem kierownictwem. To był ten bogaty Anglik, o którym ludzie opowiadają, że łoży na budowę kolei. Był bardzo ze mnie zadowolony. Ale zapłatę otrzymałem dopiero z końcem miesiąca.

Ześliznął się nagle ze wzgórza. Decoud usłyszał pluskanie jego stóp w potoku i podążył za nim wdół wąwozu. Postać jego nikła śród krzaków i ukazała

się dopiero na piaszczystej wydmie pod wiszarem. Nie miało się jeszcze ku świtaniu, ale ciemność przetarła się mocno nad ranem, jak to niejednokrotnie bywa w tej zatoce, gdy wczesną nocą przypadają częste i rzęsiste deszcze.

Przewozowiec, pozbawiony drogocennego ładunku, kołysał się zlekka, nawpół wynurzony z wody i wsparty dziobem na piasku. Długa lina, rozpięta na smudze białego pobrzeża niby pasmo czarnej bawełny, kończyła się kotwiczką, którą Nostromo wyciągnął na ląd i zahaczył o pień jakiegoś rosochatego krzewu, co rósł u ujścia rozpadliny.

Jedyną rzeczą, którą Decoud mógł uczynić, było pozostać na wyspie. Otrzymał z rąk Nostroma nieco żywności, w którą przezorność kapitana Mitschella zaopatrzyła przewozowiec. Włożył ją tymczasem do niewielkiej skrzynki, którą zdążyli już wyciągnąć na ląd i ukryć śród chaszczy. Miał ją zatrzymać dla siebie. Wyspa miała być kryjówką, nie więzieniem; mógł przedostać się na przepływający okręt. Pocztowce T. O. Ż. P., podążając z północy do Sulaca, przepływały tuż obok wyspy. Jednakże *Minerwa*, co zabrała na swój pokład byłego prezydenta, zawiozła na północ nowiny o zaburzeniach w Sulaco. Było rzeczą możliwą, iż najbliższy zkolei parowiec, płynący na południe, otrzyma rozkaz, by ominął ten port, bowiem oficerowie *Minerwy* wiedzieli, iż miasto było opanowane przez motłoch. Znaczy to, iż mogło nie być parowca z jaki miesiąc, przynajmniej parowca pocztowego. Ale Decoud z tą możliwością musiał się pogodzić. Wyspa była dla niego jedynem schronieniem przed proskrypcją, co zawisła nad jego głową. *Capataz* oczywiście wracał.

Nie obciążony przewozowiec zaciekał znacznie mniej, więc miał nadzieję, że zdoła nim dopłynąć do portu.

Stojąc po kolana w wodzie, podał Decoudowi jedną z dwu łopat, co należą do sprzętów każdego przewozowca i służą do rozmieszczania balastu wewnątrz statku. Zakrzątnąwszy się nią pilnie, skoro mu na to szarzejący już dzień pozwolił, Decoud zdołał obluźnić zwał ziemi i kamieni, zwisający nad zagłębieniem, w którem znalazły pomieszczenie skarby. Obsunął się on w ten sposób, iż wydawało się, jakgdyby spadł, pociągnięty własnym ciężarem. Zakrył nietylko zagłębienie, ale także ślady ich kroków, ich pracy, przesunięte kamienie, a nawet połamane krzewy.

— Zresztą czy komu przyjdzie do głowy szukać tu pana lub tych skarbów? — gawędził dalej Nostromo, jakgdyby nie mógł rozstać się z tem miejscem. — Nikt tu nie lubi zaglądać. Bo i komuż jest potrzebny ten spłacheć ziemi, dopóki ma się ląd stały pod nogami? Tutejsi ludzie nie są ciekawi. Niema tu nawet rybaków, którzyby mogli naprzykrzać się panu. Poławia się ryby w tej zatoce tylko tam dalej, wpobliżu Zapigi. *Senior*, jeżeliby pan musiał opuścić tę wyspę, zanim zdąży się przyjść z pomocą, niech pan wystrzega się Zapigi. To gniazdo złodziei i *matrerów*, co wnet poderznęliby panu gardło, bo byliby łakomi na złoty zegarek i łańcuszek. I radzę, niech pan dwa razy pomyśli, zanim pan zaufa komukolwiek. Jeżeli pan dostanie się na pokład któregoś z parowców Towarzystwa, to lepiej będzie mieć się na baczności nawet przed oficerami. Sama tylko uczciwość nie jest jeszcze rękojmią bezpieczeństwa. Trzeba szukać w ludziach dyskrecji i roztropności. A niechaj pan pamięta, zanim zdarzy się panu otworzyć usta do zwierzeń, iż skarb

ten może tu leżeć bezpiecznie setki lat. Czas jest po jego stronie, *senior*. A srebro to metal, który się nie psuje i zachowuje swą wartość na wieki... To metal, który się nie psuje — powtórzył, jakgdyby ta myśl sprawiała mu wielką przyjemność.

— Mówi się podobnie o niektórych ludziach — odezwał się Decoud zagadkowo do *Capataza*, który wyczerpywał wodę z przewozowca drewnianym wębórkiem i wylewał ją do morza z miarowym pluskiem. Decoud, niepoprawny w swym sceptycyzmie, przyszedł do wniosku nie cynicznie, lecz z szczerem zadowoleniem, że ten człowiek ustrzegł się zepsucia dzięki swej niepomiernej próżności, tej najsubtelniejszej odmianie egoizmu, co może przybrać wygląd każdej cnoty.

Nostromo przestał czerpać i jakby tknięty nagłą myślą, rzucił z trzaskiem węborek na dno przewozowca.

— Czy nie ma pan jakich poleceń? — zagadnął cichszym głosem. — Proszę pamiętać, że będę o to pytany.

— Trzeba będzie obmyśleć coś pocieszającego dla znajomych w mieście. Ufam pańskiej inteligencji i pańskiemu doświadczeniu, *Capatazie*. Rozumie mnie pan?

— *Si, senior*... Dla pań.

— Zapewne, zapewne — rzekł Decoud śpiesznie. — Dzięki pańskiej, nieporównanej opinji słowa te będą miały dla nich wielkie znaczenie; proszę zatem uważać na to, co pan powie. Ja wciąż dążę — mówił dalej, doznając fatalnego drgnięcia pogardy dla siebie samego, której podlegała jego złożona natura — ja wciąż dążę do chwalebnego i pomyślnego zakończenia swego posłannictwa. Słyszy pan, *Capatazie?* Mówiąc do *seniority*, niechaj pan użyje słów: chwalebny i pomyślny. Z wła-

snego zadania wywiązał się pan znakomicie i pomyślnie. Nie ulega wątpliwości, iż ocalił pan srebro kopalni. Nietylko to srebro, ale prawdopodobnie wszystko, które kiedykolwiek będzie z niej wydobyte.

Nostromo wyczuł ironję tonu. — Śmiem to twierdzić, *Donie* Martinie — rzekł opryskliwie. — Bardzo niewiele jest rzeczy, którymbym nie podołał. Niech powiedzą cudzoziemscy *signori*. Jestem człowiekiem z ludu, który niezawsze rozumie, co pan ma na myśli. Ale jeżeli chodzi o ten skarb, który tu pozostanie beze mnie, to niechaj pan wie, że byłby on dużo bezpieczniejszy, gdyby pana wcale ze mną nie było.

Wydarł się okrzyk z ust Decouda i nastąpiła krótka chwila milczenia. — Czy mam z panem powrócić do Sulaca? — zapytał gniewnym tonem.

— Czy mam pana położyć trupem na miejscu? — ofuknął go Nostromo pogardliwie. — Byłoby to samo, co zabrać pana do Sulaca. Niech pan się opamięta! Pańskie dobre imię związane jest z polityką, a moje z losem tego srebra. Czemuż pan się dziwi, iż wolałbym, żeby prócz mnie nikt o niem nie wiedział? Nie trzeba mi było nikogo!

— Nie byłby pan beze mnie utrzymał przewozowca na powierzchni — wrzasnął niemal Decoud. — Byłby pan poszedł wraz z nim na dno!

— Zapewne — wycedził Nostromo zwolna: — ale sam.

Oto człowiek — pomyślał sobie Decoud — który, jak się zdaje, wolałby raczej skonać, niż zniweczyć doskonałą odmianę swego egoizmu. Taki człowiek nie zawiedzie. Milcząc, dopomógł *Capatazowi* wciągnąć kotwiczkę na pokład. Nostromo odbił od stromego wybrzeża jednem pchnięciem ciężkiego wiosła, a Decoud

pozostał sam na wyspie niby człowiek, pogrążony we śnie. Uczuł mdłość w sercu i zapragnął nagle usłyszeć jeszcze raz głos ludzki. Przewozowiec zaledwo się odrzynał od czarnej toni, na której się unosił.

— Jak panu się zdaje, co stało się z Hirschem?— krzyknął.

— Przeleciał przez burtę i utonął, — odpowiedział bez wahania głos Nostroma z czarnych bezmiarów nieba i morza, rozokolonych dokoła wysepki. — Niech pan nie opuszcza rozpadliny, *senior!* Postaram się odwiedzić pana tej nocy lub przyszłej.

Lekki, świszczący szelest świadczył, iż Nostromo rozpina żagiel. Napełnił on odrazu wszystko szmerem niby głośny łomot bębna. Decoud powrócił do rozpadliny. Nostromo, nie wypuszczając steru z ręki, spoglądał od czasu do czasu na zanikający zwał Wielkiej Izabeli, co zlewał się stopniowo z jednostajną osnową nocy. Kiedy po raz ostatni odwrócił głowę, nie dostrzegł już nic prócz ciemności, zwartej niby gruba ściana.

Następnie i on także doznał uczucia samotności, które jęło gnębić mocno Decouda, odkąd przewozowiec odbił od brzegu. O ile jednak wygnańca na wyspie dręczyło dziwaczne jakieś poczucie nierzeczywistości, zaciekające się nawet w ziemię, po której stąpał, o tyle umysł *Capataza de Cargadores* zwrócił się rączo ku zagadnieniom przyszłego postępowania. Uzdolnienia Nostroma, podążające równolegle do siebie, pozwalały mu sterować nawprost, wypatrywać Hermosę, koło której miał przepłynąć, i razem wyobrażać sobie, co stanie się jutro w Sulaco. Jutro, czyli raczej dzisiaj, dzisiaj, bo miało się już ku świtaniu, dowie się Sotillo, w jaki sposób skarb wywieziono. Cała cze-

reda *Cargadorów* przenosiła go z magazynów Urzędu Cłowego do drezyny i ciągnęła następnie tę drezynę na pobrzeże. Nastąpią aresztowania i na pewno już przed południem będzie wiedział Sotillo, w jaki sposób zniknęło srebro ze Sulaca i kto był sprawcą tego zniknięcia.

Nostromo zamierzał popłynąć wprost do przystani, ale tknięty tą myślą, nagłym zwrotem steru pchnął przewozowiec przeciw wiatrowi i powściągnął jego chyży bieg. Powrót *Capataza* tym samym statkiem wznieciłby podejrzenie, wywołałby domysły, naprowadziłby Sotilla na trop. Aresztowanoby go, a gdyby się dostał do *Calabozo* [1]), niewiadomo, coby uczynili, by wymusić na nim zeznania. Polegał na sobie, ale powstał i rozejrzał się dokoła. Opodal wyzierała gładka jak stół, biała powierzchnia Hermosy, dokoła której, wzdęte powiewem, pląsały lekko fale, przelewając się z szumem przez jej brzegi. Trzeba było przewozowiec zatopić odrazu.

Pokierował żaglem w ten sposób, iż statek pod naporem wiatru jął cofać się wstecz. Wewnątrz już było sporo wody. Nawrócił ku wylotowi przystani, poczem, wypuściwszy ster z dłoni, przykucnął i jął obluźniać czop. Dość było go wyjąć, a przewozowiec wnet napełniłby się wodą, zaś żelaziwo, co dla balastu znajdowało się wewnątrz, pociągnęłoby go na dno. Gdy podniósł się znowu, szum fal dokoła Hermosy dolatywał zdaleka i głuchł już niemal. Mógł już rozróżnić zarysy wybrzeża u ujścia przystani. Porywał się na czyn rozpaczliwy, ale był dobrym pływakiem. Mila była niczem dla niego, a znał dogodne do wy-

---

1) Więzienie.

lądowania miejsce pod wałami starego, opuszczonego fortu. Ze szczególniejszą natarczywością narzuciła się mu myśl, że fort ten był odpowiedniem miejscem i że będzie można w nim przespać cały dzień po tylu bezsennych nocach.

Jednym nawrotem steru zakręcił na miejscu, wyciągnął czop, ale nie zadał sobie trudu, by spuścić żagiel. Gdy uczuł, że woda kłębi się mocno dokoła jego nóg, wskoczył na tylny, najwyższy skraj statku. Tylko w koszuli i spodniach stał tam i czekał, nieruchomy i wyprostowany. Kiedy zaś statek jął zagłębiać się pod nim, rzucił się naprzód potężnym skokiem i zanurzył się śród rozprysku toni.

Wnet odwrócił głowę. W mgławym brzasku, co świtał z za gór, dostrzegł na gładkiej roztoczy wodnej górny kraniec żagla, ciemny, mokry trójkąt płótna, ponoszony przez fale. Widział, jak zniknął, niby pociągnięty w głąb, i podążył wpław ku wybrzeżu.

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

NAKŁADEM Sp. Akc. „DOM KSIĄŻKI POLSKIEJ“

wydawane są począwszy od stycznia 1928 r.

PISMA ZBIOROWE

JOSEPHA CONRADA

(JÓZEFA KONRADA KORZENIOWSKIEGO)

z przedmową STEFANA ŻEROMSKIEGO, w tłómaczeniach H. GAY, HAJOTY, W. HORZYCY, J. LEMAŃSKIEGO, L. PIWIŃSKIEGO, T. PUŁJANOWSKIEGO, B. RYCHLIŃSKIEGO, X. T. SAPIEŻYNY, J. SIENKIEWICZÓWNY, T. TATARKIEWICZOWEJ, S. WYRZYKOWSKIEGO, A. ZAGÓRSKIEJ i innych.

Całość wydawnictwa składać się będzie z następujących dzieł:

*1. *Szaleństwo Almayera*
2. *Wygnaniec*
*3. *Murzyn z załogi „Narcyza“*
*4. *Opowieści niepokojące*
5. *Lord Jim*
6. *Młodość*
*7. *Tajfun*
8. *Falk*
*9. *Nostromo*
10. *Zwierciadło morza*
11. *Tajny agent*
*12. *Sześć opowieści*
13. *W oczach Zachodu*
14. *Wspomnienia*
15. *Między lądem a morzem*
16. *Los*
*17. *Wśród prądów*
*18. *Zwycięstwo*
19. *Smuga cienia*
20. *Złota Strzała*
21. *Wybawienie*
22. *Notatki o życiu i literaturze*
*23. *Korsarz*
*24. *Opowieści zasłyszane*
25. *W zawieszeniu*
26. *Ostatnie szkice*

oraz książki pisane wspólnie z Ford M. Huefferem:

27. *Romantyczna przygoda*
28. *Spadkobiercy*

Książki oznaczone * zostały już wydane.

PKD